KATARZYNA

# BONDA

HUBERT MEYER
PSYCHOLOG ŚLEDCZY

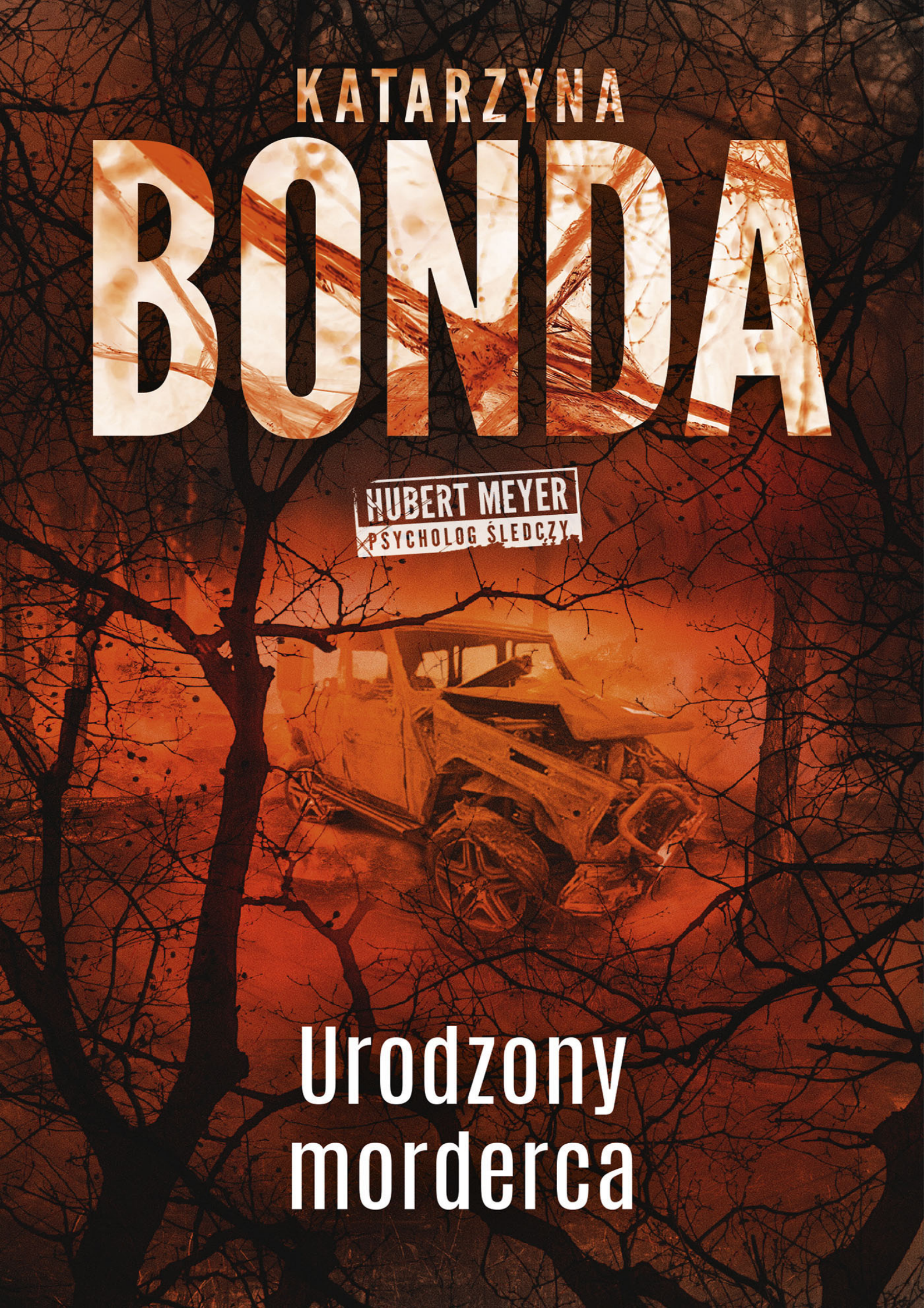

## Urodzony morderca

KATARZYNA

# BONDA

# Urodzony morderca

MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redaktor prowadzący: *Mariola Hajnus*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska, Justyna Techmańska*

© by Katarzyna Bonda
All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2653-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

*Żona szanująca męża*
*przez wszystkich uznawana jest za*
*mądrą.*

J. KUŁACZKOWSKI, *Cechy dobrej żony w ujęciu Księgi Syracha*, „Poznańskie Studia Teologiczne” 2002, t. 12.

*Nie może być świadomości*
*bez rozróżniania przeciwieństw.*

C.G. JUNG, *O naturze kobiety*, Poznań 1992.

Mojej córce Ninie Aleksandrze,
głębinie inspiracji i światłu mojego życia
Z miłością

# Spis treści

Prolog W SAMO POŁUDNIE
Rozdział 1 SPIS CUDZOŁOŻNIC
Rozdział 2 PRZYGODY SINDBADA ŻEGLARZA
Rozdział 3 NÓŻ W WODZIE
Rozdział 4 MIĘDZY SŁOWAMI
Rozdział 5 GRZESZNIK
EPILOG LISBON STORY

# Prolog

# W SAMO POŁUDNIE

## 21 października (piątek)
## WARSZAWA, PARKING NA BEMOWIE

*Wiedziałem, że to on, gdy tylko wjechał na parking pod supermarketem. Traktował swoje nowiutkie G jak konia wyścigowego, którego poganiasz butem uzbrojonym w ostrogę. Wysiadłem z passata i zapiąłem kurtkę, by amant mojej żony nie dostrzegł beretty, którą schowałem w wewnętrznej kieszeni. Wziąłem tę poręczną broń wyłącznie dla kurażu. Gdyby gnój skakał, dam mu powąchać jej szykowną lufę – planowałem. Nie mogłem doczekać się jego miny.*

*Skurwiel zaparkował obok mnie i otworzył drzwi z takim impetem, że przyłożył nimi jakiejś kobiecinie, która ze spacerówką zmierzała do sklepu. Udał, że jej nie widzi. Nie przeprosił. Zatrzasnął swoje G i z miną urażonego księcia przeczekał litanię wyzwisk zbulwersowanej matki. Spotkałem się z nią wzrokiem i o kilka sekund za długo przyglądałem się jej dziwnej opasce na głowie, więc by sam siebie usprawiedliwić, pomogłem jej przedostać się z wózkiem między samochodami. W mig pojęła, że jestem po jej stronie i szykuję fircykowi bęcki, i truchtem pobiegła do wejścia sklepu. Dopiero wtedy ten tchórz wysiadł z auta.*

*Wysiadł to mało powiedziane. Wynurzył się ze swojego czarnego jak mokry asfalt czołgu mercedesa AMG 63, spojrzał na mnie smolistymi obłudnymi ślepiami, które tak opiewała w esemesach moja ślubna, i rozpościerając wokół woal*

*siódemki loewe, przejął całą przestrzeń wokół nas chrapliwym rechotem.*

*– To ty? – rzucił zaskakująco poprawną polszczyzną, taksując moje tanie ubranie i zniszczone cichobiegi. – Czego chcesz?*

*Nie odpowiedziałem. Zapach jego perfum totalnie mnie znokautował. Byłem pewien, że podarowała mu je Małgorzata, bo siódemka to jej ulubione. Ja też nimi dziś woniałem. Dostałem je od Gosi jeszcze przed ślubem i nigdy nie zmieniłem na żadne inne, ale ten palant chyba się w nich kąpał. Nie zdołałem dłużej trzymać nerwów na wodzy.*

*– Wiem wszystko – warknąłem. Wymieniłem kilka nazw hoteli, w których się bzykali. – Nie musisz zaprzeczać.*

*Zwrócił się do mnie po imieniu.*

*– Dobrze zapamiętałem? – powiedział spokojnie i uśmiechnął się półgębkiem. – Tutaj będziemy rozmawiali?*

*Kawał drania, pomyślałem. Nawet nie udaje, że mu przykro. I świetnie gada po polsku. Dlaczego pisał do niej angielszczyzną? Myśleli, że jestem Wokulski i nie pojmę?*

*– Na takim parkingu jak ten też ją ruchałeś – odparowałem. – Tydzień temu.*

*– Byłeś przy tym? – zakpił, lecz skrzywił się, jakbym rzucił w niego czymś zepsutym.*

*Sprawiło mi to przyjemność. Chciałem być wulgarny i zamierzałem go ostro dojechać. Płazem mu tej zniewagi nie puszczę!*

*– Może wsiądziemy? – Przeszedł na angielski i wskazał mercedesa. – Chyba że wolisz zaprosić mnie do swojego wozu?*

*Rozejrzał się. Na parkingu było sporo aut, ale nikogo poza nami.*

*– Po co? – burknąłem po polsku. – Dla mnie wszystko jest jasne.*

*– Będziesz darł się przy wszystkich, że żona cię zhańbiła? – wysyczał, a potem nagle spoważniał. – Czy pogadamy jak facet z facetem?*

*Nie odpowiedziałem. Uśmiechnął się i powtórzył frazę jeszcze raz po polsku, jakby miał ją wyuczoną. Zacisnąłem pięści. Gnój uważa mnie za matoła.*

*– A może chcesz się bić? – dopytał z uśmiechem Kubusia Puchatka.*

*Zdjął płaszcz. Był to długi, czarny i zapewne drogi ciuch z Vitkaca, gdzie moja żona lubiła spędzać wolny czas. Przemknęło mi przez głowę, że pewnie tam się poznali. Nie mogłem prześledzić wszystkich ich wiadomości, bo Małgorzata natychmiast je kasowała. Zresztą nie byłem ciekaw szczegółów. Chciałem tylko, żeby ten gość odpalantował się od mojej rodziny. Na zawsze.*

*– Dobrze. – Zwiesił głowę, jakby się poddał.*

*Poczułem w tej chwili, że zaczynam wygrywać. Kiedy jeszcze raz wskazał auto, podszedłem. Otworzył mi drzwi, jakby zapraszał kobietę na randkę, ale stałem twardo w miejscu.*

*– Nie bój się, moje G cię nie pogryzie. – Zaśmiał się triumfująco, obszedł samochód i usiadł jak pasza za kierownicą.*

*Wdrapałem się na siedzenie obok. Wewnątrz pachniało siódemką, domową zupą i nowiutką skórzaną tapicerką. Miło tu, to całe G to kawał porządnego wozu, skonstatowałem, ale za nic w świecie bym mu tego nie powiedział. Obejrzałem się na tylne siedzenie. Miejsca było aż nadto, żeby robić to od tyłu. Było mi niedobrze. Chciałem to jak najszybciej skończyć.*

*– Więc o co ci dokładnie chodzi? – zaczął, sięgając po elektronicznego papierosa. Wydmuchiwał parę bokiem ust. Nie spuszczał ze mnie kpiącego spojrzenia. – Margot wie o naszym spotkaniu? A może masz dla nas jakąś propozycję?*

*– Dla ciebie owszem.*

*Z trudem zachowywałem spokój. Przypomniałem sobie, że jakiś czas temu Małgorzata zmieniła sobie imię w mediach społecznościowych na wersję międzynarodową. Czyżby ten romans trwał tak długo? Powiedziałem:*

*– Zostaw moją żonę w spokoju. Obiecaj, że więcej się nie spotkacie.*

*– Jasne! Nie ma sprawy, serio. – Zaśmiał się. – Z tym że to nie ty decydujesz. Zgodzisz się ze mną?*

*– Kochasz ją? – wypaliłem.*

*– A co to ma do rzeczy? – Skrzywił się.*

*– Pytam, czy jesteś zakochany w mojej żonie, tłuku! – Pochyliłem się w jego stronę i ryknąłem, aż oplułem mu mordę.*

*Przykleił się do okna. Spojrzał na mnie dziwnie.*

*– Uspokój się, człowieku – rzekł przylepnie. – Rozumiem, że ci przykro, skoro Margot ma mokre majtki na mój widok, ale żeby mieszać do tego uczucia… Przeginasz.*

*Zaciskałem pięści w kieszeni. Byłem już na granicy wytrzymałości. Wszystko szło nie tak, jak planowałem.*

*– To nie tego rodzaju znajomość – ciągnął spokojnie. – Z twojej żony jest ostra lufa! Ty nie dajesz rady, a ktoś musi regularnie przepychać jej komin. – Zarżał. – Tak ją zaniedbałeś, że ledwie jej wszystkie dziurki odetkałem.*

*– Masz natychmiast przestać się z nią spotykać! – huknąłem, ale głos mi zadrżał i wyszło błagalnie.*

*Gość spojrzał na mnie z politowaniem, a ja poczułem się jak gówno.*

*Dyskretnie włożyłem rękę do kieszeni kurtki, chwyciłem rękojeść pistoletu, by dodać sobie odwagi. Podziałało. Wiedziałem, że jeszcze słowo, a użyję mojej karty atutowej. Odbezpieczyłem broń.*

*– Rozkazujesz mi? – Przekrzywił głowę w bok niczym przemądrzały kocur. – Ty? Kim ty jesteś?*

*– Zbliżysz się do niej, zabiję cię – wysyczałem.*

*Wcale mnie nie słuchał. Nie okazał lęku. Za to doskonale się bawił.*

*– Powinieneś być mi wdzięczny. – Rozparł się wygodniej i dalej nawijał: – Nie masz instrumentu, żeby ją zaspokoić. Mówiła, że ledwie dwanaście centymetrów miękisza. Uuu! Słabiutko. Na taką antenę Warszawy nie podbijesz. Dla jaj przysyłała mi wasze nagie foty.*

*Sięgnął za pazuchę, ale ja w tym samym momencie wyciągnąłem spluwę. Sam byłem zaskoczony, gdy usłyszałem huk. Przysięgam, że nie wiem, kiedy palec znalazł się na spuście. Niestety chybiłem.*

*– Masz małego – wychrypiał.*

*Rzucił się na mnie i próbował odebrać mi broń. Zdołał nacisnąć przycisk SOS, ale w porę to zauważyłem. Zerwałem połączenie, zanim odezwała się dyspozytorka.*

*Tym razem wycelowałem w jego brzuch. Naciskałem spust raz za razem. Do skutku. Aż przestał się ruszać. Przestał gadać. Zapadła upragniona cisza przerywana tylko zgłuszonym charkotem. Jego ciałem jakiś czas wstrząsały drgawki, aż wreszcie znieruchomiał. Ja też siedziałem bez czucia, oszołomiony tym, co się wydarzyło.*

*Wpatrywałem się w opustoszały parking i czekałem na syreny karetki, wyglądałem kogutów policyjnych. Spodziewałem się larum klientów supermarketu, którzy otoczą mnie ciasnym kręgiem i wywleką z samochodu ofiary. Byłem gotów na ukamienowanie, więzienie. Nawet na śmierć. Ale nie miałem poczucia winy ani żalu. Nic takiego nie przeszło mi przez myśl. Byłem pewien, że postąpiłem słusznie. I pierwszy raz od dawna poczułem, że odzyskuję dawne moce. Jedyne, czego się obawiałem, to że dzieci i Gosia będą mieli przeze mnie kłopoty albo, co gorsza, mogą się wstydzić.*

*Czekałem jeszcze chwilę, aż cisza zaczęła dzwonić mi w uszach. Spojrzałem na pochylonego do przodu amanta mojej żony, który nie prezentował się już tak imponująco jak na*

*początku spotkania. Głowę miał zwieszoną na piersi. Krew rozlała się na jego śnieżnobiałą koszulę. W słońcu lśniła jak nieprawdziwa.*

*Rozejrzałem się kontrolnie, a potem wezbrały we mnie nieznane siły. Chwyciłem gościa oburącz i przeciągnąłem jego zewłok na tylne siedzenie. By samemu się nie ubrudzić, położyłem w miejscu kierowcy jego płaszcz, który okazał się podniszczoną wólczanką. Miałem w domu okrycia droższe i znacznie szykowniejsze, lecz wychodząc, zadecydowałem, że nie będę marnował ich dla tego gnoja. To była słuszna decyzja.*

*Przejrzałem się w lusterku wstecznym, otarłem czoło z drobnych rozprysków krwi, a potem szybko wysiadłem i obszedłem swój samochód. Passat był zamknięty. Każda szyba szczelnie zasunięta. Na parkingu zaś, o dziwo, żywego ducha.*

*Czyżby nikt nie słyszał wystrzałów i nie chciał mnie aresztować? Wróciłem do auta martwego rywala i zająłem jego miejsce za kierownicą.*

*Prowadziłem spokojnie, praktycznie żeglowałem. Sam nie wiem dlaczego pojechałem trasą w kierunku alei Zakochanych Drzew w Łomiankach. Dosyć dobrze znałem ten teren, bo Małgorzata pochodzi z tych okolic i na początku naszej znajomości często jeździliśmy nad Wisłę kochać się w samochodzie. Czułem, że robiła to tam i z tym martwym gnojem. Niech więc on tam skończy. Amen.*

*Krążyłem jakiś czas po alejkach, aż znalazłem mało uczęszczaną ścieżkę i wjechałem szutrową drogą w zarośla. Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, teraz jednak błogosławiłem gust motoryzacyjny swojego rywala. Czarne G wzorowo radziło sobie z błotem, piachem i powalonymi gałęziami. Kiedy nie dało się jechać dalej, zamknąłem wóz, zostawiwszy kluczyki w stacyjce, i pieszo, na miękkich nogach, wróciłem do szosy.*

*Poczekałem na przystanku na autobus, wróciłem na parking, gdzie się spotkaliśmy, i zająłem miejsce za kierownicą*

*wiekowego passata, którym normalnie jeździł mąż naszej gosposi. Dopiero wtedy poczułem ulgę, satysfakcję, a wreszcie rodzaj ekscytacji. Mój dobry humor psuła tylko jedna myśl: kiedyś go znajdą.*

*Zadzwoniłem do pracy, że dziś mnie już nie będzie, bo spotkanie się przedłużyło. Wszyscy się ucieszyli. Mogli szybciej zacząć weekend. Sekretarka obiecała poskładać moje dokumenty i wyłączyć komputer.*

*Pojechałem do domu po rozpuszczalnik. Pamiętałem, że po remoncie dachu zostało coś na dnie beczki. Musiałem go tylko przelać do kanistrów. Najpierw jednak postanowiłem porządnie umyć ręce.*

*Miałem ochotę się napić, ale wiedziałem, że jeśli wezmę choć łyk, to się nie zatrzymam, a nie chciałem ryzykować jazdy na bani. Na stojąco opróżniłem małą muszyniankę, zapakowałem do bagażnika rozpuszczalnik, jednorazowe rękawiczki, zestaw masek ochronnych, foliowy fartuch malarski i pustą butelkę, do której wsunąłem ścierkę. Z szuflady wygrzebałem stare zippo. Włączyłem płomień. Było sprawne.*

*Nie pamiętam drogi ani spaceru ze sprzętem wzdłuż Wisły, bo passatem nie dojechałbym w gąszcz aż tak daleko. Nigdy nie zapomnę natomiast spojrzenia w oczy trupa, z którym gziła się moja ślubna, i jego miny: zdziwienia, pustki w oczach. Identycznej jak w moich, kiedy odkryłem, kim jest mój konkurent. Nie do wiary, że od tej chwili minęło ledwie kilka godzin, a tego człowieka nie ma już wśród żywych. Więcej nam nie zagrozi. Moje stado jest znów bezpieczne. Małgosia, dzieci i ja ponownie mamy szansę być szczęśliwi.*

*Rozpuszczalnik był gęsty i wysokiej jakości. Nie żałowałem go na oblanie nim zwłok ani tej pięknej stebnowanej tapicerki, którą wcześniej podziwiałem. Z satysfakcją patrzyłem, jak smolista ciecz wsiąka w dywaniki i skrapla się na chromowaniach, którymi wykończono wóz. Wreszcie napełniłem butelkę, zatkałem ją naszą kuchenną ścierką i postawiłem między siedzeniami.*

*Po namyśle przeniosłem zwłoki tego gnoja z powrotem za kierownicę. Jego rzeczy zapakowałem do drogiej torby stojącej za siedzeniem. Kiedy zobaczyłem w niej całkiem nową siódemkę loewe o maksymalnej pojemności, nie mogłem się powstrzymać i ją zabrałem. Patrzyłem na swoje dzieło, życząc kochankowi swojej żony, by trafił prosto w otchłań piekła, a potem wyciągnąłem z kieszeni zippo i kupione na stacji papierosy.*

*Nie paliłem od dziesięciu lat, dokładnie tyle, ile trwało nasze małżeństwo z Gosią. Na poprawinach po weselu obiecałem, że zerwę z nałogiem, i słowa dotrzymałem. Tylko w pracy popalałem iqosy, ale nigdy nie przynosiłem urządzenia do domu. Teraz z lubością zaciągałem się cienkim davidoffem. Gdy dotarłem do filtra, rzuciłem niedopałek na siedzenie. Podpaliłem szmatę, trzasnąłem drzwiami i pobiegłem ile sił w nogach do rzeki.*

*Wcześniej w krzakach zostawiłem reklamówkę z rzeczami na zmianę. Teraz chwyciłem ją i zacząłem się przebierać. Wkładałem właśnie czystą koszulę i zapinałem pasek od spodni, gdy ciszę przeciął potężny huk. Potem usłyszałem serię kolejnych wystrzałów, którym towarzyszył odgłos tłuczonego szkła. Wiedziałem, że powinienem wiać, ale ciekawość była silniejsza.*

*Wróciłem i patrzyłem, jak nowiutkie G mojego rywala płonie, a on sam węgli się na tym stosie, jak na to zasłużył.*

*Odszedłem spokojnym krokiem do drogi, gdzie zostawiłem passata. Wrzuciłem kanistry i brudne ciuchy do bagażnika. Ostrożnie włączyłem się do ruchu. Pogoda była iście nostalgiczna. Startowała polska złota jesień, a ja od lat nie byłem taki szczęśliwy.*

# Rozdział 1
# SPIS CUDZOŁOŻNIC

**22 października (sobota)**
**WARSZAWA, POWIŚLE**

Huberta Meyera wyrwał ze snu *November Rain* Guns N’ Roses. Zanim przesunął zieloną słuchawkę, założył okulary i spojrzał na czas. Była czwarta trzydzieści trzy. Sekundę potem wpadła wiadomość. Otworzył ją i odczytał współrzędne: 18°44’9.89’’E.

– Meyer – rzucił do słuchawki, a potem się rozkaszlał.

Od dwóch tygodni nie mógł zwalczyć infekcji. W kółko zdrowiał i znów się przeziębiał. Objawy uporczywie wracały. Podkomisarz Agnieszka Olton, szefowa Wydziału Wsparcia Dochodzeń, widząc, co się z nim dzieje, zmusiła go, by poszedł do lekarza. Stwierdzono zmiany po przejściu nieleczonego zapalenia płuc, do tego poważną infekcję gardła i krtani, i kazano profilerowi leżeć. Tym sposobem pierwszy raz od lat Hubert znalazł się na L4.

– Sorry, szefie, wiem, że jesteś chory, ale potrzebujemy konsultacji. Dam ci wicekomendanta z Łomianek. Tylko znajdę go w tych chaszczach. Ciemno jak za przeproszeniem w dupie.

– Szczecinek? – zdziwił się Meyer. – Od kiedy to kolaborujesz z podmiejskimi komisariatami? Z tego, co widziałem w grafiku, powinieneś być na urlopie. Walczysz o medal z ziemniaka czy, co gorsza, premię? Obawiam się, że za nadgorliwość takich w WWD nie przyznajemy.

– Wynajmuję w okolicy poddasze, a z Bogusiem Walskim chodzimy razem na piłkę. Zadzwonił, że mają zdarzenie i potrzebują pomocy. Nie miałem serca odmówić. O, jest! – krzyknął. – Boguś, mam Huberta na linii! Podejdziesz czy ja mam tam leźć? Grząsko!

Meyer słyszał chrobotanie i szmery. Ktoś przysłonił dłonią słuchawkę, ale profiler wyraźnie słyszał rozmowę Szczecinka z kolegą, a raczej monolog pełen pocieszających słów, przedstawiający psychologa jako cudotwórcę. To się Hubertowi nie spodobało. Przytrzymał w ustach wiązankę bluzgów, by protegowany zapamiętał raz na zawsze, że za lizusostwo w WWD jest jedna kara: ostracyzm. Ale nagle przestał cokolwiek słyszeć. Ktoś wyciszył całkiem dźwięk. Profiler usiadł wygodniej, poszukał w szufladzie szafki nocnej papierosa i z trudem hamując kaszel, zapalił.

– Inspektorze? – Głos policjanta był drżący, zalękniony. Odchrząknął. Przedstawił się. – Podkomisarz Bogusław Walski, komisariat w Łomiankach. Mamy tu spalony wóz. Mercedes klasy G, dokładnie AMG sześćdziesiąt trzy, przez zazdrośników, których nigdy nie będzie na niego stać, zwany rolnikiem. Strażacy dopiero uporali się z ogniem i zaczęli dogaszanie lasu. Ciało jest częściowo zwęglone, ale podejrzewamy, kto znajdował się w środku. Rzecz w tym, że na tego gościa czaiło się kilku notowanych w naszej bazie, a on sam nie dalej jak wczoraj złożył wniosek o ściganie. To Portugalczyk z polskimi korzeniami. Od lat siedzi w kraju, na stołku prezesa w branży deweloperskiej, a ostatnio i energetycznej. Nie chciał brać łapówek, więc zaczęli go nękać. Miał konflikt z tutejszym watażką, niejakim Marcinem Demianiukiem. Oficjalnie gość mieni się specem od finansów i ubezpieczeń. Ma nawet firemkę założoną dla picu. Nie bardzo chciałbym mówić o tym przez telefon. – Urwał. – Ten Marcin to pokłosie żoliborskiego półświatka. Jego ojca wołali Drinu. Możesz go znać z akt spraw o przestępczości zorganizowanej. Większość jego żołnierzy mieszkała i wciąż mieszka w Łomiankach.

– To bezpieczna linia – uspokoił policjanta psycholog, co w jakimś stopniu było prawdą. Rzecz w tym, że wszystkie rozmowy były rejestrowane, więc należało zważać na każde słowo, bo w razie draki będzie dowodem w sądzie. – Jest szansa na zrobienie kwita dla WWD czy chcesz, żebym przyjechał wpierw nieoficjalnie?

– Byłoby klawo – padło w odpowiedzi po dłuższej pauzie. – Szczecinek mówi, że jesteś ciężko chory. Masz leżeć. Nie sądziłem, że zechcesz się ruszać… Może po robocie my do ciebie przyjedziemy? Pogadamy na osobności, a jest co opowiadać! Tylko nie wiem, kiedy by to było, bo przez ten pożar lasu dopiero zaczynamy.

– Oględziny jeszcze nie zakończone? – upewnił się Hubert. – Więc Szczecinek niech się nie bawi w ciotunię, tylko bierze do roboty! Musisz wiedzieć, że to jeden z moich najlepszych ludzi. Nie zwracaj uwagi na stopień i wiek, ale trzymaj krótko. Łatwo się rozbisurmania.

– On mówi, że ty jesteś najlepszy – wszedł mu w słowo policjant i umilkł zrezygnowany. Kiedy wznowił wątek, mówił już stanowczo i z wyraźną nutą złości. – Poszkodowany i na mnie złożył doniesienie. Zarzucił mi zaniedbania oraz korupcję. Sprawa w tym tygodniu miała być rozpatrywana u góry.

– Czyli masz ogień pod tyłkiem?

– Można to tak określić – zgodził się z Meyerem Walski. – Pokryję wszystkie koszty. Jestem w stanie zapłacić za wasz czas – dorzucił na jednym oddechu.

– Łapówek nie biorę i nie waż się płacić Szczecinkowi – przerwał mu rozeźlony Meyer. – Nie chodzi zresztą o forsę. Żeby brać udział w śledztwie, powinniśmy mieć oficjalny papier. Jeśli obiecasz załatwić go jutro, pojutrze, za tydzień albo kiedykolwiek, wsiadam w samochód i jestem nad Wisłą. Oględziny rzecz niepowtarzalna. Nie wszystko, co ty zauważysz, będzie istotne dla nas, i odwrotnie. Ślady behawioralne to bezcenna, ale ulotna wiedza. Trzeba umieć czytać miejsce zdarzenia pod tym kątem. Mnóstwo spraw pada

w sądzie, bo na oględzinach popełniono kardynalne błędy. Nie myślano o motywie.

– Aha, jasne, zgadzam się dokumentnie. Motyw, wiadomo – dukał Walski. – Ale z datą wsteczną? Wątpię, czy mi się to uda. – Komendant przestraszył się nie na żarty. – Jeśli mam być szczery, w ogóle nie mam pewności, czy dostanę zgodę na wasz udział. Oczywiście macie już renomę, ale rzecz jest zasadniczo lokalna… Nie pytaj dlaczego. Nie przez telefon.

Meyer myślał szybko. Czuł, że sprawa jest śmierdząca. Miał ochotę odłożyć słuchawkę i walnąć się z powrotem do łóżka, był jednak zaintrygowany. O dziwo, z tego stresu na krótką chwilę przestał kaszleć. Upił łyk zimnej herbaty z miodem, którą wieczorem postawił przy łóżku, i pociągnął Walskiego za język.

– Wcale nie chcesz, żeby góra wiedziała o naszej roli w dochodzeniu?

– Tak byłoby najlepiej – przyznał komendant. – Ale za jakiś czas obiecuję, że zrobię wszystko, żeby namówić prokuratora na wysłanie odpowiedniego kwita. Z tym że to może trochę potrwać.

– Kto nadzoruje?

Walski podał nazwisko prokuratora.

– Znasz? – spytał z nadzieją w głosie.

– Niestety tak – odparł Meyer. – Prymusek jest wielce lojalny wobec szefów rządzącej partii. Jeśli miałbym się stawić, nie ma opcji na wizytę incognito. Uważaj na niego i przekaż Szczecinkowi, że Prymusek donosi. Raz w tygodniu bywa u nas na herbatce u sekretarza ministra. Dlatego tak szybko awansuje – podkreślił i urwał.

– Szkoda. – Walski się poddał. – Może jak w poniedziałek będą dokumenty z oględzin, zajrzycie do nich nieoficjalnie?

– Jasne – zgodził się Hubert. – Kim jest poszkodowany?

– Co? – Głos brzmiał, jakby Walski znajdował się pod wodą.

W oddali słychać było jakieś krzyki.

– Mówiłeś, że chociaż ciało jest spalone, wiesz, kim jest prezes, który zadarł z lokalnym watażką? – powtórzył profiler.

– Obstawiamy, że to Rui Coelho Tavares de Souza. Główny szef konsorcjum deweloperskiego ATRIUM Michel Angelo de Souza. Możesz go z łatwością zguglować, bo to syn samego bossa z Lizbony. Stary Pedro de Souza wysłał na rubieże wschodnie Ruiego, swojego syna, niczym Bóg Jezusa. Kiedy posadzili go na stołku szefa ATRIUM, miał ledwie dwadzieścia pięć lat, ale chłopak się sprawił. To było trzydzieści lat temu. W tym czasie klan de Souzów zbudował w naszym kraju wiele budynków. Prężnie działają w Czechach, na Słowacji, Litwie, Łotwie i na Węgrzech. Wszystkie te krainy znajdowały się pod jurysdykcją Ruiego, którego podejrzewamy, że zwęglił się w mercedesie. Taka sytuacja.

Hubert przeklął szpetnie.

– Czyli masz w krzakach bombę z opóźnionym zapłonem?

– Elegancko to ująłeś – potwierdził Walski. – Poszkodowany był prawdziwym rekinem biznesu. De Souzowie zajmują się także rewitalizacją fabryk, budują w nich lofty, a teraz z powodzeniem działają w branży energetycznej. Głównie wiatraki. Same duże deale. Spalone auto jest na jego firmę, a młody Drinu od lat właził mu w tyłek, żeby zostać jego wspólnikiem. Ponoć podarował Portugalczykowi sto baniek bez kwita.

– Skąd to wiesz? – zdziwił się profiler.

– Z pism, które Portugalczyk rozsyłał gdzie się dało. Łapówkę nazywa pożyczką bezzwrotną, której Demianiuk miał udzielić dobrowolnie i bezterminowo na poczet projektu wiatraków. Te zawiadomienia to przykrywka do kłótni. Sprawa dla sądu cywilnego, nie dla nas. W tych doniesieniach były groźby spalenia auta i domu, szlachtowania dzieci, bo Rui Coelho Tavares de Souza ma córkę. Żona jest Polką.

Oczywiście Drinu wszystkiemu zaprzecza. Nawet się nie zająknął, że kiedykolwiek żądał zwrotu.

– Skoro mają otwarty konflikt, ten Drinu popełniłby wielki błąd, zabijając konkurenta – przerwał mu Hubert. – Automatycznie staje się pierwszym podejrzanym. Spalenie wozu nie załatwia sprawy. Przy dzisiejszej technice zdobędziemy dowody. To nie ma sensu!

Po drugiej stronie bardzo długo panowała cisza. Hubert odsunął słuchawkę od ucha, obawiając się, że połączenie zerwano, ale Walski tylko włączył wyciszenie, bo zaraz znów oddychał chrapliwie do aparatu.

– Na mieście mówi się, że tak naprawdę poszło im o babę – wyznał półgłosem. – Rui Coelho Tavares de Souza rok temu uwiódł Drinowi żonę. Tylko z tej przyczyny Demianiuk zażądał szybkiego oddania forsy. Ten przelew poszedł. Są wyciągi bankowe.

– Puścił łapówkę przelewem? – Meyer nie dowierzał. – Coś ty kręcisz?!

– Mówię ci tylko to, co mnie powiedziano – bronił się Walski. – Portugalczyk faktycznie dostał te sto baniek na spółkę z wiatrakami. Czy była to inwestycja, pożyczka, łapówka, czy coś innego, ganiał to pies, bo te pieniądze są na koncie Portugalczyka i Rui ich już raczej nie podejmie. Chociaż oczywiście zanim opublikujemy te dane w mediach, zrobimy pełną analizę zębów, kości, a jak trzeba będzie, to i badania DNA. Tak między nami mówiąc, tyle mam właśnie czasu dla ciebie, zanim będę zmuszony rzecz ujawnić…

– I uważasz, że dlatego ten Drinu go spalił? – powtórzył Meyer z powątpiewaniem. – Przez niewierną żonę?

– To jego druga żona. Demianiuk wymienił poprzednią na nowszy model i jest o swoją Kasię wielce zazdrosny. Kobitka jest młoda, ładna. Pisze jakieś piosenki. Brała udział w jednym z tych programów wokalnych z gotowaniem, bo tak poza tym to pierwszorzędna z niej kucharka. Poległa na suflecie z bachatą i odpadła dopiero w finale. Uwierz mi, jest się o co

bić! A my wszyscy w Łomiankach dobrze tutaj Drina znamy. On mógł to zrobić dla swojej panienki!

– Jaki biznesmen ryzykowałby wszystko, co zbudował, dla baby?

– Nie dla baby – parsknął Walski. – Dla honoru. Pewnie tego nie wiesz, ale Marcin Demianiuk to kuzyn Szymka z Łomianek. Tego samego, który popełnił samobójstwo z czarnoprochowej broni kilka lat temu. Palenie aut z ciałami to metody dawnego gangu żoliborskiego. Trzęśli kiedyś Wolumenem.

– Więc uważasz, że to porachunki? Powtórka z lat dziewięćdziesiątych?

– Tego się boję – wyszeptał Walski. – A w kieszeni Drina siedzi głęboko moje szefostwo. Tej sprawie ukręcą łeb, a ja będę kozłem ofiarnym, bo przyjmowałem ich kwity i nic nie zrobiłem. Szkoda mi było czasu chłopaków na prywatną wojenkę dwóch watażków przy kasie. No cóż, skoro nie możesz mi pomóc, działam normalnym trybem. Miło było cię poznać. Nie mam żalu, wiem, żeś chory. Oddaję Szczecinka.

W tej chwili Hubert pojął, dlaczego drugi komendant tak się trzęsie ze strachu, a nawet gotów jest dawać łapówki. Na włosku wisiała jego kariera w policji, ale chodziło też o życie jego rodziny. Nie mógł pozwolić, by na tej linii zarejestrowało się choć jedno słowo więcej.

– Czekaj – rzucił niby od niechcenia. – Mam współrzędne, sam mogę sprawdzić, ale skoro jesteś na miejscu, będzie szybciej. Nie bardzo powinienem marznąć w tym stanie, więc muszę podjechać do was jak najbliżej. Czy teren jest podmokły?

– Czym jeździsz? – Walski z trudem maskował ekscytację.

Hubert podał model swojego audi.

– Tronem tu nie dojedziesz – orzekł komendant. – Terenówki ledwie dają radę. Zadzwoń, przejmiemy cię z drogi albo jeszcze lepiej wyślę po ciebie radiowóz. Zaraz Szczecinek przekaże ci do mnie prywatną komórkę.

Umożliwię ci wejście, choćby prokurator miał na mnie naskarżyć. Położę własną głowę…

– Starczy! Nie znoszę mieć długów – przerwał mu Meyer, wyskakując z łóżka. – Za dziesięć minut ruszam. Ani słowa Prymuskowi, zrobię mu niespodziankę. Bywa mniej upierdliwy, gdy udasz potulnego i obiecasz pełną współpracę. Tylko Szczecinek niech mu nie włazi w oczy. Ma niewyparzoną gębę i wciąż ambicja przerasta pokorę. Resztę ludzi trzymaj do końca. Strażaków, techników i medyka chcę mieć na miejscu. Załatw też kontakt do rodziny poszkodowanego. Razem odwiedzimy wdowę Coelho Tavares de Souza i dowiemy się, dlaczego nie zgłosiła jego zaginięcia.

– Już z nią rozmawiałem – odparł z ociąganiem Walski. – Siedzimy tutaj od północy. Nie chciałem marnować czasu. Jej zachowanie było dziwne.

– Tak? – zainteresował się Hubert.

– Nie płakała, nie rozpaczała. Powiedziała, żebym zgłosił się o normalnej porze, czyli po dziesiątej, bo zwyczajowo sypia do tej godziny. Wcale się nie zdziwiła, że Rui zginął. Miałem wrażenie, jakby jej ulżyło. Zanim odłożyła słuchawkę, obiecała przygotować listę jego kochanek. Twierdzi, że któryś z ich partnerów jest poszukiwanym przez nas sprawcą i jej zdaniem zagadka rozwiązana. Nie wierzy w porachunki z Drinem, chociaż jego młoda żonka widnieje na tej liście gdzieś w połowie.

– Może powinieneś zatrudnić wdowę po de Souzie u siebie w jednostce? – zażartował Meyer, ale Walski się nie roześmiał.

– Przypomnij mi, żebym pokazał ci tę listę – odrzekł z powagą. – Szczecinek zaczął przekopywać media społecznościowe, a rano wzywam naszą najzdolniejszą analityczkę, Pańcię, niech pracują razem. Będziemy mieli dossier każdej z tych niewiast. Ale wiesz, część już do mnie spłynęła. Powiem ci, że jest na co popatrzeć. Cokolwiek by powiedzieć o Ruim, miał gust do aut i kobiet. Tam jest więcej niż pięćdziesiąt nazwisk! Gość był seksoholikiem albo prosił się o śmierć.

* * *

## OKOLICE ŁOMIANEK, NAD WISŁĄ

Meyera przejął z drogi uzbrojony po zęby funkcjonariusz. Kalosze chlupotały po grząskim podłożu, kiedy poprowadził go w gąszcz aż do samej rzeki. Słońce wciąż jeszcze nie wstało. Widoczność była żadna. Hubert, okutany w dwa szaliki i w wełnianej czapce na głowie, przyświecał sobie latarką, a nasilający się swąd spalenizny upewniał go, że idą we właściwym kierunku.

Przedarli się przez zarośla, a potem jeszcze spory kawał maszerowali przez błota, aż wreszcie Hubert zobaczył pogorzelisko, wokół którego uwijała się grupa policjantów w cywilu. Dostrzegł tylko kilku mundurowych. Zajmowali się głównie rozciąganiem czerwono-białych taśm. Po co, nie pojmował. O tej godzinie nikt niepowołany nie zapuszcza się w takie miejsca bez potrzeby. Nic dziwnego, że żaden z wędkarzy ani spacerowiczów nie zauważył płonącego auta. Gdyby nie zajął się las, ciała nie znaleziono by bardzo długo. Może nigdy.

Zgliszcza samochodu otaczał kordon pracujących techników. Zwłoki przekładano akurat do czarnego worka.

– Musieliśmy poczekać, aż blachy przestygną. – Obok Huberta stanął wielki jak dąb wicekomendant w czapce uszance. Ściągnął z dłoni rękawicę narciarską i przywitał się z Meyerem żołnierskim uściskiem.

Hubert w odpowiedzi zachłysnął się kaszlem.

– Mam poczucie winy. Z tobą naprawdę kiepsko – rzucił współczująco Walski.

– Od kataru się nie umiera – wyburczał Hubert. – Węch mnie jeszcze nie zawodzi, a łeb wreszcie przestał nachrzaniać. Rozejrzę się, a jutro odpocznę.

– Jutro jest już dziś – zauważył komendant i urwał.

Hubert zeskanował spojrzeniem załogę Walskiego.

– Gdzie mój człowiek?

– Odholował Prymuska do biura. Szkoda, że nie widziałeś, jak go podszedł. – Zaśmiał się. – Prokurator Kulik sam zaproponował twojemu chłopakowi kawkę w urzędzie.

– Zuch dzieciak – podsumował Hubert. – Ale kwity podpisał?

– Jasna sprawa. Inaczej byśmy go nie puścili. – Walski rozpostarł rozłożyste ramiona. – Droga wolna. Pytaj, działaj, obserwuj, zaglądaj. I pomóż nam przyskrzynić młodego Drina – zakończył, szczerząc wszystkie zęby.

Hubert nie odpowiedział. Zarejestrował, że wicekomendant trwa przy stanowisku, że to rogacz Demianiuk jest sprawcą mordu. Uznał jednak, że nie czas na dyskusje. Ruszył w kierunku młodego medyka sądowego, który na szybko notował pierwsze wrażenia.

– Doktor Boziłow ma wolne? – zagaił, wydmuchując głośno nos.

– Ściągają go z wakacji. Żona zabrała go z okazji rocznicy ślubu do Dubaju – odparł młody z dumą, jakby osobiście uczestniczył w tym małżeńskim spisku. – Samo znalezienie lotu potrwa dzień albo i dwa, bo jakiś ważniak musi klepnąć ponadprogramowe koszty. Przed poniedziałkiem szef się nie pojawi.

Profiler nie zareagował, a lekarz wgapiał się w Meyera coraz podejrzliwiej.

– Dobrze się pan czuje?

– Jestem Hubert i nie mam covida – warknął. Nie zadał sobie trudu, by się dalej przedstawiać. – Skoro tak, ty musisz mi wystarczyć. Na początek kilka prostych pytań. Zanim jednak zacznę, możesz mi to streścić?

Medyk spojrzał błagalnie na Walskiego, ale wicekomendant tylko nieznacznie skinął głową, po czym błyskiem oddalił się w przeciwnym kierunku, do ludzi, którzy cięli i odciągali blachy spalonego mercedesa.

– Ciało mężczyzny – zaczął niepewnie, jakby znalazł się na egzaminie. – Miejscami całkowicie zwęglone. Ale mamy farta. Ze względu na ułożenie górnej części tułowia i głowy identyfikacja będzie możliwa.

Meyer ukląkł, wciągnął rękawiczkę na dłoń, odpiął zamek worka.

– Ten płaszcz ty mu założyłeś na głowę?

– Nie, tak go znaleźliśmy – bronił się słabo medyk. Cofnął się, jakby chciał zwiać.

– Spokojnie, tylko się upewniam – rzekł łagodniej Hubert. Zapatrzył się na las. – Więc miał tę szmatę na twarzy, kiedy płonął?

– Przypuszczam, że dzięki temu facjata jako tako ocalała – wyburczał młodzieniec.

– Sam płaszcz się nie stopił – zauważył Meyer. – Jesteś przekonany, że nie położono go później?

Lekarz spojrzał na Huberta, jakby ten spadł z choinki.

– To nie leży w moich kompetencjach. Ustalam jedynie stan faktyczny.

– Racja – zgodził się z nim profiler. – Zapomniałem, że nie jesteś Boziłowem. Lubisz w ogóle swoją pracę?

Młody doktor nie zaszczycił Huberta odpowiedzią. Zamiast tego odwrócił głowę, manifestując swoje oburzenie.

Meyer wcale się tym nie przejął. Pochylił się nad ciałem, pociągnął nosem jak pies.

– Ropa czy rozpuszczalnik?

– W tamtych krzakach technicy zabezpieczyli kanistry. Za kilka godzin będziemy wiedzieli na sto procent.

– Za tydzień, chłopcze – skarcił go. – Ekspertyza użytego płynu będzie za tydzień albo i później. To zależy od wejść twojego szefa. Co ty sądzisz na podstawie tej spalenizny?

– Co ja sądzę? – powtórzył medyk i zamilkł.

– Rozpuszczalnik – orzekł Meyer. – Ale czuję też benzynę. Ciekawe… Bak był uszkodzony czy rozpękł się od eksplozji? Ewidentnie czuję w powietrzu opary benzyny – powtórzył.

– A bo ja wiem? – Młodzieniec wzruszył ramionami. Nie był już wcale skory do współpracy. Wyglądał, jakby przysłano go za karę i chciał jak najszybciej stąd odejść. – Dużo jeszcze tych pytań? Odciąga mnie pan od pracy. Gadaj z tamtymi. – Skierował wzrok na techników.

Hubert zapatrzył się na resztki pogiętej stali, która kiedyś była luksusowym samochodem, a potem, nie zważając na niechęć młodego medyka, zaczął monolog. Chłopak, chociaż Meyer na niego nie patrzył i niczego od niego nie oczekiwał, stał teraz w miejscu. Nie odchodził.

– Oblał nim wnętrze i spowodował wybuch. Sporo ryzykował, bo eksplozja była taka, że aż szyby wywaliło. – Wskazał drobiny tłuczonego szkła w błotnistej brei, a stali kilka metrów od miejsca wybuchu. – Na którym siedzeniu zabezpieczyliście ciało?

– Za kierownicą.

– W tej pozycji?

– Leżał bezwładnie na plecach, głowa opuszczona, przykryta tym płaszczem. To pewnie przez temperaturę. Może gość chował się od dymu?

– Gdyby spalono go żywcem, ciało skurczyłoby się do pozycji embrionalnej i znacznie zmniejszyło – wszedł mu w słowo profiler.

– Jest zmniejszone – bronił się młody.

Meyer wrócił i rozsunął worek. Pokazał miejsce na brzuchu ofiary.

– Tu dostał. Kilka razy. Niektórzy sprawcy uważają, że ogień niszczy wszelkie ślady. To mit. Tym sposobem powiedział nam o sobie więcej, niż gdyby nie użył koktajlu Mołotowa.

– Skąd pan wie o koktajlu? – wymamrotał zszokowany medyk.

– Hubert jestem – powtórzył psycholog. Dotknął zgrubień węgla na zwłokach. – Mamy do czynienia ze zbrodnią pierwszego stopnia, ale spalenia nie dokonał zawodowiec. To była osobista wendeta, działanie pod wpływem wielkich emocji. Sprawca odesłał tego gościa do piekła i założę się, że poczekał, aż auto się zhajcuje, zanim uciekł. W tym lesie i na tym grzęzawisku są jego ślady. – Hubert przyglądał się chwilę sarnim oczom młodego doktora. – Na którą oceniasz zgon ofiary?

– Auto musiało płonąć kilka godzin, skoro las się zajął. Z trudem się tutaj przedostaliśmy, a byliśmy wszyscy około północy i trzeba było czekać na strażaków. Gehenna.

– Nie pytam o czas zgłoszenia. Pytam o to, kiedy twoim zdaniem doszło do bójki między nimi.

– Nie mam pojęcia. Może po rozłożeniu go na części doktor Boziłow będzie w stanie to określić?

Hubert już nie słuchał. Odszedł raźno do techników.

– Komputer się spalił – zaczął. – Kluczyk był w stacyjce?

– Nie w stacyjce. W torbie denata, razem z komputerem i dokumentami. Stopiły się w jedną bryłę, ale klucz włożono do specjalnie perforowanej kieszeni.

– Ciekawe – mruknął Hubert. – Nie wiedziałem, że robią takie torby.

– Gucci robi. Ich nakładka antyogniowa rekomendowana przez Mercedesa kosztuje siedem tysi. Logotyp zachował się w całej okazałości. Przyznaję, to zadziwiające. Pierwszy raz widzę coś takiego.

Jeden z funkcjonariuszy podał mu niedużą kostkę, do złudzenia przypominającą starożytne telefony komórkowe z epoki przed smartfonami.

– Dziadek Benz byłby z siebie dumny – orzekł Hubert i wnikliwie obejrzał urządzenie. – Dacie radę coś z tego

wyłuskać?

Ten technik, chociaż młody, był fachurą.

– Jeśli coś z jego procesorów się ostało, będziemy wiedzieli wszystko: gdzie ostatni raz się logował, parkował, ile przejechał i w jakim trybie. Sport, comfort, a może eko?

– Ile paliwa było w baku?

– Dopiero to ustalamy. – Facet był ostrożny.

Hubert lubił takich ekspertów, chociaż wkurzali go na miejscu zdarzenia. Ciężko było z nich cokolwiek wydobyć. Jak ognia bali się interpretacji, a tego potrzebował Meyer. Na cito.

– Mogło być tak, że podczas pierwszej eksplozji bak został uszkodzony, benzyna się wylała i dlatego to podłoże zajęło się ogniem. Płomienie szybko przeniosły się na wysuszone o tej porze roku chaszcze, a dalej to już efekt domina.

– A może ktoś postarał się, żeby wybuch wyglądał jak na filmie? – zaproponował Hubert.

– Nie sądzę – orzekł niepewnie technik. – Ale kto wie? Sprawdzimy to.

Profiler zmarszczył brwi. Rozwinął jeden z szalików. Nagle zrobiło mu się gorąco, jakby wzięły go duszności.

– Chcesz powiedzieć, że parę kanistrów benzyny dało radę z tym bagnem?

Kryminalistyk wzruszył ramionami.

– Jak niby miałoby dojść do tego podpalenia lasu?

Hubert mełł w ustach słowa, zanim je wypowiedział.

– Ponoć tam znaleziono kanister – zauważył. Wskazał przeciwny kierunek do tego, gdzie znajdowało się źródło ognia. – Był pusty.

– To prawda – potwierdził technik. – I nie jeden, a pięć. Razem byłoby tego paliwa do hajcowania ze sto litrów.

– W samym lasku nic nie zabezpieczyliście?

– Jeszcze nic. Poza zwierzyną i bezdomnymi psami nikt tam raczej nie buszował. I to od dawna.

– Interesujące – powtórzył Meyer. – A ślady traseologiczne od miejsca zdarzenia aż do zagajnika, w którym były kanistry?

– Nic, zero.

– Więc jak on się tam przedostał? Na tym błocie macie raj, jeśli chodzi o odbitki. – Wskazał swoje kalosze, a potem podreptał w podłożu i postąpił krok. Ślady były tak wyraźne jak z kreskówki. – Co, teleportował się?

Technik zagryzał wargi, wreszcie wyciągnął z kieszeni papierosy. Poczęstował Huberta.

– Mamy jeden ślad, ale na moje oko bezużyteczny – zaczął.

Sięgnął do komórki, wyświetlił obrazek. A potem wyciągnął rękę i palcem wskazał auto.

– Podeszwa płaska jak pupcia niemowlaka. But nówka sztuka. Jedyny ślad indywidualny to takie małe kółeczko, widzisz?

– Co to może być?

– Nie mam pojęcia – przyznał technik. – No i nie ma drugiej stopy!

– Dlaczego? O czym to może świadczyć?

– Tak sobie myślę, czy ten klient nie odbił go dla nas specjalnie. A potem podrzuci czyjś but i będziemy w ślepym zaułku.

– Będą z ciebie ludzie, młody – pochwalił go Hubert. – Musiał chyba jednak stanąć całą nogą? Jak uważasz? Inaczej nie miałbyś pełnej odbitki…

Technik się uśmiechnął.

– Widzisz to kółeczko? Starczy, że nadział but na kij, jakiś pałąk, odbił, dokładnie sprawdzając, czy ślad jest wyraźny, a potem zabrał bezpiecznie ten rodzaj protezy. Gość naoglądał się programów o niewyjaśnionych zbrodniach. W jednym

amerykańskim serialu pokazywali ten myk jako lewe sanki. Amerykanie przez ten ślepy trop nigdy sprawy nie wykryli. Ostatnio przerabialiśmy ten case na szkoleniu.

– I dlatego nie odbił w ten sposób dwóch? – nie dowierzał Meyer.

– W tym filmie mówili, że sprawca uznał, jakoby trudno byłoby mu oddać sposób chodzenia człowieka, ale może po prostu się śpieszył? – podsunął technik.

– Nie – zaprzeczył Hubert. – On się nie śpieszył. Wie, że tu nikt nie bywa o tej porze roku. Był pewien, że nie zostanie nakryty, bo w tej odległości od rzeki nikt nie usłyszy hałasu. Inaczej nie wysadzałby auta mołotowem. Zdaje mu się, że wszystko przygotował, ale nie przemyślał tego dokładnie. Ta zbrodnia odbyła się spontanicznie. Musiał być jakiś zapalnik, dlatego ten facet zginął. Kłótnia, scysja, odkrycie jakiejś tajemnicy…

Podszedł Walski.

– Masz już coś dla mnie? – zagaił.

Zgromił spojrzeniem policjanta, który pomagał Hubertowi, więc młody technik natychmiast schował papierosa i wrócił do pracy.

– A może wiesz, kim jest poszukiwany?

Hubert nie odpowiedział. Uparcie wpatrywał się w błoto pod stopami. Pluskał kaloszami, a potem kucnął, zdjął rękawice i nabrał trochę brei do rąk. Powąchał.

– Kiedy ostatnio w Warszawie padał deszcz, pamiętasz? – Wyświetlił w telefonie jakiś skomplikowany wykres. – Tak jak myślałem. – Podsunął go Walskiemu pod nos. – Porządnej ulewy nie było od dwóch tygodni. I nie będzie przez najbliższy tydzień. Może w niedzielę coś skapnie z nieba. Może…

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się komendant. – Jesteśmy nad Wisłą, tu zawsze jest bagno.

Meyer nie odpowiedział. Przyglądał się ekipie techników. Liczył funkcjonariuszy zabezpieczających teren, ludzi w mundurach, którzy z nudów palili papierosy. Podniósł się.

– Ewakuuj wszystkich – wyszeptał. A kiedy Walski nie zareagował, ryknął: – Migiem zbieraj stąd swoją brygadę! I niech nikt nie waży się rzucić zapalonego peta!

– Oszalałeś? Co ty odstawiasz? – Walski zaniepokoił się nie na żarty.

Hubert skierował palec do ziemi i mówił ciszej, lecz coraz dobitniej:

– Teren zalano benzyną! To pułapka!

W tym momencie w oddali posłyszeli krzyki, a strażacy odpoczywający przy swoim samochodzie ruszyli w tamtym kierunku. Miejsce, w którym przed chwilą odbyły się oględziny, płonęło. Głównym źródłem ognia był młody medyk, który biegał jak oszalały, starając się uwolnić od ognistych spodni, ale tym działaniem tylko wzmagał żar. Ktoś przytomny przykrył go płachtą przeciwpożarową i zaraz kilku strażaków rzuciło się, by go odtransportować do karetki. Kiedy tylko nastąpili na podłoże, po którym poruszał się młody patolog, ziemia znów zajęła się ogniem.

– Ewakuować ludzi! Ratujcie sprzęt! – krzyknął Walski. – Zasadzka! Wchodzą tylko specjalsi!

* * *

*Przyniosła mi własnoręcznie upieczony keks, a ja z zachwytem patrzyłem na jej porcelanową, prawdziwie piękną twarz bez śladu makijażu i zastanawiałem się, jak to możliwe, że mój anioł jest zdolny do takich niegodziwości.*

*Gdybym wczoraj nie poznał jej kochanka, gdybym go jej nie zabił, nadal tkwiłbym w iluzji, że żona mnie kocha. Całe moje życie zbudowane było na tej durnej wierze w nią. W moją żonę.*

*Wcześniej podała mi trzydaniowy obiad i uprzedziła, że wyjdzie po południu na zakupy, a potem spotkać się*

*z koleżanką. Wymieniła jakieś imię i zastrzegła, że nie znam tej kobiety. Dodała, że może odstawi wcześniej samochód, bo planują skoczyć na drinka, więc wróci późno. Niewykluczone, że lekko wstawiona. Uśmiechnąłem się pobłażliwie. Zaproponowałem, że po nią przyjadę, ale odmówiła pod pretekstem, że to przecież damskie spotkanie… Zgodziłem się, bo wiedziałem, że ta koleżanka naprawdę nazywa się Rui Coelho Tavares de Souza i z pewnością nie dotrze na randkę. Ciekaw byłem, co ona zrobi, kiedy kochaś się nie pojawi. Co sobie pomyśli? Czy będzie cierpiała? Wiedziałem, gdzie się umówili, i zamierzałem to zobaczyć na własne oczy. Czy się wkurzy, rozpłacze, zadzwoni do niego? Nie, do tego nie mogłem dopuścić, więc kiedy poszła się ubierać, wyjąłem jej komórkę z torebki i włożyłem tam swoją.*

*Wyszła z garderoby niby wcale nie wystrojona. Ot, markowe dżinsy, perłowa bluzeczka z jedwabiu i mokasyny Saint Laurent z dyskretnym logo na klamerkach. Wiedziałem, ile to wszystko kosztuje, sam za te rzeczy płaciłem. Podeszła, kiedy siedziałem przed telewizorem, sącząc brzoskwiniową ice tea w szklance do whisky, by pomyślała, że nie zamierzam już dzisiaj prowadzić. Zmusiła się do uśmiechu i nachyliła, żeby mnie cmoknąć w policzek. Poczułem woń nowych perfum, które pojawiły się na jej toaletce zupełnie niedawno. Nie znalazłem za nie płatności na naszych kartach. Nagle po plecach przebiegł mi dreszcz. Gdzie ja zostawiłem butelkę loewe, którą zabrałem z miejsca zbrodni jako trofeum? Pamiętałem, że chowałem ją do kieszeni, ale co się z nią stało potem? Czyżbym ją zgubił w lesie, kiedy się przebierałem? Nie, to niemożliwe! Był to duży, studwudziestopięciomililitrowy flakon. Musi gdzieś być! Odsunąłem tę myśl, chociaż drażniła mnie niepewność. Pocieszyłem się, że na pewno leży razem ze szmatami, które dziś nosiłem, a które jeszcze mi się przydadzą. Muszę tylko pamiętać, żeby go w nich nie zostawić. I koniecznie dobrze przemyśleć, jak wykorzystać zdobyte fanty w stosownym czasie.*

*– Pięknie pachniesz – wymruczałem i objąłem ją, zmuszając do pocałunku w usta.*

*Nie oddała go. Próbowała się wyrwać, ale ją przytrzymałem. Napawałem się jej prawdziwym zapachem zmieszanym z nowymi perfumami. Ciało mojej żony jest szczupłe, sprężyste i wciąż tak świeże… Gosia ma dopiero dwadzieścia osiem lat. Urodziła mi dwójkę dzieci, ale po każdej ciąży szybko wracała do formy. Nie widać wcale, że rodziła, nawet gdy jest naga.*

*Pamiętam, kiedy się jej oświadczałem, zapewniała, że znaczna różnica wieku jej nie przeszkadza. Jak widać, to musiała być prawda. Kochanka wzięła sobie starszego ode mnie. Facet mógłby być jej ojcem, czego nikt nie ośmieliłby się powiedzieć o mnie, a teściowie i tak mieli mi za złe, że przeze mnie Małgorzata nie poszła na studia.*

*Przesunąłem dłonią po jej plecach, tam gdzie bluzka spływa w spodnie, a potem gwałtownie przycisnąłem ją do siebie i pociągnąłem na sofę. Zacząłem ją rozbierać, całować po dekolcie, szyi…*

*– Co ty wyprawiasz? – Wyrwała się z moich objęć szczerze rozzłoszczona. Na jej twarzy malował się wstręt. – Ja zaraz wychodzę!*

*Rozbawiło mnie to.*

*– Na którą jesteście umówione? – spytałem z niewinną miną. – Może zdążymy?*

*Jej oczy pociemniały. Usta się zacisnęły. Stała chwilę struchlała, a potem zmusiła się do oddania uśmiechu i szybko doprowadziła się do ładu.*

*– Może jak wrócę, skarbie – zbyła mnie chłodno.*

*Po namyśle podeszła i pogładziła mnie niedbale po głowie. Kiedy jednak wyciągnąłem do niej ramiona, odsunęła się na bezpieczną odległość.*

*– Jak zamierzasz odebrać dzieciaki, skoro pijesz od rana? – fuknęła.*

*– Zajmę się tym – obiecałem. – Nic się nie martw. A poza tym już prawie pierwsza.*

*Podszedłem do niej, wziąłem jej trójkątną twarz w dłonie, przytrzymałem jak w kleszczach, żeby zabolało ją, kiedy znów zacznie się wyrywać.*

*– Będę tęsknił – szepnąłem, wolno przeciągając sylaby.*

*W jej oczach dostrzegłem czujność oraz nutę niepokoju. Czyżby i respekt? To było coś nowego. Zrozumiałem, że nigdy mnie nie szanowała.*

*– Może nie chcesz, żebym szła?*

*– Nie chcę – odparłem zgodnie z prawdą. – Ale to twoja decyzja. Jeśli masz ochotę na zabawę, baw się. Jestem szczęśliwy, kiedy ty jesteś szczęśliwa.*

*Przyglądała mi się osłupiała i niepewna, czy kpię.*

*– Poradzimy sobie. – Puściłem ją. Zapiąłem jej bluzkę na ostatni guzik pod szyją, chociaż wiedziałem, że tego nie znosi. – Dziś robię sobie wolne. Nie wziąłem nawet komputera z pracy. Będę uprawiał błogość, jak mawiał mistrz Holoubek.*

*Znów spojrzała na mnie taksująco, a potem szybko, jakby uciekała, chwyciła swoją torebkę i nie oglądając się, wybiegła z mieszkania.*

*Całe szczęście, bo w wiadomościach puszczali właśnie film z okolic Łomianek, gdzie odkryto zwłoki w spalonym samochodzie. Nieznany sprawca spowodował pożar sporej połaci lasu i trawy, a także naraził życie i zdrowie kilkunastoosobowej ekipy śledczej, która przyjechała tam zbierać ślady.*

*Zaśmiałem się w głos, a potem zasiadłem przed telewizorem. Smakując keks mojej niewiernej, z satysfakcją patrzyłem, jak psy gubią trop.*

*Kiedy informacje się skończyły, poszedłem do kibla, wrzuciłem telefon Gosi do muszli klozetowej i się na niego odlałem. Spuściłem wodę, a potem zrobiłem to jeszcze kilka razy i zostawiłem go w sedesie na więcej niż godzinę.*

*Wiedziałem, że mam czas. Mnóstwo czasu, zanim go zidentyfikują… Kiedy wyjąłem komórkę z sedesu, nie udało się już jej włączyć. Zaniosłem ją do garderoby, gdzie Małgorzata się przebierała, położyłem na fotelu pod porzuconą bezładnie podomką i wróciłem do salonu, by zamówić pizzę. Dla siebie i dwie dodatkowe porcje dla dzieci. Nie mają nic przeciwko zimnemu pepperoni.*

* * *

## RADOŚĆ, ULICA ŚWIERKOWA, REZYDENCJA DE SOUZÓW

– Potrzeba aż dwóch gliniarzy, żeby odebrać moje zeznanie? – Przystojna, bardzo szczupła kobieta powitała ich w drzwiach z szerokim uśmiechem na twarzy.

Jak na świeżą wdowę była ekscentrycznie ubrana. Lateksowe dopasowane spodnie, do tego rozpięta aż do biustu koszula i szpilki z odkrytymi palcami. Wszystko w głębokiej czerni. Podobnie jak jej włosy, oprawki okularów i mocno narysowane brwi. Jedynymi barwnymi akcentami jej wizerunku były krwistoczerwone paznokcie oraz wydatne usta pociągnięte karminową szminką.

– Proszę przyjąć nasze kondolencje, pani de Souza – zaczął z pochyloną głową Walski.

Nie patrzył jej w oczy, chociaż może chodziło o ten głęboki dekolt.

– Diana Gardocka. – Wyciągnęła długą, szczupłą dłoń. – Po ślubie nie zmieniłam nazwiska. Jak widać, intuicja mnie nie zawiodła.

– Co mówiła pani wtedy intuicja? – odezwał się drugi gość okutany szalikiem.

Diana spojrzała na niego i jego osmolone, nadpalone ubranie, ale bez słowa odebrała je, jakby to był królewski płaszcz, i z taką estymą odwiesiła do szafy.

– Ma pan smugi sadzy na twarzy – zauważyła. – I poranione dłonie.

Meyer się przedstawił.

– To niegroźne poparzenia. – Zawiesił głos. – Gasiłem kolegę, który najbardziej ucierpiał. Pewnie słyszała pani, co stało się nad Wisłą? Przyjechaliśmy bezpośrednio ze szpitala. Czterech naszych ludzi jest ciężko rannych, reszta przez weekend będzie hospitalizowana. Nas wybuch nie dosięgnął tylko dlatego, że staliśmy zbyt daleko od źródła eksplozji.

– Nie mam telewizora, ale śledzę wiadomości w internecie. Bardzo mi przykro. To straszne.

Wskazała im czarną sofę, a potem szklany stół, do którego przystawiono przezroczyste designerskie krzesła.

– Siadajcie. – Spojrzała na Meyera i zrobiła gest w stronę dalszej części domu. – Jeśli wcześniej chcielibyście się umyć, tam jest łazienka. Panu przydałaby się aspiryna albo i kieliszek wódki z pieprzem, chociaż nie wiem, czy pomoże, bo ta zaraza trwa już jakiś czas.

– Pani jest lekarzem?

– Dermatologiem – sprecyzowała. – Ale od lat nie pracuję z pacjentami. Na zlecenie firm farmaceutycznych organizuję sympozja i konferencje medyczne. Pośredniczę w przyznawaniu grantów, zabieram polskich medyków na tury naukowe na Seszelach albo Hawajach.

– To dzięki pani niektóre medykamenty się sprzedają, a inne leżą na półce? – rzucił Meyer. – Korumpuje pani lekarzy, żeby zapisywali to, co się opłaca pani mocodawcom?

Zbyła go uśmiechem.

– Mam też dyplom artysty sztuk pięknych, jeśli pyta pan o moje wykształcenie – wyjaśniła, podnosząc wyżej podbródek. – Ale i bez swoich kwalifikacji widziałabym, że pan nie dba o siebie. Jeśli chodzi o ten kaszel, to mogą być powikłania po niedoleczonym zapaleniu płuc. Nie ma pan ucisku w piersi? Serce panu nie staje?

– Wódka z pieprzem brzmi fantastycznie, ale jestem na służbie. – Hubert udał, że nie słyszy jej porad. – Za to wodą

z mydłem obaj w tej chwili nie pogardzimy. Szkoda by było zanieczyścić tak piękny salon.

Gardocka spojrzała na niego kpiąco.

– I tak niedługo się wyprowadzam. Niech pan czuje się jak najbardziej swobodnie – zarządziła. – W szafce nad wanną są ręczniki. Częstujcie się, a ja w tym czasie zrobię herbaty. Pijecie z miodem i cytryną czy wolicie konfiturę figową? A może chcecie kawę?

– Jeśli to nie kłopot, poproszę i to, i to.

Meyer ruszył do kuchennego zlewu, otworzył płyn do naczyń i zaczął się obmywać. Walski patrzył na niego jak na wariata, kiedy zrywał po kilka listków ręczników papierowych, tarł nimi twarz, jakby chciał zedrzeć sobie skórę. Smugi roztarły się tylko na większej powierzchni, a po chwili Hubert wyglądał jak górnik, który zszedł z szychty.

– Tym pan tego nie zmyje. – Gospodyni rzuciła mu się na pomoc i spod zlewozmywaka wydostała puszkę czarnej pasty. – Nasi robotnicy zostawili. Czyszczę tym wszystkie plamy.

Meyer spostrzegł, że śmietnik zapakowany był pudełkami po cateringu znanego kucharza. Ocenił figurę wdowy i pojął, czemu ją zawdzięcza. Diana obsesyjnie liczyła kalorie. Gdyby nie wiek, mogłaby z powodzeniem startować w pokazach mody, tak bardzo była wychudzona.

Otworzył puszkę i podziękował jej skinieniem. Od razu zabrał się do roboty. Specyfik był nadzwyczaj skuteczny.

– Miód z cytryną będzie szczytem luksusu – mruczał, rozlewając wszędzie wodę i rwąc kolejne partie ręczników z rolki. – To zajmie tylko chwilę, nie zwracajcie na mnie uwagi.

Było to trudne, głównie przez nieustanne napady kaszlu i hałas lejącej się wody, ale Gardocka się dostosowała. Ustawiła na stole imbryk z herbatą, obok talerzyk z dietetycznymi biszkoptami, a przed każdym z gości ulokowała malutkie śnieżnobiałe filiżanki. Włączyła ekspres. Po chwili w salonie rozprzestrzenił się aromat kawy. Wreszcie

wdowa usiadła, wpatrywała się milcząco w Huberta kontynuującego ablucje, a potem z ciężkim westchnieniem zwróciła się do Walskiego:

– O co tutaj chodzi? Powiecie mi? Kiedy dzwonił pan do mnie w nocy, sądziłam, że to trywialna zemsta. W myśl zasady: nosił wilk razy kilka… Teraz jednak zastanawiam się, czy to nie jest coś poważniejszego. W co wplątał się mój mąż?

– Liczyliśmy, że pani zna odpowiedź na to pytanie – zaczął komendant. – Czy Rui miał wrogów?

– Prowadząc tak ryzykowne życie? – Przekrzywiła głowę. – Bez liku. Ale jeśli chce mnie pan znów spytać, czy kogoś podejrzewam, to sama już nie wiem. Zgłupiałam.

– Dostaliśmy od pani listę kobiet, z którymi mąż się spotykał – kontynuował Walski.

Hubert stał oparty o blat i dla odmiany suszył ręcznikiem swój sweter. Milczał. Obserwował.

– Z którymi sypiał! – Diana sprostowała ze złością. – Lista tych, z którymi się spotykał, żeby w przyszłości z nimi sypiać, nie jest mi znana.

– Od jak dawna pani o tym wiedziała?

– Po prostu wiedziałam.

– Skąd pani ma te dane?

– Z wiarygodnego źródła – odparła, zanim jeszcze Walski skończył. – Wynajęłam detektywa. Ta lista jest rzetelna. Nawet jeśli owe damy będą zaprzeczać, sypiały z Ruim, co oczywiście niepomiernie mnie smuci.

– Czyżby? – Do rozmowy włączył się Meyer. – Wygląda pani jak triumfatorka.

– Myli się pan – zaprzeczyła szybko. – Swoje przepłakałam i wykrzyczałam w gniewie. Był czas, że myślałam o rozwodzie, ale potem…

– Tak?

– Potem zastanowiłam się, czy ta wiedza faktycznie coś zmienia w naszej relacji. To znaczy, zmienia, oczywiście, ale Rui nie był złym mężem. Śmiem twierdzić, że kochał tylko mnie. Te kobiety to były tylko smaczne dania, które spożywał na mieście. Potem i tak zawsze wracał do domu. Seks mieliśmy udany. Adorował mnie, dbał o rodzinę. Urodziłam mu córeczkę. Mia jest teraz z moimi rodzicami. Zaraz przyjechali i zabrali ją do lunaparku, żeby mała przypadkiem nie dowiedziała się o niczym z mediów.

– W jakim córka jest wieku?

– Pięć lat. To była wyczekana ciąża. Gdyby nie in vitro, możliwe, że wcale nie mielibyśmy potomstwa.

– Nie jest stuprocentowo pewne, że to pani mąż był w spalonym samochodzie – rzucił Hubert.

Kobieta zdawała się zaskoczona.

– To prawda? – zwróciła się do Walskiego.

Wicekomendant niechętnie pokiwał głową.

– Czyli może się okazać, że Rui wróci do domu cały i zdrowy?

– Teoretycznie. – Hubert odchrząknął, rzucając potępiające spojrzenia w kierunku komendanta. – Oczywiście teraz wszystko w pani rękach. Identyfikacja będzie jutro, najpóźniej w poniedziałek. Nie ma co z tym zwlekać. Chyba nie odmówi nam pani tej pomocy? Czy czuje się pani na siłach zidentyfikować męża?

– Teoretycznie? – powtórzyła kobieta i urwała, jakby zabrakło jej tchu.

Podeszła do szuflady i wyjęła z niej buteleczkę, psiknęła kilka razy do gardła. Po chwili jej oddech się wyrównał.

– Lekarstwo – wyjaśniła. – Mam astmę.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. Hubert usiadł we wskazanym dla siebie miejscu i zamieszał swoją herbatę, upił łyk.

– Dlaczego powiedział mi pan, że Rui nie żyje?! – krzyknęła do Walskiego. Nie była już taka spokojna jak na początku rozmowy. – Próbujecie mną manipulować? Nieuczciwie jest bawić się cudzymi uczuciami. Właściwie jestem pewna, że to niedopuszczalne!

– Pani Diano, proszę usiąść. – Hubert upomniał ją ledwie słyszalnie. – I posłuchać.

Wykonała polecenie. Ręce jej drżały.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Poszkodowany z samochodu wpierw został zastrzelony. – Hubert pierwszy zabrał głos. – Potem jego ciało spalono. Następnie sprawca zaminował teren, a w miejscach, gdzie trawa była wyschnięta, rozlał benzynę. Ten ktoś bardzo się postarał, żeby zrobić na nas wrażenie. Jak pani myśli, dlaczego ktoś chciałby takiej śmierci dla Ruiego?

– Nie wiem – wyszeptała. – A jeśli to nie on? Kto w takim razie tam jest?

– Zostawmy to na razie – przerwał jej Hubert. – Była pani w nocy pewna, że Rui nagrabił sobie u różnych zazdrosnych mężczyzn. Dostaliśmy od pani listę kobiet, które mogą być powiązane z domniemanym sprawcą. Dlaczego pani to zrobiła? Teraz, kiedy okazuje się, że śmierć męża nie jest pewna, pani się boi. Czego, pani Gardocka?

– Pan jest w błędzie – zaprzeczyła. – To nadużycie, wolna interpretacja. Jestem w szoku, to wszystko.

Mrugała nerwowo, poprawiała okulary, obciągała mankiety koszuli.

– A może pytanie powinno brzmieć: kogo? – Hubert nie odpuszczał.

– Czy to jest dobry moment, żeby zadzwonić do adwokata? – spytała. – Bo jak rozumiem, bierzecie pod uwagę, że ja to zleciłam?

– A zleciła pani?

– Byłam całą noc w domu z dzieckiem – oświadczyła spokojnie i pewnie. – Mamy tutaj monitoring. Możecie dostać te nagrania, jeśli zamierzacie postawić mi zarzuty czy jak to się nazywa… Nawet na chwilę nie opuszczałam mieszkania. Jestem w stanie to udowodnić. Po waszym telefonie przyjechali dziadkowie i zabrali Mię. Nie wątpię, że potwierdzą moje zeznanie. Byłam rozespana, w piżamie i nie jeździłam nad żadne rzeki, żeby wysadzać ekipę dochodzeniowo-śledczą – dokończyła z zapałem.

– Nie musiała pani tego robić sama. Istnieją zawodowcy, którzy podejmą się podobnego zadania za odpowiednią cenę.

– Niech pan się nie wygłupia! – żachnęła się. – Byłam zła na Ruiego za te flirty, ale od pół roku nie miał nikogo nowego. Uspokoiłam się, a między nami się poprawiło. Zresztą, jak mówiłam, nigdy nie było tak źle, żeby cokolwiek zmieniać. Gdyby nie dowody zebrane przez detektywa, wcale bym się nie zorientowała, że od roku jest mi niewierny. Mogłam udawać, że nic nie wiem. I tak też robiłam.

– Ma pani kogoś? – wypalił Meyer.

Kobieta się spłoszyła.

– Co pan?

– To proste pytanie. Proszę odpowiedzieć. Zdradzała pani męża?

Gardocka zacisnęła usta.

– Bo może pani się uspokoiła, przestało pani zależeć i dlatego temat upadł. Z prostej przyczyny: przerzuciła pani uczucia na kogoś innego. Więc?

– Tak. – Skinęła głową. – Miałam kochanka. Ale nie mieszajcie go do tego. On z pewnością nie ma z tym nic wspólnego.

– Kto to jest?

– Nie powiem. To chyba oczywiste. – Wyprostowała się. Jeden z guziczków jej i tak głęboko wydekoltowanej koszuli

rozpiął się i Hubert dostrzegł, że Gardocka nie ma piersi. Była po zabiegu mastektomii.

– Chyba będzie pani musiała – zaznaczył łagodniej.

– Nie – oświadczyła stanowczo. – Dopóki nie stwierdzicie, kto jest w aucie mojego męża, i nie przyjdziecie z nakazem aresztowania, nic więcej wam nie powiem. Nie podam też nazwy biura detektywistycznego, które wykonywało dla mnie inwigilację męża, ale listę jego cudzołożnic możecie zachować.

* * *

## WARSZAWA, GDZIEŚ NA WISŁOSTRADZIE

– Uważasz, że ona mogła to zlecić? – zapytał poruszony przesłuchaniem Walski, kiedy siedzieli już w radiowozie i pędzili z powrotem do Łomianek, gdzie planowali naradę z jego ludźmi. – Nigdy w życiu nie uczestniczyłem w tak dziwacznym rozpytaniu! Owszem, po nocnej rozmowie nie spodziewałem się płaczącej małżonki, ale to, co zaprezentowała ta kobieta, przerasta wszelkie wyobrażenia o wdowach! Jak najszybciej musimy mieć wyniki sekcji, żeby ją przyskrzynić! – pieklił się.

– To może nie być takie proste – skwitował Hubert. – Diana Gardocka jest łebska. Z niejednego pieca jadła chleb. Kawał z niej spryciuli. Wie, że będzie obserwowana, i nie zrobi żadnego gwałtownego ruchu.

– A jeśli ucieknie? Starczy, że zabierze córkę i wyjedzie za granicę. Szukaj wiatru w polu. Ma forsę, skutecznie się ukryje…

– Nie zrobi tego.

– A co według ciebie zrobi?

– Zaczeka na stosowny moment.

– Stosowny moment na co? – dopytał Walski.

Hubert nie odpowiedział.

– De Souza był obrzydliwie bogaty – rzekł po pauzie. – Musimy wiedzieć, kto dziedziczy majątek w razie jego śmierci. Czy Rui miał polisy, nieruchomości, które ona może przejąć? Jak wygląda sytuacja prawna jego spółek, w razie gdyby coś mu się przytrafiło? Jeśli coś jest dziwne i niezrozumiałe, prawie zawsze chodzi o pieniądze. – Urwał. – Sytuacja będzie zdecydowanie inna, jeśli okaże się, że to nie Rui był w tym samochodzie.

– Sam chyba w to nie wierzysz! Widziałeś trupa. Jego zdjęcia są w sieci. Gość na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest właścicielem wozu!

Hubert był sceptyczny.

– Na jakiej podstawie uznałeś, że ofiara to Portugalczyk? Znałeś go?

Walski się spłoszył.

– No, samochód był na jego firmę – zaczął niepewnie. – Zabezpieczyliśmy jego dokumenty, portfel z kartami. Nie spłonęły doszczętnie, bo trzymał je w tej drogiej torbie na komputer, w osobnej saszetce. No i gęba raczej nie do zapomnienia. Moim zdaniem to de Souza spłonął w Łomiankach.

– A komórka?

– Nie było.

– Bardzo ciekawe – mruknął Hubert. – Coś jeszcze?

– Nie – warknął Walski. – Nic więcej. Uważasz, że to mało?

– Do identyfikacji zasadniczo tak. Wdowa zostanie wezwana, jak tylko Boziłow sprawi się z sekcją. Ciekaw jestem, co powie. Myślałeś, żeby ściągnąć starego de Souzę i krewnych?

Walski spiorunował Meyera spojrzeniem.

– To normalna procedura, gdyby wdowa odmówiła udziału w identyfikacji. Na tę chwilę o niczym takim mi nie wiadomo.

– Nie wiemy, jakie były ich relacje – ciągnął Hubert. – Nie wiemy, czy lista, którą ta czarna tygrysica tak ochoczo nam podarowała, jest miarodajna. Nie wiemy, kto ją wykonywał. Nie wiemy wreszcie, kim jest kochanek wdowy. I czy on przypadkiem nie miał najlepszego motywu do anulacji zamożnego męża.

– I co z tego? Wszystkie twoje hipotezy są bezpodstawne. Czyste domysły!

– Bezpodstawne jest utrzymywanie na tym etapie, że w aucie spłonął de Souza. Na twoim miejscu trzymałbym rzecz w tajemnicy i nakazał ludziom mieć gęby na kłódkę, coby to nie wyciekło, dopóki nie potwierdzimy personaliów poszkodowanego.

– Niby dlaczego? – zdziwił się Walski. – O tym, do kogo należało auto, mamy obowiązek zawiadomić opinię publiczną już w tej chwili. Rzecznik komendy wojewódzkiej ma wszelkie dane w tej sprawie i do wieczora zamierzają podać informacje do mediów.

– Więc wstrzymaj go natychmiast! – Hubert podniósł głos. – Ten, kto zabawiał się dziś nad ranem kanistrami z benzyną i minami domowej roboty, tylko na to czeka. Nie rozumiesz?

Walski milczał. Przygryzał usta od środka, jakby chciał sam siebie pożreć.

– Może i jest w tym trochę racji – zgodził się. – Wątek żoliborskiego półświatka też należałoby wziąć pod uwagę. Drinu nie dalej jak kilka dni temu był z awanturą w moim gabinecie i domagał się przesłuchania. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spełnić to marzenie, chociaż między nami mówiąc, nie wierzę w ani jedno jego słowo.

– Jeśli chcesz, mogę go odwiedzić – zaproponował Hubert. – W tym czasie pogadasz z balistykami, saperami i ludźmi od ekspertyzy pożarniczej. Rozdzielisz zadania ludziom, niech przetrzepią babki z listy naszej tygrysicy.

– Tygrysicy?

– No tej lekarki korporacyjnej z Radości, żony de Souzy, doktor Diany Gardockiej. Malarki i lobbystki z branży medycznej.

Walski wreszcie się roześmiał.

– Wypuszczę na nią naszą najlepszą dziewczynę, niech pogrzebie w jej mediach. Jeśli wdowa faktycznie miała sekretnego kochasia, Pańcia go znajdzie.

– Wcale nie jestem pewien, czy takowy istnieje – wypalił Hubert.

– A ty co, wróżka?

– Gardocka jest po mastektomii – zaczął niepewnie profiler.

– Uważasz, że to przeszkoda w znalezieniu adoratora?

– Trzeba przyznać, że jest atrakcyjna – odrzekł wymijająco Meyer. – I ambitna. Ma zbyt wiele do stracenia, żeby przedwcześnie odsłaniać karty. Jeśli to robi, rozgrywka jest gdzieś indziej. Może podając na tacy listę flam męża, próbuje uśpić naszą czujność? Jak sądzisz, dlaczego tak szybko się do tego przyznała? Zauważyłeś, jak spadła jej samoocena, kiedy zorientowała się, że nie jesteśmy pewni, czy to jej mąż spłonął w tym samochodzie?

– Uważasz, że jest powiązana?

– Coś ukrywa.

– Że niby poszukiwany przez nas sprawca to jej kochaś?

– Na tę chwilę możemy spodziewać się wszystkiego – przyznał Hubert. – I koniecznie trzeba się dowiedzieć, jaką miała relację z Drinem. Znali się, spotykali? Lubili się czy wręcz przeciwnie… A może zawiązali unię, skoro oboje byli zdradzani przez małżonków?

– Unię? – żachnął się Walski. – Co ty chrzanisz?

– To dosyć powszechne zachowanie – uciął Hubert. – No i czeka nas odwiedzenie wszystkich domniemanych kochanek Ruiego. Do tej roboty oddelegowałbym któregoś z moich chłopców.

– Szczecinka? – spytał z nadzieją w głosie Walski.

– Jeśli zgodzi się pracować dla chwały, czemu nie? Chłopak dostał przymusowy urlop, bo ostatnio miał same nadgodziny i praktycznie nie spał. Patrzyłem w grafik i Grzesiek Kaczmarek ma w ten weekend wolne, ale od poniedziałku nie jest już dostępny. Sprawdzę, o co chodzi. Pracowałem z nim ostatnio i mogę ci go szczerze polecić. Kobietom miękną kolana na jego widok, a jest stonowany, irytująco wręcz grzeczny. Potrafi zachować się elegancko i jednocześnie pozostaje wnikliwy. Od poniedziałku zajmiemy się też ludźmi z pracy Portugalczyka. Trzeba tam pójść z nakazem i wejść mu do wszystkich kwitów.

– To zrozumiałe – obruszył się Walski. – Nie musisz mnie uczyć, co mam robić. A ty co zamierzasz?

– Ja? – Hubert się wykrzywił. Poszukał chusteczki, by wydmuchać nos. – Jak tylko zrobimy naradę, kładę się do łóżka. Więc załatwmy to migiem.

Walski był zawiedziony.

– Liczyłem, że zrobisz mi chociaż ekspertyzę. No wiesz, profil nieznanego sprawcy.

– Dostaniesz go – zapewnił Meyer. – Ale wpierw pozbierajmy do kupy, co mamy. Nie jesteś nawet pewien, czy w G spalił się de Souza.

– Twarz nie jest zwęglona, więc wstępnie porównałem z zażyciowym wizerunkiem z internetu. To może być on, chociaż na sto procent tego nie potwierdzimy nawet i przez dwa tygodnie – przyznał Walski. – Mamy wprawdzie zabezpieczone zęby, ale sam wiesz, że kolejka do laboratorium jest nie do przeskoczenia.

Przyjechali. Ruszyli prosto do komisariatu.

Przed wejściem Hubert zatrzymał się, wyjął papierosy.

– Będziesz palił? – zdziwił się wicekomendant. – Kaszlesz jak gaźnik do malucha i ledwie widzisz na oczy. To nie jest roztropne.

– Idź na górę – zbył go Meyer. – Zaraz dołączę.

Gdy tylko Walski zniknął z pola widzenia, psycholog wyciągnął telefon i wykręcił numer do zaprzyjaźnionego inspektora z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji.

– Dzwonisz w sprawie spalonego auta w Łomiankach? – usłyszał zamiast powitania. – Niezła rozpierducha. Oglądałem relację do śniadania.

* * *

## WARSZAWA, PRZED KOMISARIATEM W ŁOMIANKACH

– Zrobisz mi to na cito?

– Niby co? – Młodszy inspektor Łukasz Misiurkiewicz udał, że się dziwi.

– Analizę DNA. Musimy jak najszybciej rozstrzygnąć, kogo kostucha dopadła w tym aucie.

– Bez dokumentów, raportu patologa i jeszcze na gębę? Wątpię.

– Moją gębę.

– Wykluczone!

Hubert nie słuchał.

– Przecież jest sobota. Wszyscy twoi ludzie mają wolne – judził. – Nikt się nie dowie…

– Przeginasz! Nie wszyscy w weekend mają weekend i dobrze o tym wiesz – przerwał mu Misiur. – Ta sprawa będzie głośna. Nawet jeśli chciałbym pomóc, pod żadnym pozorem mi nie wolno. Próbka wcześniej czy później do nas trafi. Nie byłoby właściwe, żeby została zidentyfikowana w bazie jako analizowana. I nie mów, że stoisz pod moim domem z termosem wypełnionym kośćmi, bo to nic nie pomoże!

Hubert usłyszał szuranie, jakby inspektor przemieszczał się, żeby sprawdzić, czy Meyer nie naszedł go bez zapowiedzi.

– Tym razem oszczędziłem ci niespodzianki – uspokoił go, żałując, że wcześniej na to nie wpadł. – Po prostu sprawdzam możliwości.

– Możliwości nie masz żadnych. Jak słusznie zauważyłeś, jest sobota, a jutro będzie niedziela. To są dni wolne od pracy i laboratorium jest zamknięte. Załatw kwita, a w poniedziałek wstawię was do tej lepszej kolejki. I nie licz na cud, bo tym razem wcześniej niż za dwa tygodnie nie będzie analizy. Wiem, co mamy na stole, a twoja sprawa zakrawa na terror, więc będzie obracana przez górę na wszystkie sposoby. Nie, nie i jeszcze raz nie. Zapomnij!

– Nie wiem, ile razy już to słyszałem – zaśmiał się Hubert.

Streścił powtórnie sytuację i czego się dowiedzieli.

– Interesujące, a jednak nadal oświadczam: nein – uparł się inspektor.

– W takim razie pomóż z analizą samego wozu. Kluczyk zabezpieczono. Magicy od mechanoskopii twierdzą, że mimo uszkodzeń wciąż można z niego wiele wyczytać.

– To prawda.

– Interesowałoby mnie, dokąd ostatniej doby jeździł Rui de Souza. Gdzie parkował, ile paliwa zużył, na jakich stacjach tankował. Wszystko, cokolwiek da się z tego wyłuskać. Moglibyśmy przejrzeć kamery na stacjach benzynowych i miejski monitoring. Jeśli uda mi się ustalić, na jakim etapie gość spotkał swojego zabójcę, znacznie zawężę grono podejrzanych.

Po drugiej stronie panowała cisza. Hubert odsunął słuchawkę od ucha i przyjrzał się jej, niepewny, czy Misiur wciąż jest przy aparacie.

– Zanotowałem – usłyszał nagle. – Coś jeszcze?

– Więc zrobisz to dla nas?

Ciężkie westchnienie.

– Mówiłem ci, jak bardzo cię kocham? – Hubert cieszył się jak dziecko.

– Powiedziałem postaram się, ale to wcale nie znaczy, że zamierzam z tobą spać. Odpuść amory – burknął Misiur, a Meyer rozpromienił się, bo wiedział, że u tego eksperta to więcej niż obietnica. – I nie próbuj dostarczać mi szczątków pogorzelca! Ani w poniedziałek, ani tym bardziej jutro!

– Niestety, nie mam do nich dostępu. Boziłow wraca najwcześniej w poniedziałek. Będzie pracował nad nimi cały dzień, a potem zapewne odbędzie się identyfikacja. Niewykluczone, że wszystko przesunie się do środy. Termin jest niefartowny. W ciągu tych dwóch dni sprawca może zdążyć wyjechać, zmienić miejsce zamieszkania, zatrzeć ślady, a przede wszystkim zabezpieczyć sobie solidne alibi. – Zawahał się. – A jednak sądząc po przedstawieniu, jakie nam zafundował, wątpię, żeby się tak naprawdę schował. Zaczaił się, owszem, siedzi cicho, ale obserwuje nas i jara się tym, że błądzimy po omacku. Słowem, bardzo mi pomożesz. Cokolwiek uda ci się wyłuskać z tego urządzenia, będzie dla mnie bezcenne.

– To, co zostało zapisane w kluczu AMG 63, jest nie do wymazania – odparł spokojnie inspektor. – Wyjątkiem może być sytuacja, gdyby auto od kilku dni stało nad Wisłą i nikt nim nie jeździł. Zapytaliście żonę, o której poszkodowany opuścił dom, kiedy wyszedł z biura?

– Nie zdążyliśmy. Wygnała nas z chaty. Walski wezwie ją dopiero po weekendzie.

– Pokłóciłeś się z nią, obraziłeś?

– W żadnym razie! – zaoponował. – Zasugerowałem tylko, że ma kochanka.

– Słodki Jezu, Meyer! – westchnął ciężko Misiurkiewicz, a jednak ciekawość zwyciężyła. – I co odpowiedziała?

– Że owszem, ale nie chciała podać nazwiska.

– Interesujące – mruknął Misiurkiewicz. – A jakim ona jeździ samochodem?

– Pewnie nie gorszym niż mąż.

– Załatw jej klucz, to powiem ci, czy nie była gdzieś w pobliżu.

– Jak to zrobisz?

– Mamy program, który pozwala zsynchronizować oba obiekty. Nie mów nikomu, bo to nie do końca legalne. Gdyby obrońcy danych osobowych się o tym dowiedzieli, pewnie wszczęliby manifestację i zarekwirowaliby nam go, a rzecz się przydaje.

– Jesteś nieoceniony.

– Wracaj do tej kobity i przywieź jej klucz. Jeśli masz jeszcze innego podejrzanego, możesz dorzucić. Ubieram się i jadę do firmy. Znajdziesz mnie w biurze. Tylko sam nie właź, niepotrzebny nam świadek spisku. Przekaż dyżurnemu w kopercie. Jasne?

– Możesz synchronizować trzy auta? – ucieszył się Hubert. – Jesteś genialny!

– Nawet siedem – uciął inspektor. – I to nie ja, tylko automatyczna aplikacja. Ważne, żeby teraz zdobyć klucze do tych samochodów, bo system działa tak, że dane nadpisują się, kasując poprzednie. Jeśli twoi podejrzani w trakcie weekendu będą używali samochodów, ich trasy poruszania się i wszystkie lokalizacje zostaną bezpowrotnie utracone. To dotyczy oczywiście wyłącznie modeli w cenie od miliona w górę.

– Czy w tym systemie będzie informacja o tym, że ktoś na przykład nacisnął przycisk SOS? I wzywał pomocy… Byłoby gdzieś takie nagranie?

– Z mercedesa przy tej randze sprawy z pewnością to wyciągniecie. Ja mogę ci z klucza tylko wskazać, czy przycisk SOS był używany. O której, w jakiej lokalizacji i jak długo był włączony. I jest jeszcze jedna dobra wiadomość.

– Jaka?

– Tych rolników w kraju nie jest tak wiele. Rzadko też właściciele nie mają forsy na garaż, a takowe są przecież monitorowane. Kiedy to oglądałem w telewizji, niemal płakałem, że ktoś ośmielił się spalić taki wóz. Dziennikarze mówią o porachunkach, ale ja osobiście w to nie wierzę.

– Ja też nie – zgodził się Hubert. – Gdyby zrobiła to żoliborska niby-mafia, rozebraliby go na części albo postawili na Pradze z kluczem, żeby ktoś się nim zajął. To znacznie skuteczniejsze pozbycie się wozu niż jego palenie. Ciało by zakopano.

– Sugerujesz, że dokonał tego amator?

– Amator? Nie wiem. – Hubert się zawahał. – Ten ktoś zna się na rzeczy przynajmniej teoretycznie. Skutecznie zaciera ślady, przewiduje nasze działania i próbował nas wrzucić na lewe sanki choćby ze sfingowanym odciskiem buta. Jeśli to jest zlecenie, zrobił to klient mający pojęcie o kryminalistycznej robocie lub z doświadczeniem kryminalnym, ale zapłacił ktoś z tej samej półki społecznej co poszkodowany. Komu nie tylko nie byłoby żal takiego auta, lecz także miał zatarg z Portugalczykiem. Całopalenie to odwieczny sposób na ofiarę składaną bóstwu o nazwie Zemsta. Palenie ciała jest symbolem, że składający ofiarę niczego z niej nie zabierze ze sobą z powrotem. Rui tym sposobem ma zniknąć bezpowrotnie. Zabójca zarzucił mu jednak płaszcz na głowę. Nie był w stanie patrzeć w oczy trupa po śmierci. Z całą pewnością mamy do czynienia z osobistą wendetą. Morderca mści się na poszkodowanym nie tylko zadając mu śmierć, ale unicestwiając także pamięć o nim.

– Albo to kobieta – zauważył Misiur.

– Albo facet z powodu kobiety – dorzucił Meyer. – Dzięki, bardzo mi pomogłeś.

– Nic jeszcze nie zrobiłem.

– Załatwiam klucze i postaram się być niewidzialny. – Meyer rozkaszlał się, rozłączył.

Odwrócił się, krzyknął do młodego mundurowego, który siedział w dyżurce:

– Ej, zadzwoń do szefa i powiedz, że coś mnie zatrzymało. Niech działa zgodnie z planem. Wrócę, jak będę. Tylko najpierw muszę odzyskać swój wóz.

Młodzieniec zerwał się, chciał o coś dopytać, ale Hubert już zamawiał sobie taksówkę do domu.

* * *

## RADOŚĆ, ULICA ŚWIERKOWA, REZYDENCJA DE SOUZÓW

Diana stała w oknie, wypatrując na podjeździe samochodu dziadków, którzy niebawem mieli wrócić z lunaparku. Zamiast nich pod jej okna podjechało srebrne audi. Wysiadł z niego ten przeziębiony i wciąż w brudnym ubraniu bezczelny inspektor. Szybko zasłoniła roletę i pobiegła na górę, do sypialni. Po drodze nakazała służącej, by nikomu poza jej rodzicami nie otwierała drzwi.

Nie minęła chwila, a na dole słyszała już zgłuszoną rozmowę. Patrycja chichotała, a chropawy głos policjanta niósł się echem, chociaż Diana nie była w stanie zrozumieć ani słowa z jego wypowiedzi. Podniosła się, włożyła na koszulę obszerny sweter i czekała, aż Patrycja po nią przyjdzie. Zaraz rozległo się pukanie do drzwi.

– Diano, wiem, że prosiłaś, żeby nikogo nie wpuszczać, ale to policja. Inspektor z Komendy Głównej.

– Powiedz, że źle się czuję.

– On mówi, że powinnaś z nim porozmawiać. To ważne.

Diana zacisnęła usta ze złości. Akurat, pomyślała, co za tupeciarz!

– Przynieś mi lepiej coś na sen. Zamierzam się położyć – rozkazała.

– Zaraz dziadkowie przywiozą Mię. Mam się nią zająć?

– Poproszę – odparła ściszonym głosem. – Zdrzemnę się z godzinkę, dwie. Może migrena odpuści. Dziękuję ci, Pati.

– Naturalnie, nie ma sprawy, kochana – skwapliwie przytaknęła dziewczyna. – O nic się nie martw. A temu panu przekażę, że jesteś chora.

Diana podziękowała i położyła się na wznak na łóżku, chociaż zupełnie nie miała ochoty na drzemkę. Leżała tak, zbierając myśli i zastanawiając się, jak wypełnić czas dręczącego oczekiwania, co chwilę zrywała się i wyglądała dyskretnie przez okno, czy facet już odjechał, ale jego audi wciąż tkwiło na podjeździe. Była coraz bardziej podminowana. Sięgnęła po białą słuchawkę i wykręciła numer wewnętrznej linii w salonie.

– Co z moją aspiryną? Zapomniałaś?

– Och, tak, przepraszam, tyle się działo… Dziadkowie wrócili – padło w odpowiedzi. – Mia ma biegunkę, a dorwała się do lodów w zamrażarce. Ledwie ją od nich oderwałyśmy z babcią.

Diana słyszała w tle głosik swojej córki i tubalny głos ojca. Perorował przed tym Meyerem, więc nie przypuszczała, by spotkanie miało się szybko zakończyć. Co za pech, westchnęła ciężko. Wiedziała już, że wcześniej czy później będzie musiała się z tym zmierzyć. Na dodatek tak bardzo chciała przytulić chorą córeczkę. Czuła się podle, bo sama przecież zgotowała sobie ten areszt.

– Ten pan wciąż jest. – Patrycja zniżyła głos do szeptu. – Powiedział, że poczeka tyle, ile będziesz spała, a twój tato się zgodził. Rozmawiają o Ruim.

To Dianę wyprowadziło z równowagi, nie dała jednak nic po sobie poznać.

– Przynieś mi lekarstwa i uprzedź tego policjanta, że szanse na rozmowę są dziś znikome.

– Co mam powiedzieć? – Gosposia nie pojęła. – Zejdziesz? Nic nie słyszę, taki hałas.

Diana w pierwszej chwili chciała ją porządnie zrugać, ale po namyśle zmieniła zdanie.

– Jeśli ten facet chce ze mną mówić, przyślij go na górę. I powiedz mojej mamie, że uprzedzałam. Mia ma chorobę lokomocyjną i źle znosi jazdę na karuzeli. To musiało się tak skończyć.

– Tak, oczywiście, przekażę.

Odłożyła słuchawkę na stolik, a po chwili znów ją podniosła.

– Powiedziałam. On już idzie. Dać Mii smectę czy coś mocniejszego?

– Sama zdecyduj – prychnęła. – Załatwię to szybko, a wtedy zastanowimy się, czy jedziemy do lekarza. Niezależnie od wszystkiego przyjdź tutaj po kwadransie i zawołaj mnie do telefonu. Dobrze? I pod żadnym pozorem nie daj się wypytywać!

Po drugiej stronie panowała cisza.

– Zrozumiałaś? – podniosła głos.

– Tak zrobię. – Połączenie przerwano.

Dosłownie minutę później rozległo się pukanie. Diana susem wskoczyła do łóżka, wsunęła się pod kołdrę. Wiedziała, że będzie jej gorąco i niewygodnie w ciuchach, ale nie miała czasu na rozbieranie. Zdążyła tylko zdjąć buty i rozpuścić włosy.

– Pani chora?

Facet udawał sympatycznego, ale Diana była pewna, że to podstęp. Nie ufała mu od pierwszej chwili, kiedy wszedł taki brudny za próg jej domu.

– Mam nadzieję, że nie zaraziłem.

– Też mam taką nadzieję. Mam małe dziecko i nie uśmiecha mi się zaraza w domu. – Zmusiła się do grzecznej odpowiedzi. – Ale to pewnie tylko przemęczenie i stres. Obawiam się, że sytuacja mnie przerosła.

Zapadła cisza.

– Wróciłem, bo nie zdążyłem spytać, kiedy ostatni raz widziała pani męża.

– Mówiłam już, że nie odpowiem na żadne pytanie, dopóki nie zidentyfikujecie ofiary w Łomiankach.

– Pani nie mówi serio. To nie jest rozsądne – odparł, uśmiechając się. Przyjrzał się jej. – Ma pani gorączkę?

Pokręciła głową, a potem pokiwała nią skwapliwie.

– Sama już nie wiem. Patrycja miała przynieść leki.

– Zaraz przyniesie. Babcia robi jeszcze ziółka dla małej. I kompres. Tyle, co się zorientowałem.

– Dobrze – poddała się Diana. – Ostatni raz widzieliśmy się z Ruim w piątek rano. Zbierał się do pracy. Kiedy nie wrócił do nocy, pojechałam do komisariatu i próbowałam zgłosić jego zaginięcie, ale powiedziano mi, że nie upłynęło wystarczająco dużo czasu. Jakiś młody policjant na dyżurce zapytał bezczelnie, czy mąż ma kogoś, więc odparłam, że być może. Odmówił przyjęcia zgłoszenia. Nawet nie zrobił notatki.

– To w naszej firmie mają więcej podobnych bęcwałów? Mnie na przykład olał taki nieduży blondynek ze szczurzym pyskiem, kiedy przekazywałem wieści dla Walskiego – podchwycił Meyer. Udało mu się rozbawić wdowę, więc kontynuował: – Mój młody ledwie skończył szkołę w Pile, nie ma nawet oficera. Proszę wybaczyć. Osobiście przyjadę do Wawra i postaram się, żeby pani szczurek odpowiedział za to zaniedbanie.

– Nie chcę mu robić kłopotów – zaznaczyła łagodniej, ale nie spuszczała wzroku z profilera. Bała się, że facet zorientuje

się, że tylko udaje chorą. Uszy piekły ją już z gorąca, a na twarz wystąpiły rumieńce.

– Noc miałam ciężką. Dzwoniłam do męża wiele razy. Bez skutku. Wciąż było zajęte.

– Zajęte?

– Tak – potwierdziła. – Telefon nie był wyłączony. Jak pan teraz zadzwoni, włączy się poczta. Możecie sprawdzić w moich billingach. Korzystałam z własnej komórki.

Facet wyjął mały notesik i co jakiś czas coś w nim zapisywał.

– Jeździła pani swoim autem?

Pochyliła głowę, a potem wolno nią pokiwała.

– Pojechałam w kilka miejsc – ciągnęła. – Do pracy, do rodziców, jego kochanek… Myślałam, że zabalował u którejś z nich. Byłam gotowa nakryć ich in flagranti, byle tylko się uspokoić.

– Dlaczego pani tak się o niego martwiła?

Zawahała się. Kiedy się odezwała, z rozmysłem dobierała słowa.

– Nigdy nie znikał tak bez uprzedzenia.

– Stało się coś między wami? Mieliście wcześniej kłótnię? Zdarzyło się coś nieoczekiwanego, niebezpiecznego?

– Nie, nie – zaprzeczyła gwałtownie. – Po prostu nie odbierał. A on zawsze odbierał, a jeśli nie mógł rozmawiać, odpisywał. Dbał o to, żebym była spokojna. Pozory były dla niego zawsze bardzo istotne.

Meyer przyglądał się jej wnikliwie. Czuł, że ona kłamie, coś ukrywa, czegoś nie chce mu powiedzieć, ale nie zamierzał jej dociskać. Doceniał, że choć trochę puszcza farby. Gdyby ją przydusił, gotowa się zamknąć i wygnać go z domu jak poprzednio, a miał przecież ważną misję. Musiał zdobyć ten klucz.

– Co było dalej? – zachęcił ją.

– Ostatecznie odwiedziłam tylko dwie, bo trzeciej nie było w domu albo po prostu nie chciała mi otworzyć.

– Nazwiska tych pań – zażądał.

– Pamiętam tylko imiona.

– Doprawdy? – Skrzywił się. – Nie pamięta pani nazwisk kochanek męża? Nie wierzę.

– Nie chcę ich pamiętać – przyznała. – Ale imiona podam. Ilona i Agata. Były szczerze zdziwione na mój widok. Wie pan, afera o zdradę wcale się nie odbyła. One pewnie nie miały pojęcia, że ja wiem, co wyprawiały z moim mężem. Jedna, ta młodziutka, Ilona, zaczęła mi grozić, a potem zażądała odszkodowania, bo ponoć Rui pożyczył od niej jakąś forsę. Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Byłam zniesmaczona, wściekła. Dałam jej to, co miałam w torebce, pewnie jakiś tysiąc, może kilka setek więcej, i wróciłam do domu. Zrobiłam sobie drinka, poszłam spać. Spałam może godzinę albo dwie, kiedy zadzwonił Walski. Resztę pan zna z jego relacji. Przesłałam wam listę kochanek i wreszcie położyłam się spać. Musiałam wziąć coś na sen, bo z nerwów z pewnością bym nie usnęła. A kiedy się obudziłam, zrozumiałam, że to bardzo źle wygląda. Wiedziałam, że przyjedziecie, więc wysłałam Mię z rodzicami. Tak, to teraz wie pan już wszystko.

W pomieszczeniu panowała cisza.

– Jakim samochodem pani jeździ?

– Mercedesem.

– Ma mniej niż pięć lat?

Diana zmarszczyła brwi, zastanawiała się, do czego on zmierza.

– Niecały rok – odparła. – Chyba pan nie myśli, że ja mam coś wspólnego z tą rozróbą na plaży w Łomiankach?

– Tam nie ma plaży. To regularny las, gąszcz. I teren podmokły.

– Więc jak został podpalony?

– Nie mogę o tym mówić.

– Nie było mnie tam. Przysięgam.

– Używa pani jeszcze innego samochodu?

– Nie. Tylko tego jednego. To nie torebka, że zmienia się ją w zależności od okazji i stroju.

– Oczywiście. – Hubert się uśmiechnął. – Czy zgodziłaby się pani, żebym zabrał klucz do pani auta? Czasowo. Zwrócę niezwłocznie.

– Chce pan pożyczyć mój wóz?

– Potrzebuję tylko kluczyka. Ale samochodem nie może pani jeździć do odwołania. Czy to jest dla pani wykonalne?

– Po co to wszystko?

Diana usiadła, ściągnęła sweter przez głowę. Zapięła koszulę aż pod samą szyję.

– Proszę powiedzieć, po co to panu. Nie ma pan nic poza jakimiś przypuszczeniami. Nawet nie wezwano mnie jeszcze na identyfikację. W mediach nie podano, że mój Rui spłonął w Łomiankach.

– Martwi to panią? – wszedł jej w słowo.

Żachnęła się. Kontynuowała:

– Nikt poza nami i najbliższą rodziną tego nie wie, nawet jego pracownicy, wspólnicy, członkowie zarządu… Dla firmy to zapewne dobrze, ale starczy, że powiem, że go nie rozpoznaję, co pewnie się wydarzy, i leżycie.

– Wiem, ale i tak proszę – podkreślił profiler. – Bez wyjaśniania moich motywów. Zgadza się pani?

– Gdybym się nie zgodziła, postawi mnie to w bardzo złym świetle?

– Zasadniczo tak.

– Muszę to przemyśleć.

– Radziłbym się zgodzić.

– Co będę z tego miała?

– Nie mogę nic obiecać – przyznał. – Jeśli jednak wicekomendant przypnie się do pani tyłka, mogę zaświadczyć, że podczas tej rozmowy odwołała pani zeznanie o kochanku. Co między nami mówiąc, bardzo może pomóc.

– Jak pan śmie! – oburzyła się.

– Powiedziała tak pani po złości. To nieprawda.

Długo milczała.

– Już od dawna nie darzy pani męża gorącym uczuciem. Wasz związek wszedł w fazę stagnacji, ale to jeszcze nie nienawiść. Zależało pani na nim. Z jakich względów, nie będę teraz zgadywał, ale kiedy nie wrócił w piątek na noc, zamartwiała się pani. To zeznanie było szczere. Wasza miłość kwalifikowała się do odgrzania, dlatego pani tak cierpi. Będzie gorzej, zapewniam.

Diana wpatrywała się w Meyera z przerażeniem.

– Skąd to wiem? – Uśmiechnął się. – Bo chciała się pani zemścić na nim za te wyskoki, owszem, ale kiedy pani zachorowała, zmieniły się priorytety. Wybaczyła mu pani. I zaczęliście odbudowywać relację. Tak było?

Wdowa odruchowo zasłoniła się ramionami.

– Proszę się nie gniewać. Nie mam złych intencji. Jeśli pani ich nie ma, możemy sobie nawzajem pomóc.

– Mam panu zaufać?

– Chyba nie proszę o wiele – podkreślił łagodnie. – W tej chwili potrzebuję wyłącznie klucza do pani wozu. Dostanę go i sobie pójdę. A jeśli będę miał kolejne pytania, zadzwonię albo spotkamy się na neutralnym gruncie. Kiedy Rui zostanie zidentyfikowany, pani sytuacja prawna bardzo się zmieni. Wie

pani o tym. Czy w tym świetle moja propozycja wydaje się interesująca?

Pochylił się i na wizytówce dopisał swój numer.

– Proszę zadzwonić, gdyby potrzebowała pani rozmowy, wsparcia, jakiejkolwiek formy pomocy. Mamy wspaniałych terapeutów, znamy rynek. Pani jeszcze tego nie czuje, ale żałoba przyjdzie.

– Jeśli to on był w tym samochodzie – zaznaczyła.

– Pani nie chce wierzyć w to, że Rui zginął? – zapytał. – To ciekawe, bo wcześniej była pani tego pewna. A potem nagle się to zmieniło. Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Wstała, podeszła do torebki stojącej na blacie i wyjęła z niej urządzenie wielkości dwóch pudełek zapałek.

– Może pan już iść – oświadczyła. – I nie sądzę, żeby doczekał się pan mojego telefonu. Klucz proszę zwrócić Patrycji. Zdaje mi się, że macie niezłą komitywę. Uprzedzę ją, że pan się zgłosi.

* * *

## ŁOMIANKI, WILLA DEMIANIUKÓW

– Jakim prawem nachodzicie nas w domu! – wzburzyła się młodziutka matka z dzieckiem na ręku.

Od jej krzyków niemowlę zaczęło kwilić, a wreszcie rozpłakało się w głos. Kobieta jednak nie ustawała. Krzyczała jeszcze głośniej:

– Jest sobota, mamy czas wolny. Mojego męża nic nie wiąże z tą sprawą! Mogę zaświadczyć, że był ze mną cały czas. To skandal. To się nadaje do prasy!

Meyer przestępował z nogi na nogę i zaciskając szczęki, łypał to na Walskiego, to na gospodarza, który powstał z kanapy i podszedł do nich ubrany jedynie w bermudy w palmy. Był niski i raczej mikrej postury, ale wypracowaną na siłowni klatę miał naoliwioną. Świeciła się jak świeżo

opadłe z drzewa kasztany. Kolor jego skóry był dla Huberta dużym zaskoczeniem. Walski przecież w kółko powtarzał, że mają do czynienia z gangusem z Łomianek w trzecim pokoleniu, a Marcin Drinu Demianiuk ewidentnie był niepełnej krwi Hindusem.

– Spokojnie, Kasiu. Nic się przecież nie dzieje – łagodził żonę. – Idź, połóż małego, bo dostanie kolki. Panowie, wejdźcie, przeciąg robicie, a oszczędzamy na ogrzewaniu, jak rząd nakazał. – Zaśmiał się rubasznie.

Przeszli do salonu. Rzut oka na szklany stolik wystarczył, żeby detektywi zorientowali się, że jeszcze przed chwilą w grze była ścieżka prochu. Lustrzaną płytkę przetarto w pośpiechu, a obok przewracał się zwinięty w rulon banknot pięciusetzłotowy. Drinu schował pieniądz do kieszeni spodenek, podszedł do barku obok telewizora godnego małej sali kinowej i sięgnął po karafkę z bursztynową cieczą.

– Wam pewnie nie wolno? – spytał całkiem już poważny. – Mnie to nie dotyczy. Do roboty dziś nie idę.

Hubert spostrzegł, że facetowi drżą dłonie. Czyżby aż tak poruszyła go ich wizyta, że maskował zdenerwowanie wątpliwą pewnością siebie i zjadliwym poczuciem humoru?

– Nie krępuj się pan – mruknął. – Sam bym się napił czegoś mocniejszego, ale lekarz mi zabronił.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem, upił spory łyk swojego drinka.

– Wody? Herbaty nie proponuję, bo musiałbym wołać Kaśkę.

– Kranówka jest w porządku. – Hubert rozejrzał się po oszałamiającym wnętrzu domu.

Sufit był tak wysoko, że nie było możliwości przyjrzeć się detalom zdobień. Wszędzie kryształy, złote klamki i wyszukane meble. Na samym środku holu, który gdyby był pusty, z powodzeniem posłużyłby za małe boisko, stał rzeźbiony stół z pasującymi do niego krzesłami obitymi purpurowym welurem. Na niektórych z nich widniały szpetne

ślady numerów wyrysowanych mazakiem. Całość miała emblematy meduzy i Meyer, choć nie znał się na modzie, pojął, że to dzieło jakiegoś projektanta, słowem straszliwa drożyzna. Wszystko w tym lokalu było właśnie takie: horrendalnie wielkie i kapiące od gotówki, którą wydano.

– Ładnie pan mieszka – zagaił. – Tylko was troje w takiej chałupie? Służby, jak widzę, nie macie…

– Zatrudniamy nianię na godziny i dwa razy w tygodniu przychodzi kobita do sprzątania. Resztę Kaśka sama ogarnia. Gospocha z niej pełną gębą. – Drinu zapatrzył się w przestrzeń. – A jest trochę tych metrów, nie powiem. Problem pojawia się, kiedy coś się zgubi. Kiedyś miesiąc szukałem pilota do garażu, bo wróciłem późno i zrąbany. Położyłem go na jednej z szafek na piętrze, a żona schowała do szuflady. Jest ich milion! Gdybyśmy nie postanowili części mebli sprzedać, a wcześniej ich opróżnić, w życiu bym go nie znalazł. Już byłem bliski wezwania fachowców do zmiany kodów. Nie ukrywam, że jako chłopaka wychowanego u babci w kawalerce na Promyka trochę mnie to męczy. Kasia się jednak uparła, że skoro jesteśmy rodziną, musimy mieć dom. Kupiłem go okazyjnie, bo zlicytowali jednego mojego kumpla, a wypadało chłopakowi pomóc wyjść z długów. Na niektórych meblach i eksponatach zostały jeszcze numery po komorniczej licytacji, ale mnie to nie przeszkadza. Z czasem się to spatynuje. No i tak sobie tutaj koczujemy… – Zaśmiał się. Klepnął się po udach. – Ale dosyć o tym. Nie przyszliście przecież słuchać, jak mi idzie.

– Czemu nie? – burknął Hubert, ale Drinu zniknął już w jakimś korytarzu i z oddali dobiegało ich otwieranie szafek i stukot spadającego szkła.

W tym czasie detektywi nie wymienili ze sobą nawet jednego zdania. Gospodarz wrócił, niosąc w rękach wodę mineralną i szklanki z takimi samymi nadrukami meduzy jak stół, przy którym stali. Hubert zdołał odczytać napisy na brzegach. Był to mebel projektowany przez samego Alessandra Versacego i sygnowany jego nazwiskiem wraz z datą.

– Siadajcie. – Demianiuk odsunął jedno z krzeseł. – Nie miejcie żalu, że Kasia tak się wzburzyła. Internet kipi od wiadomości, a ludzie w branży zaczęli już plotkować. Jeśli mogę spytać, czy to Rui zginął w tym pożarze?

– Skąd takie założenie?

– Cóż, to chyba logiczne. Dziennikarze przekupili któregoś z waszych i potwierdzono tablice rejestracyjne. Te informacje są już dostępne dla każdego. Auto należało do mojego nieprzyjaciela.

– Myślałem, że wspólnika – sprostował Hubert i uśmiechnął się przymilnie.

– Miałem nadzieję, że zrobimy razem jakiś biznes, ale ten cwaniak się na mnie wypiął. O tym, co zaszło i że mnie bezczelnie okradł, pan komendant chyba opowiadał? – wyjaśnił Drinu i zawiesił spojrzenie na Walskim.

– Chętnie wysłucham pana wersji – zachęcił go Hubert.

– Ależ nie ma o czym opowiadać. – Drinu machnął ręką. – ATRIUM Michel Angelo de Souza od lat budują na naszych terenach. To żadna tajemnica. Załatwiałem im działki w tej okolicy, a oni zdobywali stosowne fundusze. Kiedy rzecz była na tyle dojrzała, by rozpocząć budowę, podpisywaliśmy umowę sprzedaży. Tym sposobem mojej firmy nigdy nie było w papierach, za to forsa lała się wartkim strumieniem. Myślicie, że skąd mam na taką chatę? Przecież nie z haraczy moich przodków! Mamusia nie bez powodu wydała wszystko na moją edukację. Jestem wykwalifikowanym finansistą. Zdziwko, nie? – Zarechotał.

Wstał, sięgnął po bluzę z kapturem i wciągnął ją przez głowę.

– Rok temu Rui złożył mi propozycję – mówił dalej. – Chciał, żebym oficjalnie wszedł z nim do spółki. Wiatraki, pewnie o tym wiecie, bo listów i wniosków o ściganie spłynęło przecież na twoje biurko całkiem sporo, podkomisarzu Walski. Już się wtedy mówiło o zmianie ustawy, która to przyblokowała, więc rozważałem rzecz serio.

Wpłaciłem na jego prywatne konto sto baniek jako zadatek na kapitał zakładowy, żeby Rui wiedział, że nasza dżentelmeńska umowa pozostaje w mocy. Cóż, spółka nie powstała, a forsy do dziś nie zobaczyłem i chyba mogę się z nią pożegnać. Ewentualnie jak notariusze podsumują schedę, zgłoszę się do osoby, która dziedziczy po Ruim. Tej forsy nie odpuszczę, nie ma mowy. Oto baza całego naszego konfliktu. Musi pan też wiedzieć, że siedzący tu obok Boguś od zawsze był po stronie Portugalczyka.

Hubert zerknął podejrzliwie na wicekomendanta. Walski nie wspominał, że jest w zażyłości z podejrzanym, ale tak być musiało, skoro ten zwracał się do zwierzchnika komisariatu na ty. Teraz policjant ostentacyjnie odwrócił wzrok.

Drinu nie przejął się porozumiewawczymi spojrzeniami gości. Kontynuował zacietrzewiony:

– Boguś nie kiwnął nawet swoim małym, żeby mi pomóc. A jeszcze groził, że przypnie mi się do dupy. Nie było tak, sam powiedz, szefuniu?!

Walski milczał. Pięści miał zaciśnięte tak mocno, że aż knykcie mu zbielały.

– Tak było! – powtórzył Drinu. – Czy zarzucasz mi kłamstwo?

– Mówiłem, że to sprawa dla sądu cywilnego – bronił się słabo funkcjonariusz.

Hubert był już pewien, że panowie są spoufaleni. Na czym dokładnie ich unia polega, jeszcze nie wiedział, ale cholernie mu się to nie podobało. Tym czujniej słuchał utyskiwań Walskiego i jego wyrzutów.

– Czego ode mnie oczekiwałeś? – zakończył wywód komendant. – Że gościa przymknę?

– Powinieneś był! – fuknął Drinu z satysfakcją. – Może Rui nie spłonąłby wczoraj w swoim wypasionym wozie. Uratowałbyś mu życie. – Urwał.

– Skoro tak sytuacja się przedstawia, muszę spytać o pana alibi. – Meyer wszedł im w dyskurs.

– Małżonka przecież zapewniała, że zaświadczy na moją korzyść – odpysknął Demianiuk.

– Więc w tej chwili odpowie pan na kilka pytań. – Meyer nie odpuszczał.

– A niby na jakiej podstawie? – zbiesił się Drinu. – Nie mam nic wspólnego z tym mordem. Nie muszę z wami gadać. Robię wam uprzejmość tylko i wyłącznie ze względu na Bogusia.

Walski był już cały czerwony na twarzy.

– To czysta formalność – łagodził Meyer. – Możemy liczyć na krótką rozmowę czy woli pan wezwanie do komisariatu? A może życzy pan skonsultować się wpierw z adwokatem?

– Z doświadczenia moich przodków wiem, że świadkowie nie mają prawa do adwokata. Zresztą, on mi na nic. Marcin jestem, dla przyjaciół Drinu, i nie mam nic do ukrycia. – Wyciągnął dłoń w kierunku profilera. – W komisariacie mogę zwracać się do ciebie oficjalnie, ale w moim domu zdecydowanie łatwiej będzie rozmawiać bez tych panów. Skoro chcesz gadać, inspektorze, to pogadajmy. Robert, dobrze zapamiętałem?

– Hubert. – Meyer odchrząknął niezadowolony. Oddał uścisk i szybko zabrał rękę.

– Więc słuchaj mnie uważnie, Hubercie. – Drinu rozparł się wygodniej na krześle. Pociągnął duży łyk swojej whisky. – Zdecydowanie nie mam nic wspólnego ze sprawą spalenia wozu Ruiego. Kaśka jest wściekła, bo podejrzewa mnie, że jest wręcz przeciwnie. Musisz wiedzieć, że ten deal z wiatrakami nie wypalił też za jej sprawą. Kilka razy bzyknęła się z Portugalczykiem, ale to już przeszłość. – Zatrzymał się, wypił całą zawartość szklanki, odstawił naczynie z impetem, a potem nagle wstał i dolał sobie jeszcze większą działkę. – Nawet więcej niż kilka razy, nieważne, bo już to sobie wybaczyliśmy. Zdrada to nie przyczyna kłopotów

w małżeństwie, tylko jej skutek. Pochodziliśmy na terapię, a miła pani doktor wszystko nam wyjaśniła: mężczyzna powinien bardziej kochać swoją kobietę niż siebie, a kobieta winna okazywać mu respekt. Kasia poszła na bok, bo czuła się niekochana, a mnie brakowało jej szacunku. Koniec kropka. Pan de Souza był tylko papierkiem lakmusowym błędów, jakie popełniliśmy w naszym związku. Kiedy znów zaczęliśmy sobie nawzajem dawać to, co każdy dostać powinien, wszystko się naprawiło. Wyskoki Kasi z Ruim to nic istotnego. Błahostka. Ot, urozmaicenie codzienności, przejściowa igraszka. Mamy bobaska, dobrze nam się układa. I ona, i ja wiele się przy tej okazji o sobie nauczyliśmy. Ja też zrozumiałem, co robiłem źle, także w poprzednim małżeństwie. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem dziś, pewnie do tamtego rozwodu by nie doszło, ale człowiek nie zwierzę, uczy się całe życie. Tę sprawę mamy więc zamkniętą, kapiszi? A dzisiaj, kiedy Kaśka dowiedziała się, że auto Ruiego spłonęło, od razu rzuciła się do mnie z mordą. Dlatego uprzedzę twoje knucie i odpowiem na pytanie, którego nie zadałeś, ale chciałbyś znać odpowiedź.

– Słucham – mruknął Hubert. – Jakie to pytanie?

– Kluczowe – zaśmiał się Drinu. – I nie, nie zabiłem tego gościa, a nawet gdybym chciał to zrobić, bo przyznaję, że swego czasu myślałem o tym każdej nocy i w każdej godzinie, wykonałbym to zgoła inaczej. Nigdy byście go nie znaleźli! No i z pewnością nie robiłbym takiego cyrku. Czy to jasne?

– Jak słońce – odparł Meyer. – Podaj mi tylko, gdzie byłeś dwudziestego pierwszego października, godzina po godzinie, aż do pierwszej w nocy dwudziestego drugiego, bo wtedy Boguś pojawił się ze swoją ekipą nad Wisłą i z pewnością zaręczy, że ciebie tam nie widział.

Drinu wpierw spojrzał na Meyera gniewnie, ale po chwili na jego twarz wypłynął wielki jak banan uśmiech.

– W domu byłem. Tak jak mówiła Kasia. To szczera prawda, Hubercie. – Uderzył się w pierś.

– Ktoś jeszcze cię widział?

– Nasz maluch – odparł niepewnym głosem biznesmen.

– Musi chłop trochę podrosnąć, żebym mógł odebrać od niego zeznanie – skwitował profiler. – Zastanów się jeszcze, czy to jest całe twoje alibi. Żona?

– Mnie się zdaje, że to niemało. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Dziadunio niejeden raz wychodził z paki, bo babcia za niego ręczyła. A co do tatusia, to i kochanki się przydawały. Zakochana kobieta potrafi uratować człowiekowi życie.

– Tutaj jest podobnie? – wzburzył się nagle Walski. – Mów lepiej prawdę!

– Nie denerwuj się tak, Bogusiu, bo ci żyłka pęknie – uspokajał policjanta Drinu, ale odniósł odwrotny skutek. Walski na zmianę bladł i się czerwienił.

– Byłem w domu – powtórzył Demianiuk. – A jeśli mi nie wierzycie, wasz kłopot.

Zapadła cisza. Meyer postukał długopisem w kartkę, złożył świstek na czworo i schował go do kieszeni.

– Skoro tak, przyjmuję twoje słowo za pewnik – oświadczył. – A korzystając z okazji, że jesteśmy tu chwilowo sami, w męskim gronie, chciałbym jeszcze o coś spytać. Przydałaby się nam twoja pomoc.

– Pytaj – rozpromienił się Demianiuk. Ulżyło mu, że wizyta policjantów zmierza do końca. – Jeśli mogę w czymś pomóc, zawsze to zrobię.

– Jak długo znałeś Ruiego?

– Będzie z siedem lat. Może dłużej? Nieźle go znałem. – Drinu się zawahał. – Mówisz w czasie przeszłym. A więc w tym rolniku to jego ugotowano?

Meyer nie odpowiedział.

– Jaki był? Jak byś go opisał?

– No cóż, czaruś, bawidamek i kawał sukinkota jednocześnie. Podziwiałem jego zmysł biznesowy, intuicję,

spryt oraz zadziwiający wręcz fart, godny fakira… Trzeba przyznać, że miał facet dużo szczęścia. Jak rozgrywał, ostra jazda bez trzymanki gwarantowana. Wielu by się na tych jego pomysłach wyłożyło, ale Rui spadał na cztery łapy. Przypłacał to zdrowiem, bo w wieku czterdziestu kilku lat miał już wszczepiane bajpasy i coś tam z woreczkiem żółciowym było nie halo. Wszystko ze stresu, bo tak ogólnie był zdrów jak rydz. Trenował boks, pływał, regularnie bywał na korcie. Dbał o siebie i zawsze znalazł sobie niekiepską kobitę do adorowania. Miał reprezentacyjną żonę, ale też cały tabun kochanek. Nie od dziś wiadomo, że babki gustują w łotrach. A Rui to był łotr, rekin i całkiem ostry wirażka.

– Lubiłeś go?

– Zanim zniewolił mi żonkę? Pewnie. Zaryzykowałbym nawet, że swego czasu wielbiłem psubrata…. Nieraz chadzaliśmy na lumpy, jak mawiała moja świętej pamięci babka, a Rui bez trudu wyrywał co lepsze niunie. Korzystał ze swojego pochodzenia, statusu. Żył, tak jak umarł. Z hukiem.

– Wcale nie potwierdziliśmy ci, że twój kumpel nie żyje – wszedł mu w słowo Hubert, na co Drinu tylko się krzywo uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Płakać po nim nie będę. Zapomnij.

Założył ręce na ramiona i stanął w pozycji do walki.

– Jakim samochodem jeździsz? – spytał Hubert.

– Dzisiaj czy tak kurtuazyjnie pytasz, ile mam wozów?

Psycholog musiał się chwilę zastanowić.

– Którym jeździłeś w piątek, dwudziestego pierwszego? – doprecyzował.

– Porszakiem. – Drinu nawet się nie zastanawiał. Odpowiedź padła natychmiast. – Ostatnio to mój ulubiony. Mam go od niedawna, więc jeszcze mi się nie znudził.

– Możemy wypożyczyć klucz do tego auta?

– A po co? – wzburzył się Drinu. – Macie nakaz? Mówiłeś przecież, że nie jestem podejrzany!

Walski odsunął się i przyglądał Meyerowi wnikliwiej. Jego oczy mówiły niemo: co ty za szopkę odstawiasz?

– Pytam po koleżeńsku, czy użyczyłbyś mi klucza – powtórzył profiler. – Oraz czy mógłbyś na ten krótki czas, kiedy będziemy robili pewien eksperyment, zostawić ten samochód w garażu. Nie jeździć nim do odwołania. Na pewno masz jakiś inny, który też lubisz. To co, zgoda?

Drinu namyślał się dłuższą chwilę.

– Nie – odrzekł stanowczo. Dalej mówił, jakby dyktował do protokołu: – Nie zgadzam się na udostępnienie wam klucza do mojego porsche. Z prostej przyczyny, praktycznie wcale nim nie wyjeżdżałem. Stał pod bramą. Tylko na stację po wino podjechałem, ale to już wieczorem.

– Jesteś pewien? – Hubert znów wyjął swoją kartkę zza pazuchy. Zanotował coś i mocno to podkreślił.

– Tak zdecydowałem – powtórzył świadek. – I zdania nie zmienię. Coś jeszcze? Bo Kasia obiecała, że zrobi mi dziś rybę po grecku. Przerwaliście nam.

* * *

## ŁOMIANKI, KOMISARIAT POLICJI

Na tablicy korkowej brakowało już miejsca na kolejne zdjęcia kobiet, a Szczecinek z Joanną Fabijańczyk, zwaną przez wszystkich Pańcią, najzdolniejszą analityczką z zespołu Walskiego, wciąż drukowali kolejne dossier kochanek Ruiego. Kiedy Meyer z wicekomendantem weszli do sali, tych dwoje zaśmiewało się do rozpuku z póz i min jednej z amantek Portugalczyka na Instagramie.

– Przeszkadzamy? – ryknął na młodych Walski.

Pańcia i Szczecinek natychmiast odskoczyli od siebie i zrobili niby skupione miny.

– Co wam tak wesoło? – Komendant przyjrzał się im podejrzliwie.

– Daj już spokój – wziął ich w obronę Meyer. – Niech się bawią! Nigdy nie miałeś dwudziestu paru lat?

– Nigdy – odparł za Walskiego Szczecinek, na co Pańcia wybuchnęła niekontrolowanym chichotem.

To nie poprawiło humoru zwierzchnikowi tej jednostki. Łypał ze złością to na kumpla, to na swoją protegowaną.

– Nie licz na premię za nadgodziny – wyburczał do Pańci, a po chwili przeniósł wzrok na Szczecinka. – Z tobą policzę się na piłce. Najlepszą dziewczynę mi bałamuci.

– Coś szef nie w humorze – wyszeptała Joanna i urwała, widząc, że Walski naprawdę nie jest dziś skłonny do żartów. – Jestem tu dla przyjemności.

– Właśnie widzę – wyburczał komendant. – A liczyłem, że odwalisz kawał roboty.

– Przecież pracujemy! – Pańcia była bliska płaczu. – Nawet nie zrobiłam przerwy na obiad…

Hubert uznał, że musi wkroczyć, bo sprawa zaczynała być kuriozalna. Objął ramieniem Pańcię i Szczecinka, siłą przesunął ich do biurka, gdzie piętrzyła się sterta akt i tam zostawił. Dopiero wtedy zwrócił się do Walskiego:

– Idź, Bogusiu, lepiej do swojej papierkowej roboty, a my tu pogłówkujemy. Jak będziemy gotowi, przyjdę do ciebie z wnioskami. Nie denerwuj się tak! Trochę żartu przy robocie nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Sprawa jest makabryczna, a dzieciaki tak czyszczą się z emocjonalnego gnoju. To nic złego.

Walski mruczał coś pod nosem, ale ostatecznie nic nie odpowiedział. Machnął tylko ręką i markotny opuścił salę.

– Szef jest jakiś nieswój – skwitowała Pańcia. – Nawet nie odciął się bluzgiem. Nie poznaję go.

– Dojdzie do siebie – zbagatelizował uwagę Meyer.

– Coś go gryzie – dorzucił Szczecinek.

– Pewnie przyjaźń z Drinem – syknął Hubert, ale nie wyjaśnił młodym nic więcej.

Podszedł do tablicy. Przyjrzał się przypiętym do niej zdjęciom kobiet.

– W zdecydowanej większości obiektywnie ładne – ocenił.

Przewertował przypięte pod każdą fotografią fiszki.

– Inteligentne i wykwalifikowane. Niezależne. Zajęte – dorzucił. – Słowem, bezpieczny podryw, który wcześniej czy później się kończy i pozostaje sekretem. Każdej ze stron to pasuje.

– Wszystkie były zamężne albo mieszkały z partnerem.

Szczecinek poczuł wiatr w żaglach i wysunął się przed szereg. Szturchnął Pańcię, by dziewczyna stanęła u jego boku. Zaczęli relacjonować, nieustannie wchodząc sobie w słowo.

– Analiza dotyczy ostatniego roku. Od stycznia do lipca gość przerobił pięćdziesiąt trzy panienki, co daje średnio jakieś osiem miesięcznie.

– Nieprawda, wpierw było ich dwanaście, a potem ich liczba stopniowo maleje – sprostowała policjantka.

Hubert zmarszczył brwi.

– Ustatkował się?

– Raczej casting dobiegł końca – odparła z powagą Pańcia. – W pierwszym kwartale roku sprawdzał, które nadają się do dalszej obróbki. Po odsianiu listy rezerwowej zostało mu ledwie dziesięć. Może jedenaście? O tym więcej później.

Chwyciła ołówek i kolejno wskazywała twarze kobiet umieszczonych na samej górze odwróconej piramidy.

– Te znalazły się w finale: Ilona, Marysia, Kasia, Olga, Maria, trzy Julie i dwie Ewy. Z danych dostarczonych przez detektywa Gardockiej wynika, że z niektórymi spotkał się tylko raz. Po prostu zostały wyeliminowane z konkursu.

Hubert podszedł do tablicy i zerwał wspomniane profile. Wręczył te dossier Szczecinkowi.

– Odwiedzisz je – polecił.

– Wszystkie? – wzburzył się młody profiler.

Meyer policzył te, których wizerunki wciąż wisiały na tablicy.

– To raptem czterdzieści trzy śliczne panie. – Uśmiechnął się z satysfakcją. – Dasz radę.

– Muszę pojechać do rodziców – zaczął Szczecinek. – Obiecałem matce…

– Ja to zrobię – zaoferowała się Pańcia i odebrała kartki od kolegi. Zaczęła je równo układać.

– No dobra – złamał się chłopak. – Zrobimy to razem.

Dziewczyna spojrzała na Szczecinka z wdzięcznością, a w jej twarzy Meyer spostrzegł interesującą słodycz. Czyżby tych dwoje miało się ku sobie? Przyglądał się im jeszcze chwilę z kpiącym uśmiechem, ale zdawali się go nie zauważać, więc odchrząknął znacząco.

– Co wiemy o finalistkach?

– Połowa pracowała w jego firmach albo była niezależnymi ekspertkami w swojej dziedzinie. Mamy też lekarkę, która opiekowała się nim w szpitalu.

– Olgę?

– Zgadza się – potwierdziła Pańcia. – I fryzjerkę Ewę. Jedna Agata robiła mu regularnie masaż zdrowotny, a Ilona siedzi na kasie w biedronce.

– Z takim ciałem? – zdziwił się Hubert, patrząc na zdjęcie biustu Ilony umieszczonym na Instagramie z hasztagiem #wdomunajlepiej #piateczek #samawdomu.

– Na to wygląda – potwierdziła Pańcia. – Randkował z nimi, prowadzał do restauracji, a potem przeważnie był już tylko seks w hotelach. Bardzo rzadko zostawał na noc. Zwykle

robili to w ciągu dnia, choć były wyjątki. Zwłaszcza w drugim półroczu.

Meyer się odwrócił.

– Co zmienia się w tym systemie w drugim półroczu?

– Do finału przeszły tylko cztery.

Pańcia podeszła do tablicy i zdjęła nadmiarowe profile, włożyła je do foliowej koszulki i wręczyła Szczecinkowi, by dołączył je do puli, które mieli odwiedzić.

– Na później. – Mrugnęła porozumiewawczo do młodego profilera.

Hubert przysunął sobie krzesło. Zapatrzył się na cztery twarze wyselekcjonowanych kobiet.

– Kasia, Ilona, Agata i Marysia – odczytał. – Tylko z tymi spotykał się przez ostatnie pół roku przed śmiercią? – upewnił się.

– Uważamy tak na podstawie dostępnych danych – potwierdziła Pańcia. – Regularnie umawiał się z Katarzyną, żoną Marcina Demianiuka, Iloną Pokorą, ekspedientką ze spożywczaka. Warto zauważyć, że obie mają po dwadzieścia dwa lata. Do tego zestawu dochodzą jeszcze Agata Wolanin, pięćdziesięcioparoletnia masażystka, i jego osobista asystentka typu „nie mylić z sekretarką”. Jeździła z nim na spotkania biznesowe, także za granicę. Regularnie bywała na kolacjach i robiła mu zakupy ubraniowe. Przy okazji zabezpieczała sobie raz w miesiącu torebkę Prady. Wygląda na to, że to jej ulubiona marka. Tej ostatniej kochance Marysia na imię, a na nazwisko Gardocka, i dopiero miesiąc temu zaczęła dwadzieścia lat. Kiedy startowała w castingu, była świeżo upieczoną maturzystką.

– To dziecko jest jakoś spokrewnione z żoną Portugalczyka? – dopytał Hubert.

– Diana Gardocka jest w prostej linii ciocią Marysi – wyjaśniła Pańcia.

– Więc nasz poszkodowany za plecami żony posuwał kogoś z jej rodziny? Dobrze to sprawdziłaś?

– Marysia i Diana są rodziną na fejsie. Mają mnóstwo zdjęć razem. W tych galeriach Rui też się pojawia. Tak, to pewna informacja – przytaknęła Pańcia.

Na chwilę w pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Sam de Souza to rocznik sześćdziesiąty ósmy, chociaż trzeba przyznać, że na tyle nie wyglądał. W każdym razie za życia – dodała analityczka i umilkła.

– Doprawdy interesujący zestaw – mruknął Hubert. Wyjął swój karteluszek z kieszeni, rozłożył. – Pomijając rodzinne koligacje Gardockich, to naprawdę zaskakujące, bo Marcin Drinu Demianiuk i jego małżonka opowiadali mi przed chwilą, że romans Katarzyny zakończył się ponad rok temu.

– Musisz wiedzieć, że kontakty Katarzyny Demianiuk i Ruiego de Souzy w ostatnim półroczu nie były częste. Powiedziałabym nawet, że epizodyczne – weszła mu w słowo policjantka. – A wcześniej też randka co dwa tygodnie albo raz w miesiącu, to wszystko. Facet nieźle się gimnastykował, żeby ten harem zmieścić w grafiku. Pamiętajmy, że prowadził te relacje tak, coby żona się nie zorientowała, no i był pracoholikiem. Oczywiście Marysia bzykała się z nim głównie na wyjazdach służbowych. Jak ten detektyw to wszystko wykrył i udokumentował, pojęcia nie mam – podkreśliła. – Ale jest dobry. Naprawdę świetna wywiadowcza robota. A może i szpiegowska?

– Rachunek i tak się nie zgadza – przerwał jej peany Hubert. – Ta cała Kasia Demianiuk, początkująca piosenkarka i dwudziestodwuletnia żona Drina, ma niemowlę. Urodziła nie dalej niż dwa miesiące temu. Według tych wytycznych musiałaby być w zaawansowanej ciąży, kiedy randkowali.

Szczecinek i Pańcia spojrzeli po sobie.

– To jeszcze nie wszystko. – Szczecinek wyjął z drukarki skan profilu bez zdjęcia. – Była jeszcze jedna kandydatka, z tym że jej konto zostało usunięte. Nie wiemy, kim jest, jak

wygląda ani czym się zajmuje. Według rozpiski detektywa z tą wybraną panią de Souza spotykał się czasem i trzy razy w tygodniu. Znamy tylko jej ksywę zanotowaną przez detektywa ze skanu telefonu zmarłego. Cykoria. Wygląda na to, że prowadziła biuro księgowe. Sprawdziliśmy. Takowe nie istnieje.

– Cykoria? Jak to warzywo? – upewnił się Meyer.

Pańcia pokiwała głową.

– W telefonie de Souzy jest ślad po esemesie od Cykorii. Wysłany tydzień temu i zaraz skasowany. Ich następna randka była zaplanowana na dzisiaj.

– Gdzie? – Meyer wyprostował się na krześle i przeciągnął, aż chrupnęły stawy. – O której?

Szczecinek poszperał w dokumentach.

– Dziś o osiemnastej w butikowym hotelu H Piętnaście.

* * *

## WARSZAWA, ULICA POZNAŃSKA

W lobby hotelu była tylko grupa zamożnych Ukraińców. Wszystkie kobiety miały przewieszone na ramionach torebki Louisa Vuittona, a obok kontuaru recepcji stały ich liczne walizki, również tej samej marki. Z obrzydzeniem wpatrywały się w rozczochranego faceta, który w osmolonym i śmierdzącym spalenizną ubraniu wepchnął się przed nimi w kolejkę i wymachując odznaką, domagał się natychmiastowej rozmowy z kierownikiem zmiany.

Recepcjonista nie dał się wyprowadzić z równowagi. Spojrzał na dokument profilera, przeprosił gości i wskazał policjantowi stolik w lobby, a kiedy ten karnie zajął miejsce i na chwilę ucichł, zaproponował mu szklankę wody.

– Chętnie – wyburczał zrezygnowany Hubert, rozglądając się bacznie, ale poza rejestrującymi się przyjezdnymi i obsługą nie było nikogo. – Możesz też zrobić mi kawy. Piję czarną, mocną. Bez cukru.

Nie był w stanie powiedzieć nic więcej, bo zaniósł się dławiącym kaszlem. Recepcjonista błyskawicznie się ulotnił. Nie minęła chwila, a przed Hubertem stanął kelner, który na tacy poza wodą i kawą niósł również słodycze. Za nim podążał wysoki, chudy przystojniak z półdługimi kręconymi włosami.

– Czym możemy służyć policji, panie Meyer? – spytał uniżenie. Podał swoje stanowisko i przedstawił się krótko. – Jestem Oliwier.

– Dziś o osiemnastej zamelduje się tu pewna kobieta – zaczął Meyer. – Najprawdopodobniej bywała już wcześniej. Z kochankiem.

– Ach – westchnął menedżer. Spojrzał na zegarek. – To za kwadrans.

Hubert zmierzył go długim spojrzeniem.

– Podejrzewamy, że ta osoba wejdzie i wyjdzie – kontynuował. – Musimy mieć pewność, że jej nie przeoczymy.

– Zna pan jej nazwisko? – spytał Oliwier. – To by wiele ułatwiło.

– Niestety nie mogę go ujawnić. – Hubert odchrząknął. – Z prostej przyczyny. Nie znam go.

Na twarzy młodego mężczyzny nie widać było zdziwienia.

– Może określę to inaczej – powtórzył chłodno hotelarz. – Zna pan nazwisko, na które dokonano rezerwacji, lub też numer wybranego pokoju?

– Rui Coelho Tavares de Souza.

– A więc o to chodzi – domyślił się Oliwier. Wyjął z kieszeni swój telefon, włączył aplikację i wstukał nazwisko Portugalczyka. – Na dzisiaj nie mamy takiej rezerwacji – oświadczył. – Chociaż faktycznie pan de Souza bywał u nas wielokrotnie, czym jesteśmy zaszczyceni.

– Zdarza się wam rezerwować pokoje na hasło, imię, rodzaj pseudonimu?

– Nigdy. Potrzebujemy nazwiska, aktualnego dokumentu ze zdjęciem i koniecznie karty płatniczej. Praktycznie nie przyjmujemy płatności gotówką. Goście z Ukrainy mają do tego prawo w drodze wyjątku. Polacy zasadniczo wybierają kartę lub przelew.

– Ma pan w systemie dane kobiety, z którą pan Souza bywał u was wcześniej?

– Oczywiście, ale nie mogę ich panu udostępnić, nawet gdybym chciał. Te dane objęte są tajemnicą. – Hotelarz się zawahał. – Zresztą takich nazwisk jest kilka. Pan de Souza posiada wiele przyjaciółek. Gdyby sprawa nabrała rumieńców procesowych i prokuratura lub sąd by nam to nakazały, oczywiście przekażemy te informacje, lecz teraz, ze względu na delikatność sytuacji, nie mogę. Jak dotąd prokuratura się o to nie zwróciła – podkreślił.

– Ale legitymowaliście każdą z kochanek de Souzy? – upewnił się Hubert i z lubością patrzył, z jakim trudem Oliwier stara się zachować powagę. Tak dosłowne określenie sprawy wyraźnie było mu nie w smak. – Są ich pełne dane?

– Legitymujemy każdego z gości. Wyjątkiem były sytuacje, gdy pan de Souza przybywał do recepcji sam, a ta pani wchodziła do jego numeru nielegalnie.

– Znaczy się prostytutka?

Oliwier nie wiedział, gdzie podziać wzrok.

– Niech pan nie udaje świętoszka – popędził go Hubert. – De Souza zamawiał dziwki? Przecież wiesz wszystko o tym, co i w jakim pokoju się tutaj odstawia. Nie powiesz mi chyba, że w tym przybytku nie postała noga żadnej kurtyzany?! – Płynnie przeszedł na „ty”.

Oliwier westchnął ciężko, wygładził klapy swojego garnituru.

– To też się zdarza, nie będę zaprzeczał – przyznał niechętnie. – Ale nigdy u tego gościa. Pan de Souza nie musiał płacić za seks. Po prostu zdarzało się, że panie przychodziły później, kiedy gość był już zarejestrowany.

– Zatrzymywaliście je? Rejestrowaliście? – chwycił się tej brzytwy Hubert, ale hotelarz niemrawo kręcił głową.

– Przymykaliśmy na to oko – odparł wreszcie. – Uznawaliśmy, że akurat tej pani szczególnie zależy na anonimowości. Pan de Souza najczęściej brał apartament, więc kosztowo nam się to zgadzało. Nie było podstaw do wszczynania awantur. Nigdy nie było sytuacji dwuznacznej albo i narażającej kogokolwiek na skandal. Gdy przyjaciółka schodziła na śniadanie z panem de Souzą, biznesmen zawsze płacił za jej posiłek.

– Dobrze, chłopcze, wszyscy mieliśmy kiedyś romanse – wyburczał Hubert głęboko zamyślony, jakby układał w głowie plan i zastanawiał się tylko, jak go technicznie przeprowadzić.

Milczenie profilera trwało jakiś czas, więc Oliwier nie wytrzymał. Dopytał:

– Wie pan chociaż, jak ta kobieta wygląda? W jakim jest wieku?

– Chciałbym, lecz odpowiedź jest tożsama z poprzednią: nie mam bladego pojęcia. Mniemam jednak, że musi być atrakcyjna i raczej niestara.

– Atrakcyjna? – Oliwier się uśmiechnął. – To może być wiele podejrzanych. Hotel jest butikowy, ale przychodzą praktycznie same atrakcyjne panie. Może jakiś detal, coś konkretnego?

– To musi ci wystarczyć. – Hubert wyciągnął z kieszeni rolkę papieru toaletowego i oderwał kilka listków, zaczął dmuchać nos. – Wiem tylko tyle, że ona dziś przyjdzie, wejdzie do pokoju i najprawdopodobniej szybko się ulotni, bo kochanka w nim nie będzie.

– Pokój jest opłacony?

– Nie wiem – mruknął Hubert. – Skoro nie masz w bazie de Souzy, raczej go nie opłacił. Inaczej sprawa by się przedstawiała, jeśli to na nią wynajęta jest garsoniera. A tych danych też pewnie nie chcesz mi podać?

– Póki nie poda mi pan jej personaliów, nie mogę. Nie to, że nie chcę… Po prostu nie wolno mi ujawniać nazwisk gości, a do tego by się to sprowadzało. Chyba pan mnie rozumie?

– Okay – poddał się Meyer. – Ulokuj mnie gdzieś tutaj bezpiecznie, żebym miał widok na wejście, windy i ewentualną drogę ewakuacyjną.

– To podejrzana? Mamy się obawiać jakiegoś ataku? – zaniepokoił się menedżer. – Jest niebezpieczna?

– Nie sądzę – uciął Meyer. – Może być jednak ważnym świadkiem w sprawie o zabójstwo.

– Zabójstwo? – Pierwszy raz profilerowi udało się wzbudzić w hotelarzu emocje. Nie przerażenie jednak, lecz drwiący uśmiech. – Czego pan ode mnie oczekuje? Mam dać znak, gdy pojawi się jakaś samotna kobieta? Zatrzymać ją, zagadać?

– Najchętniej poprosiłbym o całą listę gości wraz z ich dokumentami, bo pobieracie je do systemu, prawda?

– Wie pan, że tego nie mogę zrobić.

– Niby dlaczego? Co ci szkodzi? – Meyer przekrzywił głowę, pociągnął nosem. Sięgnął znów po swoją rolkę z papierem. – Przecież nie będę do nich wszystkich dzwonił. Nie narobię ci wstydu.

– Przepisy mi tego zabraniają. Gdyby przyszedł pan z nakazem, również staralibyśmy się to jakoś obejść – przyznał Oliwier. – Tego typu plotka poważnie zaszkodziłaby renomie hotelu. Nie każdy chce, by policja miała dostęp do jego danych. A już tym bardziej gdy w grę wchodzi sprawa kryminalna najwyższego kalibru.

– Znasz de Souzę osobiście? – wypalił Hubert. – Często tu nocował z babkami, a pracujesz już jakiś czas… Lubicie się?

– Nie fraternizuję się z gośćmi. To nieprofesjonalne.

– Kojarzysz go jednak? Starszawy przystojniak w typie południowym. Zawsze dobrze ubrany, wysoki, szarmancki.

– Owszem, wszystko się zgadza. To ważna persona i istotny dla nas klient. I nie, nie sądzę, by on mnie kojarzył. Przykro mi, że nie mogę panu bardziej pomóc.

– Słuchaj no, Oliwier. – Hubert się zbiesił. – Zostało nam raptem siedem minut, więc skoro nie chcesz pomóc, przynajmniej nie przeszkadzaj. Coś mi się zdaje, że nosimy ten sam rozmiar.

Dotknął nieskazitelnego czarnego garnituru mężczyzny.

– Na tę godzinkę udostępnisz mi swoją personę – rozkazał.

Oliwier podniósł brew w geście niedowierzania. W żaden inny sposób nie okazał szoku.

– No już, idziemy do kibla i się przebieramy. – Meyer się uśmiechnął. – Tylko pranie robiłem w zeszłym tygodniu, a w nocy łaziłem po pogorzelisku, więc jeśli masz coś własnego na zmianę, to nie zaszkodzi przynieść…

Obejrzał się na drzwi wejściowe, bo pojawili się nowi goście. Ukraińcy już się zarejestrowali i zmierzali właśnie do wind. Ich drogocenne walizki woźny pakował na wózek. Do recepcji zmierzała kobieta z dwójką dzieci i grubawy facet o dziobatej twarzy w czapce pilotce, ubrany w pikowaną kurtkę do polo. Hubert przyjrzał mu się i zastanowił, czy to jakaś znana postać. Jego twarz kojarzył, ale nie potrafił połączyć jej z nazwiskiem. Może celebryta?

– Kto to jest? – szepnął.

Oliwier w odpowiedzi wzruszył ramionami. Zdawał się znudzony, ale też nie spuszczał wzroku z faceta w pikowanej kurtce. Nic nie mówił.

– Ktoś znany? Kojarzysz typa?

– Nie mam pojęcia. U nas widzę go pierwszy raz – wyszeptał młodzieniec.

Rozbrykane bachory tej pary biegały w tę i z powrotem, dotykając wszystkiego. Omal nie strąciły wielkiej wazy stojącej u wejścia.

– Trudno. – Hubert wstał. Zdjął swoją osmoloną kurtkę. – No już, co się gapisz? Rozbieraj się, synu!

– Nie ma mowy. – Oliwier roześmiał się jak z dobrego żartu. – Może pan oczywiście zostać i obserwować wejście, ale to wszystko, co mogę panu zapewnić w ramach mojej dobrej woli.

– Ściągaj te łachy, ale już – warknął Hubert. – Inaczej narobię ci tutaj takiego bajzlu, że się nie pozbierasz. Wejdę z ekipą i będziemy otwierać każdy numer, pokój po pokoju. Wszystkich wylegitymujemy i nakażemy im zostać w szlafrokach w lobby. Pod eskortą. Moi ludzie czekają w radiowozie na zewnątrz. To jak będzie?

Mężczyzna wstał, spojrzał w dal, na ulicę Poznańską. Faktycznie, naprzeciwko zaparkowano oznakowany samochód policyjny.

– Odjadą, dopiero kiedy dam im znak – zapewnił Hubert. – A jeśli to nie wystarczy, złożę oficjalny donos do skarbówki. Chcesz mieć dalej tę robotę czy wolisz, żeby w ciągu miesiąca właścicielka wyrzuciła się na zbity pysk? Bo nawet jeśli niczego nie znajdą w waszych księgach, będą z pewnością o wiele bardziej upierdliwi niż ja.

Oliwier wahał się jeszcze chwilę, znów spojrzał na dzieci buszujące w holu, a potem wstał, pogładził klapy swojego drogocennego munduru.

– Proszę zaczekać. – Pokazał oddalone miejsce. – Ktoś przyniesie panu odzież. Proszę skorzystać z łazienki w tamtym korytarzu.

– To jeszcze nie wszystko – mruknął Hubert, z trudem ukrywając satysfakcję. – Dokooptujesz mnie do ekipy sprawdzającej dokumenty gości. Uprzedź tę miłą panią za kontuarem, że będę jej towarzyszył przez godzinę albo dwie. I niech nie zdradzi się chichotem ani wykrzywieniem warg. Pojąłeś?

Ku zdziwieniu Huberta facet nie zaprotestował. Skinął nieznacznie głową i oddalił się z godnością. Chwilę potem

woźny przyniósł Meyerowi garnitur w markowej folii JOOP wraz czarnym golfem, który Oliwier wcześniej miał na sobie.

Profiler migiem się przebrał i zapinając w biegu marynarkę dołączył do recepcjonistki.

– Nie było jej? – rzucił zdyszany.

– Poza państwem z dziećmi zarejestrowałam tylko jedną parę. Kleili się do siebie, więc raczej nie o nich panu chodziło.

– Świetnie – ucieszył się. – Na czym polega twoja praca? Co robisz, kiedy nikogo nie ma?

– Wpisuję dane do systemu albo układam pasjansa. Czasami grywam w szachy na forsę, bo bywają spore przestoje. Oliwier wzywa nas niekiedy do innych zadań, ale dopóki pan ma tutaj służbę, raczej się to nie zdarzy. – Zachichotała. – Wygląda pan o niebo lepiej niż wcześniej. Powinien pan przychodzić na służbę w takim garniturze.

– Miła jesteś. – Podziękował jej zalotnym uśmiechem. – A dobra jesteś w te szachy?

– Ma pan ochotę się zmierzyć? Uprzedzam, że nie będzie łatwo. – Puściła mu oko.

– To pograj sobie, dziecko, a ja sprawdzę, kogo macie dziś na pokładzie.

– Pan chyba tego nie może… – zaniepokoiła się.

Podniosła dłoń do ust, a drugą ręką już sięgała po słuchawkę.

– Ciii, nikt nie musi wiedzieć. – Położył jej palec na ustach i delikatnie zabrał telefon. – Obiecuję, że nie zostawię śladów. Powiedz mi tylko szybko, gdzie jest drukarka.

* * *

*Przyjechałem pół godziny wcześniej i zaparkowałem tak, żeby mieć dobry widok na wejście do hotelu, ale by Gosia, jeśliby się rozglądała, nie mogła zauważyć naszego samochodu. Ledwie wyłączyłem silnik, przed wejście H15 podjechał oznakowany radiowóz. Na chwilę ciśnienie mi*

*skoczyło, ale zaraz się uspokoiłem. Przecież to logiczne, że dobrali się do jego mediów. Tylko jakim sposobem? Zadbałem przecież o to, by myśleli, że telefon spłonął wraz z nim… Myślałem gorączkowo, czy to nie zasadzka, ale ostatecznie uznałem, że nie mogli posunąć się aż tak daleko. Bałem się, a jednocześnie tak bardzo chciałem widzieć jej twarz, kiedy dowie się, że on nie przyszedł, że byłem gotów zaryzykować.*

*Wysiadłem z auta i ruszyłem śmiało do hotelu. Akurat wchodziła kobieta z dwójką rozbisurmanionych dzieci. Pomogłem jej z walizką i uśmiechałem się do niej, jakbyśmy znali się od dawna. Dzieciaki robiły doskonałą zasłonę dymną. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Ona podeszła do recepcji, zaczęła się rejestrować, a ja udałem, że muszę wyjść do toalety. Kątem oka zeskanowałem sytuację. Poza nami do hotelu weszła jakaś zakochana para. Tych dwoje musiało poznać się niedawno, bo lepili się do siebie, omal nie zaczęli się kochać przy recepcjonistce.*

*W głębi atrium, tam gdzie podają w tym hotelu śniadania, siedziało dwóch facetów. Jeden z całą pewnością był pracownikiem tego przybytku, bo był wymuskany i miał na sobie czarny, niemalże żałobny garnitur. Drugi wyglądał jak dziad, ale był pewny siebie, wyniosły. Ewidentnie to on wiódł prym w tej rozmowie. Młody, z którym rozmawiał, siedział cicho jak trusia i praktycznie się nie odzywał. Niestety poza nimi nie było w tej sali nikogo, więc nie zdecydowałem się na zamówienie kawy, uznając, że mogę zostać zapamiętany.*

*Ruszyłem do toalety, umyłem ręce i cały czas obmyślałem, jak powinienem się zachować, gdy wejdzie Gosia. Wcześniej nie chciałem być widziany, ale teraz coraz bardziej skłaniałem się to tego, by nią wstrząsnąć.*

*Kiedy wyszedłem, spotkała mnie niespodzianka. Za kontuarem siedział ten sam dziad z lobby, tyle że w przebraniu. Chociaż już leciwy, dziewczyna z recepcji skakała wokół niego jak jakaś trzpiotka. Wyraźnie okazywała mu atencję, a może nawet była zachwycona. Nie cierpiałem takich palantów! Staruch kiwnąłby palcem, a ta dzierlatka wskoczyłaby mu do łóżka. Za bardzo przypominał mi Ruiego, od razu go*

*znielubiłem. Przeszedłem obok niego, starając się przyjrzeć mu dokładnie, ale nie było to łatwe. Facet ewidentnie skrywał twarz, jakby bał się rozpoznania. Nie spuszczał wzroku z ekranu komputera, intensywnie czegoś tam szukał.*

*Docierałem już do wind, bo kobieta, z którą wszedłem, zarejestrowała się wcześniej i teraz próbowała ogarnąć swoje dzieci, bagaże i małego psa, którego jakimś cudem wcześniej nie widziałem. Musiała mieć go w specjalnej torbie do transportu zwierząt. Uśmiechnąłem się i zaoferowałem, że kolejny raz jej pomogę. Była wniebowzięta, jakby nikt nigdy nie nosił jej walizek. Nie wiedziałem doprawdy, co zrobię, kiedy znajdziemy się na jej piętrze, bo wyczuwałem, że ona liczy, że wezmę jej numer i się z nią umówię. Ojciec tych dzieci chyba wypiął się na nią albo wcale go nie było, bo traktowała mnie jak swojego przyszłego amanta. Nie, nie zamierzałem korzystać ze słabości tej pani, miałem swoje dzieci do ogarnięcia i żonę, która zagubiła się w akcji. Co będzie, jeśli Małgorzata przyjdzie, a ja akurat będę tracił czas, gadając z obcą babą?*

*Wysiedliśmy, szybko podniosłem jej bagaże, pożegnałem się i zbiegłem schodami ewakuacyjnymi. To wszystko nie trwało nawet kilku minut.*

*Los mnie wynagrodził. Kiedy kolejny raz przechodziłem obok recepcji, udając, że interesują mnie ogłoszenia przy wejściu, spostrzegłem swoją żonę, jak krzywo parkuje na miejscu dla niepełnosprawnych. Zostawiła kluczyki w stacyjce, by obsługa hotelowa mogła zabrać samochód do zaparkowania, i truchtem ruszyła do drzwi. Była w tym samym ubraniu, w którym widziałem ją rano, ale usta pociągnęła czerwoną szminką, a guziczek jedwabnej bluzki rozpięła seksownie aż do łączenia biustonosza. Kiedy się zbliżała, piersi jej falowały, a ona sama była jakby lżejsza, zwiewna. Bardziej urocza, niż kiedykolwiek była dla mnie.*

*Spostrzegła radiowóz zaparkowany przed wejściem, a potem spotkaliśmy się spojrzeniem.*

*Trwało to sekundę, dwie? Nie byłem nawet pewien, czy mnie poznała, ale tak być musiało, bo nagle wycofała się, jakby ktoś oblał ją wrzątkiem, odwróciła i pobiegła z powrotem do auta. Wyrwała kluczyki z rąk chłopaka w kapturze i dżinsach, który już wyszedł bocznym wyjściem, by zaparkować jej wóz w garażu podziemnym. Nim zdołałem dotrzeć do swojego auta, po mojej żonie nie było śladu.*

*Nie goniłem jej. Wiedziałem, że pojechała do teściów, gdzie wciąż były nasze dzieci. Najpewniej zamierza udawać, że jest tam od kilku godzin. Nie przypuszczałem, że ma tyle odwagi, by czekać na mnie w domu i ryzykować rozmowę. Sam się jej trochę obawiałem. Jak wyjaśnię, dlaczego znalazłem się w tym miejscu? Czy powinienem w ogóle to wyjaśniać?*

*Siedziałem w samochodzie, zastanawiając się, jaki ruch przedsięwziąć jako następny, a wtedy na schody wyszedł ten starszy gość zza kontuaru recepcji. Zdjął okulary, poczochrał swoje sterczące na wszystkie strony włosy i wtedy go poznałem.*

*Zmienił się, bardzo schudł, choć musiałem przyznać, że nieźle się starzał. Zamiast barczystego bysia był z niego teraz żylasty kogut. Skronie przyprószyła mu siwizna, a szczęka wydawała się jeszcze bardziej kwadratowa, niż kiedy go znałem. Miałem wrażenie, że kości policzkowe przebiją mu skórę.*

*Facet wyjął zmiętą paczkę papierosów, zapalił. Zaciągał się tak łapczywie, że i ja nabrałem ochoty. Sięgnąłem do schowka po moje davidoffy. Paliliśmy każdy zanurzony we własnych myślach, z tą różnicą, że ja go obserwowałem, a on nie wiedział o moim istnieniu. Sprawiało mi to dużo radości.*

*Wychyliłem się, by wyrzucić peta, ale coś mnie powstrzymało. Na filtrze jest przecież moje DNA. Zmroziło mnie. A jeśli samochód Ruiego nie spalił się doszczętnie i jakimś cudem znajdą mój niedopałek? Po grzbiecie przeszedł mi zimny prąd, szybko odsunąłem tę myśl jako zbyt absurdalną. To niemożliwe! Wybuch był straszliwy, a po wszystkim zaminowałem przecież teren. Nie ma mowy, by*

*kiedykolwiek mnie złapali! Choć było to niedorzeczne, nie pozbyłem się peta, schowałem go do pustej butelki po wodzie, którą wciąż woziłem w drzwiach i zapominałem wyrzucić. Muszę teraz uważać, zganiłem się w myślach. Muszę być bardziej czujny, sprytniejszy i coraz doskonalszy. To jest możliwe. Wystarczy jedynie nie popełnić żadnego błędu! Jeśli przydzielili tego gościa do ekipy śledczej, mam równego sobie przeciwnika. Poczułem miłego kopa adrenaliny. Prawdę mówiąc, to był totalny haj. Nie będę ukrywał, że nowina o włączeniu psychologa do śledztwa bardzo mnie uradowała. Stawka znacząco wzrosła!*

*Meyer też skończył palić i zszedł stopień niżej. Wtedy spostrzegłem, że na nogach ma krótkie kalosze ubłocone i ubrudzone sadzą, czymś ciemnym. Patrzył na młodą policjantkę, która siedziała za kierownicą radiowozu. Obok niej zaś wysoki i chudy jak paragraf gość ostrzyżony na zero – nawet w cywilu śmierdział psiarnią. Porozumieli się z facetem na schodach spojrzeniem, tamten wolno pokręcił głową, a potem z powrotem wszedł do H15. Natychmiast włączyłem silnik i odjechałem.*

*Fala emocji zalała mnie jakiś czas później. Pomyślałem, że byłem tak blisko zatrzymania, ujawnienia. Gdyby Gosia tam weszła, zgarnęliby ją i dowiedzieli, jak się nazywa, kim jest, a w kolejnym ruchu dotarliby do mnie. Wtedy pierwszy raz pomyślałem, że moja żona musi umrzeć.*

*Była to straszna myśl. Nie podobała mi się, bo przecież narażałem się i zrobiłem to wszystko dla niej, dla mojej kobiety. By uratować naszą rodzinę, małżeństwo. Co jednak będzie, kiedy wpadną na jej trop? Czy to, że wiedzieli o ich randce, znaczy, że znają już jej nazwisko? Dlaczego gliny nie zapukały jeszcze do naszych drzwi?*

*Nie wiem, jak długo jeździłem po mieście, by się uspokoić. Godzinę, dwie? Jazda koiła mi nerwy, przywracała kontrolę. Kiedy wszedłem do pustego domu, miałem już plan.*

*Siadłem do komputera i wyszukałem lokalizację własnego telefonu. Tak jak się spodziewałem, Małgorzata była*

*u dziadków. Nie zamierzałem tam jechać i gadać z jej starymi. Napisałem z komputera do jej matki, że nie mam telefonu i pojechałem go poszukać w biurze. Czy mogłaby przekazać Gosi, żeby odebrała dzieci? Zarządziłem przy okazji, że zobaczymy się w domu. Odpowiedź dostałem niemal natychmiast. Teściowa zameldowała, że córka jest u nich i ma mój telefon. Musiała wziąć go z domu omyłkowo, zasugerowała. Rozbawiła mnie ta interpretacja. Wszystko szło tak, jak zaplanowałem. Kilka sekund później dostałem kolejną wiadomość: Gosia z dziećmi już od nich wyjechała.*

*Poszedłem do kuchni, wyjąłem ślimaki i napełniłem je masłem z ziołami, wstawiłem do piekarnika razem z ciastem na bułeczki. Otworzyłem wino. Postanowiłem, że dziś wieczór zerżnę swoją żonę. Pierwszy raz od lat byłem tego absolutnie pewien.*

*PS Jest trzecia nad ranem. Żadne z nas nie zająknęło się o incydencie w H15. Seks był. W mojej opinii wielce satysfakcjonujący. Małgorzata od lat nie oddawała mi się z taką pasją.*

*Śmialiśmy się, że pomyliliśmy swoje telefony, bo oddała mi mój, a ja pomogłem szukać jej komórki. Kiedy Gosia ją znalazła w swojej garderobie, nie zdziwiło jej, że aparat jest rozładowany. Nawet go nie dotknęła, nie włączyła do kontaktu, jakby bała się, co tam zastanie, kiedy go już włączy. Dopiero kiedy udałem, że zasnąłem, wymknęła się z sypialni i poszła do salonu. Słyszałem, że przeszukuje szuflady, by sprawdzić kolejne ładowarki. Wstałem i podszedłem do niej nagi. Zagaiłem z niewinną miną:*

*– Nie możesz spać, skarbie?*

*Na twarzy miała ślady łez. Była zdruzgotana. Już nie miała sił, by grać. Rozryczała się w głos, a potem rzuciła mi się w objęcia.*

*– Coś się stało? Zrobiłem coś nie tak? – Udawałem czułego męża. – Chcesz o tym porozmawiać?*

*Wtuliła się we mnie i długo płakała. Tej nocy nie powiedziała więcej ani słowa.*

*Wziąłem ją na ręce i kochaliśmy się kolejny raz. Tym razem smakowałem ją, robiłem to wolno i namiętnie. Ciekawe, że dzisiejszego wieczoru moje przyrodzenie było w najwyższej formie i z pewnością nie mogłaby nikomu powiedzieć, że mam małego. Z tą satysfakcją zasypiałem. Nic mnie nie obchodziło, że Małgorzata zwinęła się obok w kłębek i znów cicho łkała. Słyszałem ją wyraźnie i wiedziałem, że ona wie, że ja to słyszę. Żadne z nas nie podjęło kluczowej rozmowy. Ona pewnie bała się, że ją zapytam o cel wizyty w hotelu i tę czerwoną szminkę, ale mnie zajmowało bardziej myślenie o tym, jak powinienem to zrobić i kiedy. Bo że Małgorzata musi zniknąć jak najszybciej, byłem już przekonany.*

* * *

## ŁOMIANKI, KOMISARIAT POLICJI

– Nie pojawiła się – oświadczył Hubert, kiedy wszyscy wrócili do komisariatu. – Ten trop okazał się ślepym zaułkiem. Siedziałem w recepcji przeszło cztery godziny. Liczyłem, że może się spóźni, stanęła w korkach albo zadzwoni do recepcji… Nic, żadnej samotnej kobiety, która pasowałaby do profilu kochanki Ruiego. Z dwiema starszymi babkami uciąłem sobie pogawędkę i wziąłem od nich dane. Nie sądzę, żeby miały związek ze sprawą, ale możecie je sprawdzić.

Położył na stole kartkę z nagryzmolonymi numerami telefonów.

– Ktoś ją ostrzegł? – zasugerował niepewnie Walski. – A może ta cała lista Gardockiej jest o kant dupy potłuc?

– Trzeba było wysłać więcej oznakowanych radiowozów! – wyburczał rozgniewany Meyer. – Gdybym to ja przybył na sekretną randkę, a w telewizji trąbiliby o spaleniu znajomego modelu G i przed wejściem zobaczyłbym psiarnię, natychmiast wziąłbym nogi za pas.

– Zakładasz, że ta pani ma związek z jego śmiercią? – zdziwił się komendant.

Młodzi milczeli. Wpatrywali się w Huberta.

– To chyba oczywiste – warknął po pauzie. – Gdyby babka nie miała związku, przyszłaby na randkę i mielibyśmy ją teraz w pokoju przesłuchań. Trzeba jak najszybciej dowiedzieć się, kim jest i co łączy ją z Ruim.

– Jeszcze raz przyciśnij Gardocką! – zaproponował Walski. – Dała ci klucz do auta, właściwie je ci z ręki.

– Ledwie mnie toleruje. – Hubert pokręcił głową. – Bardziej nie mogę jej drażnić. – Zawahał się. – Ale wskazane byłoby ustalić, kto robił inwigilację jej męża, bo trzeba przyznać, że to fachura. Wykonał rzecz wzorcowo. Gdyby nie jego analiza, nigdy nie wpadlibyśmy na trop Cykorii. – Zamyślił się. – Pewnie były gliniarz.

– Nie rozumiem, dlaczego go kryje – odważyła się odezwać Pańcia. – Gardocka musiała zapłacić za to śledztwo sporo grosza. Tym bardziej powinno jej zależeć, żeby to jego czepiały się gliny, a nie jej. Chyba, że… – Urwała.

– Tak? – Hubert odwrócił się do młodej policjantki.

– Tak tylko głośno pomyślałam – zaczęła się wycofywać. – Nie wiem, czy to w ogóle ma jakiś sens…

– Mów, dziewczyno, bo czas ucieka! – skarcił ją Hubert. – Nie znoszę kokieterii! Boisz się, nie rób, nie odzywaj się. Robisz? Nie bój się. Popełniaj błędy, sprawdzaj! – Zaczął siarczyście kląć. – Szczecinek, skąd ona pochodzi?

– Z samej Warszawy – zaśmiał się młody profiler. – Urodziła się na Karowej, a pół życia przemieszkała na Ordynackiej, dopóki matka nie sprzedała zabytkowego lokalu i nie przeniosła się do segmentu z ogródkiem w Józefosławiu. Pańcia to warszawianka z rodowodem. Nie bez kozery nosi taką ksywę, szefie.

– Trudno, zostaniesz więc Pańcią – orzekł Hubert. – Co ci wpadło do łba? Mów, dziewczyno, mamy burzę mózgów. Komendant Walski tego nie słyszy. Nie będzie cię oceniał.

– Bo tak sobie myślę, czy między nią i tajemniczym detektywem nie ma jakiejś bliższej relacji. Wiem, że pan nie dowierza w to, że ona kogoś miała, ale patrząc z żeńskiej perspektywy, kobiety chronią mężczyzn tylko wtedy, kiedy im na nich zależy. Nie musieli skonsumować tego romansu. Po prostu iskrzy między nimi. – Rzuciła okiem na Szczecinka i cała się zarumieniła. – W każdym razie jest między nimi potencjał na bliższą relację.

– I dlatego woli się narażać na zatrzymanie, niż podać nazwisko własnego szpicla? – Hubert był sceptyczny.

– Rzecz w tym, że ostatnia kochanka Ruiego została przez niego najprawdopodobniej ujawniona, a dopiero potem detektyw ukrył jej dane. Nie sądzę, żeby z takimi umiejętnościami inwigilacji do niej nie dotarł.

– I? – zniecierpliwił się Meyer. – Co z tego wynika? Znał ją, jest mu bliska, to jego rodzina?

– Może? – Pańcia wzruszyła ramionami. – Lub też Cykoria mogła przepłacić detektywa.

– W sensie przekupiła go?

– Starczy, że przebiła ofertę, by nie podawał żonie jej danych.

– Ale po co?

– Żeby mieć haka – padło w odpowiedzi. – No i skoro już wiedziała, że nie jest jedyna, musiało to być dla niej bolesne. Ja w każdym razie bardzo bym się wkurzyła. Może dlatego nie przyszła na randkę? Opcja druga, mocniejsza, jest taka, że dużo wcześniej wiedziała, że Rui nie żyje. Wtedy szukamy nie świadka, lecz sprawczyni całego zamieszania.

Pańcia zakończyła swój wywód z triumfalnym uśmiechem, jakby liczyła na brawa. Spotkało ją zaskoczenie. Meyer i Szczecinek wpatrywali się w nią oniemiali.

– Chyba się zagalopowałaś – pierwszy odezwał się młody profiler. – To się nie składa. Na jakiej podstawie wysnułaś

wniosek, że Gardocka ma romans z detektywem? Nie załapałem…

– Czekaj! – Hubert podniósł dłoń. – Daj jej myśleć. Jest niezła.

Ale Pańcia już się spłoszyła i cała czerwona ze wstydu cofnęła się kilka kroków.

– Słusznie prawisz, że żona Portugalczyka kryje detektywa z jakiegoś ważnego dla siebie powodu – wziął ją w obronę Meyer. – Tego, jakie ma motywacje, nie wiemy. Zamiast zgadywać, trzeba się do tego dokopać. A czy coś więcej ich łączy, czy też nie, to arcyważny trop. W końcu ten detektyw nie musi być mężczyzną. Wtedy o wiele bardziej identyfikuje się ze zdradzaną żoną, a poza tym kobiety mogły się zaprzyjaźnić – podkreślił. – Oczywiście to tylko założenie.

– Czyli wychodzi na to, że cała nasza praca idzie na marne? – wzburzył się Szczecinek. – Cały dzień analizujemy dane, które mogą być trefne?

– Mogą albo i nie – zaznaczył Hubert. – Zamiast strzępić ozór, bierz się do roboty i je zweryfikuj!

– Ale jak? – szepnęła przestraszona Pańcia.

– Dotarliście do tych dziewczyn, które nie znalazły się w finale teatrzyku Ruiego?

– Nie chcą gadać. Zaprzeczają, że romansowały z Portugalczykiem – zameldowała Pańcia. – Owszem, znały go, miały z nim relacje służbowe albo usługowe, ale nie były kochankami… Myślę, że obawiają się wstydu przed rodziną, bliskimi. Z finału tylko jedną udało się nam przekonać do współpracy. Ilonę ze spożywczaka.

– Obiecała, że jeśli damy jej dyskretnie znać, przyjedzie w ciągu godziny – dorzucił Szczecinek. – Błagała, żeby nie nachodzić jej w domu ani tym bardziej w pracy. Mąż jest niczego nieświadomy i Ilona pragnie, by tak pozostało.

– Więc na co czekasz, dzwoń do niej – zarządził Meyer.

Odwrócił się do Pańci, wskazał ją palcem.

– A ty zrób mi listę kobiet, które mają licencję albo w ostatnim czasie starały się o nią. – Zawahał się. – Kiedy będziesz zbierała dane do ich profili, patrz, czy przypadkiem nie chorowały na nowotwór piersi i nie były ostatnio hospitalizowane. Coś mi się widzi, że to nagłe zainteresowanie życiem erotycznym męża łączy się u pani Gardockiej z zabiegiem mastektomii. Może nasze panie zostały koleżankami, kiedy leżały na szpitalnym łóżku? Nie jest też wykluczone, że wdowa nie ujawnia swojego źródła z najprostszej przyczyny na świecie: ta osoba pracowała nielegalnie. Szczególną uwagę zwróć na byłe policjantki po rozwodzie albo w separacji, które miały blachę i ją utraciły.

* * *

– Będę zeznawała tylko pod jednym warunkiem: zapewnicie mi anonimowość – oświadczyła twardo Ilona Pokora, kiedy z dyżurki wprowadzono ją do pokoju przesłuchań, w którym przy stoliku z paprotką czekał na nią profiler.

Hubert wstał i z wystudiowaną galanterią podszedł, by zabrać jej płaszcz, jakby kobieta przybyła na przyjęcie. Przedstawił się pełnym stopniem i znienacka zaniósł się kaszlem. Piorunujący efekt, jaki udało mu się zbudować, momentalnie legł w gruzach. Piękna ekspedientka odsunęła się z przestrachem na bezpieczną odległość.

– Proszę się nie obawiać. Dawno nie jestem w stanie nikogo zarazić. – Hubert ratował się żartem. – A anonimowość ma pani zapewnioną. Nie jest pani nawet świadkiem. Jak widać, z tej rozmowy nie będzie nawet protokołu.

Dziewczyna się rozejrzała. Nie było lustra weneckiego ani kamer. Paprotka na stole, przy którym siedział policjant, wyglądała całkiem niepoważnie. Zdawało się, że to świetlica w przedszkolu, a nie salka do przesłuchań w lokalnym komisariacie. Odetchnęła z ulgą.

– Mój mąż to porządny człowiek, choć bywa wyrywny – wytłumaczyła się, spuszczając wzrok. – Udało mi się zachować tę sprawę w sekrecie i chciałabym, żeby tak

pozostało. Proszę mi wierzyć, to nie było nic poważnego. Żałuję, że zadałam się z Ruim.

– Potrzebujemy pani pomocy w konkretnej sprawie. – Meyer przeszedł do rzeczy. Wciąż zasłaniał usta chusteczką, by nie pluć na kobietę, ale przez to musiał mówić głośniej i czuł, że coraz mocniej doskwiera mu gardło.

– Pan chyba nie czuje się najlepiej?

– Nie będę ukrywał, zwłaszcza wieczorami bywa słabo – przyznał. – Proszę mi jednak wierzyć, że nie biorę pani na litość. Nie znoszę współczucia. Możemy udawać, że widzi pani nie złamanego zarazą starca, lecz twardziela w kwiecie wieku? – Uśmiechnął się zawadiacko. A zaraz potem kichnął.

Ilona roześmiała się gromko.

– Gdybym była wolna, nie odmówiłabym kawy z tobą – płynnie przeszła na ty, a jej oczy rozbłysły kpiną. – Tak, masz moje słowo, twardzielu.

Była piękna niczym *Pieta* z Kaplicy Sykstyńskiej. Delikatne spojrzenie i wyraziste rysy twarzy. Strzelista, ciało miała wytoczone niczym z alabastru. Na obcasach musiała mierzyć ze sto dziewięćdziesiąt centymetrów, bo patrzyła Hubertowi niemal prosto w oczy. Włosy złote, naturalnie skręcone. Tęczówki koloru pogodnego nieba. Wielkie szerokie i kościste ręce o długich palcach zakończonych różowym lakierem. Stopy natomiast miała nieproporcjonalnie małe. Kiedy stąpała, zdawało się, że nie dotyka ziemi. Hubert pomyślał, że nie bez powodu Rui wypatrzył ją w pobliskim sklepie i uwiódł. Ilona była stworzona do wielkiego ekranu. Młoda Sophia Loren albo Brigitte Bardot nabawiłyby się przy niej kompleksów. Biorąc pod uwagę, że przy swoich dwudziestu dwóch latach miała na tyle oleju w głowie, by naraić sobie kochanka milionera, profiler podejrzewał, że Ilona niedługo zabawi w tym spożywczaku.

– Więc nie zapisujesz ani nie nagrywasz? – upewniła się. – I wszystko, co powiem, zostanie między nami?

– Tak właśnie. – Pokiwał głową. – Proszę tylko o jedno.

– Słucham?

– O szczerość.

Spłoniła się.

– Nie obawiaj się, nie interesują mnie intymne szczegóły waszego pożycia.

– Cóż, pożycia praktycznie nie było. Spotkaliśmy się raptem kilka razy. Kiedy Rui ujawnił, że jest żonaty, przestałam przychodzić.

– On wiedział, że jesteś mężatką?

Spojrzała na niego oburzona.

– Dlaczego miałabym o tym mówić? To nie jego sprawa.

Wzruszył ramionami.

– On nie pytał?

– Niewiele rozmawialiśmy – przyznała. – Mój angielski jest na poziomie podstawowym. Trudno było się porozumieć. O filozofii nie gadaliśmy.

– Rozumiem – przytaknął. – Rozmawialiście po angielsku? Dlaczego?

– Rui nie mówi po polsku – zapewniła z przekonaniem. – A dlaczego w ogóle się nim interesujecie? Zrobił coś złego jakiejś dziewczynie?

To Huberta zaciekawiło.

– Był agresywny?

– No cóż – zaczęła i urwała. – Lubił zabawy w dominację. Nie to, że zawsze robił krzywdę, ale zdarzało się, że uderzył mnie po twarzy albo po pupie. I nie był to miły klaps – dodała szybko. – Między innymi z tego powodu nie chciałam się z nim za często spotykać. Miał oczywiście taką romantyczną, ciepłą twarz, ale odniosłam wrażenie, że wybrał mnie, bo uważał, że pozwolę sobą pomiatać. Co jest oczywistą bzdurą i pomyłką – dodała.

– Oczywiście. – Hubert pokiwał skwapliwie głową. – Wiedziałaś o innych kobietach?

– Czasami o nich opowiadał. – Przygryzła wargi. – Ale żadnej nie traktował poważnie. Sądziłam, że skoro je obgaduje w mojej obecności, to jestem kimś wyjątkowym. Czas szybko pokazał, jak bardzo się myliłam.

– O ilu kochankach opowiadał?

– Kilku, kilkunastu? Sporo tego było. Twierdził, że to przeszłość, ale z kontekstu to nie wynikało. Od razu wiedziałam, że kłamie. Początkowo łudziłam się, że to czcze przechwałki, żeby mnie rozdrażnić, bo faktycznie wściekałam się, i mógł prowadzić te swoje gierki w odgrywanie ról. Kupił mi kilka przebrań i raz czy dwa mnie to wkręciło, ale szybko zaspokoiłam ciekawość i chciałam wyłącznie normalnego seksu. Z przytuleniem, orgazmem, no wiesz… Te ostatnie razy nie miałam satysfakcji. Przeciwnie, bolało i zaczęłam się go bać. Eskalował…

Hubert przyglądał się jej. Zdziwiło go, że tak otwarcie o tym mówi.

– Dlaczego właściwie zdradzałaś z nim męża? Nie układa się wam? Z tego, co opowiadasz, wnoszę, że nie byłaś zakochana w Ruim…

– Nie byłam – zapewniła szybko. – Ale zanim mnie przeraził, byłam bliska. A dlaczego zdradzałam Maćka? Bo ja wiem? Z nudów? Rui jest przystojny, zawsze pięknie pachnie, przyjeżdżał po mnie wspaniałym samochodem. Czułam się jak księżniczka… Nigdy na randkę nie przychodził z pustymi rękoma. To były raczej drobne upominki, nic nadzwyczajnego. Chustka, łańcuszek, drobna galanteria. Potem był coraz mniej hojny: jakaś świeczka, paczka dobrej herbaty, T-shirt z jego firmy albo power bank. No i te przebrania z sex-shopu… Za to nie pozwolił mi nigdy za nic zapłacić, zapraszał do restauracji, sypialiśmy w najdroższych hotelach. Czułam się trochę jak w bajce, przez chwilę… Z początku zdawało się, że to się rozwinie w romans, ale wiesz, to była raczej historia typu: „dobrze żarło, szybko zdechło”. Raz pojechaliśmy za

Warszawę do jakiegoś podłego hotelu i tam Rui zaćpał tak, aż miałam stracha, że zejdzie. Jak wytrzeźwiał, natychmiast kazałam mu wracać.

– De Souza brał narkotyki? – zainteresował się Hubert.

– Nie wiem, czy był uzależniony, ale zdarzało się, że wciągał kreskę. Mówił, że to wzmaga potencję, chociaż moim zdaniem powinien brać raczej coś na uspokojenie. Cały czas miał wzwód… – Wykrzywiła pogardliwie wargi. – Wtedy chyba dostał jakąś superdziałkę od kumpla. Spotkali się na parkingu, tamten zostawił mu towar. A kiedy wracaliśmy, złapała nas kontrola drogowa. Musiałam pójść do bankomatu i wypłacić wszystko z konta, bo Rui nie miał przy sobie gotówki, a nie chciał, żeby żona się zorientowała. Do dziś nie zwrócił mi tej forsy… – Urwała. – Potem było tylko gorzej i wreszcie nie chciałam go już widzieć.

– Ile mu wtedy dałaś?

– Siedem tysięcy. To prawie trzy moje pensje. Mężowi powiedziałam, że sama jechałam po pijaku i musiałam wręczyć łapówkę, żeby mnie puścili. Ciężko to przyjął.

Hubert przyjrzał się dziewczynie. Mówiąc o tym wszystkim, zaciskała dłonie na brzuchu, jakby nagle ją rozbolał.

– Mąż cię pobił?

Wzniosła oczy do sufitu.

– No, Maciek nie był zadowolony – ucięła. – Nie chcę już do tego wracać.

– Poprosiłaś, żeby Rui oddał ci pieniądze?

Kręcenie głową, rozbiegany wzrok.

– Dlaczego?

– Wstydziłam się, bałam… Liczyłam, że sam się domyśli, a potem on przestał ode mnie odbierać. Byłam raz w jego firmie, to udał, że mnie nie zna. Minął mnie na korytarzu jak obcą osobę. Co miałam zrobić? Pokrzyczałam, popłakałam się

i tyle. Sprzedałam wszystkie prezenty od niego, w tym apaszkę Hermèsa i jakiś portfel francuskiej firmy. Dopiero kiedy go wystawiałam na OLX, zorientowałam się, ile był wart. W każdym razie starczyło na pokrycie tych kosztów. Postanowiłam zapomnieć… Tym bardziej nie chciałabym, żeby Maciek kiedykolwiek się o tym dowiedział. Już przed ślubem chodziliśmy na terapię. Po czymś takim z pewnością mnie zostawi, a i tak mamy masę kłopotów z teściami, bo mieszkamy u nich kątem, żeby zebrać na własne M-dwa. No i bezskutecznie staramy się o dziecko. Tylko dlatego wzięłam tę pracę w sklepie, żeby móc wychodzić z domu i nie musieć całymi dniami wysłuchiwać porad teściowej, co mam jeść, jak wkładać naczynia do zmywarki i ile zużywać światła. – Urwała.

– Wspaniała perspektywa na następne lata, winszuję – skwitował Meyer, ale Ilona nie dostrzegła kpiny, a nawet uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Więc nikt z twojej rodziny nie wiedział o Ruim? – wrócił do tematu. – Mąż, teściowie? Bracia, siostry?

– Nikt – zapewniła solennie. – Właściwie dziwię się, skąd policja o tym wie…

– Przypominasz sobie może, czy nie spotkałaś kogoś, kto cię o coś wypytywał? Jakiś detektyw, niby zaufana przyjaciółka?

Ilona zbladła.

– Ewelina mnie wydała?

– Ewelina?

– Moja koleżanka z pracy, właściwie szefowa zmiany. Jej mąż też pracuje w tym sklepie, w ochronie. Zauważył, że ktoś podjeżdża po mnie takim wielkim drogim samochodem, i się jej wygadał. Spiłyśmy się kiedyś po robocie i jej jednej się zwierzyłam.

– Mąż tej koleżanki jest detektywem? – zapytał Meyer z niewinną miną.

– A gdzie tam! – zaśmiała się. – Zwykły cieć. Chodzi między półkami i czai się na złodziei koncentratu pomidorowego. Ale wydaje mu się, że jest fafarafa.

– Zapiszesz mi nazwisko tej Eweliny?

Spojrzała na niego gniewnie.

– Będziesz z nią o tym gadał?

– Nie muszę, ale wolałbym mieć to na podorędziu, jeśli sprawa się skomplikuje.

– No nie wiem… – wiła się. – Jak przyjdzie do niej policja, zrobi się zadyma. Maciek na pewno się dowie.

– Wiem, gdzie pracujesz, i nie sądzę, żeby była tam druga Ewelina, szefowa zmiany – oświadczył twardo. – To łatwe do ustalenia. Chodzi mi o tego gościa. Może będziemy musieli go sprawdzić. Tak jak powiedziałem, zadbamy o twoje bezpieczeństwo.

Ilona szybko podyktowała nazwisko ochroniarza.

– Co dokładnie jej powiedziałaś?

– To samo, co tobie. – Wzruszyła ramionami. Nie była już taka miła jak na początku. – Dokładnie nie pamiętam, byłam ostro wstawiona. Inaczej wcale bym się jej nie przypucowała. Może beczałam przy okazji? Wtedy jeszcze mi na Ruim zależało, a dosłownie randkę wcześniej on wyjawił, że ma rodzinę. Płakałam nad sobą, jakiego mam pecha, i nad jego małą córeczką. Jakoś tak było mi jej strasznie szkoda. Pochodzę z rozbitego domu. Mój tato mnie nie chciał. Mama sama mnie wychowała. Poczułam się jak tamta dziewczynka. Zdradzona przez ojca. No i tak…

Hubert nie mógł dłużej tego słuchać.

– Wiesz, że jego żona zgłosiła zaginięcie? Rui nie wrócił do domu – zablefował. – Mówił ci o jakichś kłopotach, ciemnych interesach? Uwikłał się może w coś niebezpiecznego?

Dziewczyna aż otworzyła usta ze zdziwienia. Jak w zwolnionym tempie, zasłoniła je dłonią, a potem cicho

zapiszczała. W pierwszej chwili Hubert sądził, że to rozpacz, ale kiedy Ilona odsunęła rękę od twarzy, spostrzegł, że szeroko się uśmiecha.

– Chciałabyś to jakoś skomentować?

– Ja wiedziałam, że to się tak skończy… – zaczęła i wybuchnęła otwarcie śmiechem.

– Co cię tak bawi?

– Karma wraca – odrzekła z udawaną powagą. – Dobrze mu tak. Wreszcie ktoś dał mu nauczkę.

– Co masz na myśli?

Wstała, obejrzała się na wieszak, na który Hubert odwiesił jej płaszcz, ale psycholog nie poruszył się, by go jej podać. Wpatrywał się w jej twarz i szukał znaczenia tego zachowania. Milczał.

– Słuchaj, mój mąż o niczym nie wie, więc ja nie mam z tym nic wspólnego. Ale jeśli ten facet miał wiele takich przygód, to na pewno jest ktoś, kto po prostu się wkurzył. A tak między nami to mogła być też jego żona. Opowiadał, że oddalili się od siebie, kiedy zachorowała. Miała właśnie operację, a on próbował się ze mną umówić na pieprzny seks. Nie poszłam, to było już po moich płaczach przy winie z Eweliną. Dziękowałam Bogu, że dał mi tyle rozumu, by wykasować tego gościa z mojego życia. To był narcyz, skupiony na sobie psychopata, może i sadysta. – Zacietrzewiła się. – Na miejscu tej kobiety, gdybym to odkryła, tobym chyba takiego męża zabiła.

– Poznałaś ją? – przerwał jej.

– Kogo?

– Swoją rywalkę?

– Pani de Souza nigdy nie była moją rywalką, bo ja się nie liczyłam – odparła Ilona z ponurą miną. – I nie, nie poznałam. Ale raz widziałam ją w mieście. Piękna, przystojna kobieta z klasą. Miał czelność prosić ją, żeby go podwiozła, kiedy umówił się ze mną w hotelu.

– Spotykaliście się zawsze w H Piętnaście?

– Tylko przez pierwszy miesiąc. Potem wynajmował jakieś airbnb albo liche motele pod miastem. Za każdym razem pokój był coraz gorszy. Uznał najwyraźniej, że jestem kochanką niskobudżetową – dodała z wyrzutem. – Ale ja to widziałam i nie zamierzałam się na to godzić.

– Pani de Souza widziała cię, kiedy go podwiozła?

– Jasne – padło w odpowiedzi. – I on chciał, żeby tak było. Przedstawił mnie jako swoją rzeczniczkę prasową, a ona udała, że mu wierzy. Następnego dnia zakazał do siebie pisać i dzwonić. Zawsze miałam kasować wiadomości na WhatsAppie. Było mi to na rękę. Nie chciałam, żeby Maciek coś znalazł.

– Mam wrażenie, że przestałaś go lubić. Kiedy to się stało?

– Skąd?! On nic mnie nie obchodzi – oburzyła się. A potem nagle rozpromieniła. – Ale jeśli ktoś dał mu wycisk, to myślę, że się należało.

– Sama siebie nie obwiniasz? Też zdradzałaś męża…

– Odpokutowałam za to dzięki mojej teściowej i spodziewam się, że jeszcze wiele cierpienia przede mną. Mama Maćka w kółko daje mi odczuć, gdzie jest moje miejsce. Nie, nie mam poczucia winy, jeśli o to ci chodzi. Ale gdybym miała przeżyć wszystko jeszcze raz, rozegrałabym to inaczej.

– Jak?

– Gdyby do mnie podszedł i rzucił tani komplement, spuściłabym go na szczaw. Nie był wart ani sekundy mojego życia. Te wszystkie fanty od niego z radością sprzedałam, a resztę wyrzuciłam. Wiesz, to ironia losu, ale gdyby nie mąż, pewnie nigdy byśmy się nie spotkali. Taki facet jak de Souza nie chodzi osobiście do biedronki po żółty ser… Mój Maciek to złota rączka, bierze różne roboty budowlane i naprawdę świetnie sobie radzi. Wszystko jest w stanie naprawić. Robił coś u nich w Radości i kiedyś zabrał mnie ze sobą, czekałam na parkingu w samochodzie. Nudziłam się, wyszłam

odetchnąć do ogrodu, który jest wielki jak las. Rui podszedł do mnie i sprzedał mi tekst, że jestem kobietą z jakiegoś obrazu Modiglianiego. Rui może i był bogaty, ale bajer miał tani. Zwykły pozer, nie potrafił wymyślić nawet własnej gadki na podryw. Potem przeczytałam na Pudelku, że tak Kulczyk uwodził panią Przetakiewicz.

– Co zrobisz, gdy okaże się, że coś mu się stało?

– Najlepiej by było dla mnie, żeby już nie oddychał. Dla wszystkich kochanek. – Wstała, podeszła do wieszaka. – Jeśli to taka sprawa, nie proś więcej o spotkanie. Wyprę się, że go kiedykolwiek spotkałam. To był kawał drania! Współczuję tylko tej żonie. Mam nadzieję, że w razie jego śmierci dostanie pokaźny spadek.

* * *

## WARSZAWA, ULICA KRÓLEWSKA

W lobby hotelu Victoria było tłoczno od rozchichotanych kobiet i masywnych karków przebranych za biznesmenów. Przy windach stał pstrokaty baner informujący o spotkaniu branży nieruchomości w sali konferencyjnej. Hubert przecisnął się przez tę ciżbę i podszedł do recepcji.

– Chciałbym skorzystać ze spa – rzucił.

Kobieta za ladą nie zwracała na niego uwagi. Wpisywała do komputera dane z pozostawionych dokumentów tożsamości i nie wyglądało, że w ciągu godziny się z tym upora, bo misa dowodów osobistych i paszportów była pełna.

– Tam są windy – dobiegło go zza pleców. – Musisz zjechać na minus jeden.

Odwrócił się. Kobieta miała na sobie kabaretki i z całą pewnością spódnicę za krótką jak na jej gabaryty, a cerę porowatą, jakby była po jakimś zabiegu oszpecającym, na dodatek posmarowaną ciemnym fluidem udającym opaleniznę, który dodawał jej lat.

– Jest pani pewna?

– Bywam tam co tydzień – odparła z dumą, co wzbudziło na twarzy Meyera szeroki uśmiech.

– Miłej konferencji – rzucił i skierował się do wind.

– Ja tu pracuję, przystojniaku – poinformowała, przeciągając samogłoski. – Skończysz się masować, wróć, zabawimy się. Będę w barze sączyła tequilę i myślała o tobie.

Skrzywił się na taką propozycję.

– Jestem abstynentem – skłamał. Dałby teraz wszystko, by się rozkaszleć albo musieć wydmuchać nos, ale, o dziwo, czuł się znacznie lepiej.

– Twoja strata – usłyszał, kiedy drzwi windy się przymykały. – Gdybyś zmienił zdanie, szukaj Dolores. Tak mam na imię.

Widział jeszcze, jak prostytutka do niego macha i oblizuje wypchane kwasem hialuronowym wargi. W jej mniemaniu była to zapewne zachęta.

Wzdrygnął się i przyjrzał się sobie w lustrze. Faktycznie, tylko ktoś taki jak ona mógł mieć ochotę na zabawę w jego towarzystwie. Oczy przekrwione, pod nimi sine wory, wokół ust zarost, który nie odejmował mu lat. Dawno nieprzystrzygane brwi sterczały niczym u osła, a włosy miał rozczochrane i już dwa tygodnie temu powinien był umówić wizytę u fryzjera. Próbował ogarnąć się, by wyglądać schludniej, ale winda się zatrzymała i na wprost zobaczył kobietę w białym kitlu uśmiechającą się do niego służbowo. Jej płomiennie rude włosy sprężynki sterczały na wszystkie strony bardziej wściekle niż jego własne. Oczy miała zielone, zmrużone, a dłonie ruchliwe. Cała zresztą była rachityczna i sprawiała wrażenie kruchej, łamliwej, jakby cierpiała na nadczynność tarczycy.

– Pan Meyer, jakże mi miło – powitała go, nie zdejmując z twarzy służbowego grymasu. – Kiedy zobaczyłam rezerwację, od razu obejrzałam na YouTubie wszystkie filmiki z pana udziałem. Niestety książek nie czytałam, ale moja siostra je ma, bo interesuje się kryminalistyką – trajkotała.

Hubert poczuł się nieswojo.

– Bardzo mi miło – wyburczał. – Agata Wolanin?

– We własnej osobie – ucieszyła się.

Podała mu kwestionariusz do wypełnienia.

– Proszę zaznaczyć, jaki rodzaj masażu najbardziej panu odpowiada: lekki, średni czy zaawansowany. Na co mam zwrócić szczególną uwagę? Głowa, plecy, ramiona, stopy? Co panu doskwiera, proszę napisać w uwagach dodatkowych. – Wskazywała kolejne kratki, a Meyer wypełniał bez namysłu, byle mieć to jak najszybciej za sobą.

– Mogłaby pani odkręcić mi głowę i zamienić na lepszy model? – zażartował, a ona zaśmiała się perliście.

– Załatwione – obiecała.

Skończył formalności i oddał jej dokumenty. Agata wpięła je do segregatora i wstała, otrzepując swój nieskazitelny uniform.

– Tak się cieszę, że będę mogła zafundować panu luksusowe „tu i teraz”.

– Uhm – mruknął Hubert, idąc za nią do przebieralni. – Mam nadzieję, że w trakcie zabiegu możemy rozmawiać? Jestem wielce ciekaw pani pracy. – Odchrząknął.

– Radziłabym raczej skupić się na oddechu – zaoponowała. – Chodzi o uruchomienie życiodajnej energii, która nieustannie jest w ruchu, ale przez nasze myśli zataczamy błędne koła. Przypomina to zawieszony system. Czy pan wie, że nasz umysł nie rozróżnia przeszłości, teraźniejszości i przyszłości? Kiedy rozmyśla pan o wydarzeniach bieżących i zaczyna robić plany, umysł bierze je na jeden warsztat. A niektórzy ludzie nieustannie rozpamiętują to, co już się wydarzyło, i nie potrafią zapomnieć. Nic dziwnego, że cierpią potem na depresję albo inne dolegliwości duszy.

Hubert jednym uchem słuchał jej słów, a drugim je wypuszczał. Zdawało mu się, że to jedynie szum, a nie pożyteczne informacje. Nie były mu zresztą do niczego

potrzebne; jak otworzyć i zaszyfrować szafkę, gdzie są szlafrok, kapcie, ręcznik, łazienka, ile czasu potrwa zabieg i że powinien głęboko i równomiernie oddychać.

– Ile pani ma lat? – przerwał jej wreszcie.

Na chwilę straciła rezon.

– Pięćdziesiąt trzy – odparła, na co on roześmiał się kpiąco. – Nie wierzy mi pan?

– Trzydzieści siedem – wypalił, chociaż wiedział, że wcześniej mówiła prawdę.

Agata była zadbana, szczupła i wiotka niczym brzoza, ale w jej oczach dostrzegał zmęczenie i lęk. Bardzo różniła się od dorodnej i optymistycznej Ilony. Zastanawiał się, jaki rodzaj przygód Rui Coelho Tavares de Souza zafundował tej amantce i jaką twarz przed nią obnażył.

* * *

– Leż spokojnie, nie myśl o niczym. – Agata przemawiała cicho aksamitnym głosem. – Jeśli chrupie, znaczy, że wszystko w porządku.

Meyer z trudem oddychał. Czuł, jak kosteczki przeskakują mu pod jej cienkimi palcami. Nie wierzył wprost, że tak mikrej postury kobieta ma w dłoniach tyle siły.

– Teraz może zaboleć, nie powstrzymuj przelewu energii, oddychaj, jak cię uczyłam – ostrzegła i przekręciła mu gwałtownie głowę w bok. Poczuł prąd idący aż do kości ogonowej.

– Moja droga, potrafiłabyś bardzo sprawnie i bez użycia siły skręcić kark, gdyby ktoś ci podpadł – mruknął i nagle uświadomił sobie, że nie ma już kataru.

– Potrafiłabym, chociaż nie wiem, po co miałabym to robić. – Zaśmiała się, jakby podarował jej piękny komplement. – Starczy myślenie o kimś w niskiej wibracji i taka zaraza jak twoja nie odklei się od tej osoby przez najbliższy miesiąc. A gdybym chciała, to i dłużej.

– Moja dokładnie tyle trwa – wychrypiał. – Uważasz, że ktoś rzucił na mnie klątwę?

– Czasami starczy, że nie wysypiasz się, nie dojadasz, palisz jak lokomotywa i prowadzisz życie pełne stresu.

– Takie właśnie prowadzę – wycharczał, bo masowała go teraz w okolicy głowy i kiedy przyciskała go do podłoża, miał wrażenie, że za chwilę go udusi. – Skąd wiedziałaś?

– Twoje ciało mówi mi o tobie więcej, niż ty sam kiedykolwiek chciałbyś ujawnić – odrzekła. – Na przykład jesteś w żałobie i nie potrafisz zapomnieć. Odwróć się i zapomnij przewiny, nawet jeśli masz rację i tamci zasługują na karę. Tylko kiedy się odwrócisz i zapomnisz, ich moce przestaną cię dotykać. Znasz tę bajkę o królowej śniegu i czarodziejce?

– Ostatnio nieczęsto czytuję bajki. Moje dzieci są już dorosłe.

– Ja kiedyś postanowiłam, że nie będę miała dzieci – wyznała nagle. – Miałam tak silne przekonanie, że wkrótce lekarze stwierdzili u mnie bezpłodność. Chciałam odwołać obietnicę, ale nie było to już możliwe. Przychodzi do nas to, co wołamy. I tym sposobem nigdy nie zostałam matką. Pewnie bardzo dobrze. Ryzyko maleje do zera.

– Jakie ryzyko? Dlaczego tak mówisz? – szepnął Hubert wolno, poddając się stanowczym dłoniom masażystki. Zaczynał odczuwać przyjemność z tych chrupnięć i strzałów elektryczności niczym z bicza.

– Nie chciałabym cię obciążać swoją historią – odparła, ale był przekonany, że aż się pali, by ją opowiedzieć.

– Gdyby obciążały mnie wszystkie sprawy, nad którymi pracuję, nie mógłbym normalnie funkcjonować – zachęcił ją. – Oczywiście jeśli to coś osobistego, nie domagam się spowiedzi. Wiesz, będę tutaj leżał jeszcze z godzinę, więc mamy trochę czasu. Wal śmiało.

– Jesteś taki zabawny.

Znów usłyszał jej śmiech, ale o dziwo, nie zarażał wesołością. Był raczej przykrywką dla smutku, może z odrobiną kpiny. Na pewno nie radości. Hubert milczał, nie zawtórował jej, więc kontynuowała:

– Moja matka była pielęgniarką i mordowała dzieci w szpitalu – wypaliła.

Hubert przeklął i odruchowo podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy, ale znajdowała się w okolicy jego lędźwi. Ręcznik, którym był przykryty, spadł na podłogę. Poczuł, że jest mu zimno.

– Jaja sobie robisz? – wydusił.

– Bynajmniej – zapewniła z powagą. – Nigdy jej niczego nie udowodniono. To znaczy wiadomo było, że to robiła. Brała pieniądze za eliminowanie słabszych jednostek, jak je nazywała, chorych, chromych i bękartów, które mogły złamać życie młodym matkom, tylko dlatego, że te popełniły jeden mały błąd: zakochały się w łajdaku. Robiła to całe lata. Przyznała się nam. Mnie i siostrze. Kiedy sprawa się wydała, dyrekcja szpitala zmusiła ją do odejścia z pracy. Jej sprawki zatuszowano. Na bezrobociu zabrała się do nas. Nade mną i moją młodszą siostrą znęcała się od małego. Zamykała nas w piwnicy, głodziła, a kiedy podrosłyśmy, przyprowadzała swoich znajomych, żeby nas dotykali. Płacili jej za to, a my nawet nie wiedziałyśmy, że to zboczenie. Zanim poszłam do szkoły, uważałam, że to normalne zachowanie wujków i kolegów mamy.

– Gdzie był w tym czasie twój tato?

– Pracował.

Podeszła do zlewu i dokładnie umyła ręce. Odwróciła się, spojrzała mu w oczy. Przeraził się, bo w tych tęczówkach nie dostrzegł nic, czyste zimno, pustkę. Za to na jej twarzy gościł błogi uśmiech. Ten kontrast był upiorny. Hubert zastanawiał się, czy kobieta sama nie jest wariatką, psychopatką, sadystką i wymyśla te bzdury na poczekaniu, by odciągnąć jego uwagę albo go wystraszyć. A może jest tak zaburzona, że opowiada

je każdemu? Czy utrzymałaby wtedy stanowisko w tak luksusowym spa? Nie wiedział.

– Mieszkałyście tylko z mamą? – dopytał, starając się nie pokazać po sobie, jakie scenariusze podsuwa mu wyobraźnia. Pamiętał, jak sprawnie Agata przekręcała jego kark.

– Mieszkaliśmy z mamą i tatą – padło w odpowiedzi. – Tata był fizykiem, uznanym i bardzo cenionym. Dużo podróżował, robił różne badania, eksperymenty. Kiedy wracał, mama zawsze zabierała nas na górę, udawała słodką i zakochaną żoneczkę. Nigdy się nie zorientował. – Zatrzymała się. – To znaczy kłamię. Zorientował się, zapytał, czy nas biła, dręczyła, a kiedy potwierdziłyśmy i powiedziałyśmy, co wiemy, postanowił umrzeć.

– Zabił się?

– Właściwie tak. Wyhodował sobie raka płuc. W ciągu trzech lat nie było go już wśród żywych. – Kliknęła w panel sterowania. Górna część łóżka zaczęła się podnosić. – Przekręć się teraz na plecy – poleciła. – Będzie ci łatwiej oddychać.

Hubert przyglądał się kobiecie. Patrzył na jej nieprawdopodobnie rude, płomienne kręcone włosy, na jej bladą twarz i w te nieprawdopodobne, świetliste puste oczy sowy. Złapał się na tym, że chociaż to dokładnie typ kobiet, który uwielbiał, bo tak wyglądała zarówno jego studencka miłość Kinga, jak i zamordowana w strzelaninie w Narwi Weronika Rudy, nie poczuł żadnych emocji, nie zarejestrował żadnego zainteresowania. Jakby Agata mimo oczywistych atutów była aseksualna. Skupił się, ale nie był w stanie poczuć także jej emocji. Były to tylko zmęczenie, czujność i niepokój, które sczytał na samym początku, ale które teraz uważał za rodzaj napięcia przed atakiem. Agata była jak drapieżny ptak szykujący się do porwania ofiary i wzbicia się w niebo. To nie był strach, to było pragnienie jego zasmakowania. Kiedy poczuła, że udało jej się go wzburzyć swoją opowieścią, znów się uśmiechała. Jak gdyby nigdy nic wróciła do dawnych opowiastek o energii, oddychaniu i polu amorficznym, które

miało niby sprawiać, że wszyscy w pokoju myślimy o tym samym.

– Jak to możliwe, że tak lekko mówisz o swojej traumie? – spytał zaczepnie, bo miał już tego dosyć. Za wszelką cenę pragnął odzyskać kontrolę w rozmowie i nie zamierzał wychodzić bez uzyskania danych, po które przybył.

– Przez lata uczestniczyłam w różnych terapiach. – Wzruszyła ramionami i nabrała w dłonie wonnego olejku. – A ponadto przyzwyczaiłam się, że nikt mi nie wierzy. Tak samo jak ty teraz. To stare rany. Nigdy nie dosięgnęłam ich głębiej niż rozumowo. Mogę o tym mówić bez łkania, gniewu, a nawet śmiać się z nich. Bo mam nadzieję, że ona jest daleko. Uciekłam z domu do męża, miałam wtedy dwadzieścia lat. Zgodziłam się za niego wyjść pod jednym warunkiem. – Zawiesiła głos.

– Jakim? – Hubert wiedział, że chciała, by o to spytał. Powoli zaczynał akceptować zasady jej gry, co nie znaczyło, że nie zamierzał wygrać.

– Że siostrę zabiorę ze sobą – oświadczyła z satysfakcją. – Oczywiście to się mężowi nie spodobało. Pobraliśmy się, a kiedy na jaw wyszło, że nie będziemy mieli dzieci, znalazł sobie pracę na drugim końcu świata i praktycznie nie bywa w domu. Nie wiem nic o tym człowieku. Może jest szpiegiem, ma kochanki albo jest gejem? Wszystko mi jedno. Cieszę się, że nie muszę go oglądać i z nim spać. Od tamtej pory mieszkamy z Isią same. Opiekuję się nią, a ona czeka na mnie każdego dnia w domu. Choruje na raka, jak tato. Na szczęście na razie nie ma przerzutów. Adoptowałyśmy też suczkę. Jesteśmy we trzy, bezpieczne. Każdego dnia jednak boję się, że matka wyjdzie ze szpitala i stanie na mojej drodze. Bo do więzienia nigdy nie poszła. Była zawsze leczona, w różnych ośrodkach. Czasami sobie myślę, czy i ja nie odklejam się od rzeczywistości. Czy ten sadyzm jest dziedziczny? Czy nie obudzę się któregoś dnia i stwierdzę, że chcę być katem?

– Z taką samoświadomością to raczej wątpliwe – skwitował.

Nie wiedział dlaczego, ale bardzo chciał jej uwierzyć. Skoro nigdy nie była widoczna, nikt jej nie słyszał, a może i przerysowuje tę historię, podkręca ją, w jej życiu z pewnością doszło do traumy. Możliwe, że i niejednej. Jak bardzo była to mroczna tajemnica, nie był w stanie stwierdzić. Czasami ludzie pielęgnują swoją boleść duszy, chociaż obiektywnie wydarzenie traumatyczne nie było dojmujące. I odwrotnie: po doznaniu potwornej krzywdy tak bardzo chcą nigdy więcej nie poczuć cierpienia, że uciekają w miłość, radość, euforię. Oba stany są patologiczne. Nie wiedział, co z Agatą jest nie tak, ale nie jego rolą było to teraz rozstrzygać. Zdecydował się więc powiedzieć jej coś, co jej schlebi, a jednocześnie ją wzmocni.

– To, że z taką przeszłością nie zostałaś przestępczynią, a pomagasz innym i zdejmujesz ich ból, pokazuje tylko, że jesteś arcysilna. Silniejsza niż twoja matka sadystka. Silniejsza niż twój tata, który wybrał ucieczkę zamiast rozwiązania problemu.

Rozpromieniła się.

– Wiesz, chodzę od kilku lat na karate i moi sensei też tak uważają – podkreśliła. – Biorę udział w rozgrywkach i chociaż technicznie wciąż jestem słaba, często wygrywam. Dla nich to dowód na moją determinację. Mówią nawet o ukrytych mocach, bo przecież nie opowiadam każdemu o tym, co spotkało mnie za dzieciaka. Tak naprawdę poza tobą opowiedziałam o tym tylko jednej osobie.

– Komu? – zainteresował się.

Liczył, że poda nazwisko kochanka, co pozwoli mu nawiązać do celu jego przybycia. Ku jego rozczarowaniu odpowiedź okazała się inna.

– Naszej ukochanej cioci. Siostrze taty. To było krótko po jego pogrzebie i zrobiłam to, bo liczyłyśmy z Isią, że zabierze nas z rodzinnego domu, adoptuje moją siostrę, bo ja byłam już pełnoletnia… Nic takiego się nie wydarzyło.

– Nie chciała o tym słuchać? Nie uwierzyła?

– Ależ ona wiedziała! – odparła twardo Agata. – I wcale jej to nie zdziwiło. Nic jednak nie zrobiła, bo nie chciała narażać się mamie… Wstrząsnęło mną, że oni wszyscy od dawna ją podejrzewali. O duszenie i trucie dzieciaków, odprowadzanie starców do nieba, jak nazywała swój proceder matka. Wiedzieli o naszym molestowaniu… Okazało się, że to nie było dla nikogo takim sekretem, jak wydawało się nam, małym dzieciom. Wiesz, matka potrafiła robić nam przykrości przy obcych. Raz oblała mnie wrzątkiem, kiedy myłam włosy. Groziło mi, że nigdy nie odrosną, a może nawet nie będę widziała. Skórę na szyi do teraz mam bliznowatą. Myślisz, że ktoś się zająknął, opieprzył ją? Że o zgłoszeniu na policję czy do opieki nie wspomnę… Ciotka to widziała. Była wtedy w umywalni. Po prostu wyszła. Zostawiła mnie z nią. Nie wiem, może bali się, że zacznie im robić coś złego?

Umilkła. Długo się nie odzywała. Wreszcie przyniosła czysty ręcznik, przykryła nim Meyera. Podała mu dłoń.

– To wszystko. Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej? – zapytała jak gdyby nigdy nic. – Powiedz, jak twoje gardło i nos. Są czyste, prawda?

Hubert pociągnął nosem, dotknął szyi.

– To cud – mruknął i uśmiechnął się krzywo. – Masz doprawdy nadzwyczajne moce.

– To tylko kwestia zaawansowanej wiedzy o punktach na ludzkim ciele. Tak naprawdę możemy uleczyć się sami. Niestety nie dotyczy to duszy. Za dużo myślimy.

– Nieprawda – zaprotestował. – Wierzę, że psychoanaliza nie ma racji bytu w czasach, gdzie dostęp do psychologicznej wiedzy jest tak łatwy i można kształcić się samemu. Rzecz w tym, że niektórzy uwielbiają cierpieć, siedzieć w jamie i być ofiarą.

– Ty lubisz? – zaatakowała go. – Wiem, co się stało z twoją ukochaną.

– Cierpienie po stracie faktycznie sprawia mi na razie przyjemność, przyznaję. – Zmrużył oczy. – A jak to jest

z tobą?

– Nie uleczenie siebie spędza mi sen z powiek – wyjaśniła ochoczo. – Jestem odpowiedzialna za młodszą siostrę, jak kiedyś, gdy byłyśmy małe. Boję się, że któregoś dnia matka wyjdzie z psychiatryka i nas znajdzie. Nazwiska Isi nie zmieniałyśmy, a ja też nie jestem bezpieczna… Jaki problem dowiedzieć się w urzędzie, kim jest mój mąż? Czasami budzę się zlana potem i nie jestem pewna, czy wciąż śnię, czy ona naprawdę zabiła mi Isię, ale zrobiła to rzecz jasna tak, żeby było na mnie. Szukam, uciekam, błądzę… Boję się, że będę następna. Ten sen powtarza się kilka razy do roku. W rocznicę śmierci taty, w okolicy świąt i na moje urodziny. Wiesz, wtedy, kiedy zwierzyłam się cioci, co mama z nami robiła przez lata, ona powiedziała: „Może to taki rodzaj kary dla ciebie, bo twój ojciec nie jest twoim prawdziwym ojcem?”. To dlatego postanowiłam, że nie chcę mieć dzieci. Żadna dusza nie powinna tak cierpieć, żeby dziedziczyć tak straszliwe geny jak nasze.

– Uważasz się za potwora? Rodzaj monstrum? Obwiniasz siebie za to, że twoja matka była zaburzona i słaba?

– Może? – zastanowiła się na głos.

Podsunęła Hubertowi podkładkę, żeby złożył swój podpis jako akcept satysfakcjonująco wykonanego zabiegu.

– A może dlatego wiązałam się z niedostępnymi mężczyznami, żeby siebie ukarać? Takimi, którzy nigdy tak naprawdę nie byliby ze mną. Których nie obchodzę… Myślałam, że nie będą w stanie mnie zranić, skrzywdzić, złamać… I dlatego przez chwilę byłam z Ruim. Bo to dlatego przyszedłeś? Żeby mnie przesłuchać, mam rację?

Hubert pokiwał głową. Nic nie powiedział. Był pewien, że Agata sama zacznie mówić.

– Był dla mnie dobry – zaczęła z udawanym wahaniem. – Przychodził jak ty, pokiereszowany przez życie i wrogów, zmęczony, często chory. Rozmawialiśmy, a potem kładliśmy się w mojej pakamerze przytuleni jak dzieci, których nikt nie

kocha, więc mamy tylko siebie nawzajem. Czasami kontynuowaliśmy to przytulanie intensywniej w pokoju na górze. Rui zwykle brał jedynkę, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Przychodziłam w kitlu, jakbym odwiedzała go służbowo.

– To było dosyć ryzykowne – zauważył Hubert.

Zacisnął mocniej pasek szlafroka i pożałował, że nie ma na sobie kompletnego ubrania.

– I ekscytujące – przyznała. – Był mniej więcej w moim wieku, ale prawdziwie piękny męską siłą i skrywaną delikatnością. Imponował mi. Czego nie rozumiesz? Nie potrzebowałam niczego więcej. Z moją historią to było wszystko, o czym mogłam kiedykolwiek pomarzyć.

Nagle w jej lodowatych oczach rozbłysły łzy. Rozpłakała się.

– Kochałam go – wyznała nagle. – I tak mi żal, że go już nie zobaczę. Bo on odszedł… Czułam to, zanim przeczytałam w internecie o wybuchu w Łomiankach. Po prostu wokół mnie zrobiło się zimno…

Hubert wpatrywał się w jej nabrzmiałą i zaczerwienioną od płaczu twarz. Była teraz brzydka, odpychająca. Nagle wyglądała na znacznie starszą. Podszedł i przytulił ją, zatrzymał mocno w ramionach, by mogła ochłonąć. Tak zastała ich kobieta z recepcji, która nieoczekiwanie weszła do gabinetu bez pukania.

– Agato, klientka czeka! – wrzasnęła gniewnie i urwała, widząc półnagiego faceta w szlafroku tulącego płaczącą masażystkę. Dopiero po chwili odzyskała głos. – Co się tu dzieje?

Prychała jak kot i groziła donosem do szefostwa.

– Komenda Główna Policji. Inspektor Meyer. Przeszkodziła nam pani w czynnościach śledczych – wyrecytował Hubert grobowym tonem. – Proszę opuścić pomieszczenie, gdyż trwa właśnie przesłuchanie świadka. Nie zaprezentuję blachy, bo zamknąłem ją w szafce i nie mam nawet porządnych gaci, ale

jeśli zrobisz Agacie koło pióra, spotkamy się na dołku – zakończył, z trudem hamując wybuch śmiechu.

Recepcjonistka wybiegła jak niepyszna.

– Jesteś szałowy – usłyszał chrapliwy chichot przez łzy. – Uwielbiam cię. Gdybyś czegoś potrzebował do tej sprawy, w czymkolwiek mogłabym pomóc, szukaj mnie pod tym telefonem.

Sięgnęła do kieszeni po wizytówkę i włożyła mu ją w dłoń. Dopiero wtedy się odsunęła. Wyszła niepostrzeżenie i gdyby nie karta z numerem, Hubert miałby wątpliwości, czy ta dziwaczna istota w ogóle tutaj przebywała, a to wszystko nie przyśniło mu się w gorączce. Kiedy cisza na korytarzu przedłużała się, podniósł karteczkę do oczu i przyjrzał się jej. Dane prywatne dopisano długopisem. Był tam adres domowy, mejl, komórka i imię oraz nazwisko kobiety. Pojął, że przygotowała ją, zanim przyszedł. Chciała mu to opowiedzieć. Wszystko zaplanowała. Chociaż nie czuł już na sobie jej zimnych, kościstych dłoni, znów od kręgosłupa aż do lędźwi przebiegł go dreszcz. Wolnym krokiem poszedł po swoje rzeczy, by się ubrać, uregulować płatność za najdroższy masaż w życiu, jaki kiedykolwiek zamówił, i jak najszybciej opuścić ten przybytek. Luksusów starczy mu na wiele lat. Miał nadzieję, że wraz z nimi ominą go również katar i kaszel. Agata Wolanin jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w ciągu dziewięćdziesięciu minut wygnała z niego zarazę. Jego drogi oddechowe były czyste.

* * *

## WARSZAWA, ALEJE UJAZDOWSKIE

Do biura CLKP Hubert ponownie podjechał późnym wieczorem. Zaparkował z dala od dyżurki, by chłopak, któremu wcześniej przekazywał kluczyk, nie zaczął go znów rozpytywać. Wydzwonił inspektora Misiurkiewicza. Ekspert nie od razu podniósł słuchawkę.

– Siedem minut – usłyszał Meyer zamiast powitania. – Miej silnik na chodzie. Od razu gdzieś podjedziemy.

Po chwili otrzymał dane lokalizacyjne.

– To okolice Łomianek?

Hubert wrzucał już współrzędne do map Google’a.

– Zaskoczę cię. Bemowo – odparł ekspert. – Nie załatwiłeś innych kluczy do analizy porównawczej?

– Niestety.

– Trudno – zmartwił się Misiurkiewicz. – Drukuję, co mam, i ruszamy. Nawet nie proś, żebym jutro znów tutaj przyjeżdżał. Niedzielę zamierzam spędzić zdecydowanie bez twojego towarzystwa. Poza tym napiłbym się porządnej kawy.

– Zatrzymamy się po drodze na jakiejś stacji – obiecał Meyer.

– Może nawet na pewnej konkretnej. – Misiur wszedł mu w słowo. – Przy okazji się rozejrzysz. Masz szczęście, bo to miejsce z pewnością naszpikowane jest kamerami.

* * *

## ŁOMIANKI, KOMISARIAT POLICJI

Wicekomendant Bogusław Walski siedział przy swoim biurku zakopany w dokumentach. Analizował opinie biegłych i próbował dociec, jak doszło do podpalenia lasu, a potem kilku pomniejszych eksplozji, w których ucierpieli jego ludzie, a on sam tylko cudem nie został ranny. Żadna z przedstawianych hipotez nie wydawała mu się wiarygodna. Odbył szereg konsultacji i przesłuchał każdego z możliwych ekspertów. Z każdą chwilą czuł, że wie mniej niż wcześniej. Nagle trzasnęły drzwi. Podniósł głowę. Szybko zgasił papierosa w spodeczku od kawy i pomachał dłonią, by rozproszyć dym.

– Boguś? – wyszeptał Demianiuk.

Tym razem biznesmen włożył czarny strój do biegania i odblaskową kurtkę. Na twarzy miał kominiarkę, którą można było zwinąć na głowę niczym zwyczajną czapkę, co w tej chwili zaprezentował komendantowi.

– Co ty tutaj robisz? – Walski zerwał się zza biurka. – Widział cię ktoś?

Drinu obrócił się i spojrzał na niedomknięte drzwi. Podszedł, cicho je zatrzasnął i rozparł się w fotelu przed biurkiem wiceszefa komisariatu. Chociaż udawał pewnego siebie, Walski widział, że to tylko poza. Drinu miał zaciśnięte szczęki, wzrok rozbiegany. Dłonie mu latały, nawet kiedy położył je na podłokietnikach, więc zaraz zwinął je w koszyczek na brzuchu.

– Tylko dyżurny – odparł. – Ten młody szczurek co zwykle. Zostawiłem mu ciastka od Kasi. Stawiam stówę, że poszedł do kuchni zrobić sobie kawy. Jak szybko obgadamy sprawę, zdążę wyjść niezauważony.

– Nie powinieneś tu przychodzić – utyskiwał niezadowolony Walski. – Zwłaszcza teraz nie powinniśmy się kontaktować.

– Nie przyjdę więcej – zapewnił Drinu. – Ale chyba jeszcze gorzej by było, gdyby namierzyli nasze billingi? W razie czego możesz powiedzieć, że mnie wezwałeś. Jestem przecież pierwszym podejrzanym, nie? – Zaśmiał się nerwowo.

– O co chodzi? – skapitulował Walski.

Odpalił w połowie zgaszonego papierosa. Pykał go łapczywie, aż do samego filtra. W tym czasie Drinu zdjął czapkę. Włosy miał przetłuszczone, rozczochrane.

– Musisz o czymś wiedzieć – zaczął. – Ten gość, którego wezwałeś do pomocy, pytał mnie o samochód. O mojego porszaka.

– Aha… – Walski odetchnął z ulgą. – Ma jakąś koncepcję. To rutynowe działania.

– Chciał, żebym udostępnił mu klucz do auta. Jak myślisz, po co?

– Będzie analizował, dokąd nim jeździłeś – mruknął policjant, a potem nagle coś go tknęło. Spojrzał wnikliwie na Drina. – Mówiłeś prawdę? Nie ruszałeś się w piątek z domu?

– Ja nie. – Zawahał się. – Rzecz w tym, że Kaśka jeździła do matki, do Grajewa.

– Twoim wozem?

– Lubi się popisać przed rodziną ze wsi, jaką partię trafiła – zażartował, ale mina zaraz mu zrzedła. – To chyba było w piątek przed południem. Dopiero po wyjściu tego twojego chytrego inspektorka z niej to wydusiłem. W czwartek wieczór trochę przygrzałem i wstałem następnego dnia, jak już zmierzchało. Sam rozumiesz, że mam luki w danych…

Walski zmarszczył brwi, potarł swędzący zarost. Przez to wszystko nie miał się kiedy ogolić.

– No i co z tego?

Wzruszenie ramionami, uciekający wzrok.

– Nie zgodziłem się dać klucza twojemu profilerowi – podjął znów wątek Drinu. – I liczę, że nie dopuścisz do tego, żeby ktoś nas sprawdzał.

– Muszę! – zdenerwował się wicekomendant. – Przez te twoje wojenki z Portugalczykiem znajdujesz się na pierwszym miejscu listy. Ostrzegałem cię! Przynajmniej udawaj, że współpracujesz…

– Nie mam ze śmiercią tego drania nic wspólnego – powtórzył twardo Drinu. – A nie za to ci płacę, żeby jakiś chłystek z centrali ciągał mnie po przesłuchaniach. Załatw to! Jedziemy na tym samym wózku!

Zerwał się, ruszył do drzwi.

– Czekaj. – Walski udawał spokojnego. Po kręgosłupie biegł mu jednak prąd niepokoju. – Jaka jest szansa, że Kaśka nie pojechała do Grajewa?

– Całkiem spora – przyznał Drinu. – Ona zarzeka się, że była u matki do wieczora, ale coś mnie tknęło i zadzwoniłem do teściowej. Gadała tylko o tym, że chcą zobaczyć małego. Pytała, kiedy ich odwiedzimy.

– Nie mogłeś zapytać teściowej wprost, czy Kaśka była u nich w piątek?

– I przyznać się, że spałem do wieczora, bo miałem narkotykowy zjazd! – wkurzył się Drinu. Zawahał się, spojrzał gniewnie. – Wolę, żebyś ty się tym zajął. Wyczyść to!

Walski czuł, jak ziemia osuwa mu się spod stóp.

– Ty chyba nie podejrzewasz żony, że brała udział w zabójstwie i spaleniu Portugalczyka?

– Sam już nie wiem, co myśleć – westchnął Drinu. – Zachowuje się dziwnie. Próbowała mnie wziąć na spytki, czy ja nie zostałem jej bohaterem… Wpierw wybuchnąłem śmiechem, ale potem mnie zmroziło. Ona chyba kombinuje, żeby wina poszła na mnie. Niby dlaczego chodzi taka zirytowana? Wrzeszczała na was, jakby ją ktoś bił i przypalał, a tylko poszliście, znów była słodka jak miód. Zrobiła mi żarcie i upiekła ciastka.

– I nie było jej cały piątek w domu?

– Pewności nie mam. – Drinu wzruszył ramionami. – Niania twierdzi, że oporządziła małego i dostała wolne. Pomagała jej pakować wszystkie torby z pieluchami, jedzeniem i walizkę z rzeczami na zmianę. Ja dzwoniłem do niej, jak tylko wstałem. Trochę miałem poczucie winy i słabo kontaktowałem. Wydaje mi się, że mówiła, że zostanie u rodziców na noc, ale wróciła przed wieczorem, wściekła jak osa. Kiedy próbowałem ją przytulić, poryczała się i gadała coś o depresji poporodowej. Syna sam wykąpałem i położyłem spać. Potem kazałem jej odciągnąć pokarm do butelki, wlałem w nią flachę wina, bo była nie do życia. Sam też chętnie się napiłem. Jak dzisiaj przyszliście, musiałem zażyć sporą działkę, bo inaczej bym nie dał rady ustać na nogach. Taka sytuacja. Mówię szczerze…

– Nic z tego nie rozumiem. – Walski rozłożył ramiona, a potem nagle się wzburzył. – Żona daje ci alibi, chociaż jej nie było w domu, a więc świadomie kłamie, a ty masz czelność przychodzić do mnie z taką informacją i liczysz, że to

ukryję? Co ty właściwie chcesz ugrać? Zabiłeś gościa czy nie? Prosta piłka.

Mężczyzna się zawahał. Nic nie odpowiedział. Położył klucz do samochodu na blacie.

– Skoro macie ten program do odtworzenia komputera pokładowego, zrób to, zanim dobierze się do niego Meyer. Chcę wiedzieć, gdzie krążyło moje auto w piątek aż do wieczora.

– To niemożliwe. Kolejka do laboratorium jest bardzo długa.

– Nie mówię, żebyś zabierał się do tego oficjalnie!

– Nie znam tam nikogo. Jestem tylko prostym komendantem rejonowej placówki. Na dodatek zastępcą. Nie przeskoczę tego!

– Więc znajdź kogoś, kto znaczy więcej niż ty. To w twoim interesie, żebyśmy ja i Kaśka byli czyści! Załatw to – powtórzył.

Z kieszeni wyjął telefon w różowej obudowie. Położył obok klucza.

– I sprawdź, do kogo tego dnia dzwoniła ta flądra. Z kim gadała. Masz moje pozwolenie na inwigilację wszystkich mediów mojej żony.

– Nie do ciebie należy udzielanie mi pozwoleń. To nie jest twój aparat! – Walski wściekł się nie na żarty. – Jak chcesz złożyć zawiadomienie, chętnie je przyjmę, ale łamać przepisów nie będę! Na taki układ mnie nie weźmiesz!

Drinu spojrzał na wicekomendanta zadziwiony.

– Radzę ci, sprawdź to dokładnie – rzekł spokojnie. – Jeśli Kasia widziała się tego dnia z Portugalczykiem, zmienia to całkowicie mój ogląd sytuacji i bądź pewien, że nie zamierzam jej chronić. Dostaniesz latawicę na tacy, bo moja cierpliwość też ma swoje granice. Może jednak ona jest czysta i podejrzewam ją niesłusznie? Nie wiem, chociaż tak bym wolał, bo dziecko nie powinno wychowywać się bez matki.

– Po co twoja żona miałaby się spotykać z Ruim? – spytał skołowany Walski. – Romansowali tak dawno temu i mówiłeś, że sprawa jest zamknięta. Wybaczyliście sobie. Macie synka… Henio ma tylko dwa miesiące.

– Tak – zgodził się z nim Drinu. – I to jego mogła chcieć mu pokazać.

– Dlaczego?

Drinu nabrał powietrza, by odpowiedzieć, ale zrezygnował. Włożył swoją czapkę, na kościste dłonie wciągnął rękawiczki kolarskie.

– W obu sytuacjach nasz układ pozostaje bez zmian – oświadczył. – Forsę nadal będziesz dostawał, ale nie licz na podwyżkę. W kraju szaleje inflacja. Spróbuj nie sprostać zadaniu, a zadbam, żeby twój szef dowiedział się nie tylko o naszej przyjaźni, ale też o twojej unii z moim ojcem i dziadkiem w latach dwutysięcznych. Zanotowali każdą przekazaną ci kwotę. Notes trzymam w bezpiecznym miejscu.

Walski zerwał się z krzesła, aż się zachybotało. Był tak wstrząśnięty otwartą groźbą, że przez chwilę nie mógł wydobyć z gardła ani słowa.

– To potwarz! – rzucił wreszcie płaczliwie. – Jak śmiesz?

Drinu roześmiał się kpiąco.

– Ciszej, Bogusiu, bo jeszcze młody z dyżurki usłyszy – pouczył go jak uczniaka.

Tego było już dla oficera za dużo.

– A jeśli tego nie zrobię? – warknął. – Wszystkiego się wyprę. To było dawno temu. A swoje marne grosze możesz sobie wsadzić w dupę! Nie utrącisz mnie takimi miernymi kalumniami. Nikt ci nie uwierzy!

Drinu analizował jakiś czas dane, jakby jego procesory się zawiesiły. Wreszcie rzekł:

– Wtedy moje porsche zniknie bez śladu, a ty możesz szykować raport o emeryturę. Ale afera będzie taka, że

z pewnością zostaniesz jej pozbawiony. Czeka cię starość w ubóstwie. I nie będziesz miał już twarzy, Bogusiu. Twój zwierzchnik z pewnością o to zadba, żeby chronić własną. Pomyśl nad tym jeszcze, zanim zrobisz coś niewłaściwego.

* * *

## WARSZAWA, PARKING NA BEMOWIE

Meyer z Misiurem zaparkowali przy wjeździe na parking pod supermarketem i bez wychodzenia z samochodu zabrali się do zestawów fast foodów. Inspektor Misiurkiewicz przed rozpakowaniem swojego przydziału rozłożył na kolanach wszystkie możliwe serwetki, co tak rozbawiło Huberta, że omal nie wylał na siebie kawy. Jedli w milczeniu, obserwując kręcących się po parkingu klientów sklepu, stacji benzynowej i pobliskiej jadłodajni.

– Ruch tu jak w ulu – wymamrotał z pełnymi ustami Hubert. – Ciekawe, czy tak samo jest za dnia i w tygodniu.

– Nie sądzę – odparł Misiur, dokładnie wycierając dłonie serwetką. – Ale jeśli zaparkował na przykład w tym miejscu gdzie my, żadna kamera go nie uchwyci. Sprawdziłem, nie musisz dziękować.

Hubert skrzywił się, nic nie powiedział i jeszcze zachłanniej przyssał się do swojej kanapki.

Jak na godzinę przed zamknięciem aut było sporo. Warszawiacy robili ostatnie sprawunki, więc w kółko ktoś wjeżdżał i wyjeżdżał. U wejścia do sklepu kręciło się mnóstwo rodzin z dziećmi. Stacja benzynowa, na której – jak ustalono – ostatni raz Portugalczyk tankował swoje G, znajdowała się naprzeciwko. Obok ulokowano McDonalda i według danych z opinii Misiurkiewicza Rui zaparkował tam o godzinie ósmej trzydzieści sześć, a odjechał o jedenastej trzynaście.

– Potem pojechał do biura, które znajduje się dziesięć minut drogi stąd, ale najprawdopodobniej nawet do niego nie wszedł, bo wygasił silnik, a zaraz potem znów go włączył – relacjonował ekspert, posiłkując się wydrukami, które ułożył

przed sobą na desce rozdzielczej, by ich nie zatłuścić. – Trzy minuty przed dwunastą był z powrotem w tym samym miejscu. Pół godziny później G ponownie zostało uruchomione, a po siedmiu minutach użyto przycisku SOS, który został anulowany, zanim nastąpiło połączenie z centralą. Następnie kierowca pojechał wprost na miejsce odnalezienia spalonego już auta. Wybrał możliwe najdłuższą trasę. Nie pokrywa się ona z logicznymi i ekonomicznymi podpowiedziami GPS, bo jechał więcej niż godzinę bez zatrzymywania. W Łomiankach, tam gdzie zabezpieczyliście ciało, zarejestrowano ostatni sygnał. Do momentu podpalenia i wysadzenia mercedesa klucza więcej nie używano. Silnik został wyłączony. Bak był prawie pełen, odejmując oczywiście to, co zużyto, żeby dojechać z tego miejsca nad Wisłę – zakończył.

Hubert wysłuchał tego w milczeniu. Odgryzł potężny kawał wegetariańskiej kanapki, skubnął frytek, popił kawą.

– Mamy dostęp do danych z rozmów telefonicznych przeprowadzonych w aucie? – zapytał. – Bo jak rozumiem, jego komórka była zsynchronizowana?

– Owszem – padło w odpowiedzi. – Zrzucił wszystkie połączenia z biurem. Odebrał tylko jeden telefon. Z numeru zastrzeżonego.

– Wtedy, kiedy podjechał pod ATRIUM? – upewnił się profiler.

Misiur pokiwał głową. Sięgnął po swoją kawę, siorbnął głośno.

– Ale gorąca! – syknął. A potem dodał: – Zanim ruszył, dzwonił tylko do jednej osoby. Do abonenta wpisanego w książkę telefoniczną jako „Biuro Księgowe Cykoria”.

– Sprawdzaliśmy to. Nie ma takiego biura – mruknął Hubert.

– Połączenia nie zrealizowano – kontynuował Misiur. – Właściwie prób było siedem. W systemie odznacza się jednak jako jedno działanie.

– I Cykoria nie odebrała?

– Skąd wiesz, że to kobieta?

– Obstawiamy, że to jedna z kochanek, ale może nie trzeba się tak ograniczać… – wyjaśnił Meyer. – Portugalczyk nie wysłał wiadomości?

– Na komputerze pokładowym nie zapisują się dane z esemesów. Żeby ci to sprawdzić, musiałbym mieć aparat. Albo zwrócić się o zgodę do operatora.

– Tak zrobię.

Hubert dokończył jedzenie, otarł usta serwetką i zgniótł kartonowe opakowania w zgrabną kulę, zapakował je do torby papierowej, którą rzucił za siedzenie. Rozparł się za kierownicą, zapatrzył w wejście do supermarketu.

– Analizowałeś może tryb jazdy przed wizytą na tym parkingu i po niej? Różni się?

Misiur spojrzał na niego z uznaniem.

– Pomyślałem o tym – przyznał. – Portugalczyk jeździł ostro, mocno dociskał gaz i nie żałował koni mechanicznych. Ten styl jazdy wyświetla się przynajmniej od tygodnia. Kiedy ruszano stąd czarne G około godziny trzynastej, styl jazdy zmienia się z turbo sportu na comfort, potem ekonomiczny, a w okolicy Łomianek osiągnął nawet poziom żeglowania. Gość, jadąc na miejsce zbrodni, oszczędził z pięć litrów paliwa. Gospodarny, nie powiem.

– Nie wiemy, czy miejsce spalenia auta jest tożsame z miejscem zbrodni – zauważył Hubert. – Skoro kierowcy się zmienili, może do zabójstwa doszło wcześniej.

– Tutaj? – Misiurkiewicz się rozejrzał. Był sceptyczny. – Uważasz, że zabił go na oczach tej gawiedzi?

– Jechał spokojnie, oszczędzał paliwo. Gdyby Portugalczyk prowadził, tryb by się nie zmienił.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – zaoponował kryminalistyk. – Może zamienili się miejscami, a facet siedział

cicho, licząc, że zdoła uciec?

– Nie jest to zgodne z charakterem poszkodowanego. Rui prędzej by gościa poturbował, niż pozwolił wejść sobie na głowę.

– Strach zmiękcza największych kogutów.

– Nie wierzę, że taka spokojna jazda jest możliwa z zastraszonym jeńcem – upierał się Meyer. – Poza tym jak sprawca miałby sterroryzować Portugalczyka, jednocześnie prowadząc w trybie żeglowania? Trzymał mu spluwę przy skroni? A może słuchali *Piątej symfonii* Mahlera?

– To automat. Do prowadzenia G potrzebujesz tylko jednej ręki. Ja potrafiłbym i kolanem.

– Imponujące – zakpił Hubert. – A jednak nie wierzę, że gość spokojnie jeździł sobie po Warszawie, mając pod bokiem przerażonego uprowadzonego.

– Chyba że sprawców było kilku – zasugerował Misiur. – Gościa obezwładnili, wrzucili na tylne siedzenie z workiem na głowie i jeździli po mieście dla zmylenia tropu. Może i nie przekraczali prędkości, żeby nie dać się złapać na fotoradary.

– Sprawdzę całą trasę pod tym kątem – zapewnił Hubert. – Bardzo mi pomogłeś.

– Nie ma sprawy. – Misiur złożył już wszystkie swoje serwetki. Ani kropla keczupu, nawet listek sałaty nie spadł na nie podczas jego posiłku. – Podrzucisz mnie do domu? Auto mam pod biurem, jutro go nie potrzebuję. W poniedziałek je sobie odbiorę.

– Zastanawia mnie coś jeszcze – rzekł Hubert, jakby nie słyszał poprzedniej kwestii. – Dlaczego spalił doszczętnie samochód, ale kluczyk włożył do pancernej saszetki, żeby się zachował? Jakby chciał mieć pewność, że go znajdziemy i odtworzymy te dane. Za to komórkę poszkodowanego zabrał. Widzisz w tym jakiś sens?

– Nie musiał wiedzieć, że będziemy czytać jego trasę z klucza – odparł inspektor. – Jeśli sam jeździ gorszym

wozem, mógł nie mieć świadomości, że komputer pokładowy G zachowuje wszystkie dane w systemie. Poza tym te klucze są tak preparowane, żeby były niezniszczalne. To jeszcze nie jest jakość czarnych skrzynek, ale do tego się zmierza.

– Nie. Moim zdaniem to nie jest przypadek, tylko świadomy zamysł.

– Więc co? Spalił wóz, a dopiero potem wrzucił urządzenie do ognia? Był brudny od sadzy i nadtopiony.

– Właśnie się nad tym zastanawiam – mruknął niezadowolony Hubert. – Po co to zrobił? Jeśli chciał, żebyśmy mieli szansę odtworzyć trasę, ten trop będzie zwykłą zmyłą. A jeśli tak, to zasłona dymna dla czegoś ważniejszego.

– Chyba nie nadążam – poskarżył się ekspert. – Uważasz, że moja praca pójdzie na marne?

– W żadnym wypadku – zaprotestował Hubert.

Wysiadł z auta, pochylił się, żeby Misiur mógł oddać mu swoje śmieci. Dołożył do nich własne i zaniósł do pobliskiego kosza. Kiedy wrócił, brwi miał zmarszczone, ale twarz wykrzywiał mu grymas zadowolenia.

– Wizja lokalna – rzekł. – Pojedziemy jego śladem.

– Nie! – zaoponował Misiur. – Nie zgadzam się! Nigdzie z tobą nie jadę. Nad żadną Wisłę!

– Potrzebuję pilota – judził Hubert. – To tylko godzina. Wyznacz trasę i obiecuję odwieźć cię potem do chaty. Jak trzeba, przeproszę, kupię ci flaszkę. Jakieś dobre pinot grigio? Wiem, że lubisz.

– Przecież ja praktycznie nie piję!

– Ptasie mleczko?

Misiur zaśmiał się szyderczo. Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.

– Koniec. Wzywam sobie ubera. Jesteś niemożliwy.

Pozbierał wszystkie wydruki i wręczył Meyerowi.

– Masz tutaj wszystko, czego potrzebujesz. Poradzisz sobie, nie jesteś dziecko. A jakby co, zawołasz któregoś ze swoich uczniów.

– Jest sobota wieczór! – poddał się Hubert i zrobił zbolałą minę. – Siedzą na randkach albo piją z kumplami. No weź, nie bądź taki zasadniczy.

– Może też mam randkę? – burknął Misiur.

– Ty? – zdziwił się Hubert, jakby nagle spadł śnieg. – Niby z kim? Z kotem? Przecież odwiozę cię tam, gdzie będziesz chciał. Chyba nie przebierasz się w garnitur? Jeśli tak, możemy przejechać przez twój dom. Zobaczę wreszcie, jak mieszkasz – gadał.

Misiur nie słuchał. Kliknął już w aplikację, wysiadł z impetem z auta.

– Cztery minuty. Poczekam tutaj, nie będę cię wstrzymywał.

– Dobra. – Hubert westchnął ciężko. – To tylko podsumujmy.

Misiur założył ręce na ramiona. Patrzył na profilera spode łba, a kiedy ten mówił, co jakiś czas spoglądał na zegarek.

– Więc to mogło być tak – zaczął Meyer, stając na środku parkingu i oceniając sytuację. – Gość spotyka się z kimś tutaj około ósmej trzydzieści. Najpewniej siedzi w knajpie, jedzą to pyszne żarcie przez dwie godziny i gadają. Jeśli nie odbyło się to w samochodzie, znajdę ich na którejś z kamer w macu. To nie mogło być spotkanie służbowe, bo zrzucił wszystkie połączenia albo nie chciał się tłumaczyć. Potem wraca do biura, parkuje i wtedy dzwoni do niego poszukiwany przez nas klient. Umawiają się na tym samym parkingu. Może bywał tutaj już wcześniej?

– A może to po prostu najbliższy parking, który zapewnia mu anonimowość – podrzucił Misiur.

– Pewnie tak jest – zgodził się z nim Hubert. – Tylko z kim umawiasz się pod makiem, obok stacji?

– Z kimś, z kim nie chcesz być widziany, ale temu komuś strasznie zależy na spotkaniu.

– Możliwe, możliwe – zgodził się Meyer. – Nasz klient zmusza go do tego spotkania. Może to na przykład mąż Cykorii, bo zaraz po krótkiej wymianie zdań Portugalczyk próbuje skonfrontować rzecz z babką zakodowaną w jego telefonie jako biuro księgowe.

– Tego nie wiesz – zaoponował Misiur.

– Na razie to tylko założenie – potwierdził psycholog. – Nie dodzwania się do niej, ale tamten podaje jakiś ważny argument, żeby Portugalczyka zwabić na parking. Ujawnienie zdrady nie wystarczy. Rui to nie był koleś łatwy do zastraszenia. Nasz człowiek mówi mu coś, co sprawia, że Rui zawraca i pojawia się tutaj. Gdzieś tutaj stoi. Na którymś z tych miejsc. Sprawdzimy wszystkie kamery, przesłuchamy obsługę, choćby miało to zająć miesiąc, przejrzę wszystkie miejskie nagrania – zapalił się.

– A jeśli wymiana zdań odbyła się błyskawicznie?

– Racja – zgodził się z nim Hubert. – Bo o czym tu gadać?

– I dlatego nikt nie zwrócił uwagi na dwóch gadających facetów – kontynuował Misiur. – Przecież nie musieli się bić, krzyczeć… Może jeden wsiadł do drugiego i po prostu odjechali?

– Nie – zaprzeczył Hubert. – G stało tutaj pół godziny. Silnik był niemal cały czas włączony. Jeśli siedzieli w samochodzie, to do zabójstwa mogło dojść wewnątrz. Gość strzelił, odjechał ze zwłokami nad Wisłę, a potem podpalił samochód, żeby zatrzeć ślady.

– Zapominasz, że las płonął wiele godzin. Teren zaminowano. To się wydarzyło już po spaleniu G razem z ciałem – zwrócił uwagę ekspert. – I jeszcze jedno. Nie wiem, czy dobrze jest, że fiksujesz się na mężczyźnie. Przecież nie jest powiedziane, że strzału nie mogła oddać kobieta.

– Mogła – potwierdził Meyer. – To mogła być nawet sama Cykoria. Dlatego nie pojawiła się na umówionej randce w H

Piętnaście. A wcześniej zadbała o to, żeby usunąć swoje dane z materiałów agencji detektywistycznej pracującej dla Gardockiej.

– Myślisz, że kobiety były w zmowie? – Misiur się skrzywił. – Bo jak inaczej żona Portugalczyka zamaskowałaby Cykorię z analizy detektywa? Jeśli Diana Gardocka maczała w tym palce, to nigdy się nie przyzna, a ona przecież zyskuje na jego śmierci najwięcej.

– Nie znam żadnej kobiety, która potrafiłaby tak skutecznie zaminować teren i zaplanować spalenie wozu. – Meyer się zamyślił. – Trzeba przyznać, że to zostało wykonane profesjonalnie. Myślałem nawet, czy nie zawęzić grona podejrzanych do osób po przeszkoleniu wojskowym.

– A ja owszem, znam – oświadczył Misiur. – Z kimś takim mam dzisiaj randkę. Nie mów nikomu, ale moja kobieta między innymi pracuje czasem jako saper. Służy w jednym z waszych wydziałów specjalnych, więc jeśli ją kiedyś poznasz, nie radziłbym wyprowadzać podobnych hipotez. Mogą być zrozumiane jako seksistowskie i po prostu niesprawiedliwe.

– Masz dziewczynę wojaka?

– W służbie jest od dwudziestu lat, więc to zdecydowanie kobieta. Gdybyś nie był takim palantem, mógłbym was poznać. Wiele byś się od niej nauczył, na przykład cierpliwości… – Spojrzał na wyświetlacz telefonu. – No nie, Tural odwołał mój kurs. Pisze, że nie udało mu się mnie znaleźć. Następnego ubera mogę zamówić za dziesięć minut! Nie wierzę, że dałem się w to wkręcić! Całą sobotę mi zająłeś. Jedyną wolną sobotę, człowieku!

– O której masz to tête-à-tête?

– Za niecałą godzinę.

– A więc jednak wkładasz garnitur. – Hubert uśmiechnął się. – Jakaś świeża sprawa. I poważna. W życiu nie widziałem cię tak roztrzepanego.

Poklepał eksperta po ramieniu.

– Wsiadaj, migiem odstawię cię do chaty, a potem zrobię to, co mam do zrobienia.

* * *

*Noc zapowiadała się zachęcająco. Położyliśmy dzieci spać, usiedliśmy na kanapie z kieliszkami wina w dłoniach, a Małgorzata nie odsunęła się ode mnie, kiedy zacząłem gmerać pod jej szlafrokiem. Przeciwnie, pozwoliła mi na wszystko, czego chciałem, i nie wydarzyło się to szybko. Byłem pewien, że też miała w tym przyjemność. Kiedy skończyliśmy i leżeliśmy nadzy na samym środku sofy w salonie, jak kiedyś, kiedy nie mieliśmy jeszcze dzieci i kochaliśmy się gdzie popadnie, Gosia długo przyglądała mi się z uwagą, wodziła palcami po twarzy, jakby chciała ją na nowo zapamiętać, a wreszcie pocałowała mnie czule w usta i stwierdziła, uśmiechając się kpiarsko:*

*– Jesteś jakiś inny.*

*– Hmm… – wyburczałem, bo naprawdę od piątku czułem się zupełnie innym człowiekiem, ale nie zamierzałem dzielić się z nią tym odkryciem. – Co masz na myśli?*

*– Schudłeś? – Poklepała mnie po wciąż wydatnym brzuchu.*

*– Siedem kilo, ale już z pół roku temu. Nie zauważyłaś, bo praktycznie nie widywałaś mnie bez ubrania.*

*Powiodła dłonią niżej. Chociaż dopiero co skończyłem, czułem, że znów się budzę.*

*– Tutaj też jest o niebo lepiej. Masz tyle wigoru co kiedyś.*

*– Czy to znaczy, że jesteś zadowolona?*

*– Bardzo – rozpromieniła się, ale czułem, że coś knuje. Gra. Nigdy nie była aż tak przymilna. – Wątpisz w to?*

*– Wolałbym mieć pewność, ale komplementów nigdy dosyć.*

*Pacnęła mnie żartobliwie po ramieniu, zakryła się szlafrokiem, usiadła i sięgnęła po swoje wino.*

*– Czyli to by było na tyle? – Zrobiłem skruszoną minę.*

*– Było świetnie. Stanąłeś dziś na wysokości zadania – zapewniła pośpiesznie. I dodała: – Sama jestem zaskoczona. Wiesz, to był jedyny mankament naszego małżeństwa. Seks. A właściwie jego brak. Nie miałam już na ciebie ochoty. – Urwała, spojrzała mi bojaźliwie w oczy. – Ty chyba też tak czułeś?*

*– Nie – odrzekłem stanowczo, ale w sercu poczułem nutę błogości. Czyżby była wobec mnie szczera? Nie dowierzałem.*

*I nagle, sam nie wiem dlaczego, wziąłem ją w ramiona, przytuliłem. Czułem, jakby oczy mi się nagle spociły, a nie chciałem, żeby dostrzegła moją słabość. Nie teraz. Nie kiedy znów urosłem w siłę! Zaplotła mi ramiona na plecach, zdawało mi się, że cicho płacze. Głaskałem ją po włosach, przesuwałem dłoń niżej w kierunku bioder. Byłem gotów przegonić jej cierpienie w jedyny znany mi i jakże skuteczny sposób. Poruszyłem się delikatnie, by poczuła moją męskość.*

*– Nie teraz. Daj mi chwilę bez ocierania się – ofuknęła mnie. – Muszę ci coś powiedzieć. To będzie mało przyjemne.*

*– Tak? – Poczułem, jak martwieje mi w ramionach.*

*Nie poruszaliśmy się. Żadne z nas nie zrobiło nawet małego gestu. Słyszałem jej przyśpieszony oddech. Czułem zapach jej perfum, spermy i naszych wspólnych soków oraz wina, które wydychała.*

*– Wiesz, ja popełniłam straszny błąd. To była chwilowa zapaść umysłowa.*

*Odsunęła się na odległość ramion, a potem usiadła w drugim końcu sofy.*

*Nie odzywałem się. Wpatrywałem się w nią i czułem, jak oblewa mnie zimno.*

*– Był ktoś. To nic istotnego, ale chcę, żebyś o tym wiedział.*

*– Masz romans?*

*– Miałam – szepnęła. – To już skończone.*

*Nadal nie byłem w stanie wydusić z gardła ani słowa.*

*– Chociaż prawdę mówiąc, nie wierzyłam już, że kiedykolwiek do siebie wrócimy. W takim sensie jak wczoraj i dziś. Teraz widzę to wyraźnie. Brakowało mi tej bliskości. Po prostu się od siebie oddaliliśmy.*

*– Kto to jest?*

*– Nie powiem ci. To nieaktualne – powtórzyła. – Nawet nie pytaj.*

*Przysunęła się do mnie i wtuliła głowę pod moje ramię. Miałem wrażenie, że zamierza znów się rozpłakać, ale tak się nie stało. Ona chichotała.*

*– Nigdy więcej się z nim nie spotkam – zapewniła. – Ciebie kocham. Jestem pewna. A ty mnie kochasz?*

*Pomyślałem o nowych sportowych ubraniach, które kupiłem i trzymałem w garażu w workach foliowych. O pudełku taśmy naprawczej, pile do cięcia metalu i drugiej – do drewna. O zestawie nowiutkich japońskich noży oraz łopacie i ługu, a także innych drobnych akcesoriach, które ukryłem w swoim bagażniku, żeby ona ich nie znalazła. Nagle poczułem się rozdarty. Czyżby ten miękki Marcel znów dawał o sobie znać? Gdyby nie było jej tutaj, trzepnąłbym się po twarzy i zrugał, że staję się maminsynkiem. Ale ona była. Niemal leżała na mnie, całkiem naga i dostępna. Czułem jej gorące, kształtne ciało, wdychałem jej zapach zmieszany z moim, w ustach miałem wciąż jej smak.*

*– Kocham cię – szepnąłem. – Najbardziej na świecie. Jesteś kobietą mojego życia.*

*Spojrzała na mnie z wdzięcznością. Nie wiedziałem, jak to interpretować. Ta nagła odmiana nijak miała się do dzisiejszych faktów. Czy jej chuć była tak mierna, że starczyło porządne grzmocenie, a nie musiałbym zabijać rywala? Czyżby podjęte ryzyko było nadmiarowe?*

*– Wspaniale! – Przeciągnęła się jak kotka. – Zgłodniałam. Masz ochotę na spaghetti? A może zamówimy sushi?*

*– O tej godzinie? – zdziwiłem się. – Raczej nie dowiozą.*

*Zerwała się z sofy i podreptała boso do kuchni. Otwierała lodówkę, szafki, wyjmowała na wyspę wiktuały, talerze i garnki.*

*– W takim razie coś ugotuję. Na co miałbyś ochotę, mężu?*

*Kupiła mnie. Zawsze wiedziała, jak mnie podejść.*

*– Może zapiekanka z kurczakiem? – usłyszałem. – Będzie najszybciej, a to twoja ulubiona.*

*– Nie przygotowywałaś jej od lat – zauważyłem.*

*– Dziś zaczynamy całkiem nowe życie. Proponuję, żebyśmy od teraz to właśnie dwudziestego drugiego października obchodzili naszą rocznicę. Nie będziemy świętowali ślubu, pierwszego pocałunku ani nawet urodzin naszych dzieci. Jak chcesz, możemy odnowić śluby.*

*– Chyba za dużo wypiłaś, skarbie – mruknąłem. – Pomóc ci?*

*– Nie, nie. Włącz sobie jakiś mecz i przez pół godziny mi nie przeszkadzaj.*

*Zrobiłem, co nakazała. Chwyciłem pilota i kliknąłem w pierwszy program, jaki się nawinął. Akurat trwały wiadomości. Znów pokazywano jatkę w Łomiankach. Szybko wyciszyłem dźwięk, ale nie byłem w stanie odebrać sobie przyjemności oglądania obrazków. Patrzyłem na płonące drzewa, na łunę nad Wisłą, a potem na zdjęcia spalonego mercedesa, którego strażacy pocięli w wąskie wstęgi, by dostać się do ciała.*

*Na pasku pojawiła się informacja: Trwa identyfikacja zwęglonego ciała mężczyzny odkrytego nad Wisłą. Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że samochód należał do firmy ATRIUM Michel Angelo de Souza. A potem ekran wypełniło zdjęcie mojego martwego rywala.*

*Nie zdążyłem przełączyć kanału. Małgorzata podbiegła z kurczakiem w jednym ręku i nożem do siekania w drugiej.*

*– Pogłośnij! – rozkazała.*

*Twarz miała bladą, oczy wytrzeszczone. Usta jej drżały. Nie spuszczała spojrzenia z telewizora.*

*Ekran podzielono i obok zdjęcia Ruiego z pewnym opóźnieniem pojawiła się dziennikarka z mikrofonem. Nagrywała z miejsca zdarzenia, które do teraz ściągało ciekawskich, więc teren nadal obstawiony był przez patrole z kogutami na dachach. Reporterka mówiła o braku śladów kryminalistycznych, niewyjaśnionych eksplozjach, rannych policjantach w szpitalu i analizie DNA, która ostatecznie potwierdzi lub wykluczy, czy w aucie zginął szanowany biznesmen.*

*– Jak doszło do tej tragedii, na tę chwilę pozostaje tajemnicą – dokończyła i obiecała, że będzie pilotować dla widzów tę sprawę.*

*Ja jednak wcale jej nie słuchałem. Przyglądałem się swojej żonie, która zdawała się przezroczysta.*

*– Znasz tego faceta? – spytałem.*

*Odwróciła się do mnie i na jej twarz wypłynął wymuszony uśmiech. Wiedziałem, ile to musiało ją kosztować. Ramiona miała wciąż napięte, dłonie zaciśnięte na kurczaku i nożu.*

*– Ja? – Skrzywiła się pogardliwie. – Dlaczego przyszło ci to do głowy?*

*Odchodziła już do kuchni. Szybkim krokiem. Uciekała…*

*– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.*

*– Włącz lepiej jakąś komedię – rzuciła rozdrażniona. – Mamy dziś nasze święto. Nie będziemy się dołować z powodu cudzej tragedii.*

*Przełączyłem na Netflix i wybrałem coś na chybił trafił. Kiedy trwała czołówka kolejnej edycji Mamma Mia, przyglądałem się swojej żonie, która zachowywała się tak, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Kręciła się po kuchni, cięła kurczaka na paski, wrzucała makaron do wody, sypała zioła i układała warzywa w żaroodpornej brytfannie. Kiedy nagle podniosła głowę i spotkaliśmy się spojrzeniem, poczułem ciary*

*na plecach i dopadło mnie déjà vu: jak wtedy w H15. Czy ona wie? – myślałem gorączkowo. Czyżby od początku podejrzewała, co planuję zrobić? Albo co już zrobiłem? Przecież znała mnie najlepiej na świecie. Kiedyś niczego przed sobą nie ukrywaliśmy. Dotarło do mnie, że nie doceniając jej, popełniam błąd. Nie wiedziałem tylko, co to dla mnie oznacza.*

Rozdział 2

# PRZYGODY SINDBADA ŻEGLARZA

**23 października (niedziela)**
**WARSZAWA, WYDZIAŁ WSPARCIA DOCHODZEŃ**

Chociaż Hubert wczorajszej nocy przemierzał Warszawę tropem komputera pokładowego mercedesa zamordowanego Portugalczyka i położył się grubo po trzeciej, zerwał się przed dziewiątą rześki i z czystym umysłem. Wstając, niechcący zrzucił zestaw lekarstw, smarowideł i syropów na kaszel, a wtedy ostatecznie do niego dotarło, że jest zdrów.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, zrobił sobie kawę, wsiadł do samochodu i ruszył do firmy.

Nad aktami, materiałami przekazanymi mu przez Walskiego i notatkami młodych detektywów siedział aż do zmierzchu. Zabierał się właśnie do pisania wstępnej opinii dla wicekomendanta z Łomianek, kiedy dobiegło go ciche plaśnięcie drzwi wejściowych, a potem Bigos, królik, którego wydział dostał po rozwiązaniu sprawy „Kobiety w walizce" z Ełku, jak nazwały ją media, otworzył ślepia i zaczął poruszać nozdrzami. Meyer już wiedział, że będzie miał gościa.

Wyprostował się, wygłuszył prowizorycznie ekran komputera i w myślach obstawiał, kogo licho niesie w to niedzielne, jakże piękne popołudnie. Kto, jak on, nie może

wytrzymać bez wydziału nawet w jedyny dzień wolny od pracy.

– Wiedziałam, że cię tu znajdę – usłyszał niski, kojący głos podkomisarz Olton.

Agnieszka nawet przekazując mu nieprzyjemne dane, zdawała się uśmiechać. Lubił ten jej optymizm i opanowanie, ponieważ sam był nerwusem, a do tego defetystą.

– To, że ja tutaj koczuję, jest oczywiste dla wszystkich. Ale ty? – Łypnął na nią podejrzliwie. – Co robisz w firmie w niedzielę i o tej porze? Znów jestem w opałach?

Nie odpowiedziała. Powoli rozwijała szal, rozpinała gustowny trencz. Torebkę zawiesiła nonszalancko na krześle, które przysunęła do biurka Huberta. Usiadła miękko, nie zdejmując z twarzy tej tajemniczej miny, więc Meyer zaczynał się poważnie niepokoić.

Jego zwierzchnicy dobrze wiedzieli, jaki wpływ na Huberta ma ta wysoka blondynka, i skrupulatnie wykorzystywali ją jako jego osobistego „czarnego anioła”. Wszystkie okropne lub mrożące krew w żyłach wiadomości, które nie miały prawa przejść drogą oficjalną, Meyer otrzymywał właśnie od niej. Nie zapomniał wprawdzie, że z jej strony mógł zawsze liczyć na bezwarunkowe wsparcie, bo choć znali się krótko, podkomisarz Olton wiele razy to udowodniła.

Teraz jednak, kiedy ją awansowali na bezpośredniego zwierzchnika wydziału, który sam powołał do życia, nie był taki pewien, czy Agnieszka wciąż jest jego sojuszniczką. Może przemyślała wszystko i uznała, że jest zbędny, przynosi szkodę WWD? Co nie było takie dalekie od prawdy, bo poczynania Huberta z jednej strony rozsławiły elitarną jednostkę, ale też z drugiej – wystawiały profilerów na ataki nieprzychylnych mediów. Reporterzy nieustannie węszyli wokół nich, szukając sensacji.

Kiedy Olton obejmowała stanowisko, powiedziała mu jedno: „Od teraz musimy uważać”. Dokładnie tak się wyraziła, w liczbie mnogiej. Ujęła go tym, że identyfikuje się

z zespołem niczym z własnym plemieniem. Był przekonany, że nawet gdyby jego zabrakło, Agnieszka nie pozwoli zrobić krzywdy ludziom zatrudnionym w WWD. Włos im z głowy nie spadnie pod jej rządami – tego był pewien. Ich relacja była, delikatnie mówiąc, skomplikowana. Olton doskonale zdawała sobie sprawę, że Huberta nie idzie ujarzmić, więc nawet tego nie próbowała. Jakoś w garści musiała go jednak trzymać, bo od tego, czy nie zerwie się znów ze smyczy, zależało dobre imię całego wydziału. Hubert każdego dnia czuł na sobie ciężar odpowiedzialności i ten kaganiec mu doskwierał. Obawiał się, że konflikt z Agnieszką jest nieunikniony.

– Poczęstujesz mnie papierosem?

Spojrzała znacząco na leżącą pod papierami niemal pustą paczkę. Obok stał słoik po pulpetach wypełniony wodą, w której pływały rozmoczone niedopałki. Jeśli sądzić po brunatnym kolorze ścianek naczynia, Meyer używał go już od dłuższego czasu. Teraz szybko po niego sięgnął i chciał ukryć przez Agnieszką, jakby ta odrażająca popielniczka nie była jej godna.

– Nie wygłupiaj się – westchnęła. – Przecież wiem, że to robisz.

Podał jej papierosa. Zgniatała go chwilę, a potem przytrzymała dłużej w palcach, więc ocknął się i podał jej ogień. Zaciągnęła się zachłannie i wpuściła dym w płuca, jakby paliła nie tytoń, tylko skręta gandzi. Hubert pomyślał, że jest w tym coś lubieżnego. Miał mętlik w głowie. Nie rozumiał, dlaczego Agnieszka milczy. Po co te korowody?

– Tutaj nie wolno palić – mruknął i zerwał się, by otworzyć okno.

Tak naprawdę nie chciał, by spostrzegła jego zdenerwowanie.

– Jakoś wcześniej nie przeszkadzał ci smród i zaduch – skwitowała. – Poza tym wszyscy wiedzą, że przesiadujesz tu nocami i palisz jak parowóz. Nie, nie upijasz się, ale jesz przy

aktach, oblewasz je kawą, zupkami Yum Yum i maślanką… Rano, kiedy się przyjdzie, w twoim gabinecie cuchnie jak w więzieniu.

– To dlatego ulokowałaś mnie koło kibla na samym końcu korytarza? – Uśmiechnął się krzywo. – Żeby żaden z oficjeli tu nie zabłądził?

– Też. – Odpowiedziała podobnym uśmiechem i pociągnęła jeszcze jednego solidnego macha, a potem wrzuciła w połowie pełnego papierosa do jakże wykwintnego słoika po pulpetach. – Cieszę się, że zmartwychwstałeś.

Wzięła na kolana królika. Głaskała go chwilę, nie odzywając się.

Hubert przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami. Nareszcie odchylił się na krześle, zaplótł ramiona za głową.

– O co chodzi, szefowo? Komu tym razem nadepnąłem na odcisk?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Skoro pofatygowałaś się tutaj taka wyszykowana, ktoś wykonał telefon. Najpierw pojechałaś do ministerstwa albo jakiś ważniak wziął cię na kawę i wyłuszczył krótko, jaka ma być procedura – atakował. – Zwalniasz mnie, zawieszasz czy mam wracać na L cztery?

– Nic z tych rzeczy – odburknęła. – I nasza dżentelmeńska umowa wciąż obowiązuje. Może powtórzę, bo widzę, że jesteś zaniepokojony: to ty jesteś tutaj tak naprawdę szefem. Ja co najwyżej rzecznikiem prasowym, a raczej wygodną dla wszystkich figurantką.

Jej słowa zbiły go z tropu. Nie spodziewał się wyrzutów, nigdy nie myślał o niej w ten sposób. I nie sądził, że Agnieszka może mieć takie kompleksy.

– Mowa trawa – rzekł. – O co chodzi, Olton?

– Nie zawiadomiłeś mnie, że robisz przy Portugalczyku – poskarżyła się. – Wezwałeś z urlopu Szczecinka i pisałeś do Grzesia Kaczmarka, żeby w poniedziałek był gotów do zadań.

Kazałeś mu odstawić wszystko i przesłuchiwać kochanki poszkodowanego, naciskać Boziłowa w sprawie sekcji, znaleźć balistyka i być w kontakcie z Misiurem z CLKP. Wszystko rzecz jasna nielegalnie. – Zawahała się. Podniosła głos. – Twój autorytet jest tak potężny, że Poznań się dostosował. Pewnie nawet cię nie zainteresowało, dlaczego od jutra nie ma go w grafiku.

– No właśnie! – ożywił się Hubert. – Nie został wpisany. Sądziłem, że cierpi na brak wolnego czasu… Ten chłopak jest najzdolniejszy, powinien jak najwięcej pracować!

– Przestań już chrzanić, bo stracę cierpliwość! – Podniosła dłoń w złości, ale zaraz się opanowała. Odgarnęła włosy. – Kaczmarek anulował wycieczkę do Rzymu i wiem, że jest już po pierwszej telefonicznej odprawie z wicekomendantem Walskim. Wszyscy, do cholery, robią, co im każesz! A teraz przychodzę tutaj i widzę, jak ślęczysz nad profilem, chociaż oficjalnie jesteś obłożnie chory i podobno prawie umarłeś na zapalenie płuc!

Hubert zacisnął szczęki, zmełł w ustach obraźliwą ripostę. Wszystko, co powiedziała Olton, było prawdą. I wcale nie był zły, że mu to wygarnęła. Było mu głupio, że jej nie zawiadomił. Miała pełne prawo czuć się zlekceważona. On nie popuściłby nikomu takiej zniewagi, to pewne. Nie wiedział, czy powinien się do tego przyznawać, czy raczej iść w konflikt. Obie strategie robiły z niego totalnego dupka.

– Masz coś do powiedzenia na swoją obronę czy będziesz się tylko tak wyginał? – Wstała, podeszła do okna. Zamknęła je z hukiem. – Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

– Masz rację – zaczął łagodnie i już szykował długi wywód, ale się poddał. – Zawaliłem.

– Co niby zawaliłeś?

– No, nie sądziłem, że tak to wyjdzie. Sorry, na maksa wkręciłem się w sprawę. Dawno nie mieliśmy tak ciekawego świeżego przypadku, a wklepywanie danych do systemu i praca na aktach bywa nużąca. Sama przecież wiesz…

Patrzyła na niego zrezygnowana.

– Boże, jaki ty jesteś trudny! Ty nic nie rozumiesz, Hubercie, albo tylko udajesz… – zaczęła. – Tak dalej być nie może. Ja cię nie oceniam. Wiem, że za chwilę skończy się proces Sroki, a na wokandę wejdzie sprawa zabójstwa Wery. Będziesz musiał zmierzyć się z Czajkowskim, z całym tym syfem, choć wydawało ci się, że już od niego uciekłeś…

– W ogóle o tym nie pomyślałem – wszedł jej w słowo niesiony jej empatią. – Po prostu robię swoje. Co masz mi do zarzucenia? Przecież to mój czas wolny. Za nadgodziny nie chcę od ciebie ani grosza. A jeśli chodzi o ten profil, robię go dla przyjemności. Walski potrzebuje go na cito.

– Rzecz w tym, idioto, że ta sprawa jest śmierdząca! – ryknęła. – I gdybyś mnie zawiadomił, od razu bym cię o tym uprzedziła. Nie powiedziałabym: nie rób. Usłyszałbyś: rób, ale uważaj. A już na pewno nie mieszaj do tego wszystkich naszych ludzi. I nielicznych sojuszników, którzy nam sprzyjają. Boziłowa, Misiurkiewicza i innych, do których dopiero planujesz wykręcić.

Hubert wpatrywał się w nią oniemiały.

– Przepraszam – wydukał. – Nigdy nie nauczę się tej polityki! Dobrze, że to ty jesteś szefową WWD, bo już dawno by nas zamknęli… Zaraz bym kogoś obraził, dał mu w łeb albo spalił akcję szczerością.

Olton nagle przeszedł cały gniew. Roześmiała się nerwowo i znów klapnęła na krzesło obok Bigosa, który wcale się nie ruszał, niczym Budda. Zdawało się, że jego pyszczek wykrzywia się w nieznacznym uśmiechu. Oczy miał przymknięte.

– Nawet do naszego króla mogą się przypierdolić – dorzuciła. – Przecież żaden przepis nie pozwala ci trzymać zwierząt w państwowym biurze.

– Dobra, wezmę go do domu – przerwał jej. – Powiesz mi, o co chodzi, czy zamierzasz dalej ochrzaniać mnie jak jakiegoś gówniarza? Sorry, że nie zadzwoniłem. Nie

pomyślałem. To się nie powtórzy. Głupio mi, bo cię lubię, szanuję i jestem wdzięczny za wszystko, co dla mnie robisz, ale, do cholery, masz, kobieto, wolne! Sądziłem, że spędzasz ten czas z rodziną, dziećmi, nie wiem, kogo tam masz prywatnie. Nie chciałem przeszkadzać!

Agnieszka w odpowiedzi wywróciła oczami.

– Trzymajcie mnie! – jęknęła. – Ty nawet nie wiesz, że ja nie mam dzieci!

– Nieważne! Na cholerę miałem ci zawracać dupę jakimiś przepychankami, skoro jutro rano i tak spotkalibyśmy się w robocie. Przecież od tego zacząłbym naszą odprawę! – zakończył i zamilkł.

Ona też milczała. Widział jednak po jej twarzy, że coś się zmieniło. Złagodniała.

– Nie chciałeś mi przeszkadzać? – upewniła się. – Jakoś nie miałeś skrupułów, żeby zrywać Grzesia Kaczmarka z urlopu, chociaż facet nie odpoczywał, odkąd się otworzyliśmy. Nie wziął dnia wolnego i jest do twojej pełnej dyspozycji. Nie przeszkodziło ci zawrócić z lotniska Szczecinka, który powinien pojechać do chorej matki!

– Sam do mnie zadzwonił! – oburzył się Hubert. – I skąd miałem wiedzieć, że jego matka niedomaga? Nie jestem jasnowidzem! To za jego sprawą jestem w tym bajzlu! Palił się do roboty jak młody tygrys, a kiedy zobaczył laseczkę w komisariacie u Walskiego, wprost oszalał. Kleił się do niej i puszył, jakby wyrósł mu ogon w paski. Wołami nie dałbym rady odwieść go od pomocy przy tej sprawie!

– Pańcia to jego dziewczyna. – Agnieszka westchnęła i pokręciła z niedowierzaniem głową. – Są razem od sześciu miesięcy. To jest pół roku, Hubercie! Szczecinek myśli o kupnie pierścionka i do tej chorej matki mieli jechać razem.

– Co? – Meyer oniemiał. – Co ty gadasz?

– Wszyscy to zauważyli, jak tylko Joanna pierwszy raz przyszła po niego do roboty. Tylko ty jesteś tak skupiony na

pracy, że nie widzisz, co dzieje się wokół, a już nawiązujące się między ludźmi więzi zupełnie cię nie obchodzą.

– Tak, jestem potworem. Nie interesują mnie plotki. Wybacz – parsknął.

Ona jednak nie odpuszczała.

– Proza życia cię nudzi. Tylko praca, praca i praca. Wyzwania, aspiracje… Sama nie wiem, jak rozwiązujesz te sprawy, skoro jesteś ślepy na ludzkie uczucia!

– Teraz mnie znokautowałaś – mruknął. – Nic nie zauważyłem. Moja wina. – Poprawił okulary, rozczochrał jeszcze bardziej włosy i spojrzał na nią wyzywająco. – Jakie to ma znaczenie? Do czego prowadzi ta rozmowa? – Uniósł się. – Mam przestać grzebać przy Portugalczyku? Zająć się papierologią? Szkolić dalej prokuratorów czy się wycofać? Czego ode mnie chcesz, kobieto? I dlaczego w ogóle tutaj przylazłaś?!

Agnieszka nabrała powietrza i wydychała je miarowo. Była wściekła. Zaciskała usta tak mocno, że aż bielały.

– Odesłałam Szczecinka z Pańcią do jego mamy – oświadczyła. – Wrócą za dziesięć dni. Żadne z nich nie będzie w stanie pomóc ci przy sprawie spalonego mercedesa nad Wisłą. Walski o tym wie, wyraził zgodę. To samo z Grzesiem. Nie byliśmy w stanie przywrócić odwołanych lotów do Rzymu, ale zwrócimy mu za te nowe, niby delegacja służbowa. Hotel udało się przebukować. Całe szczęście, bo kwota byłaby taka, że ktoś mógłby mi się przypiąć do tyłka. Musisz wiedzieć, że Kaczmarek jedzie tam z nową koleżanką. Tego, że ma kogoś, też pewnie nie zauważyłeś?

– Poznań i dziewczyna? To coś nowego. Pewnie dwa razy od niego starsza. – Skrzywił się. Wymruczał coś niezrozumiale, a potem sięgnął po nowego papierosa. Zapalił nerwowo. – A co ze mną? Mnie też gdzieś odeślesz? Ryby, grzyby, a może wczasy na plaży?

– Może? To byłoby takie okropne?

Teraz Hubert się wściekł. Nie zerwał się jednak, nie podniósł głosu. Spiął ramiona, jakby szykował się do ciosu, twarz miał zaciętą, spojrzenie wrogie.

– Musisz wiedzieć, że jeszcze nigdy nie byłem na wakacjach. Nigdy! – podkreślił z dumą. – I się nie wybieram. Marnowanie czasu.

Olton zaśmiała się kpiąco. Był to wybuch gwałtowny, oczyszczający. Hubert wpatrywał się w nią z pogardliwym grymasem na twarzy. Milczał. Wtedy pochyliła się do niego, aż poczuł jej różano-jaśminowy zapach, który rozpoznałby wszędzie, choćby była w pomieszczeniu krótką chwilę. Tak pachniała, kiedy przyjechała po niego do Poznania i ostrzegła przed aresztowaniem, ta sama woń otulała ją, gdy obejmowała go w dniu oczyszczenia z zarzutów. Ten zapach wreszcie czuł na imprezie z tej okazji i towarzyszył mu on, nawet kiedy zasypiał. Teraz jednak ten aromat drażnił go i dałby wszystko, by znów nie mieć węchu.

– Nie rozumiem, co cię tak bawi – wyburczał obrażony. – I nie pojmuję, co kombinujesz! Chcesz, żeby całe biuro opustoszało? Jak mamy robić wyniki, skoro siłą wysyłasz ludzi na kanikułę? A może tniesz koszty i chcesz zimą oszczędzić na ogrzewaniu?

– Tam, dokąd pojedziemy, będzie znacznie cieplej niż w kraju, zapewniam – oświadczyła całkiem już spokojna. – I wcale nie odwołuję cię z tej sprawy. Wręcz przeciwnie. Czeka cię orka.

– Pojedziemy? My razem?

– Owszem. Przecież twoje pupilki są zajęte, a ktoś musi zostać w biurze, żeby robić statystyki, jak celnie zauważyłeś. Ja po prostu muszę z tobą jechać, żeby oficjalnie cię pilnować. I może przydam się też, jak przyjdzie do udzielania wywiadów. – Skrzywiła się, naśladując jego aktualną minę.

– Co to za cyrk? – oburzył się. – Nie pisałem się na przymusowe urlopy z szefową. Odmawiam!

Agnieszka wcale się nie przejęła. Sięgnęła do swojej torebki i wyjęła z niej pendrive. Położyła go przed Hubertem.

– Identyfikacją Portugalczyka, analizą ładunków i spaleniem załogi Walskiego zajmuje się teraz komenda wojewódzka. Łomianki wykonują wyłącznie jej polecenia. Walski został odsunięty od sprawy. Możesz skończyć swoją opinię i posłać ją wicekomendantowi, ale nie sądzę, żeby miało to bezpośredni wpływ na śledztwo. W każdym razie nie na tym etapie. To marnowanie czasu, że zacytuję klasyka. – Uśmiechnęła się smutno. – A na tym dysku masz akta sprawy powiązanej ze śmiercią Ruiego Coelha Tavaresa de Souzy. Bo to on zostanie jutro zidentyfikowany jako ofiara całopalenia. Nie będą potrzebne próbki DNA. Poziom spalenia zwłok nie jest aż tak dotkliwy, jak to wyglądało na wstępie. Zęby są dobrze zachowane mimo temperatury, a jutro wdowa Gardocka osobiście przyjedzie i rozpozna męża. W razie gdyby robiła problemy, jego rodzina nie odmówi tego z pewnością. Ojciec klanu Pedro de Souza jest już w kraju i teraz to on pociąga za odpowiednie sznurki. Tak, jestem dziś wyszykowana, bo spotkałam się z ojcem Portugalczyka, a potem pojechałam na Oczki i widziałam ciało. Dlatego mówiłam, że sprawa jest śmierdząca. Jutro odbędzie się tylko teatr. Wszystko z góry zaplanowano.

Hubert milczał. Słuchał jej z uwagą.

– Jedno mnie niepokoi: powiedziałaś „śmierci Portugalczyka” – zauważył. – Czyżbyś miała wątpliwości? Byłem na oględzinach, udział osób trzecich jest widoczny na pierwszy rzut oka. To było zabójstwo! Kto, do cholery, uważa inaczej? Mario? Wątpię.

Agnieszka zawahała się, nim odpowiedziała.

– Boziłow dostał na razie tylko materiał poglądowy, ale nie ma wątpliwości, że przyczyną zgonu był postrzał. De Souza dostał cztery kule z przyłożenia w brzuch, a dopiero potem się zhajcował. Pole zaminowano wcześniej. Ropę rozlano po to, żeby las płonął wiele godzin. Może całą noc? Nawet gdyby ludzie Walskiego nie weszli na samostrzelne ładunki, i tak by

doszło do eksplozji od temperatury. Na tym etapie wcale się nie wyklucza, że Rui de Souza nie zaplanował tego sam.

– Oszalałaś? To brednie! – krzyknął Meyer. – Sam do siebie cztery razy strzelił? Sam rozsypał miny przeciwpiechotne, zalał łąkę ropą i skutecznie podpalił las, zakładając źródła ognia w różnych miejscach? Samo łażenie po lesie z zapaloną pochodnią zajęłoby mu z godzinę… A potem, przypominam, wciąż z czterema dziurami w brzuchu, odniósł ciężkie kanistry hektar w drugą stronę, aż do drogi, żeby zmylić ekipę dochodzeniowo-śledczą, i jeszcze wrócił, usiadł za kierownicą, nakrył się płaszczem, pewnie żebyśmy łatwiej go znaleźli?! – kpił. – Faktycznie, gość był terminatorem… Winszuję wyobraźni, pani podkomisarz!

– Butelka, którą miał w aucie, zadziałała jak koktajl Mołotowa – nie zrażała się Olton. – A kolejność nie była taka, jak to zrelacjonowałeś! Wybuch miał jedynie nasunąć podejrzenie zbrodni, bo tak naprawdę było to samobójstwo. Efektowne, przyznaję, ale tylko wtedy rodzina Portugalczyka otrzymuje rekordową kwotę odszkodowania z polisy. W razie odebrania sobie życia klan de Souzów jest w plecy setki milionów dolarów. Żeby było jasne: wdowa nie jest w tym dokumencie ujęta. Przed ślubem podpisali rodzaj intercyzy, jakiegoś kontraktu, który wyłącza ją ze spadku. W jej interesie jest, żeby małżonek żył i miał się świetnie. W przeciwnym wypadku zostaje goła jak święty turecki. Jest czysta. Zero motywu. Dla niej lepiej by było, gdyby prokurator orzekł samobójstwo męża. Dostanie jej się wtedy wielki spadek wraz z udziałami w konsorcjum de Souzów. W najbliższych dniach będziemy mieli do czynienia z pojedynkiem rodziny zmarłego i wdowy po nim. Diana Gardocka nie jest w ciemię bita i już zatrudniła niezależnego eksperta, który uwiarygodni jej wersję. Facet jest, uważaj, profilerem. Wykonał już wstępną opinię, którą ci przedstawiłam, ponieważ nieoficjalnie podzieliła się nią z teściem. Prokuratura włączyła ją oficjalnie do akt. Prokurator Sergiusz Kulik nadzorujący dochodzenie przyjął analizę jako jeden z głównych dowodów w sprawie.

– Co?! – ryknął Hubert. – To hucpa! Przekręt. Prymusek musiał wziąć w łapę albo liczy na tej podstawie na awans!

Agnieszka wzruszyła tylko ramionami.

– Podsumowując, wdowa będzie cisnęła do samobójstwa męża, a rodzina Portugalczyka do morderstwa – kontynuowała. – Wiem nieoficjalnie, że Komenda Główna przygotowuje dla mediów wersję informacji prasowej opartej na hipotezie samobójstwa, bo mają stosowny papier profilera. Jutro z rana z tym ruszają.

Hubert kręcił głową jak oszalały. Nie wiedział, od czego ma zacząć polemikę.

– Wszystko, co powiedziałaś, jest niedorzeczne! To śledztwo jest fingowane. I to bardzo grubo! – warknął. – Jeśli w to wierzysz, nie mamy o czym gadać.

– Nie wierzę – odparła łagodnie. – Podobnie jak Mario Boziłow i kilka innych osób z naszej firmy. Zanim jednak zaczniesz wytaczać działa, przeczytaj, co przyniosłam ci na tym dysku. – Wskazała pen. – Te dane są ściśle tajne – zastrzegła.

– Oczywiście – zakpił Hubert. – Ciekawe, komu i ile ojciec de Souzy zapłacił, żeby nam je podarować. Bo to z nim, jak rozumiem, na tę chwilę trzymasz?

– Nie mam ich od ojca Portugalczyka.

– A od kogo?

– Od znajomego gliniarza, który służy w Portugalii. Delegowano go także do dochodzeń na Maderze, Flores i Pico. Nie było tego wiele i rzadko chodziło o śledztwa przeciwko życiu. Ot, kradzieże, oszustwa, pobicia, kilka gwałtów. Tak zwana wakacyjna drobnica. Wiesz, że nasz kontyngent stacjonuje tam na stałe, odkąd jesteśmy w Unii, i pomaga rozwiązywać sprawy, jeśli rzecz dotyczy obywateli polskich?

– I? – zniecierpliwił się Hubert. – Jaki jest związek tej sprawy z zastrzeleniem i spaleniem Ruiego de Souzy? Ups, samobójstwa terminatora…

– Kilka lat temu Rui z żoną kupili w regionie Algarve rezydencję na klifie z dostępem do oceanu. Spędzali w Sagres wakacje, bywali z czasie świąt, zapraszali gości, odpoczywali… Podobno w pandemii bardzo się przydała. Pływali sobie jachtem, bo mają oczywiście odrażająco wypasioną łódkę, która kosztowała tyle, ile ten najmniejszy statek rodziny królewskiej Windsorów. Nie muszę dodawać, że pani Gardocka spędzała w Sagres znacznie więcej czasu niż małżonek, który kursował do kraju w swoich biznesach.

– Miło – wyburczał Hubert. – Nadal jednak nie widzę tu kryminału. A tym bardziej związku z fajerwerkami nad Wisłą!

Agnieszka się nie zniechęciła.

– Żeby kobieta się nie nudziła, wspaniałomyślny małżonek zostawił jej do dyspozycji jacht – ciągnęła. – Mogła zabijać czas, pływając od wyspy do wyspy. Rzecz w tym, że Diana nie zna się na sterowaniu statkiem. Rui zatrudnił więc wykwalifikowanego żeglarza. To był Polak. Przystojny jak marzenie. Wysportowany. Lat trzydzieści dwa.

– I co? Babka się zabujała?

– Oczywiście.

– A teraz ten żeglarz nie żyje?

– Zaginął. Zniknął. Amba fatima.

Hubert czekał na jakiś sensacyjny finał, ale się nie doczekał. Agnieszka milczała.

– I co?! – ryknął, nie ukrywając zniechęcenia. – Teraz my mamy odpuścić śledztwo w sprawie zabójstwa Portugalczyka, żeby jechać na tę wyspę i prowadzić dochodzenie w sprawie jakiegoś majtka? Założę się, że Sindbad dostał od de Souzów forsę za zniknięcie i dobrze się bawi gdzieś na Adriatyku albo w innej Nowej Zelandii!

– Nie jakiegoś majtka – obruszyła się Agnieszka. – Ten Sindbad ma rodziców, na imię mu Arkadiusz, pseudo Arun, i przynajmniej przez rok był kochankiem Diany Gardockiej. Facet nie zostawił wiadomości, listu samobójcy, po prostu

któregoś dnia rozpłynął się w powietrzu. Nie znaleziono żadnego ciała na akwenie, a szukają go do dziś. Wiemy jednak z pewnością, że Rui wiedział o romansie żony, i nie był to byle jaki romans, tylko relacja zagrażająca ich małżeństwu. Kobieta chciała rozwodu i zaczęła negocjować warunki ugody! Zawieszono mediacje, ponieważ nie mogli dogadać się w sprawie opieki nad dzieckiem. Podsumowując: Arun został unieszkodliwiony przez jej męża albo zwiał, ukrył się i osobiście zadbał o to, żeby las pod Łomiankami spłonął, a Diana była wdową. Nie rozumiesz?

– Chyba wyobraźnia cię ponosi! – parsknął Meyer. – Jeśli te materiały spreparowała dla ciebie pani Tygrysica…

– Kto?

– Żona Portugalczyka, ta przesprytna kocica, Diana Gardocka, która była zdradzana i czuje się teraz upokorzona, więc domaga się zemsty za swoje krzywdy – odparował. – To ja abdykuję, poddaję się. Nie maczam w tym palców!

– Więc wolisz, żeby klan de Souzów zamiótł sprawę pod dywan albo żeby Gardocka zrobiła z wybuchu w Łomiankach samobójstwo? Nie widzisz, że to właśnie jest im na rękę?

– Kto wymyślił tę absurdalną hipotezę? Jakiś dureń albo chciwy cwaniak, który robi skok na kasę.

– Doktor habilitowany Marcel Lisowski, ksywa Lisek. Twój uczeń.

– Wypraszam sobie! Był moim uczniem wyłącznie wirtualnie. – Oczy Huberta pociemniały z gniewu.

– W wywiadach doktor Lisowski twierdzi inaczej. Mówi, że jesteś jego guru.

– I to on spreparował tę samobójczą opinię dla wdowy?

– W rzeczy samej – potwierdziła Agnieszka. – Tak dopasował dostępne klocki, żeby interpretacja dowodów wskazywała na samobójstwo. A teraz prokuratura zajmie się jej uwiarygodnianiem.

– Nie pierwszy raz ten facet robi krecią robotę na rynku. Ile już śledztw musiałem za niego prostować! – narzekał Hubert. – W kilku sprawach omal nie wypuszczono na wolność zbója, bo gość zrobił ekspertyzę na zlecenie adwokatów. Zrobił ją tak wiarygodnie, że sąd prawie się nabrał.

– No cóż, sam go szkoliłeś. Wie, jak to się robi – skwitowała Agnieszka, czując, że kiedy pojawił się nowy wróg, Hubert znów przyjął z nią wspólny front. Nacierała więc: – Musisz też pamiętać, że w tym czasie, kiedy ty plamiłeś honor swoimi wyskokami, odmawiałeś wywiadów i nie kontaktowałeś się z prasą, nie licząc oczywiście bluzgania na dziennikarzy i rzucania w ich kierunku oskarżeń, Lisek zadbał o swój piar wzorcowo. Ma habilitację, jest ekspertem cenionym przez dziennikarzy, prowadzi podcast, program w telewizji publicznej, a do tego wykłada na uczelniach, z których ty zrezygnowałeś. No i pisze książki. Ponoć odkąd pojawia się w mediach, całkiem nieźle się sprzedają… Tak czy owak, forsy ma jak lodu. Mówiono mi, że kupił dom w Konstancinie, ale nie wiem, czy to prawda. O tym, że od lat jest biegłym sądowym, nie muszę ci mówić. Tyle że medialnym. Wiesz, ile on bierze za godzinę pracy?

– Nie chcę tego słuchać – żachnął się Hubert. – To łajza! Złotousty dzieciak. Teoretyk. Nigdy nie był na miejscu zdarzenia. Nigdy, rozumiesz? Nie przyjęli go do policji, z czym ma największy problem. To mitoman. Oszust!

– Tylko według ciebie – szepnęła Agnieszka. – I tych, którzy siedzą w temacie na tyle głęboko, żeby odróżnić farbowaną świnię od dzika. Dla ludzi postronnych, odbiorców mediów, Lisowski to bóg profilowania. Nie ty, tylko on jest teraz na topie. *Mindhunter*. Will Graham z *Hannibala*. Na dodatek z habilitacją. Zwracają się do niego: profesorze…

Hubert zacisnął usta i spojrzał na nią z powagą.

– O której mamy ten lot? – spytał ledwie słyszalnie. – Jeśli o mnie chodzi, mogę zapoznać się ze sprawą jeszcze dzisiejszej nocy. Gdybym nie skończył, doczytam w samolocie. Choćbym miał się opalać i chodzić w krótkich

gaciach albo i w płetwach jako przykrywki, zmuszę się do tych niby-wczasów, bo nie pozwolę, żeby ten gnój wrzucił wszystkich na lewe sanki. On jest niebezpieczny! – gotował się.

– Pełna zgoda – ucieszyła się Agnieszka. Wstała. – Ale aż takiego pośpiechu nie ma. Zróbmy wpierw dobre rozeznanie tutaj, a potem zdecydujemy. Mamy budżet – podkreśliła. – Obiecuję ci, że nie pozwolę, by ktokolwiek nami manipulował. Facet, który prowadził na miejscu sprawę zaginięcia, czeka na nasz sygnał. Dane zbierzemy w kilka dni, a jak wrócimy, dojdzie do waszego pojedynku z Liskiem. Wtedy już będziesz miał cały ogląd sytuacji.

Hubert nie odpowiedział. Machnął ręką na zgodę i natychmiast podłączył pen do komputera. Podkomisarz Olton nie miała wyboru. Wyszła bez pożegnania. Wiedziała, że Meyer wykona pracę domową wzorowo.

* * *

Kiedy tylko Agnieszka opuściła jego gabinet, Hubert wrzucił w wyszukiwarkę nazwisko Marcela Lisowskiego, swojego byłego ucznia. Którego ganił, tępił za bezduszność i pragnienie władzy, ambicji, a który, jak się okazało, świetnie wykorzystywał powierzone mu narzędzia psychologii behawioralnej.

Po godzinie surfowania był jeszcze bardziej wściekły niż w trakcie wizyty Olton. Pamiętał, co wtłaczał Lisowskiemu do głowy i co ten facet z pewnością zapamiętał na zawsze, lecz jak widać opacznie interpretował. Do własnych, koniunkturalnych celów. Dla forsy. Teraz Hubert czytał swoje słowa jako wypowiedzi Liska w mediach. Kropka w kropkę. Gość po prostu okradł go z przemyśleń. Meyerowi żołądek podchodził do gardła z gniewu. Brzydził się tym człowiekiem i aż go skręcało, że jest totalnie bezradny. Jakim sposobem miałby udowodnić, że to jego słowa? Założyć mu proces o obronę dóbr? Wolne żarty… Mimo to czytał dalej:

„Profil ma potężną siłę sugestii. To moc nieporównywalna z żadnym twardym dowodem, z DNA, nawet z przyznaniem

się sprawcy do winy. Wszystko, cokolwiek zapiszesz w opinii, może być zinterpretowane przez śledczych. W takiej chwili w twoich rękach znajduje się centrum dowodzenia światem. Ty narzucasz śledczym, prokuraturze, a potem też sędziom sposób myślenia o sprawie. To twój modus operandi doprowadza do wykrycia bądź niewykrycia sprawy. Zważaj na swój kręgosłup moralny, na własne intencje. Jeśli wahasz się, nie stawiaj hipotez. Twój błąd może kosztować kogoś życie albo doprowadzić do tego, że zagadka nigdy nie zostanie rozwiązana. Wtedy lepiej, żeby wcale cię w tym dochodzeniu nie było. Nawet jeśli ci nie uwierzą, zapamiętają. Masz kompletną władzę. To o wiele więcej, niż posiada sprawca na miejscu zbrodni, bo on nie każdy czynnik może kontrolować, a ty owszem. A nawet powinieneś. Musisz. To twoja wizja doprowadza do ujęcia sprawcy. Ty go wskazujesz. Jesteś niczym Bóg, Temida, Opatrzność. Nie bądź więc ślepy, nieuczciwy i zły. Łatwo bowiem przejść na ciemną stronę. Ambicja uzależnia”.

Marcel Lisowski zdaniem Huberta dawno już przekroczył tę cienką czerwoną linię, ale choćby Meyer krzyczał o tym w mediach, nosił transparenty, procesował się z nim o zniesławienie w sądzie, wiedział, że i tak z tym człowiekiem nie wygra. Miał zbyt mocną pozycję medialną, był zbyt poważany. W przeciwieństwie do Huberta, który przez lata zapracował sobie na łatkę skandalisty, a do tego nie miał grosza przy duszy, by przeprowadzić batalię z Liskiem.

– Okay. – Zamknął klapę laptopa i wyszedł z biura po fajki. – Najpierw zajmiemy się sprawą, a przy okazji na jaw wyjdą twoje grzeszki, Marcelu. Wroga można pokonać tylko jego własną bronią. Tak się składa, że ja cię dobrze znam. Lepiej niż ty samego siebie.

* * *

## WARSZAWA, ULICA KONDRATOWICZA

To był jeden z tych niskich bloków na Bródnie z widokiem na sklep spożywczy, na którego fasadzie przed laty wymalowano graffiti „Pelcowizna kibicuje Legii Warszawa”.

Malunek dawno wyblakł i zmarniał. Na jego miejsce sprejem nakreślono odwieczne kredo tej okolicy: „Jebać policję”.

Przed wejściem do klatki mimo późnej pory stały dwie młodociane matki ze spacerówkami w towarzystwie popijających piwo trzech osiłków w dresach. Twarze mieli obrzmiałe od zajadania sterydów, uzębienie u każdego jak jeden niekompletne, chociaż żaden z nich nie przekroczył trzydziestki.

Meyer miał wrażenie, że cofnął się do lat dziewięćdziesiątych. W stolicy nikt nie nosił już kreszowego munduru lokalnego rozbójnika. Chłopcy mieli głowy ostrzyżone na zero, a dziewczyny włosy odpowiednio utlenione oraz ufarbowane na kruczą czerń. Żadnych półśrodków. Ta ekipa komunikowała swoje poglądy wyraźnie i radykalnie.

– Dzień dobry panom! – Postąpił śmiało między nich. – Witam też piękne panie.

Spojrzeli na niego, jakby obrzucił ich obierkami. Natychmiast zacieśnili szpaler, broniąc wstępu do fortecy. Drzwi do klatki były otwarte na oścież, domofon nie działał. Mimo to Hubert nie mógł pójść dalej, bo odcięto mu drogę.

– Nie jesteś stąd – wyburczał jeden z osiłków. A do swoich kumpli syknął: – To ścierwo zalatuje gliną.

Meyer wpierw zajrzał mu wyzywająco w oczy, ale zaraz odwrócił głowę. Ktoś mógłby pomyśleć, że podziwia mural na sklepie.

– Znałeś Aruna? – spytał wprost. – Jesteście mniej więcej w tym samym wieku.

Chłopcy natychmiast się rozstąpili. Hubert nie przechodził jednak dalej.

– Jego matka wciąż tutaj mieszka?

– Czego od niej chcesz?

Hubert sięgnął do teczki po zmięty papier. Rozłożył.

– Cała dzielnica była zaangażowana w poszukiwanie żeglarza. Rzadkie hobby w tej okolicy, to i chłop słusznie miał respekt. Rozklejaliście te plakaty?

Na twarzach mężczyzn nic się nie zmieniło, ale jedna z dziewczyn poprawiła kocyk w wózku, a potem wymamrotała, sepleniąc:

– Nic to nie dało. I nie da. Za wysokie progi… Chłopak z Bródna nie miał szans się znaleźć.

– Co się mówi o tej sprawie?

– A co cię to obchodzi, psie! – ryknął ten, który wcześniej zastępował Hubertowi drogę. – Zakopany pewnie. Matki nie szarp. Swoje przeszła i ledwie wypłaciła się na detektywów. Handlarczyki tylko po forsę przyjeżdżali. Rzucili się wpierw na tę sprawę jak Reksio na szynkę, a potem wszystko ucichło. Takie same psy jak ty. Pewnie też chcesz zarobić?

Meyer przyjrzał się facetowi. Nie było podobieństwa ze zdjęciem z plakatu, ale gość miał kropkę wytatuowaną w okolicy oka. Tę dziarę z pewnością wykonano w więzieniu. Postanowił zaryzykować.

– Twój brat? Kiedy Arun zniknął, siedziałeś… Jak wyszedłeś, puściłeś wici w miasto, że jest nagroda. Skąd miałeś na to pieniądze? Sto tysięcy to spora suma.

– Nie interesuj się – padło w odpowiedzi.

Chłopak cofnął się o krok, ręce zwinął w kułaki i schował do kieszeni. Hubert wiedział, że stąpa po kruchym lodzie. Jedno słowo do bójki. Ale nie zamierzał odpuszczać.

– Arun był w porządku, a jego brat siedzi w Dublinie – odezwała się blondynka. Spojrzała prosząco na kompanów. – Dajcie spokój glinie. Niech idzie, próbuje… Tyburkowa i tak go nie wpuści.

– Wylecisz na kopach!

Mężczyźni zarechotali gremialnie i ustawili się tak, by Hubert musiał się między nimi przecisnąć. Profiler nie zamierzał tego robić.

– Skoro tak miło się nam rozmawia – zaczął z kpiącym uśmiechem – szukam też jego dziewczyny. Niestety w aktach nie ma jej zdjęcia. Ani nazwiska – podkreślił. – Wiem tylko, że zostawił ją w ciąży i wyjechał do Sagres wozić turystów na żaglu.

– To nie tak było! – zaoponowała jedna z kobiet, ta czarnowłosa. Do tej pory wcale się nie angażowała.

– Nie gadaj z nim. – Najbardziej aktywny szarpnął ją tak mocno, że omal nie przewrócił wózka.

Kobieta chwyciła rączkę w ostatniej chwili i ustabilizowała spacerówkę.

– Odczep się, palancie! – wrzasnęła. – Będę robiła, co zechcę. Nie jesteś moim starym.

– Zważaj sobie! – Doskoczył znów do niej. – Niańczysz mojego bachora!

– A skąd wiesz, że to twój? – Przekrzywiła głowę. I nagle złagodniała, poklepała faceta po ramieniu. – Nie denerwuj się już, Bysiu. Póki jego matula nie wróci z wczasów na Białołęce, ja będę dla niego mamą. O wiele lepszą niż tamta… Nie dam twojemu dzieciakowi krzywdy zrobić.

Meyer obserwował tę scenkę rodzajową z niesmakiem, ale i z rosnącym zaciekawieniem. Jedną brew miał uniesioną, ale poza tym jego twarz nie wyrażała nic więcej. Życiorysy takich par były przewidywalne jak kolejność pór roku. Hubert wiedział, że nie powinien dłużej drążyć, bo któraś z kobiet zapłaci za to siniakami. Jeszcze tutaj albo w klitce na którymś z pięter tego blokasa.

– Gdybyście coś sobie przypomnieli, zgłoście się do wicekomendanta z Łomianek – oświadczył, zanim to przemyślał. – Słyszeliście pewnie, co się stało wczoraj nad Wisłą?

Odpowiedziała mu cisza. Nikt się nie odezwał, nie wymienił porozumiewawczych spojrzeń. To upewniło Huberta, że wiedzą o wybuchu i spaleniu samochodu

Portugalczyka. A może to zgromadzenie przed klatką nie jest przypadkowe?

– Niewykluczone, że wznowimy sprawę zaginięcia waszego kolegi – dorzucił.

– To nie było zaginięcie! – Prowodyr grupy wyszedł przed szereg.

Niemal dotykał nosem brody Meyera. Był dużo niższy, ale nadrabiał tupetem.

– Zabili Aruna i zakopali albo wrzucili do oceanu. Tyle w tej sprawie. Marnujesz czas na węszenie, psie. Żebyś skisł, niczego nie ustalisz. A z psiarnią my nie gadamy. Nikt nie przyjdzie. Zapomnij!

– Tym bardziej dzięki za poświęcony czas.

Hubert skorzystał z sytuacji, że chłopak odsłonił przejście. Szybkim susem przedostał się przez klatkę, wbiegł na pierwsze piętro i zastukał w środkowe drzwi.

Zacisnął szczęki i układał w głowie mowę, jaką wygłosi do matki poszukiwanego żeglarza, ale nikt mu nie otwierał. Przyłożył ucho do ściany. Telewizor dudnił tak, że Hubert przestał słyszeć własne myśli. Pstryknął dzwonek. Bez rezultatu. Osiągnął tylko tyle, że drzwi obok się uchyliły. Kiedy spojrzał w tamtą stronę, sąsiad natychmiast się schował. Słychać było szczęk zasuwy i jakieś szepty.

– Pani Tyburkowa? – Uderzył pięścią w drzwi. – Jest tam kto?

Sięgnął po blachę. Już miał naciskać klamkę, kiedy drzwi otworzyły się z impetem, w nozdrza uderzył go fetor wysypiska śmieci, a w szparze dostrzegł siwą głowę. Kobiecina była ogorzała, jakby całe lato przesiedziała na słońcu. Oczy miała jasne, błękitne, niemal całkowicie pozbawione rzęs. Brwi namalowała krzywo kredką. Jedna z nich była lekko wytarta.

– Nie pożyczam, nie daję datków – wychrypiała, poprawiając za duży na nią polar z emblematem róży wiatrów

i logotypem Yacht Clubu. – Idź stąd, bo będę wrzeszczeć! Bądź pewien, że nasi chłopcy żebra ci porachują.

Hubert się przedstawił. Pokazał odznakę.

– Chodzi o pani syna. Arkadiusza. Aruna.

Tylko tyle zdołał powiedzieć, a już został wciągnięty do mieszkania, którego wszystkie ściany zastawiono niepotrzebnymi rupieciami, starymi gazetami i książkami obwiązanymi sznurkiem. Drzwi się zatrzasnęły, bo babcia sprawnie zasunęła rygiel jak jej sąsiad przed chwilą.

– Nareszcie! – Kiedy tylko zostali sami, matka Aruna rozciągnęła usta w bezzębnym uśmiechu. – Jak tylko zobaczyłam ten pożar nad Wisłą, wiedziałam, że kogoś do mnie przyślecie. Siadaj, bratku, i opowiadaj. A potem znajdź mojego synka, żywego lub martwego, bo mnie niewiele czasu zostało, a sprawiedliwości musi stać się zadość. Z Bogiem jestem pojednana, zostało tylko rozliczyć się z ludźmi. Z tymi złymi ludźmi.

* * *

– Ma pani na myśli klan de Souzów? – zapytał Hubert, z trudem powstrzymując odruch wymiotny od smrodu, jaki panował w mieszkaniu. Najchętniej zaproponowałby kobiecie otwarcie okna, ale widział, że nawet parapety załadowała gratami.

– A kogo niby innego? – odparła rezolutnie. – Napijesz się czegoś? Może głodnyś?

– Nie, nie. Dziękuję – zaprzeczył szybko Hubert.

Za nic w świecie nie tknąłby niczego, czego dotykały jej dłonie. Były czarne od brudu, sękate i nieproporcjonalnie do ciała wielkie. Z łatwością wyobraził sobie, jak grzebie nimi w kontenerach i pakuje do swojego wózka kolejne partie śmieci.

Takich jak ona, przeraźliwie samotnych, niekoniecznie starszych ludzi, poznał w swoim życiu już wielu. Starał się jej nie oceniać, bo wiedział, że ten horrendalny majdan, którym

zapakowała swoją chatę, mogła zgromadzić w zaskakująco krótkim tempie. Czas, który minął od dnia zaginięcia syna, starczyłby w zupełności. Tego typu ludzie byli kompulsywnymi i zachłannymi zbieraczami. Cierpiącym na tę dolegliwość tak naprawdę nie chodzi jednak o rzeczy. W ten sposób ujawnia się ich chorobliwy lęk przed samotnością. Dlatego tworzą rodzaj jaskini, nory, która odgradza ich od świata. Będą bronić swoich skarbów jak lwy i chociaż mają tego tyle, że nie są w stanie niczego znaleźć – tutaj nawet przy wejściu, w wąskim korytarzyku było już kilka warstw – nie wyrzucą nawet folijki.

– Więc? – Kobieta przysunęła sobie kwiecisty puf. Usiadła na nim okrakiem. – Z czym przychodzisz? W czym mogę ci pomóc?

Wbrew oczywistym warunkom życia, brudowi, poza brakiem uzębienia oraz przerzedzonymi włosami nie dostrzegał w jej ciele degeneracji. Nie wyglądała na pijaczkę. Pewnie gdyby spotkał ją na ulicy, nie domyśliłby się, z czym się boryka.

– Wiem, że była pani wielokrotnie przesłuchiwana w sprawie syna – zaczął ostrożnie. – Czytałem pani zeznania.

– Ale chcesz usłyszeć to z pierwszej ręki? – weszła mu w słowo.

Był już pewien, że jest wykształcona. Wysławiała się poprawnie. Umysł miała bystry.

– Tak byłoby najlepiej.

– Mam na imię Elżbieta i ponieważ jestem od ciebie dużo starsza, proponuję, żebyśmy mówili sobie na ty. Co myślisz? – Wyciągnęła w jego kierunku dłoń.

Hubert wzdrygnął się, ale ją uścisnął.

– Dziękuję za komplement, ale chyba się mylisz – mruknął. Podał jej swoje imię. – To już drugi rok, jak poszukujesz syna?

– Dokładnie siedemnastego lipca. Zawiadomiono mnie w jego własne urodziny. Uwierzysz?

– Przykra sprawa. Współczuję…

Podziękowała skinieniem.

– Ale ja nigdy nie straciłam nadziei na jego powrót – zapewniła. – Matce nie wolno jej stracić, zgodzisz się ze mną?

– Faktycznie, rzadko się to zdarza.

– Arun był dobrym chłopcem. Odpowiedzialnym, szanującym kobiety i szarmanckim. Już od dziecka był praktycznie bezobsługowy. – Rozczuliła się. – Nawet w podstawówce radził sobie ze wszystkim sam, nie potrzebował mojego ciągłego przypominania, że lekcje, że zajęcia sportowe, bo miał smykałkę do gimnastyki i majsterkowania. To jego wuefista zaproponował, żebym zapisała go na kurs żeglarski. Przepadał na Zegrzu w każdy wolny weekend aż do listopada. A zimą szył żagle, naprawiał łodzie i szykował się do sezonu. Wygrywał regaty, zdobywał puchary. Żył zgodnie z etosem ludzi oceanu. To bardzo istotne, jeśli chcesz go poznać, i zapewniam cię, że wiem, o czym mówię. Mam drugiego syna, który jest zgoła innym typem, i od lat drzemy ze sobą koty, a jak się domyślasz, Olaf ma się świetnie. Przesiedział trochę w więzieniu za jakieś drobne przewinienia, bójki po alkoholu, grzywny, niepłacenie mandatów albo coś takiego. Ale nie myśl sobie: żaden z moich synów nie jest kryminalistą – zastrzegła. – Fakt jest jednak faktem, że w jednym roku straciłam ich obydwóch. No i męża. Miecio dostał udaru z tego stresu. Ale z niego akurat pożytku nie było nigdy. Tylko swoich gołębi doglądał. Ja i synowie musieliśmy sobie radzić sami… Jak Mietek zmarł, otworzyłam wszystkie klatki. Te okropne ptaszyska odleciały i już nie wróciły. Czasami widuję je na jego grobie, bo leży tu niedaleko. Dasz wiarę? – Urwała.

Sięgnęła pod ławę i wyciągnęła kilka albumów z papierowymi zdjęciami.

– Bardzo rzadki dziś widok – skwitował ucieszony Meyer. Jeśli kobieta się zgodzi, kilka z nich z pewnością będzie mógł pożyczyć. Czasami taka fotografia pozwalała posunąć

śledztwo znacznie do przodu. – Wszyscy trzymają teraz zdjęcia w formie elektronicznej na dyskach.

– Ja nie. – Uśmiechnęła się.

Przerzuciła kilka stron. Po uszkodzeniach folii i tektury domyślił się, że regularnie je otwiera. Miejscami były niemal przetarte.

– Nie mam komputera, a mój telefon pochodzi jeszcze z czasów, kiedy chłopcy byli mali. Nie obejrzysz na nim tych kolorowych obrazków z internetu. Proszę, poznaj naszą historię rodzinną.

Meyer ze zdziwieniem przyjrzał się mieszkaniu, w którym się znajdowali. Dawniej było przestronne, a na ścianach wisiało tylko kilka obrazów wyglądających na prawdziwe. Książki na półkach. Nie jak teraz ułożone w sterty na środku salonu aż po sufit. W meblościance za szkłem pyszniły się kryształy i porcelana. Żadnego składu gazet, hałd szmat i śmieci.

Arun w dzieciństwie był niedużym chłopcem. W przeciwieństwie do brata trudno byłoby go nazwać urodziwym. Z czasem znalazł swój styl, a żeglarskie ciuchy przydawały mu atrakcyjności. Włosy nosił półdługie. Na łodzi wiązał je w kucyk. Kiedy na jego twarzy pojawił się zarost, wyhodował długą brodę, a jej koniec zaplótł w cienki warkocz. Z oczu dobrze mu patrzyło. Na twarzy zawsze błąkał się cień uśmiechu. O takich chłopakach mawia się, że są sympatyczni i można na nich polegać.

– Wystrzelił wzrostem dopiero na studiach – opowiadała matka. – Dostał się do Akademii Morskiej i pilnie się uczył. Prawie nie bywał w Warszawie. Na któreś święta przyjechał do domu odmieniony. Przysięgam, że nie poznałam własnego syna. Wtedy też zaczęły się nim interesować dziewczyny, ale on żadnej nie chciał na stałe. Martwiłam się, że jest gejem i nigdy nie będę już babcią. Jakże się myliłam. – Zawahała się. – Jego brat ma trójkę dzieci z różnymi kobietami i cała moja emerytura idzie na alimenty. Wnuków prawie nie widuję. Gardzą mną, a z nim tylko się kłócą, bo ani robotny, ani miły

dla nich nie jest. Gdyby Arun zostawił po sobie potomstwo, byłoby z pewnością inaczej. – Zamyśliła się.

– Jak to się stało, że syn wyjechał do Sagres pływać jachtem Portugalczyka? – Hubert zdecydował się przejść do rzeczy. Bał się, że opowieść o rodzinie Tyburków zdominuje rozmowę.

– Jak to się stało? – Matka się zawahała. – Arun był na trzecim roku. Dobrze sobie radził. Wiedziałam, że kocha morze, i cieszyłam się, że będzie marynarzem. Oficerem – podkreśliła. – Aż tu nagle wrócił i oświadczył, że bierze urlop dziekański, bo załatwił sobie fuchę.

– Fuchę?

– Ktoś tam w Gdyni szukał ludzi do wożenia turystów po Morzu Śródziemnym. Syn się zgłosił, pojechał pierwszy raz, potem drugi. Nie powiem, dobrze mu płacili. A w końcu na studia już nie wrócił. Pływał po świecie. Rzadko go widywałam.

Znów sięgnęła pod ławę i wyciągnęła związany wstążką stos widokówek.

– Tylko na tej podstawie wiedziałam, gdzie jest i co robi.

Zaczęła przekładać kartki.

– Wenezuela, Seszele, Hongkong, Malaga, Genua – wymieniała. – Łącznie dostałam od syna sto sześćdziesiąt trzy widokówki.

– Sporo – zauważył Hubert. – Z każdego z tych portów wysyłał ci kartkę? Musiał być sentymentalny… I kochaliście się zapewne?

– Owszem – potwierdziła. – Ale tych portów było znacznie więcej. Bywał w takich miejscach, że nie uświadczysz poczty. Z czasem zaczęły też przychodzić przekazy pieniężne. Western Union. Listonoszem. W kopertach. Różnie. Boże, jaka byłam z niego dumna! Nawet zapomniałam, że tych studiów nie zrobił.

Zatrzymała się na jednym ze zdjęć, które wybrano na plakaty poszukiwawcze. Hubert znał tę fotografię. Arun wyglądał na niej jak rasowy wilk morski. Ogorzały, brodaty, bez uśmiechu. Jeśli taki wizerunek umieszczał w ogłoszeniach, klienci mogli mieć poczucie, że ten ktoś bezpiecznie zawiezie ich w tę i z powrotem, choćby i na Grenlandię, gdzie zresztą Arun swego czasu pływał z ekipą naukowców.

– Był świetny w swojej robocie – wznowiła wątek Tyburkowa. – Naprawdę nie mógł narzekać. Kupiliśmy za jego pieniądze samochód. Rozważaliśmy, czy nie przeprowadzić się do większego mieszkania. Albo i kupić działkę, może zbudować dom? Wtedy zdarzył się ten wypadek.

– Chodzi pani o aresztowanie? – sprecyzował Hubert.

– Posądzono go o szmuglowanie narkotyków – potwierdziła matka. – To było chyba gdzieś na wodach terytorialnych Kostaryki. Zamknęli go bezpodstawnie. Słono płaciliśmy za prawników. Kilku nas po prostu oszukało, nie zrobili nic – opowiadała. – Ale ostatecznie udało się synka wydostać. Wrócił schorowany po pobycie w areszcie w nieludzkich warunkach. Baliśmy się, że nogę zajęła gangrena… Mimo że tutaj, już w kraju, zajmowali się nim najlepsi lekarze i udało się uratować kończynę przed amputacją, do końca kulał. Mówili nam, że gdyby nie samozaparcie Aruna, mógł wcale nią nie ruszać, ale on taki właśnie jest: zdyscyplinowany i zawzięty.

Na długą chwilę zapadła cisza. Meyer nie poganiał kobiety, nie zarzucał jej nowym gradem pytań. Wiedział, że zbliżają się do kluczowego momentu opowieści.

– Ta choroba zabrała mu więcej niż pół roku. Wyszedł z tego obronną ręką, ale niestety stracił wszystkie kontrakty. Nie ufano mu, bo to małe środowisko i ktoś rozpuszczał plotki, że Arun zadał się z kartelem. Turyści też przestali się zgłaszać. Arun nigdy nie miał strony, oficjalnego ogłoszenia. Zlecenia zdobywał pocztą pantoflową. Kiedy rozciągnięto nad

nim czarne chmury, z dnia na dzień stał się bezrobotny. Rzecz w tym, że bez pływania był nikim. Zgorzkniał, powoli przygasał. Zaczęłam go namawiać, żeby wrócił na studia. Jest przecież młody, całe życie przed nim… Wtedy wyznał mi, że nie wziął urlopu, po prostu rzucił szkołę i musiałby zaczynać od zera, a z kulasem zamiast nogi z pewnością nie przyjmą go z powrotem. Było słabo. Zaczął pić i prowadzać się z tutejszym elementem, z którym trzymał jego młodszy brat.

– Ten niegrzeczny? Olaf?

– Ten sam – potwierdziła. – Modliłam się każdego dnia o odmianę jego losu. I najwyraźniej wymodliłam jego cholerne przeznaczenie: Portugalczyka de Souzę z tą jego żonką.

Hubert się zdziwił. Przekleństwo w ustach tej kobiety brzmiało dziwnie sztucznie.

– Wtedy jeszcze pracowałam, a jestem z zawodu nauczycielką. Wróciłam z rady pedagogicznej, był już wieczór. Patrzę, a syn w stroju żeglarskim, z workiem na plecach, czeka na mnie w kuchni. Przestraszyłam się, a potem ucieszyłam – tak był odmieniony. W pozytywnym tego słowa znaczeniu – zaznaczyła. – Pokazał mi wydruk z mejla. Kwotę, jaką mu zapłacono, podjął z konta i przekazał mi połowę. Przytuliliśmy się, ja się popłakałam, a potem syn poszedł na pociąg. Wtedy widziałam go przedostatni raz.

– Przysyłał kartki?

– Nie dostałam ani jednej.

– Pieniądze?

Skinienie głową.

– Nie były to tak wielkie kwoty jak wcześniej, ale wierzyłam, że złapał przyczółek. Odkuje się, a z czasem odrodzi… Tak w każdym razie z mężem sądziliśmy. Miecio w kółko opowiadał o Arunie kumplom. Był z niego dumny, bo z całej naszej rodziny to właśnie on zrobił największą karierę… Nie, kartek już nie przesyłał, za to raz w tygodniu dzwonił. Była już inna technologia łódek. Telefon satelitarny

zawsze jest na takiej łajbie, na jakiej syn zwykle pływał. Ci ludzie, jego zwierzchnicy, mieli czasami kolosalne pieniądze.

– Na czym polegała jego praca?

– Dziś wiem, że dla de Souzów pracował nie tylko jako kapitan jachtu, ale był też ogrodnikiem, złotą rączką. Takim jakby służącym w letniej rezydencji.

– To nazwisko padło, gdy wyjeżdżał?

– Tak, pamiętam doskonale – zapewniła.

Hubert się zamyślił. Zastanawiał się, o co zapytać kobietę w pierwszej kolejności.

– W dokumentach stoi, że miał dziewczynę, która była z nim w ciąży. Oskarżała go, że wyparł się dziecka i nie chciał płacić alimentów. To był jeden z tropów, dlaczego miał zniknąć, uciec…

– Nie wiem, jak to było – zastrzegła Tyburkowa. – Płacę wierzytelności drugiego syna, to i na dzieciaka Aruna bym wysupłała. Ta dziewucha nigdy nie przyjechała. Nie mam pewności, czy w ogóle doszło do porodu. A tak między nami, nie wierzę, żeby Arun uciekł. Gdyby faktycznie zrobił jakiejś panience dziecko, z pewnością nie namawiałby jej na aborcję, bo był rodzinny, a śledczy go o to oskarżali. On taki nie był!

– Oskarżali go też o coś więcej – dorzucił Hubert.

– Masz na myśli, że nastawał na jej życie? – Kobieta zaśmiała się drwiąco. – Arun nigdy by się tak nie zachował! Nie, myślę, że to kolejny wymysł de Souzów, żeby sprawę zatuszować.

– Żona Portugalczyka powiedziała lokalnej policji, że widziała, jak twój syn próbuje wypchnąć kogoś za burtę.

– I nie wiedziałaby kogo? To bzdura. Kłamstwo! – zaperzyła się matka. – Poza tym pani de Souza odwołała te zeznania. Twierdziła, że nie miała okularów i musiało się jej coś przywidzieć.

– Syn opowiadał o tej dziewczynie?

– Tylko zdawkowo.

– Co mówił?

– Że spotyka się z kimś. Zależało mu na niej. Był szczęśliwy – relacjonowała. – Poznali się podobno na miejscu i to była Polka. Pracowali razem jako służba de Souzów. Poza nimi i państwem nie było w tej rezydencji nikogo. Ponoć dom de Souzów położony jest na skale nad samym oceanem. Ciężko tam o transport, jeśli się nie ma samochodu. Ta dziewczyna zajmowała się córką Portugalczyka, była nianią.

Hubert podniósł głowę. Spojrzał kobiecie w oczy.

– Syn podał jej nazwisko? Może pseudonim?

Elżbieta się zawahała.

– Nie wiem, naprawdę. – Kręciła zapamiętale głową. – Nie chciałabym skłamać.

– Ta dziewczyna nie miała przypadkiem na imię Patrycja? – podsunął Meyer. – Proszę spróbować sobie przypomnieć.

– Niestety nie pamiętam – odparła stanowczo. – Wpierw policja w kółko mnie o to pytała, a potem ona przestała być ważna, bo na jaw wyszło, że syn przez cały pobyt miał romans z samą de Souzą, czyli Dianą Gardocką, i na tym skupiło się śledztwo. Ona była kluczem. Tak sobie myślę, czy tej dziewczyny, posługaczki, Arun nie wymyślił, żeby mi coś zakomunikować, wyznać, ale nie oszukiwać, po prostu zwierzyć się, bo zawsze byliśmy ze sobą bardzo blisko… Tak naprawdę jednak chodziło o Dianę Gardocką i to w niej był zakochany…

– Że niby żona Portugalczyka była w ciąży z Arunem?

– Nie wiem.

– I to ją chciał wyrzucić za burtę? Diana Gardocka mówiła o sobie?

– Nie wiem, naprawdę. Nie było mnie tam! – wzburzyła się Tyburkowa.

Zerwała się z pufu tak gwałtownie, aż uderzyła w składowisko książek.

Hubert podał jej rękę, posadził z powrotem, tym razem na własnym krześle. Sam wstał, obrócił się wokół własnej osi, bo na większy spacer nie było miejsca.

– Mówiłaś, że widziałaś syna przed wyjazdem przedostatni raz – podjął inny wątek. – A ostatni? Kiedy to było?

– Przyjechał którejś nocy – zaczęła opowiadać. – Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że jest poszukiwany. Byłam rozespana, niedokładnie go widziałam. Wszedł do mieszkania z klucza, zabrał z barku wszystkie pieniądze, jakie odkładaliśmy z jego gaży na nasz nowy dom, może na jego mieszkanie… Zabrał tę forsę i wyszedł.

– Nie przywitał się, nie pożegnał? – zdziwił się Hubert.

– Nie – zaprzeczyła i zaraz pochyliła głowę, jakby wstydziła się za własne dziecko. – Ale ja wiem, że to był on. Matka wie takie rzeczy.

– A może zrobił to twój drugi syn?

– Olaf odsiadywał wtedy krótki wyrok za jakiś mandat czy niepłacenie alimentów albo za podatki. Poza tym od dawna nie miał klucza do naszego domu. Za dużo było z nim kłopotów, odcięliśmy się od niego. Od tamtej pory właściwie nie rozmawiamy. Nie, Olaf nie mógłby tego zrobić. Był dobrze strzeżony w areszcie.

– Jesteś przekonana? – dopytał. – Może udzielili mu przepustki, przerwy w karze? Wcześniej twierdziłaś, że nie rozmawialiście. Pytałaś o to Olafa?

– Nie, nie pytałam i nie zamierzam pytać – zeźliła się. – Ale na sto procent to nie mógł być Olaf. Jeśli ktokolwiek, to tylko Arun. Jakimś szóstym zmysłem czułam, że nie powinnam go zatrzymywać, że syn tego nie chce, dlatego się nie odezwałam. Udawałam, że śpię. Kiedy był już przy drzwiach, w korytarzu, wstałam i w milczeniu patrzyłam, jak odchodzi. Pożałowałam, że chociaż go nie przytuliłam, chciałam powiedzieć coś miłego na drogę, i wtedy się

odwrócił, albo tak mi się tylko wydawało, ale pomachał mi. Bezszelestnie zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku, a ja miałam łzy w oczach. Czułam, że stało się coś nieodwracalnego i że już nigdy go nie zobaczę.

– Kiedy dokładnie to było?

– Szóstego stycznia. W noc Trzech Króli – odparła bez wahania. – Tydzień później mój mąż miał udar i niedługo potem zmarł. A kilka dni po pogrzebie Mietka przyszedł dzielnicowy i powiedział, że Arun jest poszukiwany. Do dziś nie ma zgody, co się wydarzyło. Czy wypadł za burtę z jachtu, uciekł z ich pieniędzmi, a może doszło do konfliktu i leży gdzieś zakopany w rezydencji de Souzów? Bo taką hipotezę też brano pod uwagę. Nigdy nie przekopano tej ziemi. Nie przesłuchano Ruiego de Souzy. Nie ma dowodów, że zniknęły im jakiekolwiek kosztowności czy pieniądze. Zeznania Gardockiej nie trzymają się kupy. Raz mówi, że widziała Aruna na jachcie, a potem, że był w ogrodzie. Zresztą większość zeznań ostatecznie odwołała. Dziewczynę, z którą Arun miał podobno dziecko, Portugalczycy skrzętnie ukrywają. A może nigdy jej nie było?

Kobieta przesiadła się znowu na puf i wyszukała z pliku swoich pamiątek – jak na zbieraczkę, precyzyjnie uporządkowanych – nowiutką kopertę zawiniętą w papier śniadaniowy.

– Widziałam w telewizji, że spalono auto Portugalczyka – zaczęła, wachlując się kartonikiem, jakby nagle dostała duszności. – To było w sobotę, a dziś rano wyciągnęłam ze skrzynki to.

Odwinęła zgnieciony papier, wyjęła z czyściutkiej koperty kartę z widoczkiem skały w Algarve, położyła na stoliku.

– Spójrz na stempel pocztowy. – Obróciła kopertę awersem do góry. – Nadane w sobotę priorytetem z Poczty Głównej w Warszawie. Nie wiem, kto i co chce mi w ten sposób powiedzieć, ale przeraziło mnie to i jednocześnie znów dało nadzieję, że mój synek wciąż żyje… – Otarła rękawem łzy płynące po policzkach.

Hubert pochylił się i bez dotykania kartki przyjrzał się korespondencji. W rogu znaczka wyraźnie odbito datę 22 października. Treść napisano maszynowym pismem, staromodną czcionką.

**Nie martw się, mamo. Z nikim nie rozmawiaj. A.**

**PS Żona szanująca męża przez wszystkich uważana jest za mądrą.**

* * *

## RADOŚĆ KOŁO WARSZAWY

Może dlatego, że dom de Souzów otoczony był wysokim żywopłotem, okien nie zasłaniano. Hubert zaparkował pod lasem, wspiął się na murek rezydencji naprzeciwko, która wyglądała na opuszczoną, i rozsiadł się tam, spokojnie paląc papierosy oraz obserwując domowników.

W salonie trwała burzliwa narada. Meyer widział gestykulującego ojca Diany Gardockiej, z którym rozmawiał poprzedniego dnia. Był to facet konkretny, z pewnością z wykształceniem technicznym. Książkowy padre, głowa rodu, odpowiedzialny typ. Matka Gardockiej siedziała bez ruchu w twarzą w koszyczku z dłoni. W miarę rozwoju sytuacji wyglądała na coraz bardziej zgnębioną. Diana co jakiś czas podrywała się i naskakiwała na ojca, ale ten przeganiał ją i krążył po pokoju. Co jakiś czas zatrzymywał się, by strzepnąć popiół z fajki do kominka.

Zupełnie inna atmosfera panowała na piętrze. Zdawało się, że to scena jednego z tych familijnych filmów, które puszczają w telewizji w Boże Narodzenie. Na łóżku z baldachimem godnym księżniczki Elsy z książką w dłoni leżała niania, a do jej piersi tuliła się czarnowłosa dziewczynka. Jak Hubert już wiedział, była to Mia – córka Ruiego i Diany.

Profiler już dwa razy złaził z murku i zaciskając w dłoni klucz do samochodu Gardockiej, szedł do furtki. Za każdym zawracał. Czuł, że jeśli wdowa ponownie go zobaczy, wyleci z jej domu w akompaniamencie krzyków i oskarżeń. Nie tylko

niczego nowego się nie dowie, ale dorzuci adwokatom argumentów, że jest przez niego nękana. Walski nieoficjalnie ujawnił mu, że kobieta najprawdopodobniej przyjmie taką linię obrony i skorzysta z prawa do odmowy zeznań. Nie wiedzieli, czy w ogóle pojawi się następnego dnia na identyfikacji. Nie, Hubert musiał znaleźć inny sposób na zdobycie potrzebnych mu teraz informacji. To dlatego wysiadywał na murku jak menel i liczył na łut szczęścia.

Nagle coś się zmieniło. Światło w pokoju dziecka zgasło, a po chwili ludzie w salonie przestali na siebie krzyczeć. Pośpiesznie porozsiadali się na sofach, w dużej odległości od siebie, i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w drzwi wewnątrz mieszkania. Kilka minut później stanęła w nich Patrycja. Wkładała płaszcz w progu, jakby się śpieszyła. Szal niedbale zakręciła na szyi, a matka Diany wybiegła za nią aż na werandę. Podała niani torebkę i jakieś naczynie owinięte folią. W tym momencie Hubert poczuł napływającą do gardła ślinę i uświadomił sobie, że od rana nie miał w ustach niczego poza kawą i papierosami.

Zeskoczył z murku. Wsiadł do swojego samochodu, który zaparkował za winklem. Zapalił silnik. Zaklął, kiedy włączyły się reflektory, ale zaraz sam siebie pobłogosławił, bo światła oślepiły gosposię i Patrycja nie miała szansy go poznać. Zresztą tylko rzuciła okiem na jego wóz, a potem zgrabnie przeskoczyła z jezdni na chodnik, sądząc zapewne, że chce ją jedynie wyminąć.

Meyer poczekał, aż dziewczyna oddali się od rezydencji zmarłego Portugalczyka, i dopiero kiedy zniknęła za zakrętem – ruszył. Jechał bardzo powoli, nie chcąc jej wystraszyć. Rondo objechał dwa razy, bo dziewczyna nie chodziła szybko i wciąż jeszcze nie dotarła na przystanek, a to tam chciał ją widzieć. Musiał zawrócić i trzeci raz objechać rondo. Kiedy ustawił się wreszcie we właściwym kierunku jazdy, Patrycja siedziała już na ławeczce pod wiatą. Ucieszył się, że mimo pory na przystanku poza nią nie ma nikogo. Wjechał w zatoczkę, opuścił szybę.

– Co za zbieg okoliczności – zagaił. Podniósł do góry klucz auta Gardockiej. – A ja właśnie do ciebie.

Dziewczyna w pierwszej chwili go nie poznała, więc Hubert poczuł się mile połechtany. Nie spodziewała się, że flejtuchowaty profiler jeździ takim autem. Uznał, że zyskał kilka punktów.

– Dobry wieczór, inspektorze – zaszczebiotała, podrywając się z ławki.

Postawiła naczynie, które okazało się garnkiem z przykrywką, obok torebki i podeszła do samochodu Huberta. Nachyliła się do jego okna.

– Diana jest u siebie. Może pan iść i sam jej to oddać. – Uśmiechnęła się filuternie.

Odpowiedział podobnym grymasem, choć nie był pewien, czy nie wychodzi na kompletnego idiotę. Nie chciał, by niania myślała, że stary dziad ją podrywa. Ale było już za późno.

– Fajna furka – pochwaliła jego audi i poklepała blachę, jakby gładziła konia. – Piękny kolor.

Podziękował jej skinieniem.

– Pani Gardocka ma jutro ciężki dzień. Zdecydowałem, że o tej porze nie będę jej nachodził – powiedział z niejaką ulgą, bo wszystko to było przecież prawdą. – Dała mi upoważnienie, żeby przekazać ten klucz przez ciebie.

– No tak – mruknęła zawiedziona dziewczyna. – Chyba słusznie. Bardzo tam dzisiaj gorąco.

– O – udał zdziwienie. – A co się stało?

– Diana strasznie się pokłóciła z rodzicami. Jej tato ma donośny głos i na górze z Mią wszystko słyszałyśmy. Większość informacji niestety nie była przeznaczona dla dziecka w jej wieku. Ledwie ją uśpiłam.

– Bardzo mi przykro – znalazł się w sytuacji Hubert. A potem udał, że się waha. – Może cię podwiozę? Gdzie mieszkasz? Te autobusy chyba za często nie jeżdżą…

– Sama nie wiem.

Obejrzała się za siebie.

– Z policjantem będziesz bezpieczna – gadał, jednocześnie sprzątając przednie siedzenie z papierów i różnych różności. Przerzucał to wszystko do tyłu, na chybił trafił, co niezwykle rozbawiło Patrycję. – Chyba nie sądzisz, że cię podrywam? Wolne żarty! Mogłabyś być moją córką, jeśli nie lepiej… Podrzucę cię, dokąd tylko sobie życzysz. Choćby do Gdańska! Bak mam pełen.

– Ależ z pana kokieciarz! – Zaśmiała się perliście. – Od razu to zauważyłam!

Odwróciła się, pobiegła po swoje pakunki, które Hubert szarmancko zapakował do bagażnika, a chwilę potem siedziała już w jego samochodzie i trajkotała o bzdurkach. Wreszcie wygładziła czerwoną sukienkę przed kolano, rozwiązała kolorową apaszkę spod brody, a czarną pikowaną torebkę z dużym napisem YSL położyła sobie z pietyzmem na kolanach, jakby to była ikona z wizerunkiem jej ulubionego świętego. Hubert nie znał się na żeńskich fatałaszkach, lecz czuł, że to droga rzecz, i coś mu nie grało. Kobieta, która pracuje jako gosposia, nie mogłaby pozwolić sobie na takie ubranie i dodatki.

– Ciepło, przyjemnie. – Patrycja rozparła się wygodniej. – Fajnie, że mnie pan podrzuci. Z godzinę zaoszczędzę. A w ogóle to mogę ci mówić po imieniu, jeśli to oczywiście wypada? Ja jestem Patrycja i musisz wiedzieć, że po dzisiejszym dniu jestem okrutnie zrąbana. Boże, co to za historia! Nawet nie chcę wiedzieć, co się teraz dzieje u de Souzów. Mam tylko nadzieję, że małej nie obudzą. Wrzeszczą, jakby świat się kończył, a najgłośniej pani Diana.

Pokręciła głową i zrobiła zbolałą minę.

– Hubert. – Wyciągnął do niej dłoń. – Będzie mi bardzo miło.

Patrycja przytrzymała ją dłużej, niż pozwalał na to savoir-vivre, aż Meyer poczuł się w obowiązku przyjąć

protekcjonalny ton.

– Nie dziw im się. Zdarzyła się straszna tragedia. Z pewnością to dopiero początek lawiny kłopotów. Pani Gardocka doskonale o tym wie, a jej rodzice pewnie martwią się o byt córki i wnuczki. No i trzeba jakoś to przekazać małej.

– Kiedy Mia już wszystko wie – bąknęła Patrycja. – Niestety słyszała każde słowo. Darli się jak opętani.

– Co słyszała? – Hubert z trudem udawał obojętność.

– No… Wszystko… – zaczęła z wahaniem. – O tym, że jej tato został ugotowany w swoim własnym samochodzie, o jego wcześniejszych zdradach i śledztwie, w które teraz są uwikłani Gardoccy, bo tato Diany bierze to osobiście i chyba płaci za prawników. Rui nie do końca zabezpieczył żonę na taką okoliczność. A ty jak myślisz, tam w aucie to był mąż Diany? Z tego, co podsłuchałam, nie ma jeszcze pewności.

– Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

– Oni obstawiają na dziewięćdziesiąt dziewięć procent – wypaliła. – Nikt nie ma wątpliwości, że to była zbrodnia, ale przed prokuraturą chcą sprawę przedstawić inaczej. Radzą tylko, co bardziej im się opłaca: rozpoznać go czy nie. Dlatego Diana tak się rzuca.

– Nie chce iść na identyfikację?

– Pójdzie, to postanowione – zaprzeczyła Patrycja. – Inaczej w pierwszej kolejności rozmawialiby z rodziną męża. Ponoć stary Pedro de Souza jest już w Polsce i też się na jutro szykuje, a nawet do synowej nie zajrzał. Nie odbiera jej telefonów, nie odpowiada na esemesy. Odmówił zaproszenia na obiad do Gardockich. Diana uważa to za osobistą zniewagę, a jej ojciec ją w tym podkręca. Radzą teraz, jak to wygrać.

– Jak to wygrać? Co masz na myśli?

– No wiesz, jeśli Diana zidentyfikuje męża, sprawa natychmiast pójdzie do przodu, tak mówią adwokaci. A gdyby powiedziała, że go nie rozpoznaje, zrobi to Pedro, a ona będzie

pierwszą podejrzaną. Mogą podważyć spadek i wycyckać ją z całej forsy.

– Ty mówisz serio? – Hubert szczerze się zdziwił. – Ta kobieta w tej sytuacji myśli jedynie o schedzie?

– Ona już dawno go nie kochała. Nie kochała i nie lubiła – podkreśliła Patrycja. – A Rui był dla niej dobry. Uwielbiał ją. Ze świecą szukać takiego męża. Sama bym sobie takiego życzyła. Przystojny, bogaty, szarmancki i jeszcze cię rozpieszcza. Tak, gdyby miał brata, zaraz bym za niego wyszła.

– Ponoć ją zdradzał – podsunął Hubert.

W aucie na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Meyer sądził, że to będzie woda na młyn historyjek, które dziewczyna z pewnością zna, ale ona uparcie milczała.

– A tak w ogóle to dokąd jedziemy? – spytał.

– Och, poproszę do Łomianek. Z tego wszystkiego zapomniałam podać adres! – zaśmiała się trzpiotowato.

Meyer spojrzał na nią zaskoczony.

– Mieszkasz w Łomiankach?

– No tak – zawahała się. – To jakaś zbrodnia?

– Nie, w żadnym razie. – Wstukał w nawigację adres z numerem, który podała. – To pewnie znasz Marcina Demianiuka zwanego Drinem i jego żonę Kasię?

– Każdy wie, kto to jest Drinu – oświadczyła niepewnie. – Mają największy dom w okolicy. Nie da się przejść obojętnie. Tyle że Łomianki to kawał gminy, nie znamy się wszyscy. – Zawahała się. – Ale to miejsce nad Wisłą, gdzie spłonął Rui, dobrze znam. Łaziliśmy tam na randki i pić wino w czasach licealnych. Moi znajomi stali w tłumie gapiów, jak wybuchaliście. Ponoć to było megaefektowne. I straszne.

– Było – potwierdził Hubert, ale zaraz wrócił do przerwanego wątku. – Dlaczego umilkłaś, kiedy spytałem

o zdrady Ruiego? Myślałem, że to żadna tajemnica. Diana przekazała nam listę jego kochanek.

Dziewczyna długo milczała, zanim zdecydowała się na odpowiedź.

– Chyba w to nie wierzysz?

– Więc Diana kłamie?

– A bo ja wiem? – Patrycja wzruszyła ramionami. – Kto tam kogo zdradzał i kiedy, to ich słodka tajemnica… Ja z pewnością ci się nie przydam, bo jestem u nich tylko po kilka godzin dziennie. Teraz dłużej, ale to wyjątkowa sytuacja. Tak naprawdę nie jestem opiekunką do dzieci, wiesz? I wolałabym, żebyś tego nie rozgłaszał. – Zniżyła głos. – Mam swoją stronę internetową, buduję własną markę i poważnie myślę o założeniu działalności gospodarczej. Dojrzałam już do tego, tylko na razie mi się nie opłaca. Chcesz, przyślę ci link – zakończyła z triumfem.

– Czym się zajmujesz? – Hubert odnalazł się w roli.

– Jestem personal shopperem.

– Kim?

– Doradcą w sprawie wizerunku, bo nie chodzi tylko o ubrania.

– Czyli chodzisz z ludźmi na zakupy i mówisz, w czym będą dobrze wyglądali?

– Też – rozochociła się. – Ale głównie robię analizy transformacji.

– Nie wiem, co do mnie mówisz – przyznał szczerze.

Zaśmiała się, uznając to za komplement.

– To, jak się prezentujesz ludziom, ważne jest w bardzo wielu branżach. Możesz swoim wyglądem sporo wygrać, a nawet znokautować przeciwnika, ale do tego potrzebna jest przemyślana szafa. No i rzeczy bywają atrybutem władzy. Nie chodzi tylko o drogie marki, ale o jakość i o to, co każda z tych firm komunikuje kolorem, fakturą, formą. Sam

decydujesz, czy chcesz być luzakiem, dżentelmenem, czy może wojownikiem. Idzie o to, jak chcesz być widziany. To skraca albo buduje dystans. – Spojrzała na niego. – Ty nie potrzebujesz moich porad. Sam siebie dobrze czujesz i nieźle się ubierasz. Niby taki z ciebie lamus, ale to tylko przykrywka, bo nie chcesz rzucać się w oczy. Bywasz w różnych środowiskach i wiesz, że nie warto drażnić ludzi pieniędzmi. Za to wózek masz pierwsza klasa – pochwaliła go i urwała. – Mało kto ma taki wgląd w siebie.

Hubert nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Serio? – wydukał. – Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Oj, zdawałeś, zdawałeś – roześmiała się. – Ubrania i dodatki są jak futro tygrysa, umaszczenie osy. Co innego komunikuje skorupa kraba albo i kolorowe pióra papugi. Pomyśl, jak wyglądałaby na negocjacjach pani prezes, gdyby przyszła na zebranie z plastikową torebką?

– Hmm… – Hubert spojrzał na jej połyskliwą torbę. – Na przykład taką jak twoja?

– No wiesz? – oburzyła się. – To prawdziwy Saint Laurent. Kosztuje więcej niż dziesięć tysięcy!

– Ile? – Hubert aż się zapluł. – Zapłaciłaś tyle forsy za torbę?

– Mówię ci przecież, że to nie torebka! – Zacietrzewiła się. – I tak, zapłaciłam. Ciężko na nią zarobiłam, lulając cudze bachory! Ale to nie moja wina, że w Polsce wciąż nie ma świadomości i trzeba tę wiedzę wdrażać siłowo. Jestem młoda i nie występuję jeszcze w tefałenie, żeby zgłaszały się do mnie masowo dyrektorki i szefowe dużych firm, które notabene okropnie się ubierają. No wiesz, mają inny umysł, to biznesmenki, a tutaj potrzeba artystycznej duszy i trochę sprytu. W każdym razie zlecenia trafiają się tylko raz na jakiś czas. – Założyła ręce na ramiona. – Wejdziesz na moją stronę, to zrozumiesz, o czym mówię. Nie jestem tylko niańką! A już tym bardziej gosposią. Robię to, bo buduję swoją markę – powtórzyła. – I któregoś dnia rzucę to w cholerę.

Hubert wykrzywił usta w grymasie pobłażliwości.

– Imponuje mi twoja ambicja – przyznał. – I cię rozumiem. Zanim zostałem profilerem, odkiblowałem swoje w pierdlu. To tam pisałem pierwsze profile. Byłem kiedyś klawiszem. Nikt we mnie nie wierzył, nie dawano za mnie nawet pięciu złotych i to nie była łatwa droga, uwierz. Nastaw się, że budowanie marki może potrwać wiele lat.

Te słowa całkiem kupiły dziewczynę.

– Wiem, że swoje muszę wyczekać i nie od razu będzie waniliowo, ale dam radę – zapaliła się. – Zobaczysz, będę jeszcze sławna.

Hubert widział w nawigacji, że zostało im ledwie dwadzieścia minut do celu. Z rozmysłem zjechał złym zjazdem, by nadrobić drogi. Dziewczyna nawet nie zauważyła. Wciąż była trochę naburmuszona.

– Od jak dawna pracujesz u de Souzów?

– Latem minął trzeci rok – odparła niechętnie. – I postanowiłam sobie, że jeszcze maks dwa pociągnę. Potem rzucam to i tyle.

– Dlaczego teraz nie rzucisz? Za mało ci płacą?

– O nie, wręcz przeciwnie – zaprotestowała. – Nie pracowałabym za ukraińską stawkę. Bywa, że wyciągam i tysiaka dziennie. Poza tym Mia mnie lubi, rosła ze mną. Gdybym nagle odeszła, mieliby problem znaleźć drugą tak dyspozycyjną osobę. A kiedy ich nie ma, a dziecko śpi, mogę odpowiadać na mejle i szaleć w social mediach. W tej chwili dla obu stron jest to opłacalne. No i obiecałam Dianie, że na razie nie odejdę. Teraz tym bardziej nie mogłabym jej tego zrobić.

– Widzę, że jesteście w dużej zażyłości?

– Nie dużej, ale czas robi swoje. Pomogła mi, kiedy miałam poważny zakręt życiowy. Nie mam u nich źle. Niejedna profesjonalna babysitterka by mi pozazdrościła. A przy Dianie

cały czas szkolę się w trendach. Ta kobieta ma wszystko markowe! – dorzuciła z zazdrością.

– Masz jakieś określone godziny pracy czy jesteś na telefon?

– Dopóki mała nie chodzi do szkoły, przychodzę na sześć, czasem dziesięć godzin. Zwykle na ósmą, bo wtedy Mia wstaje. Kiedy Diana ma swoje zajęcia służbowe, dochodzą dodatkowe godziny. A za wyjazdy płacą mi ryczałtem. W euro – podkreśliła z dumą.

– Za twój pobyt w Sagres też zapłacili ryczałtem?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Dlaczego o to pytasz?

Twarz miał nieruchomą. Milczał.

– Byłam z nimi tylko raz – wyszeptała. – I tak, dostałam dobrą gażę.

– Wtedy, kiedy zaginął Arun?

– A więc o to ci chodzi? – wzburzyła się. – Zaczaiłeś się na mnie! Nie chodziło wcale o ten cholerny kluczyk ani o podwózkę. Chciałeś mnie przesłuchać!

– To dla ciebie problem? – Zrobił niewinną minę.

Odwróciła głowę do okna. Nie odzywała się.

– A więc byłaś w Sagres – zaczął. – I znałaś Aruna.

– Nic takiego nie powiedziałam!

– Więc zaprzeczasz? Nie znasz Arkadiusza Tyburka, żeglarza, który zaginął bez śladu?

Patrycja zacisnęła usta, aż zbielały. Była wściekła.

– Nie muszę z tobą gadać. Zatrzymaj się i wysadź mnie.

– Jesteśmy na Wisłostradzie – oświadczył spokojnie. – Nie wolno tutaj parkować.

– Więc znajdź takie miejsce! – krzyknęła. – Chcę natychmiast opuścić twój samochód.

– To taki newralgiczny temat? – nie odpuszczał. – Arun czy twój pobyt w Sagres w rezydencji de Souzów? Dlaczego twojego nazwiska nie ma w aktach? Kto je wykasował? Bo miałaś romans z tym chłopakiem i nawet zaszłaś z nim w ciążę!

Nieoczekiwanie Patrycja się rozpłakała. Nie tego Hubert się spodziewał. Łkała coraz głośniej, aż skuliła się, położyła głowę na swojej drogocennej torebce, jakby była ranna.

– Słuchaj, przepraszam cię. Może jestem niedelikatny, ale potrzebuję twojej pomocy. Nikt się nie dowie o tym, co przeżyłaś. Po prostu pomóż mi zrozumieć. Jak wyglądało to małżeństwo? Czy ta lista cudzołożnic jest fikcyjna?

– Nie! – Podniosła się. Tusz do rzęs miała rozmazany na policzkach, oczy zaczerwienione. Wciąż wyglądała jednak uroczo. Była młoda i naprawdę śliczna. – Ty nic nie rozumiesz. Ja nie mogę.

– Czego nie możesz?

– Gadać – wyszeptała. – Nie wolno mi z nikim o tym gadać. Tylko dlatego Diana trzyma mnie tak blisko przy sobie, żebym nikomu nic nie gadała.

– O czym?

Patrycja nie słuchała. Pokrzykiwała jak w manii:

– Płaci mi, nawet znacznie więcej niż kiedyś! Dała mi tę torebkę. Była nowa, uwierzysz?! Wiedziałam, że to łapówka, ale wzięłam, co miałam robić… Sama się utrzymuję, nigdy nie zapłaciłabym tyle za torbę, ale ona wie, czym się pasjonuję, i co jakiś czas coś dostaję. Pasek, sukienkę, buty… Może i to są jej rzeczy, których już nie nosi, ale dla mnie mają wartość, bo jak przyjdzie bieda, mogę je opchnąć. Więc się zgadzałam… A teraz pojawiasz się ty i ja wiem, że będę miała straszne kłopoty!

– Uspokój się! – Hubert szarpnął ją, przytrzymał za ramię, starał się patrzeć jej w oczy, ale jednocześnie musiał prowadzić. – Słuchaj, nikt nie widział nas razem. Nikt nie wie, że rozmawiamy. Zadbałem o to, żebyś była bezpieczna. Chcę

tylko zrozumieć – powtórzył. – Starczy, że powiesz mi, co wiesz, a ja będę cię chronił, jak wszystkie swoje nielegalne źródła. Co ty na to?

– Nielegalne źródła? – Oniemiała i znów zaczęła mrugać, gotowa się rozbeczeć. – Byłabym nielegalnym źródłem?

– Już jesteś – zapewnił. – Mieszkasz z kimś czy masz własną chatę?

– Z mamą – mruknęła. – I nie licz, że cię zaproszę. Na pewno nie o tej porze.

– W takim razie pojedziemy do mnie.

– O nie! Wolne żarty! – oburzyła się. – Jestem porządną dziewczyną! Nie znam cię! Nigdzie nie jadę.

– Nie wątpię w twoją cnotę – zapewnił Hubert z przekąsem. – W takim razie pójdziemy do biura. Żebyś czuła się bezpieczniej, wezwę swoją szefową.

– Jeszcze czego! – żachnęła się. – Kolejna osoba miałaby tego słuchać? Nie, jeszcze raz nie. Ile będziemy jeszcze jechać? Specjalnie kręcisz się w kółko? Myślisz, że nie zauważyłam?

– Czego słuchać? – przerwał jej i skręcił wreszcie prawidłowo.

Do jej bloku zostało im siedem minut. Patrycja wpatrywała się tępo w nawigację, a Hubert nie zamierzał więcej jej oszukiwać.

– Myślałem, że nie masz nic do powiedzenia.

– Bo nie mam – zaparła się.

Kiedy jednak zobaczyła swój blok, odetchnęła z ulgą, uspokoiła się. Siedziała długo w milczeniu, chociaż Hubert nie zablokował drzwi i w każdej chwili mogła wysiąść.

– Wcale nie miałam romansu z Arunem – wyznała nagle. – Chociaż bardzo mi się podobał. Adorował mnie i lubiliśmy się. Tak po ludzku, zwyczajnie, jak chłopak i dziewczyna. Jestem pewna, że mogło być z tego coś poważnego. To był

fajny gość. Naprawdę najfajniejszy facet, jakiego znałam. – Znów się rozpłakała. Hubert przeczuwał, co powie dalej. – Byłam w nim zakochana. Bardzo… Ale nie wyszło. Do niczego między nami nie doszło, bo wtrąciła się ta raszpla. Uwiodła go, odbiła mi go na moich oczach. I to ona miała skrobankę, a nie ja. Taka jest prawda! Musiałam wziąć to na siebie, kiedy Arun zniknął, żeby Rui jej też nie zabił.

– Zabił? – powtórzył Hubert.

– Zlecił zabójstwo – poprawiła się Patrycja. – Nie sądzę, żeby zrobił to osobiście. Sprawa była przeprowadzona zbyt profesjonalnie. Miało być tak, że Arun wypłynął w nocy jachtem po pijaku i wypadł z szalupy, ale to się nie udało. Lokalna policja badała łódź, przeszukiwali akwen, więc uważam, że po prostu go zakopali. Myślałam o tym wiele razy, swego czasu każdej nocy, i ten koszmar wraca do tej pory.

– Skąd wiesz, że Rui to zlecił?

– Ona mi powiedziała.

– Diana? – upewnił się Hubert.

– A któż by inny? – obruszyła się Patrycja. – Po prostu powiedziała mi to tak na zimno i zagroziła, że jeśli komuś zdradzę, będę następna.

# Rozdział 3
# NÓŻ W WODZIE

**24 października (poniedziałek)**
**WARSZAWA, ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ**

Huberta nie wpuszczono na identyfikację, więc by zabić czas, rozsiadł się w korytarzu koło automatów z napojami i studiował akta.

Poprzedniej nocy nie spał prawie wcale. Przewracał się z boku na bok, przeganiając uporczywe myśli na temat prowadzonego śledztwa, i czuł coraz dotkliwiej, że zaraza, która go toczy, znów zaczyna dawać objawy. Za oknem było całkiem ciemno, kiedy spocony jak mysz, zakatarzony i z suchym gardłem szedł pod gorący prysznic, który tylko trochę przywrócił go do pionu. Z nadzieją poczłapał do kuchni zrobić sobie kawy. Niestety, puszka po lavazzy była pusta. Nie zjadł śniadania, siorbnął kilka łyków gorzkiej herbaty z mlekiem, a pół godziny później był już w biurze.

Zanim pracownicy wydziału zaczęli się schodzić na poranną odprawę, miał gotową notatkę z ostatnich działań wraz z wnioskami, które zamierzał przedstawić zespołowi, a potem rozdzielić zadania. Okazało się to niewykonalne. Agnieszka Olton zadbała, by dzisiejszego dnia każdy z funkcjonariuszy WWD miał co robić, więc w biurze poza pracownikami cywilnymi nie było nikogo. Hubert nie miał wyjścia. Sam musiał pojechać na Oczki, przypilnować identyfikacji i ewentualnie porozmawiać z rodziną poszkodowanego. I tutaj spotkał go zawód. Polecenie wykonania sekcji dostał inny lekarz, a nie szef zakładu

Mariusz Boziłow, a prokurator prowadzący dochodzenie na widok Meyera zrobił w tył zwrot i poprowadził gości bocznym wejściem. Profiler zobaczył jedynie plecy bardzo drobnego starszego mężczyzny, kilku prawników, wdowy po de Souzie oraz dwóch kobiet w pstrokatych płaszczach, które nie odstępowały ekipy na krok. Hubert podejrzewał, że to tłumaczki Portugalczyków.

Koczował teraz pod salą otępiały i bezradny, licząc, że pojawi się ktoś, kogo zna lub na kogo zadziała jego legitymacja. Niestety, pracownicy zakładu mijali zakatarzonego psychologa, przyglądając mu się znacząco, niektórzy witali się z nim familiarnie, chociaż był pewien, że znali go wyłącznie z mediów, a on z każdą chwilą czuł się gorzej i gorzej. Znów zaczynała rozbierać go gorączka. Miał mroczki przed oczami. Momentami nie myślał trzeźwo, jakby był pijany albo znajdował się gdzieś między jawą a snem, i martwił się, czy w takich warunkach uda mu się zachować jako tako czysty umysł. Nie wychodził nawet na papierosa, bo obawiał się, że kiedy opuści budynek, rodzina poszkodowanego dyskretnie się ewakuuje i Hubert straci jedyną szansę na nieoficjalną rozmowę z ojcem zabitego. Nagle drzwi na końcu korytarza otwarły się z impetem. Hubert usłyszał stukanie obcasów, a potem w kierunku bocznego wejścia pobiegła Diana Gardocka. Odprowadzały ją utyskiwania i wyrzuty w nieznanym mu języku.

W pierwszym odruchu psycholog miał ochotę pobiec za wdową, lecz wytrzymał, został na swoim miejscu. Jego cierpliwość została nagrodzona.

Następną osobą, która wyszła z sali, był stary de Souza. Twarz miał w kolorze słabej herbaty, oczy zaczerwienione. Hubert znał te objawy. To rozpacz. Wszystko, czego ojciec mógł się obawiać, jadąc do Polski, okazało się prawdą, a może wydało mu się jeszcze straszniejsze.

Mężczyzna odepchnął biegnącą za nim świtę umundurowanych w drogie garnitury mężczyzn i wysztafirowanych kobiet. Zagonił wszystkich jak trzódkę z powrotem do sali, zatrzasnął za nimi drzwi. Stanął szeroko

na nogach, chwycił twarz w dłonie, jakby chciał ją sobie zerwać, i pochylił się nisko w głębokim skłonie. Bezgłośnie zapłakał. Dalej wszystko odbywało się w zupełnej ciszy: upadek na kolana, uderzenie głową o podłogę, bicie pięściami o posadzkę i nagłe powstanie, jakby przyjmował postawę zasadniczą, brał się w garść. Wreszcie kilka głębokich oddechów, przywrócenie odzieży do ładu.

Meyer patrzył na ten spektakl zza swojego automatu. Kiedy Pedro de Souza znów miał kamienną twarz i nieskazitelny płaszcz na grzbiecie, profiler podszedł do zbolałego ojca. Nie przedstawił się. Uznał, że nie ma na to czasu. Zamiast tego odsłonił swoją odznakę i ścisnął mocniej akta pod pachą. Facet był tak niski, że mógł odczytać własne nazwisko i sygnaturę sprawy na froncie.

– Moje wyrazy współczucia – zwrócił się do świadka po angielsku. – Nikt nie zasługuje na taką śmierć. Ale na sprawiedliwość, każdy.

Pedro de Souza zadarł głowę i spojrzał na psychologa nierozumiejącym wzrokiem. Hubert w tym momencie pojął swój błąd. Zastęp tłumaczek i świta prawników otaczająca leciwego biznesmena nie były przypadkiem. Mimo to brnął. Póki byli sami, mógł coś wskórać. Jeśli prokurator odważy się przerwać ojcu poszkodowanego chwilę na osobności i zdecyduje się wyjść z sali lub wezwie starego ponownie na identyfikację, Hubert może wracać do domu.

– Byłem na oględzinach. – Meyer mówił dalej po polsku. – Wiem, co spotkało pana syna.

Sam nie wiedział, na co liczy, ale wierzył, że zrozpaczony ojciec pojmie jego intencje. Wezwie którąś z tłumaczek, każe jej przełożyć słowa psychologa. Jeśli udałoby mu się zdobyć zaufanie starca, prokurator okaże się bezwartościowym cerberem. Będzie szansa na rozpytanie. Przecież tylko po to zmitrężył na korytarzu cały ranek.

– Nigdy nie zapomnę tego widoku, tak jak będę pamiętał twarz każdej z ofiar, która została skrzywdzona. – Walczył, choć wiedział, że strzela na oślep. – Nie zawsze zostają

w głowie ich imiona, nazwiska, a nawet zażyciowe wizerunki, ale obrażenia, sposób pozostawienia ciała oraz okoliczności, w jakich zostali znalezieni, zapiszą się w mojej pamięci na zawsze w postaci makabrycznych obrazów. Śnią mi się, pojawiają w nieoczekiwanych okolicznościach jak flesze na filmie… To moja osobista klątwa. Wszystko po to, żeby znaleźć poszukiwanego sprawcę. Nie ma innej drogi. Trzeba wejść do tego Hadesu.

– Kto ty jesteś? – Pedro przerwał mu łamaną polszczyzną. – Co chcesz ode mnie?

Hubert na chwilę stracił dech. Rozkaszlał się.

– Profilerem – wychrypiał. – Psychologiem śledczym. Komenda Główna. Moje nazwisko Meyer.

Stary pokiwał głową, jakby to wszystko wyjaśniało, ale nic więcej nie powiedział.

– To nie było samobójstwo – rzekł z naciskiem Hubert. – Wiesz o tym?

Na twarzy ojca nie drgnęła nawet jedna zmarszczka.

– Rozumiesz, co mówię? – upewnił się psycholog. – Ktoś zabił twojego syna.

Mężczyzna poklepał się po kieszeniach, odwrócił dwa razy za siebie, jakby się czegoś obawiał, a potem zadarł głowę, by spojrzeć Hubertowi głęboko w oczy.

– Kto? – spytał. – Wiesz, kto mógł to być?

Hubert wykonał nieokreślony ruch głową.

– Jeszcze nie – odparł. – Trwa dochodzenie.

Pedro z takim zapamiętaniem wywracał kieszenie, że aż jedną rozdarł.

– Masz papierosy?

Hubert sięgnął po swoją zgniecioną paczkę. Podał mężczyźnie. Kiedy ten ją brał, zacisnął rękę na dłoni profilera. Zbierał się w sobie, by coś wyznać, ale nie zdążył. Drzwi

skrzypnęły. Z sali wychyliła się jedna z kobiet w jaskrawym płaszczu.

– *Papá!*

Tyle Hubert zrozumiał. Dalej nie był w stanie pojąć ani jednej frazy. Z intonacji domyślił się, że kobieta chce, żeby ojciec wrócił do pomieszczenia. Im dłużej mówiła, tym bardziej była poirytowana. Wreszcie otworzyła szerzej drzwi, przeszła na angielski i zameldowała prokuratorowi, że w korytarzu jest jakiś intruz, który prześladuje jej ojca. Jeśli urzędnik zaraz się tym nie zajmie, złoży na niego skargę i doprowadzi do zdjęcia go ze stanowiska.

– To niedopuszczalne – zakończyła. – Mieliśmy zagwarantowaną anonimowość i całkowite bezpieczeństwo. Ojciec tylko ze względu na zainteresowanie dziennikarzy zrezygnował z ochrony.

Hubert wiedział, że za chwilę z sali wychyli się Prymusek, wezwie mundurowych i go przegonią. Spojrzał na ojca Ruiego, który wciąż otępiały wpatrywał się w jakiś daleki punkt i zaciskał paczkę z papierosami tak, że pewnie nic z nich nie zostało.

– Chcesz, pokażę ci, gdzie można palić – zniżył głos do szeptu. – Chociaż tobie pozwoliliby i tutaj. Porozmawiamy.

– Tutaj nie – odparł twardo Pedro. – Tutaj leży mój syn. Martwy. Od początku nie uwierzyłem, że strzelił sobie sam. I zapalił.

– Więc nie wierzysz w wersję prokuratury? – upewnił się Hubert.

– Znasz tego drugiego eksperta?

Hubert wolno pokiwał głową.

– Ta suka go wynajęła – dorzucił Pedro. – Chce naszej forsy. A ja chcę, żeby mój syn nie na marne umarł. I żeby ona zapłaciła. Bo to jej wina, że Rui zginął. Widziałeś ją? Jednej łzy w oku. Śpieszyła się na wywiad! Wywiad w takiej chwili!

Na niego nie spojrzała. Sam musiałem potwierdzać. Mój najlepszy syn. Moja chluba! Gore!

– Kiedy możemy porozmawiać? – szepnął Hubert i spojrzał ponad głową Portugalczyka na idącego w ich kierunku prokuratora Kulika.

Prymusek mówił coś do jednej z kobiet w pstrokatym płaszczu. Dopiero teraz Meyer upewnił się, że są identycznie ubrane, bo to bliźniaczki. Siostry Ruiego. Sukcesorki. W ich interesie jest zamknąć sprawę jak najszybciej. Samobójstwo zaś leży w interesie wdowy. Każda z tych osób ma zapewne swój plan na rozwiązanie tej sprawy. Ale to ojciec trzyma w rodzinie władzę. Słabość, którą okazał, była chwilowa. To rekin.

– Zostać! – Pedro rzucił za siebie, jakby przeganiał natrętne muchy. – Nie przeszkadzać.

Ludzie w sali zamarli, nie zniknęli jednak z pola widzenia. Obserwowali i przysłuchiwali się ich rozmowie.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytał zniżonym głosem Hubert. – Powinniśmy pomówić spokojnie.

– Dzisiaj. Zaraz. – Padło w odpowiedzi. – Przyjechałem z Budapesztu tylko po to, żeby go zobaczyć i się pożegnać… – Zatrzymał się, jakby szukał słów w głowie. – We wszystkich filiach są burze. Nasze akcje spadają. Nie wolno mi zostać. Interes się pali.

– Rozumiem – mruknął profiler, chociaż było wręcz przeciwnie.

Aż gotował się z irytacji. Co może być ważniejszego dla ojca niż doprowadzenie do znalezienia sprawcy, kiedy jest pewien, że śmierć syna nie była naturalna?

– Nie rozumiesz.

Pedro znów odwrócił się za siebie, a potem zbliżył do Meyera. Dotknął dokumentów, które psycholog trzymał pod pachą, a potem spojrzał na Huberta pytająco. Meyer pochylił

się, domyślając się, że mężczyzna chce szepnąć mu coś na ucho.

– Przyjedziesz do mnie do Lizbony – rozkazał.

I to było wszystko. Podniósł swoją teczkę, która dotąd cały czas leżała u jego stóp. Odszedł miarowym krokiem. Hubert patrzył za nim. Złapał się na tym, że nie widzi drobnego, ledwie trochę od siebie starszego mężczyzny, tylko prawdziwego siłacza. Został znokautowany. Jakimś cudem temu facetowi udało się go otumanić. Dał się nabrać jak stażysta. Przecież biznesmen nie dał mu żadnego namiaru. Meyer nie miał nawet pewności, czy Pedro zapamiętał jego nazwisko. Czy w ogóle mu je podał? Otarł pot z czoła. To wszystko przez to przeziębienie…

– Kiedy?! – krzyknął, nie bacząc na potępiające spojrzenia świty Pedra.

Mężczyzna zatrzymał się, ale nie od razu odwrócił.

– Przyślę po ciebie odrzutowiec – oświadczył. – Gdziekolwiek będziesz.

Hubert był już rozzłoszczony.

– Wolałbym zgodę na przekopanie rezydencji w Sagres. I pozwolenie na przeszukanie domu Ruiego w Radości.

De Souza dał znak jednemu z prawników. Wymienili kilka zdań po portugalsku.

– Na piśmie – podkreślił Meyer.

Godzinę później wracał do WWD z piętnastostronicowym dokumentem w języku angielskim podpisanym przez przedsiębiorcę, a chociaż nadal nie miał do niego kontaktu, był pewien, że zdobył ważnego sojusznika.

* * *

## WARSZAWA, WYDZIAŁ WSPARCIA DOCHODZEŃ

– Co to ma być?

Agnieszka Olton nie podzielała jego dobrego humoru. Trzęsła dokumentem i się piekliła.

– Co z tego, że możesz tam wejść? Starczy, że w drzwiach stanie Diana, i wygna cię w sekundę. Na dodatek zgoda obowiązuje tylko ciebie. Sam zamierzasz przekopać teren? Przecież bez zgody właścicielki, czyli wdowy, nie możesz podjąć żadnego działania. Nie wejdzie poza tobą żaden technik, żaden lokalny gliniarz. Nikt! Zwariowałeś?

– Po prostu jesteś zazdrosna – skwitował Hubert, mieszając w szklance kolejny fervex. Zrzucił do kosza stos zasmarkanych chusteczek i sięgnął po kolejną. Mdliło go już od tych leków, ale mały sukces z ojcem zamordowanego dodał mu sił. Czuł się o niebo lepiej, przynajmniej psychicznie. – Poza tym nie zabiegałem o to, by zamieszkać w rezydencji. Weźmiemy hotel w naszym budżecie i nie martw się, będę wracał na noc.

– Jesteś niemożliwy!

– Sama to wymyśliłaś – bronił się. – Zamiast mi dziękować, że posunąłem sprawę do przodu, szukasz dziury w całym.

– Nie posunąłeś, tylko zapętliłeś – żachnęła się. – Takie prowadzenie śledztwa jest niedorzecznością! Wziąłeś stronę rodziny, a jak ci tłumaczyłam, to woda na ich młyn. To nie są zwyczajni ludzie! Im nie chodzi o sprawiedliwość. Walczą o potężną fortunę!

– I bardzo dobrze! – zapalił się. – Wykorzystajmy sprzyjające wiatry. Diana ma swojego magika, Pedro chce mieć nas.

– To, co wykonałeś, jest godne potępienia – utyskiwała. – Nie ma mowy o obiektywizmie. Żaden sąd w to nie uwierzy! Nie chodzi nawet o to, że wchodzimy w sam środek ich wojenki. Rzecz w tym, że mieliśmy jechać tam incognito, pracować z lokalnymi policjantami, weryfikować ich materiał, a nie działać jak prywatny detektyw, który ma zlecenie

i spowiada się przed klientem. My nie pracujemy dla Pedra, Diany ani dla nikogo!

– Twoi dzielni obiektywni policjanci nie rozwiązali sprawy zaginięcia Aruna Tyburka – podkreślił. – Nie zdobyli dowodów albo za mało się starali. Czasami potrzeba sprytu, a fortel prawie nigdy nie jest niczym złym w trudnym dochodzeniu!

– Tak, jeszcze powiedz, że zostali skorumpowani. – Olton rzuciła dokumentem o blat. – Muszę zrobić sobie kawy. Tak przy okazji, co tak śmierdzi w naszej kuchni? Wszyscy tylko tym się interesują.

– Te dwie osoby poza nami, bo wszystkich posłałaś do diabła? – obruszył się Hubert. – Znaczy się na urlopy?

– Do końca roku powinni je wykorzystać. Takie dostałam zalecenie – wyjaśniła. – I nie wpieprzaj się w moje kompetencje, to pozostawię ci trochę wolności.

– Więc jedziemy na wczasy zgodnie z planem? – ucieszył się Hubert.

– Jeszcze nic pewnego – ucięła. – Trzeba to wszystko podsumować. A ty powinieneś wpierw wyzdrowieć.

– Naturalnie – zgodził się. – Nie marzę o niczym innym.

Podniósł lekarstwo i wypił je duszkiem, a potem otarł usta i włożył do ust zapalonego papierosa, który czekał w popielniczce. Agnieszka patrzyła na niego z mieszaniną politowania i zgrozy.

– Słuchaj, Hubercie, nie możesz palić w biurze ani przynosić do pracy garnków z jedzeniem. To wbrew regulaminowi i w ogóle niedopuszczalne! Ludzie się na ciebie skarżą, nie wszystkim się podoba, że traktuję cię jak świętą krowę. I nie chodzi tylko o naszych ludzi. Kuchnię mamy wspólną z urzędnikami z ministerstwa, wiem o tym przecież, co gadają i ile skarg smarują do góry… Ja cię proszę jak przyjaciółka, przestań pajacować!

– To po co nam ta mikrofalówka? – Hubert szczerze się zdziwił. Zgasił peta, zrzucił niedopałki do kosza, a popielniczkę schował do szuflady. – Koniec. Obiecuję przy tobie nie dymić. Już się nie denerwuj.

– Nie denerwuj! – ryknęła. – Obiecujesz, że będziesz to dalej robił. Tyle że wtedy, kiedy ja nie widzę?

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Strzepnął popiół z dokumentów. Wygładził swój kontrakt z de Souzą. Schował go do koszulki foliowej, a potem do swojej teczki, która już pękała w szwach od wybranych przez niego papierów.

– A ten garnek flaków dostałem od Patrycji, naszego najważniejszego świadka. I siedzi w lodówce, bo jest to poniekąd dowód.

– Dowód? – powtórzyła z powątpiewaniem Agnieszka. – I to na dodatek poniekąd?

Hubert tylko się uśmiechał. Nie zamierzał nic dodawać.

– Czego mają być dowodem te śmierdzące flaki? – parskała Olton. – Skoro cuchnie nimi w całym biurze, znaczy, że przynajmniej raz je podgrzewałeś! Nie słyszałam jeszcze o takim dowodzie, który może być używany!

– Są świetne, sama spróbuj. – Przekrzywił głowę, a w oczach miał drwinę. – Zostały ugotowane dla świętej pamięci Ruiego, bo to jego ulubiona potrawa. Wiesz, że Portugalczycy najznakomitszym gościom serwują świńskie uszy i różne chrząstki z rosołu?

– Boże! – Agnieszka wzięła się za głowę. – Na co ja się zapisałam? Źle mi było przy swoim biurku z Excelem? Mówisz zagadkami, jakbyśmy byli w jakimś teleturnieju.

– Ktoś nagotował Ruiemu flaków i dostarczył je do biura. Jego asystentka w piątek przyniosła je wdowie, a kiedy okazało się, że mąż nie żyje, Gardocka szybko się ich pozbyła. Co dziwne, nie wyrzuciła, tylko oddała Patrycji.

– Dlaczego? Jaki to ma związek ze śledztwem? – Olton zarzuciła go pytaniami.

– Sam się nad tym głowię… – Hubert się zawahał. – Ale nie bagatelizowałbym jednak tego wątku, bo ten garnek z pewnością ma znaczenie. Opowiadałem ci o naszym spotkaniu i jej oskarżeniach? Patrycja zwiała z mojego auta zaraz po ujawnieniu rewelacji, które cię przecież ucieszyły, a garnek zarekwirowałem zupełnie omyłkowo. Chciałem go oddać, ale niania de Souzów odmówiła.

– Pewnie obawia się, że znów weźmiesz ją na spytki.

– To z pewnością. Jak tylko wrócimy z wczasów, będzie jedną z pierwszych, do której zastukam. Wszystkie jej nowiny będziemy mieli już wtedy sprawdzone.

Agnieszka się poddała.

– Zupełnie nie rozumiem, czego te flaki mają dowodzić.

Hubert spoważniał.

– Na początek tego, że nasza miła Patrycja nie do końca zeznaje prawdę. W każdym razie nie możemy brać jej zeznań w stu procentach poważnie.

– Serio? – zakpiła Agnieszka. – Rewelacyjne odkrycie. I to na podstawie garnka flaków! Jesteś genialny, Sherlocku!

– Owszem. – Hubert wcale się nie zniechęcił. – Kiedy przyjechałem do domu, wyjąłem garnek z bagażnika, podniosłem pokrywkę i dokładnie rzecz zbadałem. Sama rozumiesz, że wpierw musiałem sprawdzić, czy nie użyto trucizny.

– Jedząc?

– No cóż, trochę rzuciłem lokalnym kotom… Żarły jak wściekłe, co upewniło mnie, że flaki są świeże. Po zimnej sprawie z Poznania wiem co nieco o kotach. Nie tknęłyby padliny. A fakt faktem, że flaki pachniały smakowicie, a tylko trochę zagrzałem.

– Do rzeczy!

Hubert wstał, bez słowa poszedł do kuchni i przyniósł garnek owinięty w folię aluminiową, a obok położył skotłowane opakowanie, po czym wszystko umieścił w kartonie na dowody. Znów rozwinął folie i papiery. Wydostał naczynie. Agnieszka bezwiednie zatkała nos.

– Boże! Że też ja to wytrzymuję!

– Spójrz tutaj – pokazał. – To jest rzecz markowa. Rzekłbym, że bardzo drogi garnek.

Podniósł naczynie do góry. Był to stylizowany na vintage pojemnik do gotowania. Emaliowany perłową farbą, z pasującą do niego szklaną pokrywką z głową meduzy w miejscu uchwytu. Obok firmowej naklejki Versace widniał numer 77 namalowany flamastrem.

– Tę samą cyfrę znajdziesz na opakowaniach. Jak mniemam, wcześniej ten garnek nigdy nie był używany. Opcja dwa, sporządzono siedemdziesiąt sześć innych takich potraw, w co wątpię. Tego i tak jest dla pułku wojska…

– I co z tego wynika? Może numerują naczynia? To duży dom, pewnie mają pomoc domową, która rządzi w kuchni i jest pedantyczna.

– Owszem, mają, ale Patrycję. I faktycznie dziewczyna czasem u nich gotuje. Robi to jednak tak kiepsko, że Diana zamawia pudełka. Widziałem skład pustych do wyniesienia, kiedy stałem pół godziny przy jej zlewie po wybuchu w Łomiankach – odparł Hubert. – Za to znam kogoś, kto przewinął się już w tej sprawie, a jest wspaniałą kucharką. I ma w domu całą zastawę od Versacego. Numerowaną.

Agnieszka zawiesiła się na długą chwilę.

– To Versace robi naczynia? Nie wiedziałam.

– Ja tym bardziej. Ale Drinu Demianiuk mnie na ten temat uświadomił. Ponoć kupił zastawę razem z domem, na aukcji. Kiedy sprzedawano schedę po zrujnowanych lokatorach, rzeczy ponumerowano. Mniemam, że ze szkła, z widocznych miejsc usunięto znaczniki licytacyjne, ale denka garnka nikomu nie chciało się czyścić. Pani Katarzyna Demianiuk nie

zalicza się do skrupulatnych osób. Za to, jak powiedziałem, świetnie gotuje. I myślę, że to ona podarowała Ruiemu te flaki. Nie mogło to być później niż trzy dni temu, najdalej w piątek. Próbowałem potrawy i oświadczam ci, że jest zdatna do spożycia.

– Może były zamrożone? – bąknęła Agnieszka.

– Może – zgodził się. – Teraz ważna jest identyfikacja garnka. Czy pasuje do zastawy Demianiuków? Rozumiesz już w tej chwili, dlaczego staram się pozbyć zawartości?

Nagle go olśniło.

– Może było tak, że Dianie chodziło nie o pozbycie się flaków, tylko samego naczynia? Z jakiejś przyczyny nie chciała, żebyśmy je u niej znaleźli…

– To by znaczyło, że wdowa kolaboruje z Demianiukami – mruknęła Olton. – Niby w czyim interesie? Sorry, jedno drugiemu zaprzecza!

Hubert już nie słuchał. Uśmiechał się do szefowej szeroko, jakby połknął wieszak.

– Masz może jakieś pojemniki próżniowe? Zachowałbym sobie flaki na później, a garnek umyjemy i od razu po podsumowaniu pojechalibyśmy do Drina i Kasi pogadać?

* * *

## WARSZAWA, PLAC GRZYBOWSKI

– Czy to nasz garnek? – Drinu zaśmiał się na widok naczynia, które Hubert trzymał w dłoniach.

Patrzył jednak nie na garnek, lecz na smukłe nogi Agnieszki Olton, która towarzyszyła profilerowi.

Tym razem odwiedzili przedsiębiorcę w jego biurze. Było puste, niemal wszystkie pomieszczenia lśniły nowością. Poza młodziutką sekretarką jedyną osobą obecną w firmie był sam prezes, który, kiedy weszli, oglądał serial na projektorze konferencyjnym. Nie trudził się nawet zakładaniem

słuchawek. Ścieżkę dźwiękową filmu i przesterowane dialogi słychać było już na korytarzu.

– Owszem, zdaje mi się, że to część kompletu, który udało mi się wylicytować w dobrej cenie dla mojej Kasi – potwierdził Drinu. – A ta strojna pani pracuje z tobą, inspektorku?

– Nie inaczej. – Hubert pokiwał głową lekko zirytowany. Przedstawił Agnieszkę, a z kieszeni wyjął etykietę dowodu rzeczowego, przymocował ją do garnka, który z ceremoniałem przekazał koleżance, a ta zapakowała go z powrotem do pudełka. – W tej sytuacji musimy jeszcze raz pogadać – oświadczył, siadając tak, by zasłonić Demianiukowi widok na ekran.

Drinu miał nietęgą minę. Przez długi czas nie odzywał się wcale, jakby go zatkało.

– O żarciu? – spytał, kiedy wreszcie odzyskał mowę.

– O twojej żonie i jej powiązaniach z de Souzami.

– Znowu? – żachnął się Demianiuk. – To staje się nudne.

Hubert z Agnieszką wymienili spojrzenia.

– Chyba jest dla nas już jasne, dlaczego nie chciałeś przekazać nam klucza do porszaka.

– Jeżdżę nim, człowieku! – zdenerwował się biznesmen. – Poza tym to niezgodne z prawem. Nie słyszałem o takiej procedurze. Jestem podejrzany? O co? Czy może o czymś nie wiem?

– Zarzutów nikt ci nie postawił – zgodził się z nim Hubert.

– Ale wkrótce może się to zmienić – dorzuciła Agnieszka i zajęła miejsce w końcu sali.

Założyła teatralnie nogę na nogę, jakby znajdowali się na planie filmowym, a ona była Sharon Stone. Demianiuk wpatrywał się w nią jakąś chwilę, ale zaraz się otrząsnął, jakby wreszcie wytrzeźwiał.

– Czego chcecie? – Podniósł głos.

Sięgnął do szuflady, wyjął z niej klucz. Rzucił nim w profilera.

– Bierz, sprawdzaj sobie. Mam cię już dosyć. I tak niczego nie znajdziesz!

– Przyjechałeś tym samochodem? – Hubert obracał klucz w dłoni.

– No a jak? – warknął Drinu. – Mówiłem przecież, że teraz tylko nim jeżdżę.

Profiler wstał i położył klucz delikatnie przed biznesmenem.

– W takim razie ta sprawa jest już nieaktualna.

Spojrzał na Agnieszkę. Podniosła się bez słowa. Ruszyli do drzwi.

– Halo! – krzyknął za nimi Demianiuk. – Co się tu odstawia? Po co właściwie przyszliście? Chyba nie po to, żebym zidentyfikował jakiś garnek!

Starał się maskować niepokój gniewem, ale widać było, że się boi. Spocił się w krótkiej chwili jak mysz. Ręce znów mu się trzęsły, jakby cierpiał na parkinsona.

Hubert zatrzymał się, odwrócił na pięcie.

– Wiesz, ja ci nawet wierzę – rzekł. – W piątek faktycznie nie używałeś swojego wozu. Zaćpałeś poprzedniego dnia i odsypiałeś do wieczora. Rzecz w tym, że niczego nie pamiętasz. Film ci się urwał. Amnezja wsteczna, czarna dziura, jak zwał, tak zwał. Słowem, nie wiesz, co mogłeś nawywijać, z kim byłeś na lumpach i co się wydarzyło. Dlatego twoja żona tak pali się z alibi dla ciebie. Czy jestem w błędzie?

Drinu przyglądał się gościom, a potem spojrzał ponad ich ramionami na sekretarkę, która cały czas nadstawiała uszu, i wszyscy w tym pomieszczeniu byli pewni, że nie uroniła ani słowa z tej wymiany zdań. Wreszcie kliknął coś na pulpicie, ekran projektora wypełnił logotyp firmy Demianiuka. Drinu

dał znak Hubertowi, by zamknął drzwi. Kiedy profiler wykonywał polecenie, Demianiuk krzyknął gromko:

– Marysia, zrób gościom kawy, a potem możesz zanieść pocztę.

– Ale, szefie, dzisiaj nie ma nic do wysłania – usłyszeli cieniutki, piskliwy głosik.

– To zrób sobie przerwę. Drzwi do budynku dobrze zamknij. Możesz nie wracać – rozkazał.

– Chwileczkę! – Meyer podniósł brew.

Wskazał podbródkiem dziewczynę, która zaczęła się pakować. Wyłączała pośpiesznie urządzenia, zapisywała coś na fiszkach, które przyklejała do monitora.

– Jak nazwisko tej twojej Marysi?

– Co? – Demianiuk spojrzał na niego zaskoczony, jakby Hubert wybudził go z mocnego snu.

– Marysia, twoja sekretarka, jak się nazywa? – powtórzył.

– Gardocka. – Demianiuk wzruszył ramionami. – Kasia prosiła, żebym ją przyjął, bo ciotka od rana robi porządek w firmie i tak między nami wyrzuciła dzieciaka na zbity pysk. Z rodziną to się najlepiej wychodzi na zdjęciach – parskał.

Hubert zmarszczył brwi.

– Szybko się sprawiła – skwitował. – Czyżby chciała zdążyć ze zwolnieniem Marysi, zanim Pedro przejmie stery? Dlaczego?

– Diana teraz będzie prokurentem – odparł Drinu. – A co do Marysi, to mają jakiś konflikt rodzinny. Nie wiem, o co dokładnie chodzi. Nie moja sprawa.

Meyer spojrzał na Agnieszkę, a ta pokiwała tylko głową i zaraz wyszła.

– Pomogę jej z tą kawą – mruknęła. – Skoro jest nowa, nie ma co dokładać jej stresu.

– Co wy nagle tacy milusińscy? – Drinu nie krył zdziwienia. – Od robienia kawy chyba jej ręce nie odpadną. To zresztą nie pierwsza dziewczyna, którą przejmujemy do pracy od de Souzów.

– Tak? – zainteresował się Hubert. – A kogo jeszcze?

– Nie wiesz? – Drinu uśmiechnął się triumfująco, jakby nieoczekiwanie zdobył kilka punktów. – Patrycja przychodzi do naszego maluszka na kilka godzin dziennie. Oczywiście w tajemnicy przed Dianą i Ruim, kiedy jeszcze żył. Inaczej straciłaby robotę u nich. Pati zgodziła się na tę fuchę, bo Kasia korzysta czasem z jej usług wizerunkowych. Tak między nami, dziewczyny się zaprzyjaźniły. Są w podobnym wieku, mają te same zainteresowania, a ja nie mam nic przeciw. Pati w sumie ładna jest, miła, porządna i nasz chłopak ma z nią świetny kontakt.

– Henio ma ledwie dwa miesiące – zauważył Meyer.

– Przecież mówię, że ją lubi. Śmieje się na jej widok i niemal od pierwszego dnia rozpoznaje. Może po zapachu, głosie, sam nie wiem. Pati jest dużym wsparciem dla Kaśki. Moim zdaniem jest lepsza jako niania niż jako ten niby doradca, ale dziewczę jest jeszcze w tym wieku, że ma marzenia i święcie wierzy, że zmieni świat. Niech sobie wierzy, po co odbierać jej aspiracje. Sama się przekona, jak trochę pożyje – mądrzył się. – Te ambicje szybko by jej wywietrzały z głowy, gdyby sama się z kimś związała. Od razu brzuszek by jej urósł i na głupoty zabrakłoby czasu, ale to już nie moja broszka. – Zatrzymał się, uśmiechnął szeroko. Po jego zdenerwowaniu nie było śladu. – Może więc ten garnek to Pati zrabowała z naszego domu? I co, cała wasza konstrukcja niniejszym padła? – Roześmiał się gromko. – Idźcie, zapytajcie naszą nianię, czy rozpoznaje garnuszek – szydził.

Wstał, chwycił kluczyki do swojego wozu, a potem pokazał im drzwi.

– Zmykajcie, kochani. Nic tu po was. Mam jeszcze trzy odcinki do finiszu sezonu, zanim zacznę wracać do chaty.

Meyer skinął mu głową, chwycił karton z garnkiem i podszedł do drzwi. Otworzył je szeroko. Widział, że Agnieszka bezradnie rozkłada ręce i bezgłośnie coś szepcze.

– A co oglądasz? – Odwrócił się do Drina, widząc na ekranie siwego starca pod respiratorem i wiszącą mu nad głową kupę ludzi.

– *Sukcesję* – odparł Drinu. – Szkolenia nigdy dosyć.

* * *

– Uciekła, przysięgam – zapewniła Agnieszka, kiedy wsiedli już do windy i zjeżdżali do garażu podziemnego, gdzie Hubert zaparkował samochód. – Wołałam i biegłam za nią, ale zwiewała jak szalona. Ewidentnie chciała uniknąć przesłuchania. Byłam w szoku!

Hubert długo się nie odzywał. Nawet kiedy wędrowali już do samochodu, szedł miarowo, pogrążony we własnych myślach, i nie od razu odnalazł wóz.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się Agnieszka.

– Musisz to w kółko powtarzać? – zdenerwował się. – Nie jestem z cukru, nie rozpuszczę się.

– Tak się mówi tylko, jeśli zmokniesz – odburknęła obrażona. – Chciałam dobrze. Pewnie myślisz, że gdyby był z tobą Grzesiek albo Szczecinek, złapałby ją i przyprowadził siłą… – Naburmuszyła się.

Meyer nie odpowiedział, bo dokładnie tak uważał. Był zły, ale za nic w świecie nie powiedziałby jej przecież, że zawaliła sprawę. Myślał, jak się od niej uwolnić i czy kiedy pojadą na rozpytania do Sagres, też będzie biegała za nim z chusteczką do nosa. Ta myśl ostatecznie wyprowadziła go z równowagi.

– Przestań mnie traktować jak dziecko. Matkę już miałem, kilka szefowych, a także jedną generałową. Starczy – burczał coraz bardziej nabuzowany.

A potem nagle się zreflektował. Podszedł i chwycił ją za ramiona. Olton miała szkliste oczy. Była bliska płaczu. Nie

znosił, kiedy kobiety wbijały go w poczucie winy, a mimo to starał się mówić łagodnie:

– Wybacz, ta sprawa zastała mnie nie w formie, a z każdym dniem jest tylko gorzej. Nie wiem, co się ze mną dzieje… Po prostu zaczyna to być zastanawiająco ciasne, nie uważasz?

– Co masz na myśli? – Otarła twarz rękawem. Wpatrywała się w niego czujnie, z uwagą. – Mam wrażenie, że kręcimy się w kółko. Błądzimy po omacku.

– Zawsze tak jest na początku – zbył ją.

Nie mógł jej winić za brak doświadczenia. Była zawsze rzeczniczką albo siedziała przy stołach konferencyjnych z oficjelami. W tych rolach spełniała się wzorowo. Co mu strzeliło do głowy, żeby zgodzić się na bliższą współpracę? I co ważniejsze, dlaczego ona sama na to naciskała? Nudzi się, chce zdobyć nowe kompetencje? A może go poderwać? Ta myśl go zaniepokoiła.

– Rui zdradzał żonę z kobietami, które się przyjaźnią albo ze sobą pracują – zaczął pewnie, dobitnie. – Wdowa, a wcześniej żona de Souzy, miała nad tym wszystkim kontrolę. Chciałaby uchodzić za czystą, chociaż wcześniej z rozmysłem uczyniła męża rogaczem. A jeśli późniejsze zdrady Ruiego były odwetem za tamto?

– Chodzi ci o romans z żeglarzem, który zaginął?

Pokiwał głową.

– Do tego dwaj śmiertelni wrogowie biorą sobie tę samą nianię do dzieci. Dziewczynę, która zna tajemnicę Diany Gardockiej – kontynuował.

– I która była zakochana w zaginionym Arunie – dopowiedziała Agnieszka. – Ale co z tego wynika?

– Jeszcze nie wiem. Pewne jest jednak to, że Diana zaraz po identyfikacji wybiegła prosto do firmy męża, żeby zrobić tam porządek, słowem przejąć władzę. Jeśli Demianiuk mówi prawdę, została prokurentem do czasu zatwierdzenia spadku. To potrwa miesiące, a może i lata. Pedro de Souza nie pozwoli

jej przejąć biznesu na stałe, z pewnością będzie chciał go odzyskać, a przynajmniej kontrolować, ale z jakiejś przyczyny zezwolił jej na ten ruch. I co ciekawe, Gardocka zaczyna od zwolnienia kochanki męża. Robi to w pośpiechu, z premedytacją i ryzykując, że z pewnością będzie zauważone.

– Na dodatek swojej kuzynki – podkreśliła Agnieszka.

– Kuzynki i kochanki zmarłego – dodał Hubert. – Jakby dopiero po jego śmierci mogła się jej pozbyć.

– Uważasz, że Marysia może być Cykorią?

Nie odpowiedział.

Wsiedli do samochodu, Hubert ruszył. Rozprawialiby dalej, gdyby nie zadzwoniła komórka profilera. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko inspektora Misiurkiewicza. Zanim Meyer odebrał, położył palec na ustach i spojrzał znacząco na Olton. Potwierdziła skinieniem.

– Mam to, o co prosiłeś – zaczął Misiur. – Ale nie wiem, czy będziesz zadowolony.

– Nigdy nie jestem zadowolony – odparł Hubert. – Może przez chwilę, jak uda się klienta przymknąć. Streścisz?

– Będzie ciężko – westchnął ekspert, jakby się spodziewał takiej właśnie odpowiedzi.

Słychać było szuranie, otwieranie i zamykanie drzwi z zamkiem elektronicznym. Kryminalistyk się przemieszczał. Pewnie do sali, w której będzie mógł swobodnie rozmawiać. W tym czasie mówił ogólnikami:

– Pełną opinię masz na mejlu. Udało mi się też zmusić chłopaka od obrazków, żeby wrzucił materiały z monitoringu z kluczowych miejsc do specjalnego programu. Wyłuskaliśmy kilka ważnych dla ciebie danych.

– Czekam cierpliwie, aż dojdziesz do miejsca, gdzie będziesz mógł gadać – powiedział Hubert. – Do tego czasu oszczędź mi pustej gadki.

Przyśpieszył, rozwinął prędkość do stu czterdziestu i nie zwalniał. Agnieszka wpatrywała się w niego zaniepokojona. Wreszcie zaczęła dawać mu znaki, żeby się uspokoił.

– Dobra, jestem – usłyszeli ponownie Misiura. – W sumie mam dla ciebie trzy wiadomości. Jedna dobra, druga taka sobie, a co do trzeciej to wątpię, czy chcesz o tym wiedzieć.

– Na początek poproszę o coś, co mnie pocieszy.

– Osobą, z którą spotkał się w MacDonaldzie Rui w piątek po ósmej, była Katarzyna Demianiuk. Przyszła na spotkanie z dzieckiem. Miała też dla niego niezidentyfikowaną przesyłkę w folii aluminiowej.

– Garnek? – wszedł mu w słowo Meyer, co na chwilę zbiło Misiura z tropu.

– Skąd wiesz? – zdziwił się ekspert. – Jasnowidz czy co?

– Biały ze złotą pokrywką? Rzecz słynnej marki?

– Tamte kamery dają czarno-biały obraz. I zdjęły ich ze zbyt dużej odległości, żebym mógł stwierdzić kolory. Jeśli mnie spytasz o zawartość, też ci nie odpowiem.

– Wiem, co w nim było. – Hubert się uśmiechnął. – Flaki.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza.

– To wiele wyjaśnia – rzekł wreszcie ekspert. – Widać twój poszkodowany bardzo je lubił, bo dziękował, jakby kobieta podarowała mu jakiś skarb. Spotkanie trwało półtorej godziny i było, delikatnie mówiąc, kleiste. Całowali się, facet brał dziecko na ręce, a kobieta z pewnością była zadurzona. Dalej Portugalczyk przebywał chwilę w biurze, ale już kwadrans później wrócił na ten sam parking, gdzie wczoraj staliśmy. Zakładam, że to na nim doszło do zbrodni. Jest możliwość, że będziesz miał rysopis świadka. To jest ta dobra wiadomość. Kobietę nagrała kamera u wejścia do sklepu. Dosłownie dwadzieścia minut później, około południa, naciśnięto przycisk SOS. Zdjęcie świadka masz w dokumencie. Nie puściłem tego nigdzie, zgodnie z naszą umową. Sam musisz znaleźć uzasadnienie tegoż odkrycia. Może psychologia

behawioralna, czary-mary, jasnowidzenie? Sam wiesz, jak to zrobić najlepiej, żeby przekonać prokuratora Kulika.

– Dzięki ci, bądź zbawiony! – ucieszył się Hubert. – A ta okropna wiadomość?

– No tak – zawahał się Misiur. – Jak tylko Rui dojechał do biura, przekazał flaki swojej asystentce, która zbiegła z komórką przy uchu i zaraz wróciła do ATRIUM, bo przed wejściem czekał na Portugalczyka wicekomendant Walski. Boguś był po cywilu, w czapeczce z daszkiem, ale głupek ustawił się bokiem do kamery przemysłowej i widać wyraźnie, że jarają razem fajki. Te kilka minut, kiedy silnik był włączony, trwała ich narada. Sam nie wiem, komu teraz przekażesz nowiny i czy to ma jakieś znaczenie, ale to nie jest najgorsze.

– Może być gorzej? – wychrypiał wstrząśnięty profiler. – To kaplica!

– Jest gorzej – podkreślił Misiur. – Szykuj się na katakumby, bo Walski wziął w łapę i mamy to na taśmie. Może nie byłoby widać, co sobie przekazują, ale ten idiota zaraz zajrzał do koperty, przeliczył i chyba było tego za mało, bo zaczął się awanturować. To dlatego ta rozmowa trwała tylko tyle, ile wypalenie jednego fajka. Rui odepchnął Bogusia i wsiadł do zapalonego wozu, odjechał. Za nim pojechał nasz przyjaciel. Przykro mi.

Agnieszka przeklęła szpetnie, a Hubert zgromił ją spojrzeniem.

– Cześć, Agnes – przywitał się ekspert. – To jeszcze jedną mam dla was wiadomość. Zsynchronizowaliśmy wozy państwa de Souzów i potwierdziła się droga Ruiego. W żadnym miejscu tego dnia Diana Gardocka nie spotkała się z mężem. W każdym razie jeśli chodzi o trasy ich aut. No i jeśli nie posiada innych samochodów.

– A co możesz powiedzieć o jej dniu? Gdzie była w piątek i sobotnią noc?

– Gdzie ta kobieta nie była?! – żachnął się Misiur. – Przejeżdżała Warszawę wzdłuż i wszerz. Potwierdzają się jej pierwsze zeznania, że szukała go, jeździła po kochankach. Dwie, z którymi rozmawiałeś: Ilona i Agata, zostały odwiedzone. Była pod domem Marysi i tej czwartej, nie pamiętam imienia.

– Katarzyny Demianiuk?

– Nie, nie w Łomiankach. Była u tej lekarki.

– Olgi – podpowiedziała Olton. – Jeszcze nikt z nią nie gadał. Zaszyła się gdzieś. W szpitalu ma urlop bezpłatny. Może wie, że jej szukamy?

– Kobieta mieszka na Bemowie – dorzucił Misiur. – Trzy minuty od parkingu, na którym ostatnio żarliśmy burgery.

Hubert zagwizdał z uznaniem.

– Piękna robota – pochwalił eksperta. – Chciałbyś może królika w nagrodę, bo Agnes przeszkadzają zwierzęta w biurze?

Ku zdziwieniu Meyera Misiur się roześmiał.

– Jeśli dogadałby się z dwoma kotami, czemu nie? Moja nowa dziewczyna lubi zwierzęta.

– Porozmawiam z zespołem i jeśli nie będzie weta, masz Bigosa w spadku od nas – odparł ze śmiechem Hubert. – Ile czasu trwała rozmowa wdowy z tą Olgą lekarką?

– Może wcale nie rozmawiały – odrzekł z pełną powagą Misiur. – Wygląda na to, że Diana nie wysiadała z samochodu, tylko stała na silniku pod domem każdej z nich dobre pół godziny.

– Pół godziny, mówisz? – upewnił się Meyer.

– Pod Marysią czterdzieści osiem – sprecyzował ekspert. – Teraz patrzę na wydruk. Nie mam pojęcia, co tam robiła, ale z pewnością nie było tak, że podjechała, stukała do mieszkania i wracała. Silnik cały czas był na biegu.

– Może wyszły do niej i rozmawiały w samochodzie? – zasugerowała Agnieszka.

– To już wasza rola to ustalić – odparł Misiur. – Na koniec była też na Bródnie. Na Kondratowicza.

Hubert podał numer bloku, w którym mieszkała matka Aruna, pani Tyburkowa.

– Nie – zaprzeczył ekspert. – Ale zaparkowała pod sklepem Pelcowizna, więc mogła pójść na piechotę, i wróciła po dwóch godzinach. Dalej tankowała w Łomiankach, a potem stała pięć minut w okolicy domu Demianiuka.

– Pod jakim dokładnie adresem? – zainteresował się Hubert.

Misiurkiewicz szperał chwilę w papierach, a wreszcie podał namiary.

– To blok Patrycji – orzekł Meyer. – Nie pojechała do Demianiuków. Tam mieszka jej niania.

W aucie długi czas panowała cisza. Nikt się nie odzywał. Wreszcie głos znów zabrał Misiur.

– Do domu pani Gardocka wróciła o trzeciej dwadzieścia siedem. Wtedy silnik wyłączono.

– Czyli tak, jak twierdziła w pierwszym zeznaniu – podsumował Hubert. – Wszystko to jest bardzo ciekawe i daje nam sporo paliwa do dalszych działań, ale zasadniczo czyści ją z grona podejrzanych.

– Jeśli chodzi o postrzał – zgodził się z profilerem Misiur. – Co do podpalenia lasu, nie byłbym taki pewien.

– Co masz na myśli?

– Mamy zdjęcia z tej stacji, gdzie Diana zatrzymywała się tankować.

– Już? – zdziwił się Hubert. – Jakim sposobem?

– Stuknęła jednego gościa, odjeżdżając spod dystrybutora. Nie zatrzymała się, zwiała. Pracownik od razu wydrukował jej

wizerunek, żeby pomóc facetowi złożyć zgłoszenie. Była tam, wszystko się zgadza z przebiegiem jej trasy. Ale to, co najbardziej cię zainteresuje, to fakt, że kobieta zapłaciła za paliwo, które niosła w dwóch wielkich kanistrach. Zapakowała je do bagażnika. Pozwoliłem sobie zadzwonić na tę stację i miałem farta, bo chłopak, który miał dyżur w piątek w nocy, znów był na zmianie. Sprawdził mi, co kupiła, bo wzięła fakturę. To była benzyna bezołowiowa dziewięć pięć, a w drugim rozpuszczalnik. Pełne dwadzieścia pięć litrów. Gość sprzedał jej wszystko, co miał, i z tej radości jeszcze pomógł przelać do dużego pojemnika z butelek.

* * *

## WARSZAWA, BEMOWO

Biuro ATRIUM Michel Angelo de Souza znajdowało się w popisowym budynku zaprojektowanym przez samego Pedra trzydzieści lat temu, kiedy klan de Souzów wchodził na polski rynek. Choć budowla nie była wysoka i już trochę przestarzała, nadal zapierała dech w piersiach swoim rozmachem. Wąskie szklane płyty ustawiono niczym ryflowane szkło w lampach art déco, a na szczycie znajdował się długi na całą szerokość stalowy taras. Do wejścia nie prowadziły schody, lecz szerokie płyty ułożone jak karty do gry, a obok niczym wąż plotła się ścieżka dla niepełnosprawnych z kolorowej mozaiki osadzonej w metalowych szczypcach. Z pewnością koszt tej inwestycji był oszałamiający, ale też każdy z kontrahentów, który przychodził tutaj na negocjacje, dowiadywał się, czego może się spodziewać po projektach de Souzów.

Meyer z Agnieszką zaparkowali w sąsiedniej uliczce i maszerowali piechotą, podziwiając po drodze dopieszczony skwerek, który zaplanowano jako zieloną odskocznię dla chłodu szkła i metalu budynku głównego. Milczeli, nie wymieniali uwag. Każde szło pogrążone we własnych myślach, ponieważ po rozmowie z Misiurkiewiczem pokłócili się o hipotezy śledcze. Hubert chciał natychmiast skontaktować się z Walskim i rozpytać go po koleżeńsku, ale Agnieszka była temu przeciwna.

– Mamy na to czas – przekonywała. – Wiceszef z Łomianek i tak jest odsunięty od sprawy. Trzeba to dobrze przemyśleć i zaplanować. Jeśli jest umoczony, nie wolno nam go spłoszyć.

– Tym bardziej trzeba przypiąć mu się do tyłka, zanim zrobią to operacyjni. Wtedy nic z niego nie wydobędziemy – pieklił się Hubert.

– Nie rób nic gwałtownie – prosiła Agnieszka. – To pies. Jest wyczulony na podchody. Gdy tylko zwietrzy podstęp, nie powie nic, ani słówka. Zajmijmy się wpierw tym, co najpilniejsze. Rodziną de Souzów, wdową i kochankami – namawiała.

Ostatecznie ustalili, że odwiedzą Dianę Gardocką w biurze, rozpytają ją na okoliczność kanistrów, a dopiero wieczorem siądą na naradę. Niech emocje opadną, trzeba to przeprowadzić na zimno – zadecydowali. Nowych danych mieli już bez liku i konieczne było ustalenie świeżych ścieżek, którymi mogliby podążać, by nie zgubić się w ich gąszczu.

– Niestety spotkanie nie będzie dziś możliwe. – Starsza kobieta wyszła zza biurka i ustawiła się pod drzwiami gabinetu prezesa, jakby Hubert z Agnieszką zamierzali je sforsować siłą. – Trwa zebranie zarządu.

– Do której jest przewidziane?

Hubert się rozejrzał. Ściana korytarzyka od podłogi do sufitu zastawiona była licznymi nagrodami, które zdobyło ATRIUM w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

– Imponujące – dorzucił i uśmiechnął się przymilnie.

– Dziękujemy – szepnęła kobieta, skromnie spuszczając głowę, jakby to ona zdobyła te wszystkie statuetki dla firmy. – Naprawdę nie mogę was wpuścić. Musicie zaczekać. A do której potrwa, nie wiem. Już dwie godziny temu wszyscy powinni się rozejść, ale końca zebrania nie widać. Dopiero co zamówili późny lunch.

– Może pani chociaż przekazać prezes Gardockiej, że na nią czekamy? – zaproponowała Agnieszka. – Podsunąć jej

karteczkę, wysłać esemes?

– Ależ Diany nie ma w tej sali – zaoponowała sekretarka. – Naradę prowadzi pan Pedro de Souza.

– Doprawdy? – Tym razem Hubert się zdziwił. – Mówił mi, że wyjeżdża zaraz po identyfikacji.

Kobieta otworzyła i zamknęła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– No nic, wobec tego się rozgościmy. – Profiler zajął miejsce w jednym z designerskich foteli. – To zebranie planowe czy rzecz jest raczej spontaniczna?

– Nie wolno mi udzielać takich informacji.

– Następna! – westchnął Meyer. – A co może pani nam powiedzieć? Wiemy, że Diana Gardocka była dziś w pracy i zwolniła asystentkę pana Ruiego.

– Owszem, była i zaraz poszła. – Kobieta pokiwała głową. – Mnie przydzielono na to stanowisko tymczasowo. Wcześniej obsługiwałam firmę prawnie. Sprowadzało się to raczej do konsultacji, więc tym bardziej się zdziwiłam, że chcą, bym związała się z nimi kontraktem… Tak naprawdę niewiele wiem o tym, co dzieje się w tym biurze. Przykro mi.

– To nie jest degradacja? – zainteresował się Meyer.

– Bycie szefową całego biura ATRIUM w centrali na Europę Środkowo-Wschodnią? Nie sądzę. – Prawniczka podniosła brew w geście oburzenia. – Przeze mnie i tak przechodzą wszystkie dokumenty, a wiele osób skarżyło się na młodą Gardocką. Nikogo nie zdziwiło, że Diana wykonała wreszcie ten ruch, na który nie mógł się zdobyć pan Rui, bo wielu pracowników zabiegało o to już wcześniej. Oczywiście Marysia znacznie lepiej nadawała się do reprezentacji i może parzenia herbaty, bo z ekspresem już sobie nie radziła, ale to wszystko, jeśli chodzi o jej kompetencje i know-how – parsknęła. – Może państwo się czegoś napiją? Podać coś?

Hubert pokręcił głową, ale Agnieszka zamówiła im obojgu herbatę. Szefowa biura z ulgą się oddaliła.

– Po co tu siedzimy, skoro Gardockiej nie ma w tej sali? – szepnęła Olton, prawie nie otwierając ust. – Z Pedrem i tak nie dadzą ci pomówić ani z zarządem. Zresztą, sama nie wiem, co by to miało wnieść. To, czego mamy się dowiedzieć o firmie, najlepiej zdobyć formalnie i mieć na papierze. Może ruszymy inne tropy?

– Niepokoi mnie, jak szybko następują te roszady – odparł półgłosem Hubert. – Dzieje się tutaj coś, czego nie widzimy. I czego doprawdy nie rozumiem.

– To chyba normalne, że starają się zaprowadzić ład w firmie po gwałtownej śmierci lidera? – Agnieszka wzruszyła ramionami. – Muszą się śpieszyć, bo po identyfikacji media rzuciły się na tę sprawę, a to dopiero początek sensacji.

Wpisała kilka haseł w wyszukiwarkę. Pokazała Hubertowi krzykliwe nagłówki. Zerkał jej przez ramię średnio zainteresowany, aż nagle spostrzegł artykuł „z ostatniej chwili”. Agnieszka kliknęła w link.

> Kolejne spalone auto! Tym razem udało się uniknąć zniszczenia pobliskich terenów zielonych i nie ucierpiał żaden z funkcjonariuszy. Samochód podpalono w prywatnym lesie. Trwają ustalenia, do kogo należy grunt. Policja nie chce ujawnić nazwiska właściciela, chociaż nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że teren może należeć do konsorcjum ATRIUM, a więc klanu de Souzów. Zapytaliśmy o to rzecznika policji, ale odmówił komentarza. Czy ta kolejna tragedia ma związek z sobotnimi eksplozjami w Łomiankach? A może na naszych oczach rozgrywa się wojna gangów?

Czytali wspólnie krótki i mało treściwy tekst. Widać, że dziennikarze sami nie mieli zbyt wielu informacji. Jako obrazek zamieszczono zdjęcie ze Stocka. Adnotacja: fotografia poglądowa.

Nagle zadzwoniła komórka Huberta. Spojrzał na wyświetlacz i szepnął do Olton:

– To Szczecinek.

– Odbierz – mruknęła zaniepokojona.

Hubert przesunął zieloną słuchawkę i przyłożył aparat do ucha. Słuchał, cicho pomrukując, i zaraz się rozłączył, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

– Co się stało? – pośpieszyła go Olton. – Mów, bo dostanę zawału!

– Wicekomendant Walski zaginął. Możliwe, że to on jest w tym spalonym aucie. Trwają oględziny, ale jego kumple z jednostki raczej go poznali. Oczywiście nie zostanie to ujawnione, póki nie zrobią stosownych analiz. DNA nie będzie potrzebne. Modus operandi jest tożsamy. Tyle że gość się uczy. Wie, że nie potrzebuje już min ani eksplozji. Jako mroczną anegdotę dodam, że Marcel Lisowski udzielił już wywiadu dla telewizji. Twierdzi, że to kolejne samobójstwo.

– Jak to kolejne? – wzburzyła się Olton.

– Kiedy my kręcimy się po mieście jak gówno w przeręblu, umorzono sprawę śmierci Portugalczyka – wyjaśnił Hubert. – Prokuratura uznała, że nie ma udziału osób trzecich.

– Dzisiaj, teraz? To oburzające! Kompletna bzdura! Nepotyzm! – piekliła się. – Ten facet nie ma pojęcia, o czym mówi! Natychmiast trzeba pogadać z Prymuskiem. Napiszesz opinię i przedstawimy ją jako kontrę. Mamy moc Komendy Głównej! Jeśli wpuścimy coś takiego do śledztwa, nie mogą tego zignorować. No i trzeba zrobić ferment w mediach! Sprawie chcą ukręcić łeb! To jest ewidentne!

– Chyba już ukręcili. – Hubert się zamyślił. – I boję się, że biedny Boguś nie tylko zostanie szybko zapomniany, ale pośmiertnie zwalą na niego całe gówno, jakie da się w tej sprawie uzbierać. Już na początku zwierzył mi się, że jest umoczony. Jak, nie pytałem, ale się bał. Od pierwszego telefonu trząsł portkami i nie mówił wszystkiego.

– Nie pozwolę! – Agnieszka się zerwała. – Idziemy! To jakiś absurd, że dowiadujemy się o tym z mediów.

– Trzeba było wszystkich wysłać na urlop – parsknął Hubert. – Miałabyś spokój…

– Przymknij się, bo przeniosę cię do składu na detergenty! – zbiesiła się. – A twojego króla oddam rakarzom!

– Pozdychają od tak starego mięsa – mruknął Hubert i zaraz umilkł, bo w tym momencie do pomieszczenia wmaszerowała

sekretarka z herbatą.

Uśmiechała się do nich przepraszająco.

– Musiałam wyjaśnić policji to samo co wam. I dziennikarzom. Na szczęście nie mieli śmiałości przychodzić aż tutaj. Chyba definitywnie się ich pozbyłam – dodała z satysfakcją, jakby byli co najmniej przyjaciółmi.

– Też szukali prezes Gardockiej? – bardziej z obowiązku niż z ciekawości dopytał Hubert.

Zapinał już płaszcz, gotowy wyjść w każdej chwili.

– O tak! Bardzo zależało im na jakimś komentarzu. Obiecałam, że pani Diana wystosuje do jutra oświadczenie. Muszę jej zaraz wszystko zreferować.

Spojrzała z przestrachem na zamknięte drzwi, za którymi wciąż trwały burzliwe rozmowy, bo ktoś krzyczał po portugalsku, a odpowiadano mu po polsku i angielsku.

– Jeszcze siedzą?

Hubert pokiwał głową. Spojrzał na herbatę. Upił łyk i w tym momencie zaczął kaszleć. Wrzątek rozlał się na stolik i zachlapał piękną białą welurową sofę. Sekretarka obrzuciła go karcącym spojrzeniem złej ciotki.

– Nie będziemy już pani niepokoić – zapewnił. – Pyszna herbata, tylko gorąca.

– Mógł pan zażyczyć sobie zimnej wody – mruknęła wielce obrażona. – Byłoby mniej sprzątania.

Agnieszka przeprosiła za siebie i Meyera. Zostawiła jej swoją wizytówkę, chociaż oboje wiedzieli, że szansa, by ta kobieta cokolwiek im doniosła, jest zerowa.

– Tak z ciekawości, o której Diana Gardocka opuściła dzisiaj biuro? – spytał Hubert, stojąc już w drzwiach. – Chciałbym wiedzieć, ile się spóźniliśmy.

– O dwunastej była umówiona z detektywem. Spotkali się w kantynie i już nie wróciła do gabinetu – padło w odpowiedzi. Prawniczka nie patrzyła na gości.

Z zapamiętaniem wycierała sofę i chyba tylko dlatego straciła dawną czujność, bo dodała: – Pewnie zaraz wyszli. Zadzwoniła z samochodu, żeby odwołać umówiony wywiad do prasy.

– Z detektywem? – zainteresował się Meyer. – Ma pani do niego kontakt?

Szefowa biura pokręciła przecząco głową. Spoglądała na bałagan, jakiego Hubert narobił, i ewidentnie nie zamierzała mu już w niczym pomagać.

– Jak wyglądał ten detektyw? – Meyer nie odpuszczał.

– Normalnie. – Zawahała się. – Jak to facet. Miał spodnie i był ogolony.

Hubert mierzył ją spojrzeniem. Nic się nie odzywał.

– Zawsze spotykała się z nim w biurze?

Kobieta westchnęła ciężko, jakby brakowało jej tchu. Widać dotarło do niej, że musi im coś chlapnąć, w przeciwnym razie nigdy się ich nie pozbędzie.

– Pan Oliwier wcześniej pracował dla Ruiego de Souzy. Z tego, co wiem, Diana widziała się z nim po raz pierwszy.

– Oliwier? – upewnił się Hubert. – Wysoki chudzielec z lokowanymi włosami? Długi nos, milczek i kawał przystojniachy? Pewnie miał na sobie czarny garnitur z golfem?

– Dzisiaj akurat golf był biały, a marynarka granatowa ze złotymi guzikami. Wyglądał trochę jak marynarz – zaśmiała się. – Ale tak, chyba chodzi o tego samego człowieka. Czy panowie się znają?

– Owszem – wymamrotał Hubert. – Nosimy ten sam rozmiar odzieży, pani sobie wyobrazi.

* * *

*Musiałem to zrobić, bo z jakiejś przyczyny ten facet trafił na mój ślad. Wyszedłem właśnie z pracy, dojechałem do domu, a on czekał na mnie przed bramą. Minę miał zaciętą, z oczu*

*ciskał błyskawice. Nim się odezwał, wiedziałem, że to gliniarz. Spojrzałem na jego samochód, potem na jego ubranie i domyśliłem się, że wóz jest pożyczony. Choćby od lat brał w łapę, nie starczyłoby na porszaka.*

*Wahałem się, czy wprowadzać go do domu i narażać się na to, że Małgorzata go rozpozna. Choć wiedziałem, że potrafię tak poprowadzić rozmowę, żeby gliniarz wyszedł skołowany, uznałem, że byłoby to jednak zbyt ryzykowne. Pójdzie do Meyera, zwierzy się, popłacze żonie, że robił to wszystko dla rodziny, i już po nas. A przecież w mojej rodzinie wszystko było teraz tak, jak być powinno. Spokój, sielanka, wspólne posiłki i dzieci goniące kota. Nocą żona nie odpychała mnie, a rano podawałem jej kawę do łóżka. Właściwie przeżywaliśmy drugi miesiąc miodowy. Nie mogłem pozwolić, by jakiś chciwy chytrus zniszczył mi tak pieczołowicie budowany idealny świat.*

*Przedstawił się. Spytał, czy ja to ja. Potwierdziłem.*

*– Jedna z kamer zarejestrowała cię na parkingu, gdzie zamordowano Portugalczyka – rzekł bez owijania w bawełnę.*

*Tym jednym zdaniem przypieczętował swój los.*

*– Ile chcesz? – zapytałem, by uśpić jego czujność.*

*– O nie – zaśmiał się. – To nie o to chodzi.*

*– A o co? – Udałem niewiniątko. – Myślałeś, że będę zaprzeczał, prosił, błagał? A może ucieknę?*

*– Powinieneś był – odparł.*

*Wyjął zza pazuchy etui z płytą.*

*Czułem, jak na plecach rosną mi skrzydła.*

*– To jedyna kopia? – dopytałem, chociaż wiedziałem, że skłamie.*

*Musiałem udawać głupszego, niż jestem, gdyż facet uważał się za wielkiego śledczego. I tak, fizycznie był arcypotężny. Ledwie sięgałem wzrokiem do jego torsu. To był jednak ten typ jowialnego misia, który w głębi serca jest misjonarzem.*

*Pewnie zaprzyjaźnili się z Meyerem. On też jest takim idiotą, że na swojej profesji nie zarobił ani grosza. A mógłby. Ja tak zrobiłem. I nie zamierzałem przestawać. Wiedziałem więcej niż oni wszyscy razem wzięci, a w efekcie okaże się, że przechytrzę i Meyera. Tego durnia, który kręci się w kółko, rozpytuje kochanki i pewnie wciąż wypełnia linię ostatnich dni z życia ofiary. No cóż, przewidziałem to, dlatego dostał takie właśnie lewe sanki.*

*– Skoro nie chcesz forsy, to pewnie przysługę – zacząłem i spojrzałem w nasze okna.*

*Małgorzata ukryła się za zasłonką. Zdawało się jej, że jest niedostrzegalna, ale ja ją widziałem. Zawsze wiem, gdzie jest i co robi. Tak już zostanie, ukochana.*

*– Może przejedziemy się gdzieś i wszystko mi opowiesz? – zaproponowałem. – Zawsze lepiej się dogadać.*

*Spojrzał na mnie dziwnie.*

*– Nie oferuję ci przecież jazdy moim autem – judziłem. – Będziesz bezpieczny. Swoją drogą, piękne cacko. Dużo za nie dałeś?*

*– Nie twoja sprawa – burknął. – Niedługo będzie zezłomowany. A zresztą to się trochę łączy ze sprawą. Jest powiązane – powtórzył jak idiota. – Nie jestem sam. Musisz to wiedzieć, że mam za sobą mocnych ludzi.*

*– Ogromnie się przestraszyłem – zakpiłem, ale zaraz zrobiłem grzeczną minę.*

*Główkowałem nad tym, co powiedział. Jeśli ten wózek zakwalifikowano do zniszczenia, czemu tego nie wykorzystać?*

*– Skoro tak, wspólnymi siłami możemy rzecz wyczyścić – powiedziałem. – Chodzi ci o to samobójstwo?*

*– To raczej nie było samobójstwo i dobrze o tym wiesz – warknął.*

*– Ty jesteś śledczym. Ja tylko pomagam – powtórzyłem mantrę Meyera z uczelni. Walski nie musi wiedzieć, że mówię to z przekąsem. – Chodź, przejedziemy się. Żadnemu z nas nie*

*jest na rękę, żeby ktoś widział nas razem. Moja żonka od godziny czeka z obiadem. Napiszę jej tylko, że coś mi się przesunęło.*

*– Nie – zaprotestował. – Żadnych kontaktów.*

*Wyciągnął rękę, bym oddał mu telefon. Zobaczyłem, że ma broń w kaburze, a do paska przymocowane kajdanki, pewnie służbowe. Z cholewy wojskowego buta wystawała mała pałka typu tonfa. A więc spodziewał się buntu i zabrał cały oręż.*

*Jak bardzo go rozumiałem! Broń pomaga w negocjacjach, ale tylko jeśli potrafisz zachować zimną krew. Obawiałem się, że jemu, jak i mnie za pierwszym razem, to się jednak nie uda. Na szczęście miał mnie, myślałem i planowałem za niego. Tak naprawdę wiedziałem, że ktoś przyjdzie, i ucieszyłem się, że to akurat Walski. I tak był na stracenie.*

*Położyłem swoją komórkę na jego dłoni, nie mniejszej niż bochen wiejskiego chleba. Kluczyki do swojego samochodu wrzuciłem do skrzynki na listy. Teczkę wsunąłem między szczebelki bramy, w to samo miejsce przerzuciłem też marynarkę i szalik. Wsiadłem do jego samochodu tylko w koszuli, chociaż wiedziałem, że kiedy będę wracał, będzie mi zimno, ale wolałem tak, niż czegoś zapomnieć w ferworze walki.*

*Walki, hmm, no cóż. Praktycznie jej nie było.*

*Rozmowy nie pamiętam. Chociaż wicekomendant początkowo zaprzeczał i krygował się, chodziło o forsę. Dużo forsy. Musiałbym zadłużyć dom, by go spłacić. Groził, że wyda mnie policji, jeśli nie dam mu tego szmalcu, a przecież obaj dobrze wiedzieliśmy, że to tylko początek i z czasem ja zawisnę na haku, a on będzie chciał więcej i więcej. Zwłaszcza że między wierszami coś bąknął o przymusowym odejściu ze służby. Zaśmiałem się w duchu, gdy skonstatowałem, że to ja miałbym finansować jego emeryturę. Niedoczekanie! Nie mógłbym żyć na takiej bombie. Co z moją rodziną? Wolne żarty.*

*Za drugim razem jest o wiele prościej. To nic, że trafił się facet wielki jak sekwoja. Nie miał szans, bo ja jestem sprytny. Zagadałem go, obiecałem mu, co tylko chciał, bo najważniejsze było dla mnie tylko to, gdzie jest kopia kluczowej taśmy. Strzeliłem do niego dwa razy. Starczyło.*

*Nie czułem już takiej adrenaliny, nie było stuporu, lęku przed złapaniem. Za to była kolosalna satysfakcja i radość z dobrze wykonanego zadania. A ponieważ wszystko przebiegało tak, jak to zaplanowałem, udało mi się namówić go na postój w miejscu, które bez wątpienia całkiem zamydli śledztwo. Las de Souzów. Rezydencja kochasia Małgorzaty.*

*Wiedziałem, że nikt poza nimi tutaj nie przyjeżdża. Nawet lokalsi nie odważali się zbierać tu grzybów. Wszystko to słyszałem od samej wdowy. Kiedy mnie zatrudniła, żebym załatwił sprawę samobójstwa, wypytałem ją dokumentnie, tak jak Hubert uczył mnie na kursach. Oczywiście nie interesował mnie zbytnio jej cel, miałem swój i trzymałem się planu. To, co mnie zaskoczyło i zaciekawiło, to fakt, że będąc blisko, sprawca faktycznie może być skuteczniejszy. Zdało mi się to nawet zabawne, że śledczy są obok, mają mnie na talerzu, a nie są w stanie odgadnąć, jaka to historia.*

*Czy będę jednym z tych nieuchwytnych, którzy korzystają z ich błędów i dezinformacji? To, co najbardziej mnie jarało, było jednak wisienką na torcie. Wiem, jaka będzie reakcja Meyera. Wkurzy się, będzie ciskał oskarżenia i domagał się rozwiązań, na które nikt nie pójdzie. Może nawet pojedzie do Portugalii, by tracić czas i analizować sprawę zaginionego żeglarza. Prawdę mówiąc, byłem pewien, że tak zrobi. Miałem swoje wtyczki nie tylko u wdowy, w prokuraturze, ale i w WWD. Oczywiście donoszono mi nieświadomie.*

*Szczecinek wiedział, że się nie lubimy, ale był tak żądny wiedzy i ambitny, że skontaktował się ze mną, by coś skonsultować. Zgodziłem się i na czas poprosiłem o notatki z tego, co już mają. W ten sposób miałem na tacy cały ich sposób myślenia, wszystkie tropy i hipotezy Meyera. Upewniłem się, że wielki profiler z Katowic traci czas na pierdoły. Jak bardzo mnie to cieszyło!*

*Rozpuszczalnik i benzynę pożyczyłem od Diany na wieczne nieoddanie. Jak to dobrze, że namówiłem ją tej nocy, kiedy Rui już płonął, by zorganizowała dodatkowe litry. Z pewnością to wykryją i jednym ruchem umieszczę ją na samej górze listy podejrzanych. Nie bałem się, że kobieta będzie w okolicy, kiedy zacierałem ślady zbrodni na Walskim, bo podrzuciłem jej trop z chłopakiem z hotelu, który miał kompromitujące materiały zdjęciowe jej męża przydatne jako oręż do sprawy spadkowej. Oliwiera z H15 jakże łatwo było zmanipulować… Nienawidził swojej pracy, chciał jak najszybciej ją zmienić. Poznałem ich, przedstawiłem oczywiste korzyści tej współpracy i tym sposobem oboje miałem z głowy. Dziecko Diana zostawiła pod opieką niani, ale ta musiała jakoś pogodzić oba domy, które ją zatrudniały, więc zabrała małą Mię do Demianiuków. Tym sposobem wszystko ułożyło się idealnie dla mnie. Miałem czysty teren, żadnych świadków i ani jednej osoby, poza moją żoną, która mogłaby cokolwiek zeznać przeciwko mnie. Ale Małgorzatą na razie nie zamierzałem się przejmować. Nie rozgryzłem jej intencji, podejrzane wydawało mi się, że nagle stała się tak uległa, ale nie nadszedł jeszcze jej czas. Wszystko po kolei. Gdy wyczuję, że może mi zagrozić, zrobię to jednym strzałem. I tym razem nie będzie teatru ani ciała. Inteligentni sprawcy zaskakująco szybko uczą się na własnych błędach. Nie trzeba zanadto zwracać na siebie uwagi.*

*Wróciłem na pogorzelisko tylko na chwilę, by popatrzeć, jak płonie piękne porsche Drina, i było mi przykro, ale skoro sam tak zadecydował, powinien być zadowolony. To, że znajdzie się w pierwszej orbicie podejrzanych, to jego problem. No i z pewnością wyjdą na jaw ich wspólne interesiki z Walskim.*

*Po powrocie do domu powiedziałem żonie, że musiałem jechać na oględziny. Nie dziwiła się moim osmolonym spodniom, brudnej koszuli i nadpalonym butom. W telewizji do późnych godzin bębnili o spaleniu auta Marcina Demianiuka i byłem pewien, że jeszcze nie raz pokażą to ognisko.*

*Kiedy wezwali mnie oficjalnie w to samo miejsce z ramienia prokuratury, a potem zadzwoniła zrozpaczona Diana, pojechałem już w czystym ubraniu, wykąpany i świeżo ostrzyżony, bo podczas zabawy nadpalony fragment spadł mi na głowę, zostałby ślad, więc ogoliłem się maszynką do zera. Stałem przed lustrem i patrzyłem na siebie jak Robert De Niro w Taksówkarzu i myślałem, że ja nie popełnię tego samego błędu. Nie wolno mi poczuć się za pewnie, mieć wyrzutów sumienia. Nie będę udawał, lecz szczerze uwierzę w swoją wersję, bo innej przecież nie ma.*

*Płytę od Walskiego włączyłem dopiero późną nocą. Na swoim komputerze, kiedy Gosia myślała, że pracuję nad profilem. Tak było w istocie, chociaż wiedziałem od początku, co napiszę. Samobójstwo. Upokorzenie. Wicekomendant bał się utraty twarzy, więc sam sobie to zrobił. Prymusek kupił tę wersję, jeszcze zanim to zapisałem. Rację miał Hubert, mówiąc nam na wykładach, że siła sugestii profilu jest miażdżąca, jeśli rzecz zmyślnie się przedstawi… W tej robocie profiler bezspornie gra pierwsze skrzypce, wyznacza ścieżki, tropy, podsuwa śledczym, gdzie szukać dowodów. Słowem to on jest reżyserem dochodzenia. I dlatego tak bardzo tę pracę lubiłem. Kontrola, władza, całkowite panowanie nad nimi wszystkimi, nad całą machiną organów ścigania. Bajka! Moja pisarska twórczość miała nie tyle upewnić prokuratora w słuszności tej hipotezy, ile dać mu dupokrytkę, gdyby jakiś cwaniak postanowił apelować.*

*Pamiętam ten moment. Naciskam play, film śnieży, a potem akcja rusza. Widzę, jak Portugalczyk podjeżdża swoim czarnym G, wysiada z wozu, podchodzi do mnie. Moja twarz wydała mi się zbolała, wprost nie wierzyłem, że jeszcze kilka dni temu byłem taki słaby. I bałem się. To było widać! Nie mogłem pozwolić, by ktokolwiek oglądał mnie w takiej formie. Nigdy!*

*Dalej sfilmowano wymianę zdań (nic oczywiście nie słychać), a potem on zaprasza mnie do swojego samochodu. Idę jak na ścięcie, ledwie się tam wspinam. A potem bum, bum, bum bum i nagła cisza. Film się kończy. Urywa się*

*gwałtownie. Aż nagle znów zaczyna… Zbliżenie, bardzo duże ziarno. Widzę siebie, jak szarpię się z ciałem. Odwracam się i na zapisie mojej twarzy to się kończy.*

*To było tak mocne, dojmujące, że musiałem pójść do kuchni po flaszkę. Piłem jedną szklankę za drugą, paląc i zastanawiając się, kto to nakręcił. Do cholery, po co, skoro do tej pory nie oddał tego policji? Nie miałem zupełnie pomysłu, kim mógł być człowiek za kamerą…*

*A potem nagle mnie olśniło. Ten ktoś nie zamierzał pomagać Portugalczykowi, bo jego śmierć jest mu na rękę. W jakimś stopniu to mój sojusznik. Cichy wielbiciel albo największy wróg, który zbiera co lepsze karty? Kto to może być?*

*Z tą nierozwiązaną zagadką tłukącą się po głowie zasnąłem.*

*Obudziłem się, kiedy już świtało. Małgorzata stała nade mną i w pierwszej chwili myślałem, że chce mi zrobić krzywdę. Odruchowo zasłoniłem się rękoma. Objęła mnie, poderwała do góry i zaciągnęła do łóżka. Padłem jak wieprz, ponoć strasznie chrapałem. A rano pierwsze, co zrobiłem, to pobiegłem do mojego komputera, żeby zniszczyć płytę. Nie było jej w przystawce do odtwarzania. Ta suka ją zabrała.*

*Teraz były już dwie osoby, które mogły mi zagrozić. Ona i ten ktoś, kto wykonał nagranie.*

* * *

## WARSZAWA, PARKING NA BEMOWIE

Meyer krążył między półkami w supermarkecie, zaczepiał pracowników i pytał ich, czy mieli zmianę w ubiegły piątek. Oskarżał ich o zmowę milczenia, domagał się pokazania wszystkich czynnych kamer. Szefowie sklepu odmówili pomocy w tej sprawie i zaprzeczyli, że poza dozwolonymi rejestratorami monitoringu na terenie znajdują się jeszcze dodatkowe jednostki, ale on był pewien, że kłamią. Wróć, on wiedział, że mają tego więcej, bo w takim sklepie kradzieże są plagą i przedsiębiorcy muszą się jakoś ratować. Zatrudnieni

ochroniarze sklepowi działali wyłącznie jako straszak. Zwykle byli to emerytowani stróże parkingowi, nieudacznicy, których nie przyjęto do służb mundurowych za picie czy problemy psychiczne, albo studenci, którzy wykonywali tę pracę sezonowo, by dorobić sobie do stypendium. Głowy nosili w chmurach i tylko dla niepoznaki zatrzymywali raz na jakiś czas staruszkę z demencją, która nie zapłaciła za śliwki węgierki albo porcję mrożonej pangi.

Meyer łaził tak trzecią już godzinę, a że był upierdliwy, nieznośny, straszył klientów, słowem robił wokół siebie tyle hałasu, nie było wyjścia – zawiadomiono lokalny posterunek. Patrol przyjechał prosto z innego zdarzenia. Dwaj rośli i znacznie młodsi funkcjonariusze weszli w pełnym rynsztunku, nabuzowani jeszcze tamtymi emocjami i pewni swego. Nic nie wskórali.

Hubert odepchnął ich, jak tylko się do niego zbliżyli i próbowali wyprowadzić, a potem wykiwał zastęp sklepowych ochroniarzy, zadekował się w ich kanciapie i rozpoczął przeglądanie nagrań.

Walenie do drzwi, próby ich wyłamania, a nawet puszczanie dymu okazało się bezskuteczne. Kantorek tak przygotowano dla bezpieczeństwa stróżów tutejszego prawa, że drzwi były nie do sforsowania.

Po kolejnych dwóch godzinach bezsensownego wpatrywania się w monitory Hubert uznał, że może już włączyć telefon. Starał się nie patrzeć, ile ma wiadomości, jak wiele połączeń go ominęło i od kogo, bo być może obleciałby go strach i wyszedłby na pożarcie funkcjonariuszom. A chciał już wyjść, bo dym gryzł go w oczy (kanciapa nie miała okna, a Meyer wypalił swoje fajki i wszystkie ukraińskie kapciuchy, które tam znalazł). Zastanawiał się jedynie, jak dokonać tego, nie tracąc definitywnie twarzy i stanowiska. Wtedy jak zwykle zadzwoniła jego anioł stróż i zwierzchniczka.

– Rozumiem twoją złość. – Agnieszka Olton zaczęła łagodnie i kolejny raz musiał przyznać, że choć śledcza z niej beznadziejna, to jest genialną mediatorką. – Dalsze siedzenie

tam na nic ci się nie zda. Potrzebujemy cię poza tym aresztem. Słyszysz mnie?

Mruknął coś niezrozumiale w odpowiedzi. Znała go i wiedziała, że to wielki dowód zaufania. Do niej. W przeciwnym razie rozłączyłby się albo, tak jak robił od kilku godzin, nie odebrałby wcale.

– Zbliża się czas zamknięcia tego przybytku – ciągnęła. – Zablokowałeś całkiem przepływ ludzi. Nikt nie może podejść do kasy, bo w sklepie znajduje się kordon gliniarzy, a na zewnątrz drogówka legitymuje wszystkich po kolei. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek był mile widziany w tej sieci, gdybyś chciał kupić sobie lody albo kilo pomidorów.

– Nie zgadzam się na tę hucpę, żeby przybić wszystko Walskiemu – powiedział cicho, lecz dobitnie. – Powiedz Prymuskowi, jeśli przyjechał mnie zatrzymać, że pierwsze, co zrobię, to pierdolnę go w ten pusty łeb za fingowanie samobójstw.

– Hubert, uspokój się – próbowała go łagodzić Olton. – Nikt nie powiedział, że ta sprawa jest zamknięta.

– Mam tu internet i między pustymi przebiegami, a między nami mówiąc, same takie były, czytałem, co podaliście do prasy. To chujnia z grzybnią. Skandal! Oficjalnie ogłoszono, że Rui się zabił. Co do Walskiego, będzie to samo. Nie, nie zgadzam się. To niedopuszczalne!

– Ja niczego nie podawałam – zaoponowała, a w jej głosie wyczuł nutę wyrzutu.

Tylko nutę. Była niesamowita. Wiedział, że skończyła kurs negocjatora, ale chyba nigdy nie uczestniczyła aktywnie w żadnej akcji. Wielka strata dla polskiej psiarni, skonstatował.

– Zresztą media wiesz, jakie są – kontynuowała spokojnie. – Dziś podają to, jutro podadzą coś innego. Ja nie mogłam o niczym ich poinformować, bo nie dokończyłeś analizy, tylko wyrwałeś tutaj bez meldunku i dowiedziałam się z radia, co odstawiasz – zakończyła. Umilkła.

On też milczał. Wpatrywał się tępo w przemieszczające się kobiety z wózkami, mężczyzn grzebiących w zamrażarkach szukających gotowych dań do mikrofalówki, dzieci buszujące w dziale ze słodyczami i prawie się poddał.

– To jest jak szukanie igły w stogu siana – przyznał. – Nic z tych nagrań nie wynika.

– Wiem, rozumiem – powtórzyła. – Ale się starałeś. A inaczej wcale byśmy ich nie dostali, bo sprawa nie została zakwalifikowana jako sto czterdzieści osiem ani nawet sto pięćdziesiąt sześć, ani w ogóle nie została zakwalifikowana jako przestępstwo. Nie ukrywajmy, wszystkim tak pasuje. Może poza wdową po Walskim. Biedna kobieta. Jeśli nic nie zrobimy, Iwona nie będzie miała nawet prawa do jego emerytury. Wyłazisz?

Hubert potrząsnął wszystkimi pustymi paczkami leżącymi wokół. Nie miał już ani jednego papierosa, za to dym był tak gęsty, że ledwie widział obraz na monitorze. Nie było sensu przedłużać strajku, a nie sądził, by po tej akcji ktokolwiek poza Olton wyciągnął do niego rękę.

– Wyłaź, nie utrudniaj bardziej – zniecierpliwiła się.

Jej prośba brzmiała raczej jak polecenie służbowe. Może i ona ratuje go z opresji ostatni raz? – dotarło do niego.

Wstał, wyprostował ubranie, pozbierał śmieci i strzepnął popiół z popielniczek do śmietnika.

– Masz jakiś pen? – Głos Olton był ledwie słyszalny.

– Wątpię – mruknął, ale zrozumiał od razu. – Poszukam. Muszą coś tu mieć. Potem im oddam – zapewnił. I zreflektował się, dopytał również szeptem, chociaż w tej kanciapie poza nim nikogo nie było: – Przejmiesz go, zanim mnie zatrzymają? Zgram wszystko. Tyle, ile zdołam.

– Nikt cię nie zatrzyma, inspektorze – odparła z nutą drwiny. – Wyłaź, czekamy. Jest tutaj ktoś, kto chce z tobą pilnie gadać. Powiedzmy, że nieoficjalnie. Mogę już odwołać mundurowych? Z dobrych wieści, udało się puścić wizerunek kobiety z wózkiem do prasy. Jutro będzie publikacja.

– Tak – odrzekł zamyślony, skupiając się na włączaniu dysku do komputera. A potem nagle podniósł głos: – Anuluj to! Publikacja narazi tę osobę na wielkie niebezpieczeństwo! Trzeba ją znaleźć innym sposobem.

– Jeśli wyjdziesz, pogadamy i o tym – ucięła. – Tylko nie zwlekaj zbyt długo. Nawet moja cierpliwość ma swoje granice…

Chciał jej podziękować za pomoc, ale się rozłączyła.

Trwało to jakiś czas, bo cały dzień nagrań zgrywał się bardzo powoli. Zdawało mu się, że mijają wieki. Pluł sobie w brodę, że nie wpadł na ten pomysł wcześniej, ale zaślepiał go gniew. Za bardzo identyfikował się z zamordowanym wicekomendantem. Czuł się tak, jakby to jego odpalono za niesubordynację. Dlaczego? Nie wiedział. Z kim trzymał Walski, tym bardziej nie było mu wiadome. Im głębiej wchodził w tę historię, tym więcej było znaków zapytania, a coraz mniej odpowiedzi. Mogło to znaczyć tylko jedno: sprawca ma dostęp do ich danych i wyprzedza ich o krok. Wreszcie dysk się zapełnił. Hubert wsunął pen do kieszeni, rzucił jeszcze raz okiem na bajzel na biurku ochroniarzy i uznał, że było tak mniej więcej, kiedy tutaj wchodził. Przekręcił klucz w zamku. Wyszedł na miękkich nogach.

Pierwszą osobą, którą zobaczył, był Prymusek. Młody prokurator szedł do niego z twarzą skrzywioną ze złości.

– Wie pan, ile kosztowało nas wysłanie do diabła dziennikarzy?! – ryknął, nie siląc się na powitania. – Ile ojczyzna zapłaci za pana wygłupy? Nie zagrzeje pan dłużej miejsca w swoim wydziale, już ja się o to postaram! Jesteś skończony, Meyer! Skończony! Na twoje miejsce jest wielu znacznie lepszych, bardziej zrównoważonych i odpowiedzialnych psychologów, którzy nie psują renomy organów ścigania, a wzbudzają zaufanie u obywateli!

Hubert wyczekał, aż Prymusek skończy wylewać jad i żalić się przed zebranymi. Dopiero kiedy tamten umilkł, odezwał się:

– Prokurator Kulik, witam serdecznie. Chyba nawet wiem, czyją kandydaturę pan zgłosi – szydził. – Jaka szkoda, że to nie należy do pana kompetencji. Tak mi przykro… Ale oczywiście będzie pan lobbował. Rozumiem, winszuję, żegnam… Bądź zdrów!

Prawnik zacisnął usta, aż zbielały. Zbierał w myślach obraźliwe słowa i Hubert był pewien, że gdyby nie publiczność, rzuciłby się na niego z pięściami. Tak mogłoby się wydarzyć, gdyby z rzędu gapiów witających Meyera jak rodzina na lotnisku nie wystąpiła kobieta.

Szczupła, wysoka brunetka z długimi do pasa włosami, które gładko spływały po jej plecach odzianych w czarną ramoneskę. Kiedy do nich podchodziła, oczy miała zmrużone, a na twarzy koloru papieru ryżowego błąkał się delikatny uśmiech, lecz było w nim coś groźnego. Podobnie jak w sposobie chodzenia, urodzie i tym, jak wypowiedziała te kilka słów.

– Spokój, Prymusek. Wróć na miejsce.

W normalnych okolicznościach Hubert wybuchnąłby śmiechem, ale teraz tylko patrzył, jak kobieta rozbraja rozzłoszczonego prokuratora. Dotknęła białą dłonią jego pleców, spotkała się z nim spojrzeniem i facet po prostu odszedł. Profiler patrzył na nią oniemiały i miał wrażenie, że śni. Takich sztuczek nie potrafiła nawet Olton, która stała teraz w grupie funkcjonariuszy i również przypatrywała się tej scenie z uwagą.

– Kim pani jest? – wydusił, kiedy kobieta się do niego zbliżyła, a potem zrobiła to samo z nim.

Dotknęła go dłonią o długich, smukłych palcach. Raczej musnęła, a może tylko mu się wydawało? Od razu się uspokoił. Skupił. Zaczął myśleć trzeźwo. I wciąż trochę się jej bał, chociaż doprawdy nie było czego. Poza ramoneską nie było w niej nic drapieżnego. W krótkiej sukience łączce i czarnych rajstopach oraz wysoko wiązanych butach wyglądała jak dziewczyna, a przecież była od Huberta ledwie półtorej dekady młodsza. Emanowała jednak spokojem, który

dowodził, że ma na karku kawał doświadczeń. Tak działała na niego tylko Wera. Poczuł, że zaschło mu w gardle, rozkaszlał się, aż musiał się pochylić.

– Dajcie jakąś wodę – rzuciła do jednego z policjantów.

Po chwili miał w ręku małą cisowiankę. Przyssał się do niej chciwie i wypił więcej niż połowę. Kiedy odsunął butelkę od ust, spostrzegł, że zgromadzenie się przerzedziło i przypatruje im się już tylko kilka osób. Reszta zajęła się ogarnianiem pracowników sklepu, klientami. Wyglądało na to, że wszystko wraca do normy. Hubert nie mógł w to uwierzyć. Tak po prostu zamierzali go puścić?

– Inspektor Alina Chojnacka. – Brunetka się przedstawiła. – Jestem, byłam – poprawiła się – szefową Bogusia. Kłania się komisariat w Łomiankach.

Meyer zmrużył oczy, przyglądał się jej z niedowierzaniem. Był skołowany.

– Wspominał o szefie – zaczął. – Nie mówił jednak, że rządzi nim kobieta. I to na dodatek w stopniu inspektora.

– Z tej przyczyny siedzę w Łomiankach, ale na etacie w wojewódzkiej. Nie warto chyba tego wyjaśniać – ucięła. – Nie wiem, co ci Boguś o mnie opowiadał, ale dochodzą mnie różne słuchy, że tak jak moi poprzednicy jestem sługusem Drina. Bądź pewien, że to nieprawda. Objęłam stanowisko, żeby posprzątać. Gdybyś mnie spytał, co sądzę, osobiście nie wierzę, że Walski był takim łotrem. Owszem, wszyscy wiedzieli, że kiedyś chodził na pasku żoliborskich gangusów, ale to było lata temu, jak jeszcze żył dziadek Demianiuka. Może i prawdą jest, że wnuk Drina odziedziczył ucho Bogusia w ramach schedy, ale najpewniej to jedynie potwarz. Wszczęłam oficjalne dochodzenie. Dowiemy się tego.

– Gdzie byłaś? – wypalił. – Gdzie byłaś, kiedy to się zaczęło? Skoro wiedziałaś, że jest umoczony, dlaczego nie przejęłaś dochodzeń? Dlaczego zostawiłaś go z tym samego?

Alina pochyliła głowę. Podniosła ją dopiero po kilku sekundach. W jej granatowych oczach dostrzegł chłód.

– Byłam na urlopie.

– Na urlopie? – żachnął się. – Czy wszystkich całkiem pogięło, żeby o tej porze roku jechać na wczasy?! Kobieto, on się bał, kurewsko się bał! I miał rację. Jak widać, było to w pełni uzasadnione…

– Byłam na urlopie, bo niedawno przeżyłam ciężki rozwód i nie nadawałam się do niczego – odparła twardo, chrapliwie, nie podnosząc głosu. – Wolałam wziąć dwa tygodnie wolnego i leżeć bez ruchu w łóżku, pić wódkę, oglądać Netflix, płacząc w poduszkę albo żrąc lody, bo tylko to przechodziło mi przez gardło, niż narażać moich ludzi na zetknięcie z wkurwioną szefową. Nie sądziłam, że akurat w tym czasie Portugalczyk z Demianiukiem postanowią zrobić rozpierduchę w Warszawie. I na tym ten temat zakończymy, bo nic ci do tego.

– Przykro mi. – Hubert sam nie wiedział, kiedy te słowa przeszły mu przez gardło. – Przepraszam, zachowałem się jak cham.

– Raczej jak zraniony dzieciak – fuknęła. Wskazała wyjście ze sklepu. – Teraz wsiądziemy do twojego auta, bo mnie dostarczyli radiowozem i nie zamierzam dymać na przystanek. Zawieziesz mnie gdzieś, gdzie możemy bezpiecznie pogadać. Zdaje mi się, że obojgu nam leży na sercu nie tylko obrona honoru Bogusia, ale nie pozwolimy Prymuskowi zamknąć tych zbrodni jako samobóje.

– To nie były żadne samobóje – zaczął Hubert, ale Chojnacka zgromiła go pogardliwym spojrzeniem, więc dodał: – Na naszych oczach wykluł się morderca. Ktoś bardzo niebezpieczny, zorganizowany i mający dostęp do naszych sił. Nie wiem jak, kto i co się stało, ale ten klient zna wszystkie nasze tropy.

– Twoja Agnieszka też tak uważa.

Alina obejrzała się na Olton, pomachała jej, a szefowa Huberta pokazała Chojnackiej wzniesiony kciuk.

– Agnes obiecała, że sprawdzi u was, bo najprawdopodobniej twoja nieformalna analiza wypłynęła. Podobnie jak wszystkie zebrane dotąd dane. To bardzo, bardzo niepokojące. Do tego poszukiwany skutecznie manipuluje mediami. Dzisiejszego wieczoru przed zaśnięciem nie radzę ci sprawdzać wiadomości w internecie. W każdym razie dopóki wszystkiego sobie nie wyjaśnimy.

– On się nie zatrzyma – wszedł jej w słowo Hubert. – Nie przestanie. Za bardzo to polubił.

Ruszyli na parking. Kiedy Hubert otwierał jej drzwi, Alina podała mu dokument w foliowej koszulce. Nie miał pojęcia, gdzie go trzymała, bo nie widział, by nosiła jakąkolwiek torebkę.

– Co to jest?

– Wasze zlecenie, o które zabiegałeś – wyjaśniła. – Odsłuchałam waszą pierwszą rozmowę z Bogusiem. Ciesz się, że Walski nie żyje, bo obaj mielibyście dyscyplinarkę.

Hubert zbaraniał. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wpatrywał się w kobietę i milczał. Czekał. Wreszcie warknął:

– Mam robić poza prokuraturą?

– Zanim zaczniesz krytykować, przynajmniej przejrzyj – obsztorcowała go. – Za moją namową czcigodny Sergiusz Kulik złożył swój bezcenny podpis. Koniec pajacowania, inspektorze Meyer. Oficjalnie bierz się do roboty, bo ja potrzebuję dowodów.

* * *

## WARSZAWA, ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ

Mariusz Boziłow był czerwony na twarzy, a skóra z czoła i nosa schodziła mu płatami. Ręce miał poparzone. Kiedy wkładał rękawiczki, syczał przy każdym geście.

– Gdzieżeś się tak zjarał? – zagaił Hubert. – Nie widziałem cię nad Wisłą ani z tego, co wiem, nie było cię w Radości.

Doktor nawet nie mrugnął. Wyraźnie nie był dziś skłonny do policyjnych żartów.

– Nie waż się tykać tego tematu – żachnął się. – Jadzia jest szczęśliwa i to mi starczy. W Dubaju średnia temperatura w dzień wynosiła z siedemdziesiąt stopni.

– Chyba trochę przesadzasz.

– Pojedziesz kiedyś na urlop, to pogadamy – uciął Mario.

– Masz rację, to raczej mi nie grozi – spokorniał Meyer.

Rzucił okiem na skupioną Chojnacką, która przeglądała dokumenty przygotowane przez anatomopatologa. Czekał, aż komendantka się odezwie, zada choć jedno pytanie, ale milczała. Nie włączała się do ich zwyczajowych pogaduszek.

– Kojarzysz ją? – Hubert pochylił się do Boziłowa. – Co to za typiara? Wiesz o niej co?

Doktor nieznacznie poruszył głową.

– Alinka jest w porządku. – Zatrzymał się, zniżył głos. – Miała ostre przejścia z mężem. Zdradzał ją czy coś… Radzę ci jednak, nie zaczynaj z nią tego tematu, bo reaguje jak ty na propozycje wczasów…

– Pewnie dlatego tak się przejęła sprawą Portugalczyka – skwitował Hubert.

– Nie – zaprzeczył Boziłow. – Ona jest po prostu rzeczowa, a ty nie popuszczaj cugli, bo pożałujesz. Z tego, co wiem, ten ich rozwód to była gehenna. Chojnacki siedzi w Głównej i w kółko grozi, że jej stołek jest gorący. Alina nie może sobie pozwolić na najdrobniejszy błąd.

– Zaczynamy czy wpierw pójdziecie na piwo? – usłyszeli głos obgadywanej kobiety.

Obaj natychmiast się od siebie odsunęli. Boziłow ruszył do stołów sekcyjnych. Hubert zaś wybrał okrężną drogę i ustawił się po drugiej stronie, obok Aliny.

– Na początek muszę zaznaczyć, że pierwszy przypadek trafił mi się z drugiej ręki – zaczął doktor. – Jest więc

prawdopodobieństwo błędu i mogą być pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć.

Alina i Hubert zgodnie pokiwali głowami.

– Pierwsze z nich to oczywiście: czy tych zbrodni mógł dokonać ten sam sprawca? Nie pytajcie mnie o to.

– Bardziej interesuje nas, czy wykluczasz samostrzał – wtrącił się Hubert. – O tym, że to jest ten sam sprawca, wiem z pewnością.

Boziłow nie odpowiedział.

– Ogłuchłem czy nie zaprzeczyłeś? – zdenerwował się profiler. – A jednocześnie wyraźnie słyszałem słowo „zbrodnia”.

Boziłow wzniósł oczy do sufitu.

– Najpierw opowiem, a potem będzie czas na tortury. Zgoda?

– Zgoda – pośpieszyła z potwierdzeniem Alina. – A ty nie denerwuj go. Mamy jeszcze dużo pracy.

Hubert z niechęcią się dostosował.

– Obaj panowie przed całopaleniem padli ofiarą postrzału – ciągnął doktor. – Portugalczyk dostał cztery kule, ale już komendant Walski tylko dwie. Technicy w pierwszym przypadku zabezpieczyli dodatkowe dwa naboje w szczątkach auta i w sumie dziewięć łusek. Można przypuszczać, że śmierć Ruiego de Souzy nastąpiła po wystrzeleniu całego magazynku. Do zgonu Walskiego starczyły dwa naboje.

– Szybko się uczy skurwiel – mruknął pod nosem Hubert. – Trzeciej i następnych wcale nie znajdziemy. Zacznie je chować.

Boziłow nie zwracał na profilera uwagi.

– Ponieważ łusek nie wyzbierano, a podobnie było z nabojami, mój poprzednik założył, że nie można wykluczyć targnięcia się na własne życie.

– Mario, żałuj! Na jakiej podstawie i ty powtarzasz te bzdury?! – znów przerwał mu Meyer, ale tym razem i Chojnacka była zniecierpliwiona. – I co, poszedł do lasu, wyrzucił broń, a potem wrócił i włączył mołotowa?

Boziłow przełknął ślinę, dał znak asystentowi, by podszedł z przygotowaną tacą. Leżały na niej fragmenty kolby, lufy. W dwóch egzemplarzach.

– Eksperci stwierdzili, że z tych jednostek mogli zginąć obaj panowie. Pierwsza to beretta. Rzadki kolekcjonerski okaz. Zostało z niej tylko tyle, ale uznaje się, że spluwa pochodzi z dawnych czasów. Druga jest współczesna, chociaż też nienowa. Lata dziewięćdziesiąte, wojny gangów. Numery seryjne zostały zatarte. Jest nie do identyfikacji.

– Czy możliwe jest, żeby wybuchy tak zniszczyły ten kaliber? – Hubert wskazał berettę, z której zginął Portugalczyk.

– Jestem tylko lekarzem – wykpił się od odpowiedzi Boziłow. – Musisz zadać to pytanie komuś innemu.

– Ale pytam ciebie, bo masz komplet akt i wiem, że je czytałeś, w przeciwieństwie do nas. Prokurator Kulik uważa nas za persony non grata. Chyba będę musiał zrobić napad na jego biuro. Więc? Gdzie to było? – atakował zirytowany. – I dlaczego do tej pory nic o tym nie wiedziałem?

– Nikt nie wiedział – nieoczekiwanie Alina wzięła stronę Huberta.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tę informację utajniono – odparł Boziłow. – Wiem z pewnością natomiast, że broń, którą znaleziono przy Bogusiu Walskim, nie rozpękła się. Jest w stanie idealnym. Trwa analiza, czy mogła należeć do prywatnej kolekcji komendanta. Miał tego sporo, niektóre perełki z dawnych lat. Żona w tej chwili główkuje, jak otworzyć kasę pancerną, a jeśli nie przypomni sobie kodów, przyjadą fachmani, żeby ją rozwalić. Wtedy będzie pewność.

– To jakiś horror! – Alina się wzdrygnęła. – Boguś poszedł na spotkanie z naładowanym gnatem i nie zdołał się obronić?

– Prokuraturę widać też to zaniepokoiło, bo głównie na tej podstawie buduje umorzenie. Prymusek uznał, że widać Walski chciał zginąć. Nie ma opcji, żeby nie użył swojego oręża, jeśli zostałby zaatakowany – wyjaśnił Mario.

Alina z niedowierzaniem kręciła głową.

– Znałam go całe lata – oznajmiła. – To był twardziel. Nie pękał. I nie miał powodów, żeby targnąć się na własne życie. Był szczęśliwy. Jeśli już, został przechytrzony. Z kim my mamy do czynienia? Szukamy jakiegoś wojskowego? Kilera? O co tutaj chodzi? – Spojrzała bezradnie na Huberta, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– On się dopiero rozwija – rzekł z niechęcią. – I jest dobry. Ma naszą wiedzę. Niewykluczone, że to ktoś z naszych. Albo jednak zawodowiec…

Chciał dodać coś jeszcze, ale ugryzł się w język.

– Pytanie jest zgoła inne – kontynuował doktor. – Oczywiście mówię to jako wasz przyjaciel, a nie jako medyk. Dlaczego Walski do zabicia siebie nie użył swojej służbowej broni, którą miał cały czas w kaburze, tylko bandziorskiej beretty, której nie można zidentyfikować? Oto zagadka… – Urwał, wgapił się w Meyera, a ten, o dziwo, nie odezwał się, o nic nie dopytał, więc lekarz ciągnął: – Portugalczyk najprawdopodobniej zginął dwanaście godzin przed tym, jak spalono ciało. To jest kolejny argument w mojej opinii, który wyklucza samobójstwo. Następnym jest butelka wypełniona rozpuszczalnikiem. Poszkodowany nie mógł wysadzić samochodu w tym samym czasie, kiedy do siebie mierzył.

– Skąd wiesz, że odbyło się to w tym samym czasie?

– Ustaliłem to w przedziale do godziny. No i to, co ważniejsze, kiedy podpalono samochód, Rui dawno już nie żył. Inaczej przedstawia się jednak sytuacja z Bogusiem. Poza dodatkowym kolanem wszystko mogłoby wskazywać na inscenizację. Jako samobójca wicekomendant pozbawi swoją rodzinę należnej mu po nim emerytury i honorów. Wiemy, że był dobrze ubezpieczony. Jeśli prokurator zakwalifikuje tę

sprawę jako brak udziału osób trzecich, tylko zamach na siebie, żona Bogusia zostanie z niczym. Ubezpieczalnia też się na nich wypnie. To oczywiście niczego nie dowodzi, ale niestety tutaj nie ma przebiegu wielu godzin między śmiercią a postrzałem. Znam przypadek, gdy człowiek odstrzelił sobie kończyny, a nawet i głowę, a jednak zdołał rozniecić ogień. – Zatrzymał się. – Teoretycznie więc to możliwe, co wskazuje w swojej opinii doktor Lisowski i czemu przyklaskuje prokurator Kulik.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, czy jestem po prostu głupi – poskarżył się Hubert. – Uważasz, że Walski mógł zrobić to sobie sam, a zbrodnię sfingował dla forsy?

– Były takie przypadki i jest to wykonalne – wyjaśnił Boziłow wymijająco. – Znałem Bogusia i bardzo by mnie zawiódł, gdyby okazało się to prawdą, ale tak między nami zdaje mi się mało prawdopodobne w praktyce ze względu na istnienie na miejscu zdarzenia dodatkowej broni. W takich sytuacjach zwykle sprawca stara się ją ukryć, a nie mnożyć modele… Natomiast w przypadku Portugalczyka mamy do czynienia bezdyskusyjnie z działaniem z rozmysłem.

– Przynajmniej tyle – westchnęła Alina. – Jak rozumiem, nie możesz definitywnie wykluczyć samobójstwa w akcie zgonu i musisz wpisać wszystkie trzy możliwości?

– Jest gorzej. Będę musiał napisać: „niewyjaśnione okoliczności śmierci”. Oczywiście dodam interpretację i zaznaczę, ku czemu się skłaniam, ale prawo w Polsce mamy takie, że dla sądu będzie najistotniejszy wyłącznie mój medyczny werdykt.

– Czyli nawet jeśli go złapiemy, może wykpić się w sądzie od tej zbrodni? – zbiesił się Hubert.

– Nie inaczej – potwierdził doktor. – Dlatego radziłbym zająć się w pierwszej kolejności zbrodnią na Portugalczyku. Tutaj sprawca popełnił najwięcej błędów. Jeśli uda wam się go złapać, pójdzie na dożywocie chociaż za głowę tego człowieka.

– A w tym czasie wdowa po Bogusiu umrze z głodu i będzie odsądzana od czci i wiary? Nie ma mowy! – rozeźlił się Meyer.

– Musisz więc znaleźć na niego coś jeszcze. – Mario wzruszył ramionami. – Po takim spaleniu zabezpieczenie odcisków palców graniczy z cudem. Co innego włókna, biologia, traseologia, wreszcie DNA… Sprawcy nie zdają sobie sprawy, jak wiele dziś można wyłuskać z pogorzeliska. Na przykład to.

Podszedł do stołu, gdzie rozłożone były akta i mnóstwo szczątków opakowanych w specjalne perforowane folie oddychające. Obok każdej z nich leżały sygnatura i zdjęcie, z jakiego miejsca je zabezpieczono. Mario przyglądał się tej wystawie, aż wreszcie podniósł do góry torebkę z fragmentem niedopałka.

– DNA osoby, która rzuciła tego peta, nie jest zgodne z danymi ofiary ani żadnego z pracujących na miejscu zdarzenia policjantów. Szef laboratorium natrudził się, żeby zrobić z tego próbkę, ale się udało. Jeśli będziecie mieli szczęście, to może być wasz człowiek.

Alina z Hubertem pochylili się nad zdjęciem peta.

– Jakim cudem nie spłonął? – wyszeptała Chojnacka.

– Cuda się zdarzają nie tylko w okolicy sanktuariów – mruknął Boziłow, a Meyer dorzucił:

– Mam nadzieję, że to klątwa Ruiego. Chciał, żeby jego morderca został znaleziony.

Alina z Mariem spojrzeli na niego jak na wariata.

– No co, widzę, że wpadł za siedzenie. Przytopił się tylko i idealnie zachował – rozpromienił się profiler.

– Nic nam to nie da, jeśli na drugim miejscu zdarzenia nie będziemy mieli podobnego materiału – zgasiła jego zapał Chojnacka. – No, chyba że złapiemy jego samego.

– Do tego trzeba dążyć – zakończył temat Hubert. – Dzięki, Mario, i za to. Jesteś nieoceniony.

– Sam byś to odkrył, gdyby Prymusek pozwolił wam na przegląd całych akt. – Boziłow skromnie spuścił głowę. – Jak chcecie, wyjdę na lunch i sobie to wszystko dokładnie obejrzycie po naszej rozmowie. Świadków nie będzie, zabiorę asystentów ze sobą. Będą wniebowzięci.

– Złoty z ciebie człowiek! – Alina podziękowała mu uśmiechem.

Meyer sięgnął po rozłożone obok stołu sekcyjnego zdjęcia z oględzin.

– Tylko jeden z pokrzywdzonych miał przykrytą głowę w momencie ujawnienia?

– Zgadza się. Tylko Portugalczyk – potwierdził Boziłow. – Walskiego pozostawiono w stanie jak widać. Ponieważ ciało nie zdążyło stężeć, ogień sprawił, że jest mocno skurczone. Powtarzam ponownie: sprawca wpierw zabił Ruiego de Souzę, a potem po niego wrócił, żeby zatrzeć ślady. Długo się nad tym zastanawiał, pewnie planował i organizował się na bieżąco. Od śmierci ofiary do całopalenia mogło minąć nawet dwanaście godzin.

– Nie możesz tego jakoś zawęzić?

– Mogę zawęzić wyłącznie Bogusia. Do dwóch godzin. Zginął o siedemnastej, a jego ciało zbezczeszczono ogniem ledwie dwie godziny później. Każdy, kto w tamtej okolicy przemieszczał się w tym czasie, teoretycznie powinien być podejrzany.

– To mogłaby być kobieta? – dopytała Alina.

– Pytasz o postrzał czy podpalenie wozu?

– I to, i to.

– Oczywiście – potwierdził doktor. – Broń, której użyto, jest praktycznie niezawodna. Może to nie glock, z którego każdy dureń coś ustrzeli, ale jest pewna. Sadzę, że podejrzany wybrał ją właśnie z tej przyczyny. Mała, mieści się w kieszeni, także w damskiej torebce. A kanistry z paliwem, butelkę ze

szmatą i zapalniczkę każdy może zorganizować. Nie, nie ograniczałbym podejrzanych według płci.

– Musi też mieć prawo jazdy – skwitowała Alina. – Nad Wisłę trzeba było jakoś dotrzeć i ze zmian w komputerze pokładowym, jeśli chodzi o styl prowadzenia, wiemy, że kierowca się zmienił.

– Nie ma dowodów, że się zmienił – zaoponował Boziłow. – To wolna interpretacja Huberta i Misiura. Doktor Lisowski w pierwszym zdaniu opinii ją podważył. Twierdzi, że to za mało, by tak wyrokować. Czasami nie trzeba używać ognia, starczy strach, żeby zmusić kogoś do działania, cytuję.

– Co to ma niby znaczyć? – parsknął Hubert. – Jakieś kalambury?

– Zdaniem Liska starczyło, że doszło między nimi do konfliktu, a stan emocjonalny wyświetla się w stylu jazdy. To akurat jest udowodnione. Twoja teoria tym samym pada.

– Myślałem, że Lisek lobbuje za masowymi samobójstwami w tej sprawie – mruknął kąśliwie profiler. – Tak szybko zmienił front?

– Podał to jako dowód na obalenie tezy o zbrodni. I w dalszym ciągu podważa twoją opinię.

– Do tego właśnie sprowadza się jego robota – narzekał Hubert. – Kopać w cudzym ogródku, który już jest zaorany i gotów do siewu. Ten palant sam nie jest w stanie niczego z sensem sklecić. Potrafi tylko wchodzić innym w szkodę!

– Cóż, teoria, że Walski przygotował się i zainscenizował zabójstwo, podczas gdy to było samobójstwo, jest jednak możliwa. – Boziłow wziął Liska w obronę. – Sprawa z bronią właściwie by ją potwierdzała…

– Ale sam mówiłeś, że to nie ma sensu… – Chojnacka wyczuła wahanie w głosie doktora. – Po co Walski strzelałby do siebie z innej jednostki niż własna? Jeśli chcesz się zabić, nie utrudniasz. I tak emocjonalnie jest to plan wystarczająco koszmarny.

– Może wziął drugiego gnata na wszelki wypadek? – zastanowił się na głos doktor. – Żeby mieć pewność? Jakby jeden się zaciął albo by stchórzył, zostałby drugi w odwodzie. Sam nie wiem…

– To nie było samobójstwo! Ani w jednym, ani w drugim przypadku! – ryknął Hubert. Był zbyt rozeźlony, żeby prowadzić dyskusje egzystencjalne. Za wszelką cenę chciał znaleźć argumenty na potwierdzenie własnych tez. – Sprawca nawet się nie trudził, żeby to wyglądało na samostrzały. Teoria powstała w głowie Liska i nie ma żadnego potwierdzenia w realu! Mario, co tam się właściwie wydarzyło? Co możesz nam powiedzieć na podstawie tych obrażeń? Szczerze, uruchom wszystkie swoje umiejętności dedukcyjne – poprosił i spojrzał z nadzieją na anatomopatologa.

Doktor wahał się długo, aż wreszcie zaczął mówić:

– Jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, co ja myślę, to w pełni zgadzam się z Meyerem, że to są zimne morderstwa, chociaż w papierach nie mógłbym tego napisać, bo kwestia samobójstwa Walskiego teoretycznie wchodzi w grę. Teoretycznie – podkreślił i zatrzymał się, by te słowa nabrały właściwej mocy. – W obu przypadkach zbrodni nie planowano. Otwory wlotowe u Portugalczyka znajdują się w różnych miejscach tułowia. Rana śmiertelna to były dwa postrzały w brzuch, ale pozostałe dwa wyglądają na chybione. W przypadku Bogusia zaś mamy do czynienia z działaniem bardziej zrównoważonym. Tak jakby facet go zagadał, oddał strzały, a potem spokojnie zainscenizował miejsce zdarzenia. Pragnę też zwrócić waszą uwagę, że o ile Portugalczyk został zaatakowany w swoim G, o tyle Boguś nigdy wcześniej nie jeździł tym porsche. Jakim cudem znalazł się w lesie pani de Souzy i na dodatek w nowiutkim samochodzie Drina Demianiuka, nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, nic mi nie przychodzi do głowy poza tym, że miał jakieś ciemne interesy z Drinem i ten go odpalił…

– No cóż, dziękujemy ci, Mario. – Alina odłożyła teczkę z dokumentami i fotografiami na miejsce. – Mamy plan sami zapytać podejrzanego. Marcin Demianiuk doigrał się i czeka

już na przesłuchanie. Sama jestem ciekawa, jak wyjaśni fakt, że Walski w dniu swojej śmierci jeździł jego ukochanym samochodem.

* * *

## WARSZAWA, BUDYNEK PROKURATURY

Meyer dosłownie rzucił na stół kartonowe pudełko z sygnaturą akt. Wieczko spadło, ale zawartość wciąż pozostała dla zebranych enigmatyczna, bo dowód skrywała specjalna folia. W ciszy, która zapanowała nagle w pomieszczeniu, odgłos uderzenia metalu o drewno był dojmujący.

Hubert się nie śpieszył. Założył na dłonie lateksowe rękawiczki, a potem powoli zaczął odwijać pakunek. Dopiero kiedy oczom zebranych ukazała się beretta ubrudzona sadzą i proszkami kryminalistycznymi, zapytał:

– Poznajesz tę jednostkę, Drinu?

Adwokat Marcina Demianiuka skrzywił się nieznacznie i pochylił do klienta. Drinu się nie poruszył. Wpatrywał się w przedmiot leżący na stole. Milczał.

– Z tej spluwy zginął twój przyjaciel – kontynuował Meyer. – Bo wiemy już, że nie było tak, jak zeznawałeś wcześniej. Nie tylko byliście z Bogusiem w bliskiej zażyłości, ale też prowadziliście interesy. Wróć, to raczej on dla ciebie pracował, nie odwrotnie. Jak wcześniej dla ojca i dziadka. Ty mu płaciłeś.

– Udowodnij to! – syknął Drinu, ale dostał kuksańca pod żebra od prawnika i zaraz umilkł jak zgłuszony.

Meyer się uśmiechnął. Błyskawicznie odpakował pistolet, złożył, przeładował i wymierzył w twarz podejrzanego. Demianiuk miał refleks. Uchylił się i skrył za przerażonym adwokatem, który zwrócił swój oburzony wzrok teraz na niego. Wszyscy w tym pokoju wiedzieli, że gdyby faktycznie doszło do ataku, adwokata Drina nie byłoby już na tym świecie, bo Demianiuk bez skrupułów wykorzystałby go jak żywą tarczę.

– I tak to właśnie było, wysoki sądzie – zakpił Meyer. – Nie mam więcej pytań. Myślę, że wszystko jest jasne.

Odłożył pistolet, zajął należne mu miejsce przy stole naprzeciwko przesłuchiwanego i spojrzał na Chojnacką, która cały czas z uwagą obserwowała to wszystko z dalekiego kąta przy parapecie. Nie poruszyła się, a z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– I po co to przedstawienie? – Prokurator Sergiusz Kulik, we wszystkich jednostkach bardziej znany jako Prymusek, podszedł do stołu, włożył pistolet do pudełka, przymknął wieko, a potem spojrzał przepraszająco na podejrzanego i jego adwokata, jakby prosił o wyrozumiałość dla niesfornego kilkulatka. – Daj już spokój, Hubercie. Dzisiejsza noc nie zapowiada się taka długa, a osób do przesłuchania zostało całkiem sporo. Może skupimy się i porozmawiamy jak ludzie, żeby rzecz ostatecznie wyjaśnić?

– To idź, rozmawiaj z żoną Drina – fuknął do niego Hubert. – Pewnie ma głodne dziecko na ręku i powinna jak najszybciej wrócić do domu. A jak będziesz szedł, to przemyśl, dla kogo pracujesz. Dla ojczyzny czy dla tego gnoja, który bez skrupułów odpalił Bogusia?

Demianiuk rzucił się do Meyera z pięściami, ale adwokat na czas go złapał i odciągnął. Prokurator Kulik odskoczył aż pod drzwi. Był przerażony obrotem spraw.

– Ona nigdzie nie pójdzie. – W tym momencie do sprzeczki włączyła się Chojnacka. – Jeśli niemowlę będzie przeszkadzało w aresztowaniu, przejmie je babcia. Rodzice pani Demianiuk wyruszyli już z Grajewa. Nie spodziewałabym się, by któreś z państwa przed świtem wróciło do domu – zakończyła i spojrzała łagodniej na prokuratora. – Byłbyś tak miły, Sergiuszu, i poszedł zobaczyć, co u nich? Czy dziecko dobrze się czuje? Może czego im trzeba? Ja tu postoję i przypilnuję, żeby procedury były zachowane. Od tej chwili Hubert Meyer odpowiada przede mną.

– Jasne, oczywiście. – Prymusek trzasnął wyglansowanymi obcasami, chwycił swoją wełnianą marynarkę i skierował się do drzwi.

Naciskał już klamkę, kiedy oficjalnym tonem odezwał się mecenas Demianiuka.

– Jeden taki wybryk możemy wybaczyć – zastrzegł. – Ale gdyby to się powtarzało, informuję, że złożymy zażalenie.

Mówił do wychodzącego prokuratora, co jakiś czas patrzył też na Chojnacką. Meyera omijał z rozmysłem. Hubert w tym czasie prowadził pojedynek na spojrzenia z Drinem.

– Chciałbyś coś dodać? – rzucił do podejrzanego zniżonym głosem. – Czy dalej będziesz się wyręczał swoją papugą?

Drinu zmełł w ustach ripostę, zmilczał. Zacisnął tylko mocniej szczęki.

– Mój klient powiedział już panom wszystko, co wie w tej sprawie – powtórzył adwokat, chociaż wałkowali to samo od kilku godzin. – Nie było go na żadnym z miejsc zdarzeń. Ani nad Wisłą w Łomiankach, ani na terytorium de Souzów w Radości. Mało tego, mój klient nigdy nie bywał w tych miejscach. Nigdy – podkreślił.

– Nie mówimy teraz o sprawie Portugalczyka – wszedł mu w słowo Meyer. – Rozmawiamy sobie tylko o relacjach łączących pana Marcina z komendantem Walskim.

– Ależ nie było żadnych relacji! – święcie oburzył się adwokat. – Pan Walski odmawiał przyjęcia zgłoszeń mojego klienta. Twierdził, że konflikt z de Souzą to sprawa dla sądu cywilnego. Nie kontaktowali się. Nie bywali u siebie w domach. Poza relacją policjant–obywatel nie istnieje żadne połączenie – upierał się.

– Jakim więc sposobem Walski jeździł twoim samochodem w dniu dzisiejszym, a następnie w nim zginął? – Hubert nie odpuszczał. – Kiedy byliśmy u ciebie w biurze, kluczyki leżały na stole. Oferowałeś je nam do analizy. Więc?

Drinu wzruszył ramionami. Odwrócił twarz do okna. Kiedy natrafił na czujny wzrok Chojnackiej, przesunął spojrzenie z powrotem na Meyera.

– Sami musicie to ustalić – rzekł z satysfakcją i nagle urwał, bo adwokat znacząco odchrząknął.

– Mój klient cały dzień spędził w biurze – powtórzył z naciskiem.

– Oglądając *Sukcesję*, to już wiemy – parsknął Hubert. – Szkoda, że nie ma żadnych świadków, bo tak się składa, że poza Walskim pan Drinu nikogo nie zatrudnia.

Adwokat nie zwracał uwagi na gadanie Meyera. Patrzył na sprzęt nagrywający przebieg przesłuchania i kontynuował, jakby dyktował stenotypistce:

– Nikogo już nie było, kiedy pan Demianiuk wyszedł na parking, by wrócić swoim samochodem do domu. Okazało się, że auta nie znalazł. Pytał rzecz jasna stójkowego, ale ten zaprzeczył, by wpuszczał kogoś za szlaban. Kiedy pan Demianiuk ostrzej zaczął domagać się wyjaśnień, stróż wyznał, że poszedł na chwilę za potrzebą. Nie było go ledwie piętnaście minut. Ktoś musiał ukraść samochód pana Demianiuka. Po prostu nie ma innej możliwości! To musiało się wydarzyć właśnie wtedy. – Uśmiechnął się drwiąco.

Meyer miał dosyć tej waty słownej.

– Ile odcinków zdążyłeś obejrzeć? – zwrócił się do Demianiuka.

Adwokata zatkało. Na to pytanie odpowiedzi nie znał. Nie przewidzieli takiego wątku w przesłuchaniu.

– Nie musisz odpowiadać – pouczył klienta prawnik. – Możesz odmówić odpowiedzi na to pytanie.

– Dwa sezony – odparł Drinu. – Dokładnie tyle i ani odcinka więcej.

Hubert zapisał w notesie tę informację, jakby była arcykluczowa.

– To ja już pójdę – wtrącił się Prymusek. Patrzył wyłącznie na Alinę. – Gdybyś czegoś potrzebowała, jestem w sali widzeń.

Skinęła głową i wróciła wzrokiem do siedzących przy stole.

– Od jak dawna płaciłeś Walskiemu? – zaatakował znów Hubert. – Przecież wiemy, że komendant wyświadczał ci drobne przysługi, załatwiał ochronę, donosił.

– To zaczyna być męczące – zirytował się adwokat. – Może pani powiedzieć temu człowiekowi, że tysiąc razy już o tym rozmawialiśmy? Nie wiemy, kto korumpował komendanta i czy jego osoba jest kryształowa, czy też nie, ale z całą pewnością Marcin Demianiuk nie płacił Walskiemu za jego wiedzę policyjną. Ani za nic.

– Więc sugeruje pan, że komendant włamał się na parking biura pana Demianiuka, wykorzystał nieobecność ciecia, jeśli w ogóle takowa była, bo cieć też nie jest opłacony, i potem co, połączył kabelki, zabrał porsche i pojechał się zastrzelić, a w końcu spalić w Radości? – pieklił się Hubert.

– Nie wiemy, jak było. – Adwokat brzmiał jak zdarta płyta. – Może od zawsze marzył o takim samochodzie? A może chciał się zemścić? Nie wytrzymał presji? Nie naszą rolą jest to ustalać. Od tego w tym kraju mamy prokuraturę i policję – stwierdził i pozbierał swoje dokumenty. – Uważam, że na tym możemy zakończyć rozmowę. – Wskazał pudło z bronią. – A za insynuacje, że ta gangsterska beretta mogła kiedykolwiek należeć do mojego klienta, zasłużyłby pan na wycisk w sądzie cywilnym. Jeśli dojdzie do procesu, czego mojemu klientowi nie życzę, osobiście zadbam, żebyśmy się tam spotkali. Jest pan bezczelny. Co za tupet!

Wstał gotów do wyjścia. Chwilę potem, bardzo powoli, zaczął zbierać się Drinu.

– Lubisz flaki? – zwrócił się do niego Meyer z rozkoszną miną.

Demianiuk, pewien, że już za chwilę zostanie uratowany z tej opresji, pokiwał głową.

– A ty nie? – spytał.

Nie widział już gromiącego spojrzenia adwokata i półuśmiechu Chojnackiej, która najwyraźniej świetnie bawiła się w swoim kącie.

– A jak myślisz, kto bardziej je lubi, ty czy kochanek twojej żony?

Drinu momentalnie zrobił się czerwony na twarzy. Wykrzywił wargi, zmrużył oczy w gniewie.

– Spierdalaj, gadzie – syknął.

Hubert się nie przejął. Pogrzebał w swoim pudle. Wydostał nadpalone zdjęcie z polaroida. Z pieczołowitością godną filatelisty ułożył je pionem do przesłuchiwanego. Przedstawiało Katarzynę Demianiuk, najprawdopodobniej zaraz po porodzie, bo nie wyglądała tak olśniewająco jak zwykle. Była napuchnięta, na twarzy miała popękane żyłki. Na jej brzuchu leżało niemowlę, a w górnym prawym rogu widać było część twarzy Drina i jego wielką owłosioną rękę w kolorze kasztanów.

– Zobacz, Drinu, twój synek jest biały – zauważył Hubert, jakby znajdowali się na herbatce u ciotki. – Musiał odziedziczyć same geny z Grajewa. A może to po dziadku, bo twoja mama jest przecież Hinduską? To doprawdy niebywałe i wiesz, zdarza się w mieszanych małżeństwach niezwykle rzadko.

Drinu rzucił się, by wyrwać zdjęcie z rąk Meyera. Pokrzykiwał groźby i klął siarczyście. Hubert na czas zabrał dowód rzeczowy, ułożył równo na brzegu stołu.

– Pewnie dlatego twoja żona nie umieściła na Instagramie ani jednej waszej foty z dzieckiem – drwił. – Bo może było tak, że to nie twoje dziecko, lecz kolegi Ruiego? Jak na Portugalczyka de Souza miał wystarczająco jasną cerę, by chłopak mógł ją odziedziczyć. Robiłeś w ogóle badania?

– Panie Marcinie, wychodzimy – zarządził adwokat.

Drinu stał jednak w miejscu. Wpatrywał się w Meyera z pogardą, jakby zamierzał go unicestwić spojrzeniem.

– To mój syn – rzekł z naciskiem. – Moja krew. I nic ci do tego, rasisto!

Hubert odłożył zdjęcie do pudła. Milczał chwilę. Kiedy się odezwał, w jego głosie nie było ani cienia kpiny. Wyłącznie powaga i nuta groźby.

– Dlaczego tak naprawdę nie chciałeś udostępnić nam klucza do swojego auta?

– Miałem do tego prawo – odparł szybko Drinu.

– Miał do tego prawo. – Adwokat chwycił się tych czterech słów jak deski ratunkowej. – Wychodzimy!

– Nie chciałeś nam go dać, bo podejrzewałeś, że zrobiłeś coś złego. Nie byłeś pewien, czy to nie ty odpaliłeś Portugalczyka – zaczął Hubert. – Grałeś na zwłokę, zbierałeś informacje, ale jedyną osobą, która mogła to potwierdzić lub nie, była twoja żona. I w takim momencie, nagle, kiedy wziąłeś ją na spytki, wyznała ci, że tak naprawdę nigdy nie skończyła z de Souzą. Prawda to?

Drinu nie zaprzeczył. W ogóle się nie odzywał. Nie patrzył też na załamanego adwokata. Dalszej części wywodu Huberta słuchał z pochyloną głową.

– Przyszedłeś do Bogusia, który od lat pomagał ci w różnych sprawach. To była drobnica: załatwianie grzywien, czasem postraszenie kogoś albo sprawdzenie w naszej bazie. Naprawdę Boguś nie robił żadnych potężnych wałków. Wasza komitywa mogła nigdy nie wyjść na jaw, gdyby nie spalenie Portugalczyka. I przyjaźniliście się. Taka jest prawda. Tyle lat żyliście w symbiozie, że nawet go lubiłeś. Sądzę, że z wzajemnością, skoro Boguś tak bardzo przejmował się twoim losem po spaleniu Ruiego. W każdym razie szanowaliście się.

– Zgadza się – przyznał Drinu. Podniósł głowę i zdawało się, że jego twarz się rozpogodziła, jakby kamień spadł mu z serca. – Żal chłopa. Uwierz, że ja nie mam z tym nic

wspólnego. Przysięgam! A jeśli do czegoś doszło, to tylko z Portugalczykiem, bo z piątku i połowy soboty nie pamiętam nic a nic. Kompletna dziura w mózgu! Bogusia nigdy bym nie ruszył. Tak tylko gadałem, emocje mnie poniosły. Nie zrobiłbym mu tego. Kumplowaliśmy się.

W tym momencie mecenas Drina wyszedł i głośno trzasnął drzwiami.

Hubert odwrócił się do Chojnackiej, a ta przytaknęła mu skinieniem.

– Musisz wiedzieć jedno – rzekł, wyłączając sprzęt do rejestracji przebiegu przesłuchania. – Oczywiście to twoja decyzja i możesz robić uniki albo zasłaniać się niepamięcią, jak doradza ci twój prawnik, ja się w to nie mieszam, ale my chcemy ci pomóc.

Drinu milczał. Zerknął na Alinę, która podeszła wreszcie do stołu i dokończyła za Huberta:

– Twoja żona cię wydała.

Zdawało się, że Demianiuk zemdleje.

– Nie wierzę – wyszeptał.

Alina podeszła do biurka Prymuska, podniosła koszulkę foliową z dołączoną do niej płytą i wydobyła kilka zapisanych kartek.

– Oczywiście nie mogę ci tego dać do przeczytania – zastrzegła. – Ale tutaj jest wszystko. Opowiedziała o swoim romansie z Portugalczykiem, zajściu w ciążę i kontynuowaniu relacji, nawet kiedy synek się urodził. Twierdzi, że byliście na terapii, ale ty nigdy nie zaakceptowałeś tego, że ona chce odejść.

– Pewnie, bo chciała odejść z połową mojego majątku! – warknął Drinu. – Jak miałem to akceptować? Ledwie po pierwszym rozwodzie się odkułem, a i tak wciąż siedzę w długach. Ta forsa, którą przelałem Portugalczykowi, miała być wpierw do wyprania, ale myślałem, że to będzie taki mój parasol ochronny, jakby Katarzyna jednak załatwiła mnie

prawnie. Znów nie podpisałem intercyzy, idiota. I tak, wiedziałem o nich, dosyć szybko się zorientowałem, że ona cały czas czuje do niego miętę. Ale to nie miało znaczenia, bo głupio wierzyłem, że z czasem się to ułoży: dziecko podrośnie, a ona zapomni. – Umilkł na chwilę, zapatrzył się w dal, jakby szukał w głowie właściwych słów. – Rui jej nie chciał. To Kaśka za nim latała. Wcale nie zamierzał się rozwodzić i niszczyć swojego świetnego, dobrze funkcjonującego małżeństwa. Kochał Dianę i nawet gdy chodził na boki, to ona była jego królową. Tak naprawdę zazdrościłem im tego układu, bo Kaśka od początku siedzi ze mną tylko dla forsy. Długo mi zajęło, żeby to zrozumieć, ale to typ prawdy, który wpierw cię wkurwi, a potem wyzwoli…

– Więc jak to było naprawdę?

– Z Portugalczykiem? – Drinu się skrzywił. – Za cholerę nie pamiętam. Ale byłem w takim stanie, że nie mogłem tego zrobić. Może postrzał? Może i podrzucenie wozu, ale nie minowanie terenu i palenie auta! Mówiłem już, że gdybym się na coś takiego decydował, zrobiłbym to inaczej. Po cichu.

– Wiedziałeś, że żona widziała się w piątek rano z Ruim?

– Patrycja mi przypucowała. Bardzo mnie lubi, płacę jej zawsze górką za dobre informacje, więc ma oko na wszystko. Obudziłem się, a ona akurat sprzątała. Kaśka była u siebie na górze z małym, karmiła go albo coś… Wtedy Pati zameldowała, że żona szykuje się do rodziców, ale chyba nie do nich tak naprawdę chce pojechać, bo ubrała się coś za bardzo sexy. Pati zresztą zwróciła jej na to uwagę. Zajmuje się wizerunkiem służbowo… No wiecie, wydekoltowana bluzka, kusa spódnica, pończochy, pełen pakiet. Jak Katarzyna chce, potrafi być smakowitą dupcią. Do matki na wsi nigdy by się tak nie odziała, przecież to świętoszki. No i wtedy pojąłem, że to dlatego całą noc gotowała flaki. Bo widzisz, Hubercie, ja ich nienawidzę. Nie pamiętam, żebym chociaż raz w życiu wziął to ścierwo do ust. Ona ten garnek mięsa zawiozła dla niego. Miałeś rację.

– Przesłuchamy Patrycję i jeśli potwierdzi tę wersję, twoja sytuacja się nieco poprawi – obiecała Alina. – Ale tylko nieznacznie. Bo widzisz, wkrótce obie te sprawy zostaną przekwalifikowane z braku udziału osób trzecich na zabójstwa. Nie wolno ci nikomu o tym mówić. Radziłabym jednak to wykorzystać, żeby zdobyć dowody swojej niewinności albo świadków, którzy zapewnią ci alibi. Jak się domyślasz, twoja Kasia je anulowała. Dobre jest w twojej niepamięci to, że ty nie możesz jej go zapewnić.

– Ona będzie zatrzymana?

– Niewykluczone – przyznała komendantka. – To dlatego prokurator Kulik zadzwonił po dziadków z Grajewa, żeby przyjechali. Zabezpiecza się. W przeciwnym razie twój synek musiałby trafić do izby dziecka.

– Przecież jeszcze ja jestem? – zaniepokoił się Drinu. – Mnie też zatrzymacie?

– Wolelibyśmy nie, ale… – Alina spojrzała na Huberta. – Powiesz mu?

– Chcemy ci zaproponować układ – zaczął Meyer. – Zostaniesz u nas bez kwita. Wyprowadzimy cię w kajdankach, tak by Kaśka to widziała. Prześpisz się na dołku w Łomiankach, zjesz tamtejsze śniadanie, a jutro po południu będziesz już w domu. Jak chcesz własne ciuchy albo i koc, książkę do czytania czy jakąś grę, możesz posłać po nie swoją papugę. Nie ma problemu.

– Nie dostanę zarzutów? – Drinu nie dowierzał.

– Dzisiaj nie – odparł profiler. – Jak widzisz, to tylko dobrowolny układ między nami. Z tej rozmowy nie będzie nawet nagrania.

– Kto was tam wie? – żachnął się podejrzany.

– Tylko nam możesz teraz ufać. Chcesz wyjść z tego cało? – syknęła do niego Alina. – Jak prokurator Kulik wróci, sytuacja znacząco się zmieni.

– Dlaczego? – Drinu wciąż nie rozumiał.

Hubert głośno wypuścił powietrze ustami, wysmarkał nos, a potem podszedł bliżej Drina.

– Kiedy obie te sprawy zostaną przekwalifikowane, na stole prokuratury zostanie tylko jedna pewna wersja wydarzeń – zaczął stanowczo chrapliwym szeptem. – Ty zleciłeś Walskiemu zabójstwo kochanka żony, a potem anihilowałeś też i jego, żeby nie mógł cię wydać. Na nic twoja niepamięć z dwudziestego pierwszego października i oglądanie *Sukcesji* w biurze, kiedy płonął Boguś. To nieudana próba alibi, bo tak naprawdę go nie masz. Podobnie jak ani jednego świadka, który by potwierdził, że byłeś tam, gdzie twierdzisz, że byłeś. A twoja żona na ciebie dobrowolnie doniosła.

– A Patrycja, Marysia? One powiedzą, że byłem na chacie i w biurze.

– Mogły być opłacone. Przecież pracują dla ciebie, nie są obiektywne. – Hubert pokręcił głową. – No i jest jeszcze broń z arsenału twojego dziadka oraz porsche, które stało się miejscem zbrodni. Czy wiesz, że w skrytce znajdował się telefon Katarzyny? Jak to wyjaśnisz?

Drinu pochylił głowę. Milczał.

– Lepiej dobrze się nad tym zastanów, bo będzie to jedno z pierwszych pytań, jakie Kulik zada ci po przedstawieniu zarzutów. Prokurator szyje ci celę ośmioosobową, nie wyjdziesz do starości, Drinu, bo w tym telefonie są dowody na romans Kasi z Portugalczykiem: ich zdjęcia, wiadomości oraz skan wyniku testu na ojcostwo. Heniu bezspornie jest synem Ruiego, a nie twoim, co w prostej linii oznacza, że miałeś motyw, żeby de Souzę zabić. A reszta, odpowiednio ułożona, może wskazywać na ciebie. Owszem, wolno ci się nie przyznawać, iść w zaparte, mataczyć, ale to jedynie pogorszy sytuację, bo prokurator Kulik ma jeszcze kartę atutową.

– Niby jaką? – Drinu nie ukrywał już lęku.

Ręce znów mu drżały, po prostu się trząsł. Ewidentnie potrzebował kolejnej działki koksu.

– Twoją opinię typologiczną, która wskazuje cię jako sprawcę i ustala twój status psychopaty, sadysty oraz arcyniebezpiecznego przestępcy. To twój gwóźdź do trumny, Drinu!

– Przecież ja z nikim poza wami nie rozmawiałem! – oburzył się biznesmen. – Jakim cudem ktoś wystawia mi etykietę? Na jakiej podstawie? Bez badań, przesłuchania, rozpytań sąsiadów i rodziny? Nawet w dawnych czasach nie preparowało się takich kwitów! To musi być jakiś fejk!

– To jest fejk – podkreślił Meyer. – Ale tylko my troje w tym pokoju o tym wiemy. Z tym że nikt nam nie uwierzy, bo pod tym profilem podpisał się psycholog doktor Marcel Lisowski, do którego prokurator Kulik niemalże się modli. A ten ekspert coś bardzo cię nie lubi albo też uznał, że pasujesz mu na kozła ofiarnego, bo chce, żeby jak najszybciej kogoś za te zbrodnie zamknięto. Wygląda na to, że trafiło na ciebie.

Alina podeszła, pogrzebała na biurku Prymuska. Pomachała podejrzanemu przed oczami.

– Ona cię definitywnie obciąży w śledztwie, a podczas procesu całkowicie pogrąży.

– Co za to chcecie? – zapytał przytomnie Demianiuk. – Bo nie robicie tego przecież z sympatii do mnie?

– Robimy to z sympatii dla Bogusia – poprawiła go Alina. – A chcemy drobnostkę. Teatr przejścia w kajdankach przed twoją ślubną i informację, jak to się stało, że Walski akurat tego dnia użytkował twój wóz.

– Nieoficjalnie?

– Nieoficjalnie.

– Bałem się, że Kaśka ma z tym coś wspólnego, że to ona odpaliła Portugalczyka, więc kazałem Bogusiowi spalić porszaka. Żeby nie było śladów. Nie wiedziałem, co możecie wyczytać z tego klucza i tak dalej. Dałem mu rezerwowy, drugi miałem w biurze, bo przecież spodziewałem się, że wrócicie. Jeśli chodzi o jej telefon, sam wręczyłem go

Bogusiowi i poleciłem znaleźć dowody zdrady. Widać sprawił się, skoro wszystko już macie, ale nie zdążył mi tego przekazać… Świeć panie nad jego duszą, to był dobry chłop. – Drinu przeżegnał i pochylił głowę. Długo stał w tej pozycji, jakby się w milczeniu modlił.

Alina z Hubertem spojrzeli po sobie.

– Potwierdzisz to, gdyby sytuacja się rozwinęła?

– Jeśli to miałoby mnie uratować od odsiadki, nie ma sprawy – zapewnił. – Czasami sobie myślę, że to ja napuściłem Bogusia na tego gostka. Grzebał dla mnie, czyścił dla mnie i dlatego zginął, że coś wykopał.

– Co na przykład?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale myślę, że bliżej tej wiedzy jest moja żona niż ja. Będziecie dla niej dobrzy? – spytał. – Ona ma dopiero dwadzieścia dwa lata. To jeszcze dzieciak. Zagubiła się.

Hubert kręcił głową z niedowierzaniem. Odpiął od pasa kajdanki i podał Alinie. Założyła je na przeguby Drina jak najdelikatniej.

– I jeszcze jedno – ostrzegła go. – Musisz udawać, że jesteś na nią cholernie zły. Wściekły. Możesz kurwić, grozić, obrzucać ją wyzwiskami. Nie może się zorientować, że ma cię w garści.

– A ma mnie w garści?

– Za bardzo ją kochasz – ostrzegła go, a po chwili dodała łagodniej: – I nie byłoby w tym nic zdrożnego, przeciwnie, to byłoby idealnie, jednak następnym razem wybierz sobie taką żonę, która cię uszanuje.

Uśmiechnął się do niej.

– Niby do trzech razy sztuka?

Walnęła go z pięści po ramieniu, zakuła mu ręce na plecach i wypchnęła na korytarz.

* * *

Katarzyna Demianiuk tuliła synka i miło konwersowała z przystojnym młodym prokuratorem, który kazał swojej asystentce przynieść jej pączki i kawę ze starbucksa, kiedy nagle drzwi, za którymi przesłuchiwano jej męża, ponownie otwarły się z impetem i ten osmolony policjant z jakąś babką wyprowadzili jej męża w kajdankach do wyjścia. Już gdy adwokat męża wychodził z prokuratury jak niepyszny i nawet na nią nie spojrzał, kiedy do niego podbiegła, wiedziała, że za tamtymi drzwiami dzieje się coś złego.

– Misiu! – krzyknęła rozdzierająco. – Mówiłeś, że za godzinę wrócimy do domu. Co się dzieje?

– Zjeżdżaj, wywłoko! Nie pokazuj mi się na oczy! – warknął do niej. Wyrwał się policjantce i podbiegł tak blisko, że aż Henio się rozpłakał. – A tego bękarta sama będziesz wychowywała! Nie myśl, że ujdzie ci płazem, co nagadałaś Kulikowi. Ty suko załajdaczona! Zapłacisz za te kłamstwa. Ciesz się, że mnie zamykają, bo dupsko bym ci skopał i ogolił do skóry!

– Ale co? Co ty mówisz, Drinu? – udawała zdziwioną. – Naćpałeś się czy sprzedali ci jakąś lewiznę?

Zamachnął się, zamarkował cios, ale bez protestów dał się odciągnąć i wyprowadzić.

Kasi zdawało się, że kiedy to wszystko wykrzykiwał, miał łzy w oczach. Serce waliło jej z przerażenia, bo nigdy wobec niej nie był agresywny, a potem poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg.

– Co się tu stało? – rzuciła się do miłego prokuratora, który sam był nie bardziej zdziwiony niż ona. – Pan mi powie, dlaczego go zabrali? Boże, aresztowali mi męża! Czy ja mogę wyjść?

Ruszyła, by biec za Drinem i policjantami, ale dziecko było rozebrane, a wszystkie jej rzeczy i wózek stały wciąż w pokoju, gdzie miała oczekiwać na swoje przesłuchanie.

– Proszę nie wychodzić. Czekać! – Dotychczas przemiły prokurator stał się nagle zimy jak lód. – Dostosuje się pani czy

mam wezwać funkcjonariuszy?

– Ale ja muszę położyć dziecko! – Wykręcała numer do matki.

Prokurator wyciągnął rękę.

– Proszę natychmiast oddać mi wszystkie swoje telefony. Za chwilę będzie pani słuchana. Istnieje ryzyko mataczenia i manipulowania zeznaniami świadków.

Stanęła jak wryta i patrzyła, jak mężczyzna idzie w kierunku wyjścia, tam gdzie odprowadzono Drina.

Rozdrażniony hałasami i za ciepło ubrany Henio wył wniebogłosy. Głowa nagle ją rozbolała, a szpilki od Chanel, które włożyła, by się popisać, gdyby przed wejściem czekali dziennikarze, nagle zaczęły ją koszmarnie uwierać. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to zdjąć pantofle i klapnąć na pobliskie krzesło, a potem płakać razem z synkiem.

# Rozdział 4

# MIĘDZY SŁOWAMI

**25 października (wtorek)**
**WARSZAWA, BIELANY**

Kiedy Chojnacka podała Hubertowi adres zamieszkania wdowy po komendancie, profiler bardzo się zdziwił. Walscy mieszkali w najdłuższym postkomunistycznym bloku przy Broniewskiego. Elewacja budynku była odrapana i już dawno powinna być ocieplona. Na niemal każdym balkonie stały niepotrzebne graty, co z pewnością było niezgodne z przepisami przeciwpożarowymi. Jeśli wziąć pod uwagę, że mieszkały tu tysiące ludzi, zagrożenie było realne.

– Za dużo to on do tej kieszeni nie brał – skwitował Hubert, zamykając dokładnie samochód i oglądając się trzy razy, czy się nie przeparkować bliżej ulicy. – Albo nieźle się z tym kryje.

– Myślę, że to zwykłe bzdury – odparła Alina. – Ludzie różne rzeczy o nim gadali. Że łapówkarz, mobbinguje młodych, szowinista i mizogin, ale Boguś był po prostu gliniarzem starej daty. Wierzył w etos, pracę. Bywał szorstki, fakt, ale kto z nas nie bywa? Ta robota jest stresująca i każdy, kto wstępuje do policji, musi się z tym liczyć.

– Nic więcej nie mam do dodania. – Hubert spojrzał w górę.

Walscy mieszkali na trzecim piętrze i na ich balkonie było zielono jak w ogrodzie. Kwitły pelargonie i mnóstwo innych kwiatów, które zdecydowanie wymagały troski lokatorów.

Było to jedno z niewielu mieszkań, gdzie zamiast rupieci postawiono leżak, stolik kawowy, a na ścianie zainstalowano markizę.

– Skoro jednak gadali, musi w tym być ziarno prawdy – dorzucił.

– Sprawdzamy to – fuknęła. – Mówię ci tylko, co sądzę jako jego szefowa. Owszem, przesiadywał w robocie i z pewnością wykorzystywał swoje kontakty do załatwiania jakichś spraw na lewo, choćby i dla Demianiuka, a może i innych, ale nie zauważyłam, żeby się nagle wzbogacił. Auta nie zmieniał od lat i nieustannie prosił, żeby go zdjąć ze zdarzenia, bo w jego samochodzie znów coś padło. Często byłam o to zła. Szczerze mówiąc, miałam go za sknerę i trochę nieudacznika. Zawsze jednak zaangażowanego, oddanego służbie.

– Jeśli brał łapówki, musiał te pieniądze schować na jakichś kontach, przekazać dzieciom albo przepić. Może grał?

– Może – zgodziła się z nim niechętnie. – Chociaż w to też nie wierzę. Nawet totka nie puszczał. Szkoda mu było forsy.

Weszli do obskurnej klatki. Hubert wymacał na ścianie kontakt, ale kiedy go włączył, światło zaświeciło się dopiero na drugim piętrze. Na drzwiach windy ktoś przykleił kartkę „Awaria”. Szli wolno, starając się nie dotykać ścian. Woniało piwniczną pleśnią.

– Och, co za niespodzianka! Dzień dobry, pani inspektor!

Drzwi otworzyły się, zanim zdecydowali się zadzwonić. Były nowe, ze złotym numerem lokalu, chociaż widać było, że to tanizna z dykty.

Kobieta, która ich powitała, była duża, lecz nie gruba. Przy Walskim zapewne wydawała się drobinką. Obiektywnie jednak była to kiedyś posągowa piękność. Ślady urody widać było do dziś. Migdałowe oczy, długie, opadające falami na plecy włosy miała spięte na czubku głowy fantazyjną klamerką. Twarz praktycznie bez zmarszczek. Nie nosiła

makijażu, a w czerni, w której ich powitała, wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu Felliniego.

– Witaj, Iwono – zwróciła się do Walskiej Alina. Stała chwilę bez ruchu, a potem podeszła i mocno przytuliła wdowę. – Jak się trzymasz?

– Tak się cieszę, że pani przyszła. – Rozpłakała się. – Mam wrażenie, że wszyscy się od nas odwrócili. Dziennikarze szkalują Bogusia i wypisują niestworzone historie. Mnie to nic, ale martwię się o dzieci.

– Przecież wasi synowie są już dorośli, a córka z pewnością nie czytuje prasy.

– Właśnie o nią się boję – łkała Iwona i wciąż nie opuszczała ramion Chojnackiej. – Dzieciaki potrafią być okrutne, a ta sprawa będzie bardzo głośna.

Wreszcie się odsunęła. Skłoniła się uprzejmie Meyerowi, którego Chojnacka przedstawiła wraz z profesją.

– Bardzo mi przykro – odnalazł się w sytuacji. – Znałem pani męża od niedawna, ale polubiliśmy się. Współczuję straty.

– To miłe, że przyszliście – powtórzyła kolejny raz i uśmiechnęła się przez łzy. – Ogromnie doceniam wsparcie pani inspektor. Bardzo tego potrzebujemy.

– Mów mi po imieniu – zaproponowała Alina. – Tyle razy już cię prosiłam.

– Przepraszam, ciągle zapominam – wytłumaczyła się. – Boguś zawsze miał wobec ciebie respekt.

– Wiesz, że nie przyszliśmy tylko po to, żeby ci złożyć kondolencje?

Alina podała kobiecie bombonierkę, którą wyjęła z torby. Dołożyła do niej małą nalewkę wyglądającą na domowej roboty i cienkie papierosy.

– To na przełamanie lodów. Żeby nam się dobrze rozmawiało. Chcemy doprowadzić do rozwiązania tej sprawy

i potrzebujemy twojej pomocy. Pamięć Bogusia musi zostać oczyszczona. To jak będzie? Spróbujesz?

– Dobrze, postaram się.

Zaprosiła ich gestem do dużego pokoju. Hubert spodziewał się meblościanki i dwóch fotelów z ławą, jak za dawnych czasów bywało w blokach, ale bardzo się zdziwił. Meble były nowoczesne, ustawione przyjaźnie dla domowników, a w centralnym punkcie pokoju, tam gdzie sąsiedzi Walskich z pewnością wieszali telewizory, stało imponujące akwarium pełne niesamowitych okazów ryb.

– Usiądźcie, rozgośćcie się – zachęcała gospodyni. – Zrobię herbaty i podam kieliszki do tego lekarstwa. – Potrząsnęła nalewką. – Dostałam urlop z pracy. Czasu mam mnóstwo. Jeśli w czymś będę mogła pomóc, jestem do dyspozycji.

Alina uśmiechnęła się do niej słabo. Iwona odpowiedziała podobnym uśmiechem. Hubert zajął miejsce na sofie i wprost zniknął w akwarium.

– Najbardziej bolesne z tego wszystkiego jest to, że być może to moja wina, że Boguś zginął – usłyszeli z kuchni. – Wyrzucam sobie, że gdybym go nie namówiła do tej chałtury, żyłby do dziś i nie musielibyśmy teraz wybierać mu trumny.

Hubert wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Aliną. Żadne się nie odezwało, bo Walska wróciła z tacą. Ustawiała na stoliku słodkości, herbatę i podawała puchary na lody. Pobiegła znów gdzieś i po chwili przyniosła wielkie plastikowe pudełko oraz popielniczkę. Usiadła. Sięgnęła po paczkę z papierosami, z namaszczeniem zaczęła ją odpakowywać.

– Jak on nie lubił, że ja palę. Tylko dla niego rzuciłam… – Głos jej drżał. – Mówił, że od tego dostałam raka. A teraz to nie ma już znaczenia. Mogę palić, ile mi się podoba, bo Boguś i tak tego nie zobaczy.

– Jest pani chora? – Hubert wszedł jej w słowo i zaraz się zreflektował. – Przepraszam, interesuje mnie ten wątek służbowo.

– Byłam. Jestem po operacji – odparła.

Odruchowo dotknęła okazałego biustu. Golf, który miała na sobie, był na tyle obszerny, że Hubert nigdy by nie zgadł, że kobieta jest po mastektomii.

– Co pół roku jeżdżę na kontrole. Na razie nowotwór się cofnął. Lekarze mówią, że muszę uważać, ale jest dobrze. – Zawahała się, potarła oko, ale nie zapłakała. – Byłoby lepiej, gdyby Boguś żył. Jakoś to do mnie jeszcze nie dociera. Cały czas patrzę na drzwi i czekam, aż on wejdzie. Dziś rano prasowałam jego rzeczy, bo zdjęłam pranie i w większości to były jego koszule do munduru. Wyobrażacie sobie, jak się rozkleiłam? Koszmar. To jest niewyobrażalne. Najgorsze jest to, że tylu ludzi okazało się podłych, a miałam ich za przyjaciół… Jak tylko zaczęto go szkalować, rzucili się na nas jak jakie wilki.

– Wiem dokładnie, o czym pani mówi – odezwał się Meyer. – Czy słyszy już pani jego głos, czuje zapach i ma wrażenie, że on stoi obok?

– Tak! – krzyknęła cała uradowana. – Ale nikomu bym się do tego nie przyznała. Rozmawiam z nim, skarżę się, wyrzucam mu, że mnie zostawił, i słyszę, jak mi odpowiada. To się nie dzieje we śnie, tylko na jawie! Zdaje mi się, że już wariuję. Nawet synom nie powiedziałam wszystkiego, bo nie wiem, jak to będzie dalej…

Siedzieli jakiś czas w milczeniu. Hubert wgapiał się w rybki, a Iwona w zdjęcie męża stojące na małym stoliku obok biblioteczki. Alina była coraz bardziej zniecierpliwiona, bębniła palcami o kolana, chyba drugi raz osłodziła swoją herbatę, byle zabić czas.

– O jakiej chałturze mówiłaś? – nie wytrzymała.

– Co? – Iwona zdawała się wybudzona ze snu.

– Jak tylko przyszliśmy, powiedziałaś, że to przez ciebie zginął. Że się obwiniasz.

Walska zacisnęła usta, spuściła wzrok. Nie odzywała się długi czas.

– Posłuchaj, ja nie wierzę, że Boguś brał łapówki – zaczęła łagodnie Alina. – Nie słucham plotek. Z nami możesz mówić otwarcie. Przyszliśmy tu jako przyjaciele twojego męża, a nie wrogowie – przekonywała.

– Kiedy on naprawdę brał te koperty – szepnęła wdowa. – Nie mówił mi o tym, ale ja wiedziałam.

– Jesteś pewna? – Alina nie dowierzała.

– Pewna nie… – Walska się zawahała. – Ale skąd niby miałby na to wszystko?

Powiodła ręką po wyremontowanym pokoju, zatrzymała się na akwarium.

Hubert odchrząknął.

– Mówi pani o tym lokalu? – dopytał.

– Nie, nie – zaprzeczyła. – O swojej chorobie. To, że ja żyję, jest zasługą Bogusia. Nie pozwolił mi się poddać. Cały czas jeździliśmy po różnych ośrodkach. Czego to my nie próbowaliśmy?! Słabo się czułam, musiałam zrezygnować z pracy, a swego czasu prowadziłam duże biuro księgowe. Głównie z mojego utargu żyliśmy, bo przecież nie z policyjnego uposażenia… Kiedy zachorowałam, Boguś musiał jakoś dorobić do swojej pensji, a przecież były wtedy i dwa wesela synów, córka kończyła akurat podstawówkę, to zaproponował, żeby wysłać ją do prywatnego liceum, bo niby lepsze. Ja, skupiona na moim raku, wcale się nie zastanawiałam, skąd on na to wszystko bierze. A brał jak nigdy, niczego nam nie brakowało. Dzieciom pokupował samochody, na wakacje im dopłacał. Sam niczego nie potrzebował, nasze mieszkanie widzicie, jakie jest, tylko rybki sobie zafundował, bo od zawsze marzył o takim akwarium… Ale dzieci oporządził jak królewiątka. No i obiecywał, że na starość, na emeryturze wyprowadzimy się gdzieś do ciepłego kraju – zakończyła.

– Macie wspólne konta?

– Od ponad trzydziestu lat. Ale nic na nich nie znajdziecie. Prokuratura i dziennikarze od razu się do tego przyczepili.

Poza policyjną pensją nic tam nie wpływało.

– Może trzymał pieniądze w gotówce? – zasugerował Hubert. – Macie podobno kasę pancerną, w której znajduje się kolekcja broni. Przy okazji, udało się ją otworzyć? Zna już pani szyfr?

– Niestety… – Iwona rozłożyła ręce w geście bezradności. – Ale panowie z komisariatu byli już tutaj i wyważyli drzwiczki. Zabrali większość jednostek do zbadania. Nawet nie wiem, ile tego było. Mówili, że muszą przeanalizować każdą, bo może być tak, że Boguś będzie pośmiertnie sądzony o zbrodnię na tym Portugalczyku. Prawda to?

– Wątpię – odparła Chojnacka. – Nie można nikogo pośmiertnie osądzić. Nawet w tym kraju nie jest to możliwe. Ale szarpać cię będą. To dopiero początek. Zrobiłaś zdjęcia zabranych sztuk broni?

– A gdzie tam. – Pokręciła głową. Była coraz bardziej zaniepokojona. – Przecież to była policja, koledzy z firmy Bogusia! Miałam im patrzeć na ręce?

– Znałaś ich?

– Żadnego.

– Z jakiej są jednostki?

– A bo ja wiem?

– I jest pani pewna, że w sejfie nie było gotówki? – wtrącił się Hubert.

– Nie było – oznajmiła stanowczo. Wstała. – Chcecie, to sami obejrzyjcie tę szafę. To, co zostawił Boguś, wciąż tam jest. Policję interesowała wyłącznie broń.

Alina siedziała na miejscu. Nie chciała, by kobieta znów się przemieszczała. Widać było po twarzy komendantki, że nie jest zadowolona z tego przesłuchania. Hubert jednak wstał, podążył za gospodynią, więc i Chojnacka się dostosowała.

– Tam w głębi korytarzyka Boguś miał swój gabinet – wyjaśniła Iwona, zapalając kolejne światła, bo korytarz

okazał się ciemny jak piwnica. Nie było w nim okien. – To był kiedyś pokój synów, a teraz, kiedy jedynie dorastająca córka nam została, stał pusty. Któregoś dnia Boguś powiedział, że go zaanektuje. Zrobił sobie specjalne półki i zamek w drzwiach. Co ciekawe, na zewnątrz. – Pokazała.

– Po co? – zainteresował się Meyer.

– Sama nie wiem. – Walska wzruszyła ramionami. – Ale zawsze kiedy wyjeżdżaliśmy, zamykał ten pokój dodatkowo. Przede mną nigdy się nie krył. Kiedy tam pracował, nie był zamknięty. Zresztą ja zawsze pukałam. Jak przynosiłam mu jedzenie albo piwo. Bo miał tam też telewizor i oglądał w nim mecze. Śmieliśmy się, że to jama samca. On lubił tam posiedzieć też w nocy.

– Nad czym tak pracował? – zainteresował się Hubert. – Mogę się rozejrzeć?

I nie czekając na odpowiedź Walskiej, podszedł do biurka, zaczął przeglądać leżące na nim książki i papiery. Zajęło mu to krótką chwilę, bo poza kodeksami postępowania karnego, leksykonami prawniczymi i kalendarzem nie było tam niczego więcej. Stojak na dokumenty okazał się pusty, a kubek z długopisami świeżo umyty. Obok leżała myjka. Hubert jej dotknął. Była mokra, na brzegach widniały jeszcze ślady piany. Alina złapała jego spojrzenie.

– Sprzątałaś tu? – zapytała zirytowana.

Walska skwapliwie pokiwała głową.

– Bajzel był taki, że wejść się nie dało – wytłumaczyła się pośpiesznie. – Niedojedzone żarcie, puszki po piwie, szpargały… No powiem ci, że Boguś nigdy nie był pedantem, ale to, co zrobił z pokojem naszych synków, wołało o pomstę do nieba. Jak policja zadzwoniła, że potrzebują wejść do naszej kasy, udałam, że nie pamiętam kodu, bo oczywiście go znałam, i zaczęłam sprzątać.

– Szukałaś pieniędzy? – warknęła Alina.

– Nie, nie! – zaniepokoiła się Iwona, jakby dopiero teraz pojęła, jak to wygląda z boku. – Wiedziałam, że gdyby tam

były, Boguś by mnie uprzedził. Zresztą od razu otwarłam kasę i wiedziałam, że znajduje się tam tylko broń. Prawidłowo zabezpieczona, rozłożona. Oddzielnie amunicja, oddzielnie kolby i tak dalej…

– Co pani zrobiła z tymi rzeczami? – przerwał jej Hubert. – Były tu jakieś akta, dokumenty? Notesy, szpargały? Może mąż miał kalendarz, w którym zapisywał, z kim i kiedy się rozliczał?

– Pewnie miał. – Wzruszyła ramionami. – Nie chciałam, żeby to wpadło w niepowołane ręce.

– I? – zniecierpliwił się Hubert. – I co pani z tym zrobiła?

– A nic. Zapakowałam w kartony i kazałam synowi zanieść do piwnicy. Nie wyrzuciłam nawet jednego świstka.

– Możemy to zobaczyć?

– Sama nie wiem – zawahała się. – Wpierw muszę wam coś powiedzieć. Bo myślałam o tych łapówkach, jak zaczęli pisać i gadać w telewizorze, ale może Boguś wcale nie brał od nikogo pieniędzy za darmo.

Alina i Hubert wpatrywali się w nią w napięciu.

– Wszystko zaczęło się, jak mówiłam, kiedy zachorowałam. – Westchnęła. – Do sali, w której leżałam, przywieźli zadbaną jak z Dynastii i podobnie wyniosłą kobietę. Ona też czekała na operację. To była żona zamordowanego w sobotę Portugalczyka. Pani de Souza.

– Diana Gardocka? – upewnił się Hubert. – Leżała w szpitalu z panią?

– Ostatecznie w pokoju najdłużej byłyśmy we trzy. Ja, Diana i jeszcze jedna kobieta o imieniu Isia. Tylko my dwie do dziś żyjemy. Ta trzecia zmarła. Podobnie jak pozostałe. Rotacja była spora, uwierzcie… – Zatrzymała się i zapatrzyła w dal, jakby wspominała wydarzenia z poprzedniego życia. – Czasu było sporo, bo ile można czytać, oglądać filmiki w komórce, a czasem i na to nie było siły. Rozmawiałyśmy. Można powiedzieć, że się zaprzyjaźniłyśmy. To znaczy ja tak

myślałam, bo jak Diana wyszła, nigdy więcej się do mnie nie odezwała, a przecież dzięki mnie rozwiązała swoją małżeńską sprawę… – dodała Iwona z wyrzutem.

– Jaką małżeńską sprawę? – Hubert bezskutecznie próbował zdyscyplinować kobietę. – Może pani mówić jaśniej?

Wskazała im bankietkę pod półką z książkami, a sama przysunęła sobie krzesło zza biurka męża. Usiedli. Iwona zaczęła opowiadać:

– Diana skarżyła się, że mąż ją zdradza. To miał być rodzaj zemsty za to, co ona kiedyś mu zrobiła. Miała kochanka gdzieś za granicą… Boguś mnie odwiedzał, polubili się z Dianą. Może i nie bez przyczyny, bo ta kobieta od początku wiedziała, że mój mąż jest policjantem. Imponowało jej to, a ja byłam dumna, jest to czystą prawdą… Któregoś dnia Diana zaproponowała, żeby Boguś śledził jej męża. Obiecywała za to spore pieniądze. Boguś długo się wahał. Konsekwentnie odmawiał. A ona płakała mi nocami, skarżyła się, jak bardzo jest upokarzana. Było mi jej po prostu szkoda. Wręcz zmusiłam go, wymogłam na Bogusiu, żeby wziął to zlecenie.

Nagle ukryła twarz w dłoniach. Płakała głośno. Tym razem jednak żadne nie wstało, by ją przytulić. Kiedy się uspokoiła, wyprostowała niczym struna i kontynuowała spokojnie, jakby tego przerywnika nie było.

– Boguś mi się nie spowiadał z tego, co robi ani gdzie bywa. Jestem żoną policjanta od czterdziestu lat. Wiedziałam, na co się piszę. Już po ślubie ustaliliśmy, że dla bezpieczeństwa i spokoju rodziny nie rozmawiamy o śledztwach ani o tym, czym Boguś się zajmuje. To obowiązywało także wtedy, kiedy zaczął działać jako detektyw. Myślę, że wykorzystywał swoją pozycję i znajomości, a także system policyjny, żeby rozwiązywać dochodzenia dla ludzi prywatnych. Nagle zaczął mieć pieniądze. To wtedy kupował dzieciom samochody, jeździliśmy na wakacje. Każde dostało od nas duży wkład na

mieszkanie. Starszy syn praktycznie nie brał kredytu. To samo miało czekać na młodszego i córeczkę. No cóż, nie wiem, czy te pieniądze gdzieś są, czy je kiedykolwiek zobaczę. Nie wiem i nie obchodzi mnie to – wzburzyła się. – Bo jestem nieomal pewna, że mój mąż zginął dlatego, że coś odkrył. O Dianie, jej mężu albo tym kimś, kto jest z nimi powiązany.

– Czy mąż brał także zlecenia mokrej roboty? – zapytał całkiem serio Hubert.

– W sensie?

– Czy wiadomo coś pani o tym, by Boguś zabijał na zlecenie?

Iwona się przeraziła. Podniosła dłoń do ust i zaczęła rozpaczliwie kręcić głową.

– Ja nie wierzę, nie wierzę… – powtarzała. – Nie, to niemożliwe.

– Nie pytam, czy pani wierzy – zdyscyplinował ją. – Ale czy widziała go pani z krwią na rękach, miał kiedyś brunatne ślady na ubraniu? Chował broń, zakopywał? Wie pani, o czym mówię, skoro tyle lat żyła pani pod jednym dachem ze śledczym – podkreślił.

– Nie wiem. Raczej nie. Nigdy nic takiego nie przyszłoby mi do głowy – odparła i zaraz umilkła. – To były raczej takie neutralne działania: zbieranie danych, przesłuchiwanie ludzi, oglądanie materiałów wideo. W kółko tutaj siedział i na słuchawkach oglądał jakieś zapisy monitoringu albo z kamer przemysłowych. Nie wiedziałam po co, po prostu zbierał informacje. Nie, nie sądzę, żeby zabijał. Praktycznie jestem tego pewna.

– Na ile procent? – włączyła się Alina. – Na sto?

Iwona spojrzała na nią z nienawiścią, a potem pochyliła głowę.

– Nie na sto – odparła. – Ale na dziewięćdziesiąt. Gdyby Boguś był innym człowiekiem, mógłby to zrobić. Technicznie. Nie sądzę, żeby to się stało, bo owszem, miał pieniądze, ale

sam się nie zmienił. Nie był zdołowany, nerwowy ani nic takiego. Wręcz przeciwnie. Odkąd staliśmy się zamożni, był coraz milszy do życia. Weselszy, bardziej męski…

– Gdzie jest ta piwnica? – przerwał jej Hubert. – Uwolnimy panią od ciężaru materiału dowodowego. Mam nadzieję, że przysłuży się na korzyść Bogusia, a nie mu zaszkodzi.

– Jeśli zabijał, kradł i brał łapówki, trudno, niech to wyjdzie na jaw – oświadczyła twardo Walska. – Ale jeśli znajdziecie tam coś na jego obronę, proszę, ratujcie go. Jego dobre imię. Bo ja chcę go pamiętać właśnie takiego: zapracowanego, uczciwego i niezawodnego.

– Taki właśnie był – szepnęła Alina.

Podeszła do kobiety i nareszcie znów ją przytuliła. Iwona chyba na to czekała. Wtuliła się w ramiona komendantki i oddychała głęboko. Już nie płakała.

– Przepraszam cię za te pytania – wyszeptała jej do ucha Alina. – Ale potrzebowaliśmy tej wiedzy. Dziękuję, że się nią z nami podzieliłaś.

Nagle Walska wyrwała się z objęć Chojnackiej.

– To jeszcze nie wszystko – rzuciła. – W dniu, kiedy Boguś zginął, cały dzień używał tego pagera.

Podała im nieduże archaiczne urządzenie.

– Nie oddałaś tego policjantom z wojewódzkiej? – zdziwiła się Alina.

– Nie chcieli. Powiedzieli, że to im na nic. Nie mają sprzętu, żeby to odczytać, a może chodziło o to, że nie można ustalić abonentów? Nie wiem… W każdym razie daję wam to, bo wiem, że za jego pomocą Boguś kontaktował się z Dianą. Może z innymi klientami również? Głównie chodziło o to, żeby w razie zdemaskowania nie było śladów jego kreciej roboty.

– Jak długo dla niej pracował?

– Pół roku, może dłużej? Bardzo się wciągnął w to zlecenie i był z siebie wielce zadowolony. Mówił, że kobieta nie miała bezpodstawnej obsesji i ten facet faktycznie ją zdradzał z wieloma panienkami. Boguś zrobił ich listę z nazwiskami, adresami, materiałem zdjęciowym, a nawet je pogrupował.

– To dlatego z miejsca zdarzenia wpierw zadzwonił do Gardockiej – skwitował Hubert i spojrzał na Chojnacką. – Mogłem się domyślić, że to podejrzane. Za szybko odebrała. Znali się. Pracował dla niej i wiedział, że ją pierwszą będziemy podejrzewać, więc ostrzegł ją i doradził, by ujawniła spis cudzołożnic, który sam sporządził, co miało nas zmylić.

– Niekoniecznie – szepnęła Alina. – Jego intencje mogły być czyste. W końcu nie miał pewności, że Gardocka nigdy go nie ujawni.

– Wie pani może, jakich jeszcze miał klientów? – Hubert zwrócił się do Walskiej.

– Spotykał się z panem Demianiukiem, to z pewnością – odparła. – Widziałam go kilka razy przed naszym blokiem, jak podjeżdżał swoim porsche. A komu jeszcze służył? Nie wiem, nie pytałam. Boguś zawsze bardzo dbał, żeby nie narażać rodziny. – Zawahała się. – Zaraz, w sumie całkiem niedawno był jeszcze taki łysy, grubawy facet. Coś kojarzę go z telewizji, ale nie pamiętam nazwiska. Takie odzwierzęce. Wypowiadał się nawet w tej sprawie. Chyba też profiler, jak pan.

– Marcel Lisowski? – zdziwił się Hubert. – A co on ma wspólnego z pani mężem?

– Nie wiem. Mówię tylko, że widziałam, jak Boguś wręczał mu szarą kopertę. On w zamian sięgnął za pazuchę i jestem prawie pewna, że zapłacił. Krótko później planowaliśmy chrzciny wnuczka i Boguś powiedział dzieciom, że funduje wszystkim obiad w restauracji.

– Kiedy to było?

– Z miesiąc temu. Chrzciny wnuka odbyły się siedemnastego września. – Walska poderwała się, otrzepała

spodnie. – To ja pójdę po klucz do piwnicy i zejdę z wami od razu.

* * *

*Zdjęcie tej kobiety zajmowało prawie całą stronę naszej lokalnej gazety, a wielką czcionką napisano: „Jedyny świadek zbrodni. Poszukiwana!”.*

*Byłem wściekły.*

*Chciałem krzyczeć, drzeć papier i podpalić nim ten cholerny supermarket, w którym rozdawali publikację. Ale zaraz pomyślałem, że o mały włos bym jej nie zauważył, bo poza sklepową gazetą nigdzie jej nie wydrukowali. Wyjąłem szmatławiec z kosza i przyjrzałem się jeszcze raz tej kobiecie. Wtedy, na parkingu w samo południe, byłem w takim napięciu, że zupełnie nie zapamiętałem jej twarzy. Nigdy bym jej bez tej fotografii nie poznał. Ot, pyzata babka po trzydziestce z wymyślną opaską na głowie.*

*Pomogłem ci – przemówiłem do niej, jakby była obok. – Uratowałem cię od tego dupka, a ty teraz miałabyś mnie pogrążyć? Nie, o nie, nie pozwolę! Znajdę cię, ustalę, gdzie mieszkasz, i zapobiegnę tej tragedii – zadecydowałem.*

*Wklepałem w telefon numer swojego przyjaciela, prokuratora Kulika. Odebrał po pierwszym sygnale i ucieszył się jak głupi. Nie zdążyłem wyłuszczyć, o co mi chodzi, a już zaczął narzekać, że czeka nas zmiana kwalifikacji obu spraw i może być przy tym jeszcze więcej roboty. Obiecał, że mimo to zapłaci za obie moje ekspertyzy, i jeszcze kilka razy mnie przeprosił. Udałem, że zupełnie nie zależy mi na forsie, wyraziłem swoje ubolewanie, a potem zaoferowałem dalszą pomoc i na tej podstawie bez specjalnych korowodów zacząłem go przesłuchiwać.*

*Prymusek potwierdził, że policja nadal nie zna personaliów kluczowego świadka zbrodni na Portugalczyku i jeśli ta kobieta sama się nie zgłosi, nie są w stanie w najbliższym czasie jej zidentyfikować. Fotografia z kamery była ziarnista, mało wyraźna. Tak naprawdę to mogła być każda kobieta*

*w mieście o podobnej tuszy i w tym wieku. Jedynym charakterystycznym elementem, który mógł ją ujawnić, było to dziwaczne nakrycie głowy, które nosiła w krytycznym dniu.*

*– Niestety, są marne szanse na jej znalezienie – ciągnął Prymusek. – Bo do sprawy wmieszał się Meyer ze swoim WWD, a ponieważ mają status Komendy Głównej, nie mogłem tak łatwo tego storpedować. Pomaga mu też szefowa Łomianek, której wyjątkowo zależy na oczyszczeniu z zarzutów protegowanego Walskiego.*

*Już myślałem, że godzinami będzie nawijał o nieistotnych sprawach, kiedy przeszedł wreszcie do rzeczy.*

*– To zdjęcie nie poszło do internetu ani do prasy krajowej. Wszystkie media je dostały, niestety, wycofały publikację, bo przyszło takie zarządzenie z góry. Co innego z tą gazetką lokalną, o której mówisz. Naczelny to stary dziadzio i sam wszystko zatwierdza, posługuje się jeszcze telefonem stacjonarnym, więc nie mogliśmy go złapać, a mejla nie odebrał na czas. Ostatecznie zdjęcie wydrukowano, więc nikomu nie mów. Wolałbym, żeby to nie wyszło. Liczyłem tak po prawdzie, że mało kto się zorientuje… Pech, że wiadomość wydrukowano wcale nie w tej gminie, w której doszło do zdarzenia, bo ja osobiście wierzyłem, że ogłoszenie w mediach ma sens… W każdym razie szukają jej. Meyer kombinuje, Łomianki organizują jakieś prowokacje, działania zakulisowe, żeby kobietę w opasce znaleźć. Twierdzą, że mają kilka tropów. Czy to prawda, sam nie wiem, ale chociaż ten gość jest irytujący, czasami bywa nadzwyczaj skuteczny. Oczywiście podtrzymuję moje wsparcie dla ciebie, żebyś przejął ten wydział w niedalekiej przyszłości. Meyer nie musi się za bardzo starać, popełnia błąd za błędem. On już taki jest… Dam ci znać, jak coś będę miał na stole, bo nakazałem, żeby informowali mnie na bieżąco o każdej porze dnia i nocy.*

*– Chcę z nią rozmawiać jako pierwszy – zażądałem. – Załatwisz to?*

*– Oczywiście, wiadomo! – zapewnił skwapliwie i zaraz zmienił temat. Dopytywał się, kiedy skoczymy na squasha albo*

*piwo. – A może to i to? – zagaił z nadzieją.*

*Przez chwilę zastanawiałem się, czy Prymusek nie jest gejem, bo ciągnie mnie na to piwo jak na randkę już kolejny raz… Nie wykluczałem, że się kiedyś zgodzę, ale teraz miałem pełne ręce roboty. Trzeba było szybko posprzątać.*

*– Mam teraz pilną pracę – wykpiłem się. – Skończę z jedną babeczką, pozamiatam ją i z przyjemnością się z tobą napiję, choćby i łyskacza. Mecz możemy sobie obejrzeć w telewizorze.*

*Zarechotał cały zadowolony.*

*– Dam znać. Dzięki.*

*Rozłączyłem się.*

*Siedziałem jakiś czas oderwany od rzeczywistości i układałem plan. Skoro nadal nic nie mają, jak ja bez całej tej machiny organów ścigania miałbym ją znaleźć? Poza oczekiwaniem na cynk od Prymuska zostało mi tylko jedno. Musiałem zacząć czyścić grunt, bo jeśli faktycznie kobieta w opasce zostanie odnaleziona, będę realnie zagrożony.*

*Zszedłem do garażu i wyjąłem skrzynię. Trzymałem w niej ubranie, obuwie oraz broń, z której strzeliłem do nich obydwóch, bo te, które podrzuciłem, to przecież były tylko zabawki dla picu. Zanim się zorientują, będzie po sprawie. Po namyśle do tego pakunku dorzuciłem jeszcze komórkę Ruiego. Tak naprawdę bardzo chciałem ją zachować, jednak wiedziałem, że ten fant może przesądzić sprawę. A potrzebowałem teraz nokautującego ciosu.*

*Szmaty zabrałem do kotłowni i wrzuciłem do pieca, podpaliłem. Czekałem, aż się zajmą, nadpalą, wygasiłem je i trzymając je szczypcami, zapakowałem do nowiutkiego pojemnika na narzędzia, który specjalnie w tym celu nabyłem w castoramie. Tliły się jeszcze, kiedy dokładałem pozostałe rzeczy oraz telefon tego skurwysyna. Zamknąłem wieko, by uniemożliwić dostęp powietrza. Nie przeszkadzało mi, że się tam zmacerują.*

*Całość zapakowałem do bagażnika i podjechałem pod dom naszej złotej rączki. Zaczekałem, aż się ściemni, a potem*

*podszedłem do jego passata, otworzyłem go kluczem, który kiedyś mu zabrałem, chociaż to był tak stary model, że pewnie wystarczyłby jakiś pręt albo dłuto. Wstawiłem pojemnik między skład innych skrzynek narzędziowych. Byłem przekonany, że facet nie zorientuje się, czy coś mu przybyło. Zapasowy kluczyk do wozu nie był mi już potrzebny, ale nie chciałem go wyrzucać w okolicy. Pojechałem na most Poniatowskiego i na samym środku cisnąłem go do Wisły.*

*Miałem wielką ochotę od razu zadzwonić na numer alarmowy i złożyć doniesienie, ale wiedziałem, że lepiej zaczekać. Jeśli zrobię to nad ranem, od szóstej gliniarze będą mogli działać bez nakazu i wszystko nagle nabierze przyśpieszenia.*

*Z podniecenia praktycznie nie spałem. Nie miałem ochoty na seks, co Małgorzata przyjęła z ulgą. Zawinęła się w swoją kołdrę i miałem wrażenie, że trzyma coś kurczowo pod poduszką. Kiedy wreszcie zasnęła, zajrzałem tam. Spodziewałem się noża, pałki, a nawet spluwy, ale znalazłem tylko książkę o tym, jak odmienić swoje życie w kilku małych krokach. Nosiła tytuł: Twoje nowe życie zaczyna się już dzisiaj. Uznałem, że jak skończy się to wszystko, też muszę ją przeczytać.*

# Rozdział 5

# GRZESZNIK

**26 października (środa)**
**KOMISARIAT W ŁOMIANKACH**

– Chyba go mamy! – Alina na widok Huberta zerwała się od biurka i osobiście zatrzasnęła za nim drzwi. – Siadaj! Czego się napijesz? – dyrygowała.

Była siódma rano, a komendantka wyglądała świeżo i kwitnąco. Nie znać po niej było, że ślęczeli do późna nad aktami, zastanawiając się nad połączeniami spraw i szukając sposobu na zidentyfikowanie kobiety w opasce. Meyer w przeciwieństwie do niej wyglądał jak z krzyża zdjęty. Nos miał czerwony i obtarty od ciągłego wycierania, oczy załzawione. Mdliło go od medykamentów, które wciąż łykał, ale przynajmniej udało mu się zbić gorączkę. Nikt już nawet nie pytał go, jak się czuje, bo parskał i prychał zeźlony, więc wszyscy odsuwali się na bezpieczną odległość i zbywali jego stan milczeniem.

– Może być kawa. A nawet z cukrem i mlekiem. Źle ze mną – mruknął, ułożył głowę na oparciu i na chwilę przymknął oczy.

Już po chwili poczuł, że Chojnacka nim szarpie i przemawia groźnie:

– Zasnąłeś! Normalnie chrapałeś! – Uśmiechnęła się drwiąco.

Podała mu wielki parujący kubek.

– Źle ze mną – powtórzył.

Pochylił głowę i ukrył ją w dłoniach. Zaczął rozciągać twarz, trzeć oczy.

– Nawet nie zauważyłem, kiedy zapadłem w drzemkę. Normalnie mnie odcięło.

– Mówiłam do ciebie – zaśmiała się. – A ty mruczałeś coś przez sen i wciąż powtarzałeś „Wera”. Byłam pewna, że chodzi o twój system behawioralny i że słuchasz… Dopiero kiedy rozległo się chrapanie, zorientowałam się, że śpisz jak kamień.

Przyglądał się jej wpierw rozzłoszczony, ale zaraz sam wybuchnął śmiechem.

– To ty tak na mnie działasz!

– Jestem nudna?

– Nie – zaniepokoił się. – Zupełnie nie o to mi chodziło. Po prostu jak tylko wszedłem, od razu się zrelaksowałem. Pewnie nikt ci nie mówił, ale ja praktycznie nie śpię…

Nie dokończył, bo zadzwoniła komórka Aliny, a zaraz potem zaczęły spływać wiadomości. Komendantka podeszła do biurka, na chwilę zatopiła się w ekranie swojego telefonu, a potem nagle oświadczyła władczo:

– Masz pięć minut na wypicie kawy, wysłuchanie mnie i relaks.

Minę miała poważną, po jej wesołości nie było śladu.

Wpatrywał się w nią bez słowa. Czekał na ciąg dalszy.

– Nic nie słyszałeś, serio?

Pokiwał głową. Sięgnął po swój kubek, upił łyk wrzątku.

– Dobrze, więc powtórzę – westchnęła. – Nad ranem otrzymaliśmy nieoficjalne doniesienie. Zgłoszenie dotyczy samochodu, który był widziany w okolicy Zakochanych Drzew w Łomiankach. Facet widział golasa w krzakach w piątek, tak koło siedemnastej. Zapisał numery rejestracyjne

wozu, bo gość zachowywał się dziwnie. Przebierał się na samym środku otwartej przestrzeni, a potem zbierał z drogi kanistry, jakieś narzędzia. Gdyby nie wielki huk, który później usłyszał, zapomniałby o tym albo opowiadał rodzinie, sąsiadom. Tak czy owak, sprawdziliśmy te numery. Mamy właściciela wozu. A co więcej – rozpromieniła się i wskazała swoją milczącą teraz komórkę – właśnie dostałam wiadomość, że udało się faceta bezproblemowo zdjąć bez ekipy czarnych. Teraz uważaj: to mąż Ilony Pokory. Pan Maciej, złota rączka, mechanik. Pracuje jako budowlaniec. Bardzo zainteresowany wojskowością i należący do sekcji militarnej na Targówku – zakończyła z szerokim uśmiechem, czekając na brawa.

Hubert długo milczał. Marszczył brwi i wykrzywiał wargi. Wreszcie spytał:

– Dlaczego ten świadek zgłosił się dopiero teraz?

– Nie zgłosił się, został zatrzymany – sprostowała Alina. – Mówiłam, że udało się przeprowadzić sprawnie akcję bez czarnych. Prymusek się spisał. Nie stwarzał problemów.

– Chodzi mi o tego donosiciela. Podał swoje nazwisko? Wiemy, kim jest?

– Zgłoszenie było anonimowe. – Alina się wzdrygnęła. – Sprawdziliśmy je. Nie dałeś mi dokończyć. Gość ma pełen bagażnik dowodów.

– Dowodów? – powtórzył Hubert. – Ciekawe.

– Myślałam, że się ucieszysz… Maćka Pokorę bierzemy zaraz na warsztat, ale na nic się zda jego mataczenie i knucie, jeśli technicy potwierdzą mi, że te rzeczy mogły być użyte do tego właśnie pożaru.

– A Walski? – wszedł jej w słowo Hubert. – Dlaczego jego miałby zabijać? Skąd Pokora wziąłby samochód Drina? Jakim sposobem dostałby się do rezydencji Portugalczyka i jego żony? Tam przecież wszystko pod drutem kolczastym i alarmem!

– Nie wiem, nie wiem – powtarzała rozemocjonowana Alina. – Dlatego prosiłam, żebyś natychmiast przyjechał.

Możesz zabrać się do niego sam albo możemy przesłuchać go razem. Chcesz?

Hubert odstawił swój kubek. Otrząsnął się jak pies, który wychodzi ze stawu. Wysmarkał nos, poklepał się po twarzy, by się ostatecznie obudzić.

– Pewnie – rzekł. – Z radością. Ale co z Demianiukiem, jego żoną, wdową po Portugalczyku i młodym hotelarzem? Myślałem, że tym mam się dzisiaj zająć.

– Teraz najważniejszy jest ten facet. Jeśli to Maciek Pokora, mąż Ilony, jednej z kochanek Ruiego, resztę będziemy mogli sobie darować.

– Jak chcesz… – mruknął. – Mógłbym tamte rzeczy zrobić sam, a ty wzięłabyś na pierwszy ogień Pokorę, bo widzę, że jesteś ostro zajarana tym wątkiem.

– Zachowujesz się jak obrażona panna – fuknęła. – Szukasz dziury w całym, bo to nie był twój trop i nie twoje działania doprowadziły do zatrzymania podejrzanego. – Spojrzała na niego taksująco. – Co cię gnębi? Dlaczego nie cieszysz się z tego przełomu?

– Za łatwo poszło – mruknął. – I do tego ten komplecik dowodów na tacy…

– Łatwo? Chyba żartujesz! – żachnęła się. – Gość idzie w zaparte, nie przyznaje się i twierdzi, że to nie jego skrzynka narzędziowa. Żona zaraz przyleciała z mordą, że to zemsta na niej, i zapewniła podejrzanemu żelazne alibi. To na nic, jeśli badania potwierdzą, że szmaty, kanistry i pozostałe akcesoria mogły być użyte do zbrodni na de Souzie. Najważniejsza jest jednak komórka ofiary. Jak tylko się do niej dostaniemy, będzie tam o wiele więcej, niż mieliśmy do tej pory.

Hubert wstał.

– Zanim go weźmiemy, obejrzyjmy może te dowody?

* * *

## WARSZAWA, BUDYNEK PROKURATURY

Prymusek wił się i z całych sił kombinował, żeby nie dopuścić Meyera i Chojnackiej do obejrzenia zawartości bagażnika podejrzanego Pokory. Dlaczego tak się zachowywał, pojęli, dopiero kiedy bez zapowiedzi wdarli się do jego gabinetu i nad skrzynką narzędziową zastali niskiego grubaska z tak głębokimi zakolami na głowie, że wyglądał z przodu jak całkiem łysy. Oczy miał intensywnie niebieskie, świdrujące, usta wydatne, a zęby zanadto wybielone, aż świeciły się z daleka, jakby trzymał w ustach latarkę. Twarz z bliznami po jakiejś chorobie z dzieciństwa. Za to ubrany był jak spod igły. W trzyczęściowym garniturze w prążek i z poszetką dopasowaną do fularu, który fantazyjnie wiązał pod brodą. W jednym ręku odzianym w lateksową rękawiczkę trzymał pędzelek do daktyloskopii, a w drugiej, wcale nie ubranej, pączka wielkiego jak piłka do ręcznej.

– Cześć, Marcel, widzę, że nie zasypiasz gruszek w popiele – zagadnął Hubert, chociaż w pierwszej chwili był w takim szoku, że nie od razu udało mu się wydobyć z gardła słowa powitania. – Zmieniłeś się przez te lata. Ile to już będzie? Dziesięć, piętnaście? Imponująca kariera, zwłaszcza jak na kurs internetowy… Zupełnie cię nie poznałem, wybacz. A może wolisz, żebym zwracał się do ciebie doktorze Lisowski?

– Inspektor Meyer, co za niespodzianka! – Wystrojony profiler skłonił się zupełnie niezrażony jadem, którym częstował go były mentor. – Lisek jak kiedyś wystarczy. Jestem przyzwyczajony, że od dziecka nikt nie mówi do mnie po imieniu, a dziś nawet zaufani dziennikarze zwracają się do mnie ksywą. Nie przeszkadza mi, za to tytuły naukowe mamy takie same, z tego co słyszałem? – Zrobił niewinną minkę.

– Cóż, ja jeszcze nie mam habilitacji – z niechęcią przyznał Hubert. Wskazał podbródkiem skrzynkę, w której grzebał Lisek. – Co tutaj mamy?

– To jakiś pojedynek? – W ich dyskurs włączył się prokurator Kulik. Minę miał taką, jakby rozkopali grób jego matki. – Panowie, usiądźcie, wpierw porozmawiamy. Pani

komendant, zapraszam na honorowe miejsce. – Wskazał fotel wyglądający jak narzędzie tortur.

Alina karnie go zajęła. Mężczyźni jednak twardo pozostawali w pozycji stojącej. Nie odzywali się, mierzyli się nawzajem wzrokiem. Każdy udawał, że obecność drugiego w tym dochodzeniu go nie rusza, ale napięcie można by było kroić.

– O czym tu rozmawiać? – zaczął Lisek. – W mojej opinii sprawa jest oczywista. Maciej Pokora nie tylko pasuje do mojego profilu, ale posiada dowody swojej winy i motyw.

– Tak, a niby jaki? – fuknął Hubert i również pochylił się nad skrzynką zarekwirowaną w aucie podejrzanego.

– Zazdrość – odparł Lisek. Przymknął oczy, jakby sięgał w głębiny swojej duszy, do źródeł talentu, poszukiwał wizji zabójcy, tak jak to pokazują na filmach o profilerach. – Żona zdradza go z Portugalczykiem i facet dowiaduje się o tym. Dzwoni, żeby się umówić z konkurentem, rozwiązać sprawę po męsku. Zależy mu na tej kobiecie, chce bronić swojej rodziny, własnego stada. Nie może i przede wszystkim nie chce pozwolić, by jakiś bęcwał zepsuł jego idealny świat. Tamten się buntował, więc gość go uciszył. Pewnie wcale nie szedł na to spotkanie, by zabić… Ot, emocje go poniosły, a potem zostało tylko zatarcie śladów. Komendant Walski wpadł na jakiś trop mogący zidentyfikować sprawcę. Podejrzany usunął więc świadka. Kluczem i jądrem obu tych spraw jest odwet na Portugalczyku – zakończył wielce z siebie zadowolony.

– Skoro nie szedł, by zabić, tylko porozmawiać, po co brał ze sobą kolano? – mruknął Hubert. – Mógł powiedzieć to samo przez telefon, napisać mejla, pogadać z żonką. Zresztą słuchaliśmy pani Ilony zaraz po zdarzeniu. Maciek Pokora nie wiedział o jej zdradzie. A w ich małżeństwie nie jest tak różowo, jak sugerujesz. Tam stada nie ma. Chyba że zaliczasz do niego panią teściową i resztę hałastry, bo Ilona mieszka na kupie u rodziców Pokory, z jego bratem, bratową i hordą

bratanków. Pewnie od tego bajzla uciekała w romans z milionerem. Zresztą mało satysfakcjonujący romans.

– Nie wiemy, co łączyło panią Ilonę i Ruiego. Nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić, bo jej zeznania nie będą obiektywne, a sam zainteresowany nie żyje – odciął się Lisek. – A nawet jeśli w małżeństwie Pokorów nie jest różowo, to Ilona murem stoi za mężem. Złego słowa o nim nie mówi. Zachowuje się tak, jak można oczekiwać od wiernej i szanującej męża małżonki.

Hubert zarejestrował, że Lisek określił ofiarę protekcjonalnie, imieniem.

– Znaliście się?

– Nigdy jej nie spotkałem – odparł Lisek.

– Z Ruim – sprecyzował Hubert. – Bo z Walskim z pewnością tak. – Urwał.

Alina przenosiła wzrok z jednego na drugiego i widać poczuła, że za chwilę dojdzie do ostrej wymiany zdań, bo się włączyła:

– Panowie, gramy do jednej bramki. Nie ma co się kłócić.

– A kto się kłóci? – Meyer podniósł głos. – Mówię tylko, że pan Lisek wyprowadza hipotezy z dupy. Dopasowuje dowody do teorii, które zamówiła prokuratura w osobie pana Kulika. To niezgodne ze sztuką. Trzeba myśleć odwrotnie!

– Pan na za dużo sobie pozwala, Hubercie. – Prymusek wziął w obronę swojego człowieka. – To, że w ogóle nie wyprosiłem was jeszcze z mojego gabinetu, powinniście poczytywać za akt mojej dobrej woli.

– A dlaczego miałbyś nas wypraszać, Sergiuszu? – zwrócił się do niego Hubert uniżenie słodko. – To ten pan jest tu nielegalnie. My mamy rozkaz pracy nad tą sprawą. Zresztą po nietrafionych opiniach, które omal nie storpedowały obu śledztw, Lisek już dawno powinien zostać wyłączony i gdyby był w strukturach, zajmowałaby się nim komisja dyscyplinarna.

– Jak śmiesz! – oburzył się Lisek, ale minę miał zadowoloną.

– Przecież to bzdury, co napisałeś o samobójstwach obu panów! – ryknął Meyer. – A teraz nieoczekiwanie sprawca podrzuca nam na tacy skrzynkę pełną dowodów przeciwko Bogu ducha winnemu budowlańcowi i huzia na Józia, zmieniasz nagle front, produkujesz opinię typologiczną, która pasuje jak ulał do hipotezy twojego kumpla Prymuska. Robisz te same błędy co przed laty! Prosiłem cię, Marcelu, żebyś zastanowił się jeszcze, zanim wejdziesz do tego zawodu, czy masz siłę brać odpowiedzialność za swoje błędy, i widzę, że nie. Już wtedy się co do ciebie nie pomyliłem!

– No cóż, widzę, że mamy tutaj do czynienia z osobistą urazą i emocjami. Zrzucam to na karb twojego złego samopoczucia, Meyer, a teraz proszę, żebyście natychmiast wyszli. Wybacz, Alino, i nie bierz tego do siebie… – Prymusek przyjął służbowy ton, przepraszająco zerkał na przyjaciela. – Usiądź, Marcelu, zaraz wrócimy do rozmowy. To bardzo ciekawe, co mówiłeś. Brzmi fascynująco.

Hubert się nie ruszył. Wpatrywał się w komendantkę, która wyraźnie miała mieszane uczucia i nie wiedziała, po czyjej stronie stanąć.

– Zgłoszenie było anonimowe. Moim zdaniem sprawca z nami pogrywa – oświadczył Meyer. – Jeśli podrzuca nam teraz Pokorę, to przygotował to tak, żebyśmy się nabrali. Nie chcemy wpierw tego sprawdzić?

– Ależ sprawdzaj sobie! – Prymusek podniósł głos. – Masz zlecenie? Działaj. Nam nie przeszkadzaj, bo tak się składa, że doktor Lisowski również nie przybył tutaj z towarzyską wizytą. Osobiście włączyłem go do sprawy. Zajrzyj do akt, zanim zaczniesz szczekać!

– Doprawdy trudno w to uwierzyć – żachnął się Hubert. Sięgnął po pączka z talerzyka Prymuska. Był nieco mniejszy niż ten, który wcześniej pożerał Lisek, ale za to z górą bitej śmietany i oblany czekoladą. – Pyszne – wymruczał, kiedy ugryzł wielki kęs. – Warto wpadać do ciebie na śniadania,

Sergiuszu. Pytanie mam jedno, za to podstawowe. Czy zanim pan Lisowski grzebał w tej skrzyni, jakiś technik to zbadał?

Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Alina odchrząknęła.

– Przeginasz – szepnęła. A potem zwróciła się do prokuratora. – Przepraszam, już wychodzimy. Pogadamy z ekspertami, a jak będę miała chwilę, zadzwonię, dam ci znać, co ustaliliśmy. Kto robił oględziny wozu Pokory?

W pomieszczeniu panowała cisza.

– Nikt jeszcze tego nie widział? – Hubert się uśmiechnął. – Formalnie to kwalifikuje ten dowód jako nieistotny. No cóż, rozumiem jednak, dlaczego tak ryzykowałeś. Cywil nie może brać udział w postępowaniu. Co innego rozmowa przy pączkach w twoim gabinecie. – Odłożył niedojedzone ciastko na talerzyk prokuratora, wypił jego kawę. Oblizał usta, jakby w życiu nie jadł nic pyszniejszego. – Daj znać, jak to zbadacie. Trudno wyrokować o winie podejrzanego na podstawie spalonych szmat i podrzuconego telefonu. Zresztą nieczynnego.

Wstał, spojrzał na Alinę, dając jej sygnał, że jest gotów do wyjścia.

– I tutaj się mylisz – odezwał się sam Lisowski. – Byłem na obu miejscach zdarzenia i dokładnie zbadałem teren pod kątem śladów behawioralnych. W Łomiankach nie miałem jeszcze zgody prokuratury, za to dzięki Sergiuszowi na miejscu spalenia auta Demianiuka, gdzie zginął Walski, stawiłem się zaraz po odkryciu wraku. Ciebie tam nie widziałem.

– Na jakiej podstawie dopuściłeś go do sprawy? – warknął Hubert.

Prokurator Kulik podał stosowny paragraf. Nic więcej nie powiedział. Zacisnął usta i rzucał wściekłe spojrzenia na gości. Alina podniosła się, chwyciła Meyera za ramię i niemal siłą wyprowadziła z pokoju. Zdołał jednak zatrzymać się w drzwiach i zwrócić do doktora Lisowskiego:

– Miesiąc przed tymi tragediami widziałeś się z Walskim. Co dla niego robiłeś?

Na twarzy profilera wykwitło zaskoczenie. Trwało milisekundę, może dwie. Zaraz się rozpogodził, a nawet uśmiechnął.

– Niestety nie dane mi było poznać komendanta Walskiego – odparł z przekonaniem. – Żałuję.

– Doprawdy? – Hubert się skrzywił. – To pewnie jakieś nieporozumienie. Ktoś cię z kimś pomylił. Porozmawiam raz jeszcze z tym świadkiem. Bądźmy w kontakcie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę swoich marlboro oraz zapalniczkę.

– Wciąż palisz davidoffy? – zwrócił się do Liska, który nagle zbladł i zamarł w bezruchu.

– Rzuciłem – padło w odpowiedzi. – Będzie już z piętnaście lat.

Meyer nic nie odpowiedział. Wziął Alinę za rękę i pociągnął ją do korytarza, jakby natychmiast musiał jej coś opowiedzieć.

* * *

## BRÓDNO, OSIEDLE PRZY KONDRATOWICZA, WARSZAWA

Hubert zaparkował w tym samym miejscu co ostatnio i piechotą przez trawnik skierował się do bloku, gdzie mieszkała pani Tyburkowa. Przed klatką nie było ekipy osiłków, z którymi rozmawiał ostatnio. Rozejrzał się, zastanowił. Wreszcie podszedł do domofonu i zadzwonił do matki Aruna. Odebrała po pierwszym dzwonku. Przez urządzenie głos miała zniekształcony, skrzekliwy, więc w pierwszej chwili nie był pewien, czy rozmawia z Elżbietą. Przedstawił się, uprzedził, że nie chce przeszkadzać, i przeprosił za najście. Natychmiast zaprosiła go na górę.

– Nie mam czasu – rzucił. – Słuchaj, muszę znaleźć jednego chłopaka. Przyjaciela twojego syna. Gość siedział za

złodziejstwo. Ma wytatuowane kropki koło oczu i pomagał w poszukiwaniach. – Zawahał się. – I chyba dziecko z kobietą, która też się wczasuje. Nie wiem za co.

– A tak, Franek – domyśliła się od razu. – Jako dziecko był przeuroczy, uwodził wszystkie matki w piaskownicy, a teraz niestety za dużo pije. Mieszkają na ostatnim piętrze, w dawnej suszarni. Franio ma teraz nową narzeczoną. Przemiła osoba. Wszyscy trzymamy za nich kciuki. Chcesz, to podejdę, żeby cię wpuścili. Inaczej nie będą chcieli rozmawiać.

– Byłbym wdzięczny. To pilne – mruknął. – Przepraszam, ale nie mam jeszcze żadnych nowych wiadomości w sprawie zaginięcia Aruna. Pracujemy nad tym. Niestety śledztwo się skomplikowało…

– Widziałam, że ten policjant z Łomianek zginął – podchwyciła. – Myślisz, że to ma związek?

– Nie wiem i nie mógłbym ci tego powiedzieć, a już na pewno nie przez domofon – odparł.

– Zaczekaj, wchodzę na górę i zastukam do Frania. Pogadacie sobie, a jak będziesz miał chwilę, to zajrzyj do mnie.

Szczęknęły drzwi i Hubert pchnął je, wszedł do klatki. Nim zdołał wspiąć się po schodach, facet z dziarami przy oku już na niego czekał. Woniało od niego nieprzetrawioną wódką, potem i kiełbasą. Minę miał jednak zaciekawioną i wcale nie strugał koguta jak ostatnio. Z mieszkania dobiegał płacz niemowlęcia. Darło się, jakby cięli je na pasy.

– No i przyszła koza do woza! – Franio rzucił wesoło, jakby byli kumplami.

Meyer zmarszczył się, łypnął na chłopaka groźnie.

– Nie przekazali ci? – Tym razem na twarzy Frania wykwitło zdziwienie.

Hubert pokręcił głową.

– Szukałeś mnie? – upewnił się. – Miałeś dla mnie jakąś wiadomość?

– Może?

– Wal śmiało – zachęcił go Hubert.

– To chyba już nieaktualne. – Chłopak założył ręce na muskularne ramiona. – Byliśmy u tego komendanta, którego wskazałeś, a który już jest dead. Informacja miała być płatna. Obiecał, że ci przekaże i sam uregulujesz.

Hubert skrzywił się, spojrzał na czubki swoich butów, policzył do dziesięciu, by się uspokoić.

– Nie powiesz nic oficjalnie? – upewnił się.

Młody nieznacznie pokręcił głową.

– Ile?

Hubert włożył rękę do kieszeni i wyciągnął portfel. Wiedział, że wewnątrz nie znajdzie zbyt wielu banknotów, ale był gotów pojechać do bankomatu, jeśli rzecz warta była zapłaty.

– Weź mnie nie obrażaj! – oburzył się Franio. – Potrzebowałem przysługi, ale jak mówię, to już nieaktualne.

– Bo Walski nie żyje? – wychrypiał Meyer. – To dotyczyło jego?

Młody znów pokręcił głową. Uśmiechał się półgębkiem.

– Jesteś zainteresowany? – Bawił się nim. – Aż się palisz, żeby się dowiedzieć…

– To zależy, z czym przychodziłeś.

– Sądzę, że będzie pan zadowolony – mruknął chłopak. – Jestem tego pewien.

– Więc dlaczego rzecz straciła termin ważności?

Młody obejrzał się za siebie. Dziecko przestało już płakać i zapadła cisza.

– Nie chciałem forsy, tylko przysługi. Zależało mi, żeby moja ślubna nie wyszła na przepustkę. Kręci, kombinuje, w kółko z nią kłopoty. Lepiej mi, kiedy jest bezpieczna, a garować będzie jeszcze minimum sześć lat. Bałem się, że

popsuje mi nową relację. No cóż, nie pojawiłeś się na czas, stara żona wróciła, ale o dziwo polubiły się z moją nową dziewczyną. Piją teraz razem i chichoczą, że pewnie jestem twoim uchem. Tylko jak bierze na ręce małego, to drżę, czy drugiego nie załatwi. I znów powie, że to był wypadek… – Umilkł.

Hubert nie wiedział, co powiedzieć. Nie chciał wchodzić w temat dzieciobójczyni ani pocieszać chłopaka. Z doświadczenia wiedział, że wszyscy bohaterowie dramatu są zwykle siebie warci.

– Możemy się dogadać, że jak będziesz w przyszłości czegoś podobnego potrzebował, to zadzwonisz. – Sięgnął do kieszeni. Podał wizytówkę. – Możesz zapisać numer i wyrzucić, a jak chcesz, to zaraz puszczę ci szczura. Następnym razem szukaj mnie w budynku ministerstwa. Pracuję w Głównej.

– Fiu, fiu – gwizdnął Franio. – Może i mnie się to opłaci.

– Gadaj – zniecierpliwił się Hubert.

Chłopak wpatrywał się w niego jeszcze chwilę, jakby analizował, czy nie potrzebuje jednak zaliczki. Hubert odczytał jego intencje. Wyciągnął z portfela wszystkie banknoty i wcisnął mu do ręki.

– Nie robię tego dla tej garstki hajsu, jasne? – zastrzegł Franio.

– Nikt się nie dowie o naszym układzie – zapewnił Hubert. – Mnie też to nie na rękę. Słuchaj, jak nie chcesz gadać, to nie gadaj. Jestem tutaj w innej sprawie, bo potrzebuję pomocy twoich chłopaków na dzielnicy. – Hubert zdecydował się nie owijać w bawełnę. – Pokorę znasz pewnie? Gościa dzisiaj psiarnia zawinęła. Miał ponoć w bagażniku kupę fantów do jednej ze spraw, nad którą pracuję.

– Wiem który – odburknął Franio. Mówił ochoczo, jakby mu ulżyło, że Meyer już nie ciśnie, z czym przychodził do Walskiego. – Maciuś nie należy do nas. To zwykły robol. Chodziliśmy razem do budy. On nawet dnia w poprawczaku

nie był. Ale pakuje, czasami przyćpa, szkoda gościa, bo go wrabiają.

– Fanty, o których mówię, zarekwirowano w jego samochodzie.

– W tym struclu?

Hubert potwierdził.

– Potrzebuję, żebyś rozpuścił wici wśród swoich, czy nikt nie widział na dzielni w ostatnich dniach tego gościa. – Wyświetlił zdjęcie Marcela Lisowskiego. – Puszczę ci esemesem, to od razu będziesz miał mój numer. To jak? Mogę liczyć na waszą pomoc?

Chłopak się zawahał.

– Wiem, kto to jest – oświadczył. – Cały czas pokazują go w telewizorze.

– Tak. I dlatego lepiej będzie, jeśli nie powiesz o tym żadnej ze swoich bab.

– Aha. – Franek zagryzł wargę. – Sam nie wiem, to trochę śmierdzące.

– Jak skurwysyn – przyznał Meyer. – Ale rzeczy są powiązane. Sam się wściekałeś, że nikt Aruna nie szuka. To ciąg dalszy tamtej sprawy.

– Dobra. – Franio zdecydował w jednej chwili. – To od razu ci powiem, co chciałem wcześniej sprzedać, bo może ci się w tej sytuacji przyda. – Zawahał się, nachylił do Huberta, aż profilerowi zakręciło się w głowie od tego pijacko-ćpuńskiego smrodu, a potem wyszeptał: – Ta kurwa, żona Portugalczyka, przez którą zginął nasz Arun, była tutaj w ubiegłym tygodniu. W piątek w nocy dokładnie.

– Wiemy o tym. Odwiedzała panią Tyburkową.

– Może i tak. Ale u Eluni była ledwie kwadrans. Przywiozła jej żarcie, nowe ciuchy, słodycze i trochę forsy. Potem spotkała się z nami, jak ty teraz, na pogaduszki.

– O czym?

– Chciała, żebyśmy skasowali jej męża. Mówiła, że to przez niego Arun zaginął. Płakała, wydziwiała. Obiecywała złote góry i że po wszystkim pomoże nam zniknąć. Ma ponoć kontakty tam w Portugalii. Na jakiś czas kiler miałby się tam ukryć.

– Wziąłeś zlecenie? Bo Elżbieta pewnie skierowała ją do ciebie?

– Obiecałem, że skonsultuję się z bratem Aruna, czy nie chciałby się zemścić. Mieliśmy to zrobić we dwóch. Ponieważ czasu było sporo, kazałem jej kupić rozpuszczalnik i benzynę do spalenia ciała. Miała też we własnym zakresie załatwić spluwę. Powiedziała, że to nie problem, bo zna jednego detektywa, który ma kasę pancerną pełną takich gnatów. Wszystko wyglądało poważnie. Tylko że ona więcej się u nas nie pojawiła, a w sobotę rano radia podały, że w Łomiankach ktoś został zamordowany. Od razu wiedziałem, że chodzi o Portugalczyka.

– Mówisz prawdę? – upewnił się Hubert, chociaż pytanie o to ćpuna, złodzieja i kryminalisty było czymś absurdalnym. Informacja była jednak tak wstrząsająca, że nie wiedział, jak zareagować.

– Mówię, co mówię – obruszył się Franio. – Gdybym to zrobił, już by mnie tutaj nie było. Suka wkurwiła mnie, że tak się nami zabawiła, a potem kto inny wziął zlecenie.

* * *

## KOMISARIAT W ŁOMIANKACH

Ilona poderwała się z krzesła na widok maszerującego w kierunku gabinetu komendantki Meyera. Nie patrzył na boki, skupiony na własnych myślach. Minę miał zaciętą, spojrzenie groźne.

– Mogę cię na chwilę prosić? – Szarpnęła go w biegu za rękaw.

Zatrzymał się, spojrzał na jej dłoń, którą wciąż zaciskała na jego kurtce. Puściła natychmiast.

– Przepraszam. – Zamrugała gotowa się rozpłakać. – Po prostu muszę z kimś pogadać. Nikt mi nic nie mówi, a Maćka dziś rano zatrzymali. Wychodził do pracy, pakował rzeczy do bagażnika, kiedy rzucili go na maskę, a potem na ziemię… Wybiegłam, bo z okna zobaczyłam, co się dzieje, ale kazali mi wracać do domu. Ja, teściowa, jego bracia i siostry nic nie rozumiemy!

– Podobno byłaś już rozpytywana – zauważył.

– Do domu teściów przyjechała jakaś młoda funkcjonariuszka. Miła, oficjalna, urzędniczka raczej niż detektyw. Zanotowała godziny, w jakich mąż wychodził z domu, i potwierdziłam, że całą noc był ze mną. W sumie niczego się nie dowiedziałam. O co tutaj chodzi?

– Może ty mi powiesz? – syknął. – Zapewniałaś, że twój mąż o niczym nie wiedział!

– A więc to prawda? – Podniosła dłoń do ust. – Chcecie oskarżyć go o te zbrodnie?

Meyer się rozejrzał. Alina Chojnacka wyszła z gabinetu zaalarmowana krzykami i stała w niedalekiej odległości, przyglądając się im, lecz zapewne niewiele słysząc.

– Zaraz przyjdę – zawołał do niej. Pokiwała głową i schowała się w swoim pokoju.

– Chodź. – Hubert dał znak dziewczynie.

Ruszyli do wyjścia, a potem za róg budynku. Meyer zatrzymał się koło śmietników, gdzie ustawiono popielniczki. Była to nieoficjalna palarnia w tej jednostce. Dopiero kiedy się upewnił, że są sami, rzekł zniżonym głosem:

– Nie mogę ci nic powiedzieć, ale ty możesz pomóc mężowi, jeśli ci zależy i go kochasz.

– On jest niewinny! – krzyknęła. – Był w piątek w pracy, a potem cały czas w domu. Nigdzie nie jeździł, przysięgam! Ta policjantka pytała mnie też o wczorajszy dzień i noc. Byliśmy na zakupach, a potem zrobiliśmy sobie randkę… Mówiłam ci, że staramy się o dziecko. Maciek wynajął od

kolegi mieszkanie, żebyśmy mogli chociaż trochę być sami. Tam byliśmy całe popołudnie i noc. Nad ranem wróciliśmy i zaraz go zgarnęli. W domu jest strasznie! Teściowa mnie obwinia, bo wydało się, że spałam z Ruim. Ktoś wpuścił informacje do internetu. Na nic zaprzeczanie. Ona i tak mnie nienawidzi.

– To, że byliście tylko we dwoje nocą, niewiele pomoże twojemu Maćkowi. Walski zginął w ciągu dnia. To samo z Portugalczykiem. Twoje zeznania mają tylko częściową moc. Kiedy dokładnie w piątek dwudziestego pierwszego mąż wrócił z pracy?

Zawahała się.

– Jak zwykle. Około dwudziestej.

Meyer pokręcił głową.

– Bardzo mi przykro – rzekł. – Pracował z kimś? Ma swoją ekipę?

– Był na zleceniu. Sam. Niestety… – dorzuciła z wahaniem, bo już rozumiała, w jakich opałach się znajduje. Nagle się zapaliła: – Ale ja nie wierzę, że on mógłby to zrobić! Nie wierzę, po prostu nie…

– Mówiłaś, że jest wyrywny, że nie chcesz, żeby się dowiedział. Skąd możesz mieć pewność, że nie zrobił krzywdy rywalowi? Ludzie różnie reagują na takie wiadomości.

Pochyliła głowę.

– Myślę, że prędzej zrobiłby krzywdę mnie. Nie tamtemu. Nie był też na tyle sprytny, żeby znaleźć Ruiego. Musiałby przecież do niego zadzwonić, pójść… Skąd, jak? Nie, on nie jest z tych gości, którzy szusują po internecie i dobrze sobie radzą z technologią. A jeśli już, to obiłby mu mordę, potem mnie stłukł i zażądał rozwodu. Może skorzystałby z okazji, żeby wydostać się z tego małżeństwa, bo chyba mu ciąży. Nie był na nie gotów. To ja naciskałam – trajkotała. – Niepotrzebnie się śpieszyliśmy. Maciek chciał wpierw zarobić na mieszkanie, zbudować firmę i dopiero się ustatkować. To

wszystko moja wina. Pewnie nie chce mnie już znać. Wolę nie myśleć, co czuł, kiedy dowiedział się o zdradzie w taki sposób. Myślisz, że mogę się z nim spotkać?

– Wykluczone – powiedział Hubert. – Istnieje groźba mataczenia. Prokurator nigdy nie wyrazi na to zgody. Ale możesz pisać, posłać mu paczkę. Pamiętaj, że wszystko będzie cenzurowane.

– Och… – westchnęła tylko. – Co teraz z nami będzie?

Hubert skończył palić. Zgasił papierosa w popielniczce. Spojrzał na dziewczynę.

– Widziałaś, żeby mąż kiedykolwiek kłócił się z Ruim? Mieli może otwarty konflikt, coś zauważyłaś?

– Nie ma mowy. Bardzo go podziwiał, był nim zachwycony. Chciał być taki jak de Souza. I na bank nic nie wiedział. Od razu zrobiłby mi awanturę, coś bym wyczuła!

– A komendanta Walskiego znaliście?

– Tylko go kojarzę, jak przychodziłam ostatnim razem. Trudno nie zapamiętać tak potężnego faceta. Jestem za to całkowicie pewna, że Maciek nigdy go nie spotkał. Widzisz, on starał się nie zadzierać z policją, chociaż was nie lubi, od lat nie dostał nawet mandatu… Trzymał się z dala od swojej ekipy ze szkoły, bo wszystko to kryminaliści. On pracował, naprawdę bardzo ciężko, to uczciwy człowiek. I nie, raczej nie mieli styczności z tym Walskim.

– Teraz wszystkie wasze media będą monitorowane – ostrzegł ją. – Mąż miał komputer, komórkę, iPad?

– Wszystko zabrali.

– Tak myślałem.

Stali jakiś czas każde pogrążone we własnych myślach.

– Słuchaj, czy ten wóz jest dobrze garażowany? Gdzie parkujecie?

– Pod domem. Nigdy nie wynajmowaliśmy parkingu.

– A więc teoretycznie każdy miał do niego dostęp – uściślił Hubert. – Ktoś poza mężem miał klucz do waszego passata? Pożyczaliście komuś auto? Macie oba klucze do samochodu? Czy znajdziesz w domu zapasowy?

– Wszyscy w jego rodzinie mają swoje auta. To stare strucle, ale wszyscy się dorabiają i szkoda forsy na zbytki. Czasy są ciężkie, inflacja… Nie wiem nawet, czy jest jakiś drugi kluczyk do tego passata… – zastanowiła się na głos. Nagle pojęła, krzyknęła uradowana: – Ty myślisz, że ktoś podrzucił mu tę skrzynkę?

Hubert wzruszył ramionami.

– Dowiedz się, gdzie jest zapasowy klucz, i jak go znajdziesz, przyjdź do mnie. Numer znasz, dawałem ci już wizytówkę. A przy okazji rozmów się z Franiem z Bródna. Obiecał mi coś, jeśli znajdzie jakiś trop, natychmiast dzwońcie.

Pochyliła głowę, zarumieniła się.

– Wyrzuciłam twoją kartę wizytową. Byłam głupia… Dasz mi drugą?

Podyktował jej swoją komórkę.

– Znasz może hasła do mediów społecznościowych męża, jego aplikacji? Czasami żony z łatwością potrafią odgadnąć kody, bo tak dobrze znają bliskich.

– Maciek zawsze używał tego samego hasła – odparła. – Mogę ci je podać… A po co to wszystko? Chcesz się do niego włamać?

– W żadnym wypadku! – zaprzeczył. – Ty wejdziesz do jego mejli i przeszukasz, co się da. Jak znajdziesz coś interesującego, odezwij się. Niczego nie kasuj, pamiętaj, że nasi magicy od IP są w stanie wszystko odtworzyć w historii pracy jakiegokolwiek komputera. Jeśli twój małżonek zemścił się na Portugalczyku za ciebie, w twoim interesie jest zachować spokój i ewentualnie dobrze się rozwieść. Nie finguj dowodów, nie niszcz ich. Rozumiesz?

Potwierdziła.

– A teraz idź i pogadaj, z kim się da, na osiedlu. Może znajdziesz sposób na zdobycie alibi dla męża? No i teściowie niech poszukają dobrego adwokata. Nie zostawiajcie życia Maćka w rękach człowieka z urzędu, bo pójdzie siedzieć za głowę z tym, co na niego mają.

– Dziękuję ci – wyszeptała. – Bardzo doceniam twoją pomoc i rady.

– Nie robię tego, żeby ci pomóc – zastrzegł. – Muszę znaleźć alternatywne rozwiązanie tej sprawy.

– Ty nie wierzysz, że Maciek to zrobił? – spytała z nadzieją.

– To nie jest kwestia wiary, tylko logiki. Nie obraź się, ale twój mąż to nie myśliciel. Może gdyby miał instrukcję, skonstruowałby ładunek samozapalający, a nawet oblał ziemię benzyną, ale nie zdołałby tak sprytnie manipulować dowodami po tym wszystkim. O samych zabójstwach się nie wypowiadam. Trzeba do tego zimnej krwi, ale pod wpływem emocji wielu najgrzeczniejszych i najbardziej ciapowatych facetów budzi w sobie lwa, więc to nic pewnego. Niepokoi mnie, że zostawił skrzynkę we własnym bagażniku, kiedy od kilku dni wszystkie media o tym trąbią. Po co? – zamyślił się na głos.

– Musisz wiedzieć o moim mężu jedno – zaczęła z powagą. – Może i faktycznie prosty z niego chłopak, ale warsztat zostawia wzorowo. Jest czysty, zadbany. Klienci zawsze go chwalą, że po sobie sprząta. Gdyby dokonał zbrodni, z pewnością starałby się ukryć wszystko, co mogłoby go z nią wiązać, a już na pewno nie chowałby telefonu zmarłego do własnego bagażnika!

– Może taki miał plan i coś mu przeszkodziło? – zasugerował Hubert. – Rzeczy były spakowane, a ubrania nadpalone. Próbował je zniszczyć.

Dziewczyna kręciła głową, mrugała długimi jak firany rzęsami.

– Teściowie mają piec. Wrzucają do niego wszystko, co się da, chociaż to niedozwolone. W ubiegłą zimę kroili opony. Smród był taki, że myślałam, że zaczadziejemy, a oni tak oszczędzają na śmieciach. Butelki pet, stare gazety, szmaty, buty i tak dalej. Wszystko, co niepotrzebne, kończy w piecu centralnego ogrzewania. Powiedz, jaki byłby problem wrzucić to wszystko do pieca, nawet razem z telefonem, a dopiero potem gdzieś go zakopać? Że nie wspomnę o broni. Nigdy u Maćka nie widziałam pistoletu. Fascynował się militariami, należał do tego klubu, ale to jest amatorszczyzna. Oni tylko chodzą na marsze i szykują jakieś rekonstrukcje. Bawią się jak mali chłopcy żołnierzykami. W gruncie rzeczy mój mąż to pacyfista.

– To się okaże. – Hubert wreszcie jej przerwał. – Zrób mi listę klientów, dla których pracował Maciek. Jak rozumiem, tym samochodem jeździł do pracy?

– Zgadza się – potwierdziła. – A klientów miał ostatnio tylko kilku, może kilkunastu, bo starał się, jak mówiłam, czasami bywać w domu. Część nazwisk mogę ci podać od razu, a namiary znajdę w jego skrzynkach i ci podeślę.

– Nie – orzekł Hubert. – Zapiszesz je na kartce i przed wyjściem z tego budynku podasz przez sekretarkę Chojnackiej. Niech w elektronice nie będzie żadnych zapisów naszego układu.

* * *

W recepcji H15 siedziała ta sama dziewczyna co ostatnio, a kiedy Meyer przekroczył próg hotelu, pomachała do niego wesoło.

– Hej, jak się masz? Proszę, poczęstuj się cydrem. Mamy teraz taki nowy zwyczaj.

Podsunęła mu pod nos szklankę złocistego płynu.

– Czytam właśnie, że rozwiązaliście sprawę zabójstwa naszego gigi amoroso. – Zaśmiała się.

Hubert uśmiechnął się krzywo, by jej nie urazić, a potem oparł się o kontuar.

– Jak idzie w szachach? Ile wygrałaś?

– Nic nikomu nie mów, ale mam drugą pensję. – Puściła do niego oko.

– Pamiętasz, jak staliśmy tutaj razem i obsługiwaliśmy gości?

– No. – Spoważniała. – Skopiowałeś dane klientów. Oliwier był na mnie strasznie zły. Groził, że mnie zwolni.

– I jak go udobruchałaś?

– Powiedziałam, że mnie sterroryzowałeś. Zmusiłeś. Nie miałam wyboru. Szczęście, że poza potwierdzeniem pobrania plików nie zostawiłeś śladów. Uff, ale najadłam się strachu. Jesteś mi winien kawę albo i kino – Mrugnęła do niego zalotnie. – Może wtedy wybaczę…

Przyjrzał się jej. Była młodsza od jego synowej.

– Załatwione – rzekł. – Ale miałbym do ciebie jedną prośbę. Sprawdziłabyś mi jednego gościa? Czy mieszkał u was, a jeśli tak, to kiedy? Zdaje mi się, że widziałem go, kiedy tutaj razem pracowaliśmy.

– Oliwier wie?

– Zgodził się – zablefował Hubert. – Tak przy okazji, jest? Muszę z nim pogadać.

– Wyszedł coś zjeść. Masz szczęście, bo nie wróci wcześniej niż za pół godziny – odparła wesoło i już uruchamiała komputer.

Hubert rzucił okiem na jej plansze szachowe na pulpicie i był w szoku. Dziewczyna musiała być dobra. Grała z kilkoma przeciwnikami jednocześnie!

– Dawaj szybko nazwisko tego gościa – popędziła go. – Za dwie godziny kończę zmianę i możemy iść na lunch. Pasuje?

– Pewnie – wyburczał. – Chociaż wolałbym umówić się z tobą na spokojnie, bo mam dziś kołowrót. Ale nie ma sprawy, wykroję dla ciebie te dwie godziny – skłamał. Chciał tylko, by już wrzuciła nazwisko do wyszukiwania.

– Więc? Jestem gotowa.

– Sprawdź mi Marcela Lisowskiego. Może też używać ksywy Lisek. Albo Cykoria – dorzucił.

Dziewczyna wpatrywała się w ekran. Była teraz całkowicie skupiona. Trwało to jakiś czas.

– Nie – orzekła. – Nigdy nie mieliśmy u nas takiego gościa. Sprawdziłam cały rok i ostatni kwartał poprzedniego.

Hubert zmarkotniał.

– Jesteś pewna? – dopytał. – Wydaje mi się, że ostatnio był z małżonką i dzieciakami. Może żona się rejestrowała? Wrzuć jeszcze Lisowską – polecił.

Dziewczyna wykonała polecenie.

– Jest! – Rozpromieniła się. – Akurat pani Lisowska nocowała u nas bardzo wiele razy. Małgorzata jej na imię i ma rabat dla stałych klientów. – Zawahała się, zmarszczyła elegancko wyszczypane brwi. – Ale wiesz co, za jej ostatnie noclegi płacono firmową kartą Ruiego de Souzy, którą wyrobiono na jej nazwisko. Jak również za część śniadań. Te transakcje wyskakują mi jako powiązane. Wysyłamy ATRIUM co miesiąc faktury zbiorcze. Wydrukować ci?

Meyer skinął tylko głową, bo nie był w stanie wydobyć z gardła ani słowa.

Dziewczyna odeszła od kontuaru, a po chwili wróciła z kilkoma kartkami, które profiler szybko złożył i schował do kieszeni. Kiedy recepcjonistka zamykała system, do hotelu wszedł menedżer. Widać było na jej twarzy wielką ulgę i satysfakcję, że zdążyła. Uśmiechała się do Huberta jak zwyciężczyni gotowa do przyjęcia lauru.

– Dziękuję – wyszeptał do niej bezgłośnie.

Dzisiaj Oliwier był w tweedowym garniturze z kontrastowo stebnowaną koszulą i sznurkiem udającym kowbojską ozdobę zamiast krawata. Na widok Meyera zatrzymał się, a potem bez słowa skręcił do swojego gabinetu, jakby liczył, że policjant go nie zauważy.

– Panie Oliwierze! – krzyknął za nim Hubert. – Proszę zaczekać!

Menedżer przyśpieszył, niemal biegł. Przyłożył kartę do elektronicznego zamka i próbował schować się w korytarzu, ale Hubert go dogonił. W ostatniej chwili schwycił za klamkę i przedostał się do części dla obsługi.

– Hej, a co z moim lunchem? – zawołała dziewczyna z recepcji.

– Zanim skończysz zmianę, będę już z powrotem. To nie potrwa długo. – Meyer popatrzył znacząco na Oliwiera, wciąż przytrzymując drzwi stopą. – Chcesz pogadać tutaj czy przejedziemy się na konfrontację do wdowy po de Souzie? Wiem, że u niej byłeś.

* * *

Siedzieli na tarasie jednego z apartamentów H15, z którego widok rozciągał się na dachy warszawskiego śródmieścia. Jak Oliwier wyznał Meyerowi, był to ulubiony pokój Ruiego de Souzy. A raczej jego kochanki Małgorzaty Lisowskiej, która płaciła za niego pieniędzmi Portugalczyka.

– Nie jest to może Paryż, ale miło poćwiczyć akomodację. – Hubert zdjął okulary i zapatrzył się w dal. Na górze bardziej wiało, więc szczelniej owinął szyję szalikiem. Odwrócił się do hotelarza. – Nad czym pracowałeś dla Walskiego?

– Nie wiem, o czym mówisz – wyszeptał Oliwier i spuścił wzrok.

– Interesujące – zakpił Hubert. – Bo tak się składa, że zabezpieczyliśmy całe nielegalne biuro detektywistyczne wicekomendanta, który się teatralnie zabił w rezydencji de Souzów. Nie wierzę, że taki mądry chłopak jak ty nie czytał o tym w mediach i nie kojarzy połączenia tych spraw z klientem waszego hotelu. Widzisz, jesteś w notesie Walskiego jako jeden z informatorów. Pytam jeszcze raz: co dla niego robiłeś? Co u ciebie zamawiał? Jaki rodzaj roboty ci zlecił?

– To nazwisko znam tylko z przekazów prasowych – upierał się Oliwier. – Gdybyś mi go teraz nie podał, wiedziałbym tylko, że nazywał się Bogusław W.

– Niech ci będzie. – Hubert machnął ręką. – W takim razie inaczej zadam pytanie: jakie informacje zbierałeś dla Gardockiej? Nagrywałeś Portugalczyka, donosiłeś, z kim się spotykał? W pokojach, które wynajmował, macie kamery? Ile za to brałeś?

– Chyba ktoś cię wprowadził w błąd. – Oliwier z uporem maniaka szedł w zaparte. – Nic takiego nie miało miejsca. Jestem tutaj menedżerem i naprawdę dobrze zarabiam. Nie potrzebuję nikogo inwigilować. Mówiłem wcześniej prawdę i jeszcze raz ją powtórzę: poza relacją „kierownik zmiany – gość hotelu" z de Souzą nie łączyło mnie nic.

– A z jego żoną? – Hubert patrzył Oliwierowi w oczy. Poza niepokojem niewiele w nich było. – Wiem, że widziałeś się z Dianą w biurze – podkreślił. – Byłem tam tego ranka. Niestety, minęliśmy się. Gadaliście kilka godzin, a potem ona odwołała wywiady i błyskiem zmyliście się z ATRIUM. Po co do niej poszedłeś? Chcesz powiedzieć, że to była jedyna wizyta? Obaj wiemy, że to nieprawda.

Hotelarz w dalszym ciągu milczał. Wreszcie sięgnął do kieszeni po papierosy, zaciągnął się łapczywie. Hubert podszedł do niego i wyciągnął sobie jednego z jego paczki. Były to jakieś drogie perfumowane cygaretki.

– Wiesz, że sprawy będą miały zmienione kwalifikacje? To nie są już samobójstwa. Prokuratura najpóźniej jutro odszczeka to w mediach. Dla ciebie oznacza to wezwanie na policję, więc jeśli nie zaczniesz gadać teraz, z pewnością dołączysz do grona podejrzanych. Jestem tutaj poza protokołem – zapewnił. – Możesz uniknąć dalszych kłopotów, a może i zatrzymania. No, chyba że wolisz zatrzymać ten sekret dla siebie, ale wtedy radziłbym zbierać na dobrego adwokata. Już na tę chwilę mam przynajmniej jednego świadka, że byłeś na spotkaniu w ATRIUM z wdową po zamordowanym. Z moich informacji wynika też, że regularnie

bywałeś tam wcześniej. U poszkodowanego. Więc po co tam chodziłeś, Oliwierze?

– To była jedyna wizyta u Diany – skapitulował mężczyzna. – Tylko ten jeden raz z nią rozmawiałem. I nie mam pojęcia doprawdy, kto nagadał ci takich bzdur!

– O czym?

Wzruszenie ramion.

– Mam cię ciągnąć za język czy sprawdzasz, ile wiem?

– Najprawdopodobniej niewiele. – Oliwier podniósł hardo głowę. – A odwiedzanie wdowy w firmie nie jest przestępstwem. Nic złego nie zrobiłem.

– Co innego szantaż – podsunął Hubert. – Jakie materiały chciałeś jej sprzedać?

Oliwier uśmiechnął się chytrze.

– To ona chciała ode mnie kupić coś, czego nie miałem.

– Zaczynasz wreszcie gadać z sensem.

– To wszystko, co wiem – uciął. – Skoro tego nie miałem, nie mogłem jej sprzedać.

– Co to było?

– Trudno powiedzieć.

– Uważasz, że jesteś taki sprytny? Że się nie dowiemy? I twierdzisz, że o tym, czego nie mogłeś jej sprzedać, gadaliście kilka godzin? Wątpię…

– W ogóle mnie to nie interesuje – zirytował się hotelarz. – Pracując w tej branży, nauczyłem się, że lepiej czasem być głuchym i ślepym. Jak widać, nawet wtedy cię szarpią i nękają. Najpierw Portugalczyk, potem jego żoneczka, a teraz zjawiasz się ty!

– Słuchaj, nie mam czasu na rebusy – mruknął Hubert. – Szybciej sobie pójdę, jeśli powiesz mi, co wiesz. Druga opcja jest taka, że wezwiemy was oboje na oficjalną konfrontację.

– To wam nic nie da – odrzekł szybko Oliwier. – Ona dobrze się zabezpieczyła. Jestem pewien.

Hubert miał dość. Wstał, podszedł do barierki, oparł się o nią plecami.

– Jakie materiały chciała od ciebie kupić? – powtórzył. – I co robiłeś dla Portugalczyka? Pytam ostatni raz i wychodzę. Nie chcesz po dobroci, zabierzemy się do ciebie oficjalnie. Zapewniam, że po dochodzeniu z takim czarnym piarem zatrudni się co najwyżej jakaś mordownia w Koninie.

– Gardocka chciała nagrań seksu męża z różnymi kobietami. Uważała, że to ja je sprzedałem Walskiemu – wyznał wreszcie Oliwier. – Nie przyjmowała do wiadomości mojej odmowy, tak samo jak ty teraz.

– A nie sprzedałeś? – Hubert mu nie wierzył.

– Nie – zapewnił menedżer. – Nie wiem, jak je zdobyli, i nie podobało mi się, że w ogóle coś takiego mają od nas. Jak mówiłem ci za pierwszym razem, dbamy o renomę. Byłoby bardzo źle widziane, gdyby informacja tego typu pojawiła się w branży. Ludzie przychodzą do hotelu nie tylko po to, żeby spać. A jeśli płacą tak wysokie kwoty za nocleg, oczekują w zamian dyskrecji. To jest podstawa.

– Dobrze – zgodził się Hubert. – A więc Diana uważała, że kompromitujące materiały pochodziły od ciebie, i chciała je odkupić. Jakiego typu były to nagrania?

– Chodziło o jedną konkretną kobietę.

– Małgorzatę Lisowską?

Hotelarz potwierdził skinieniem. Nawet drobnym gestem nie okazał zdziwienia, że Hubert ustalił nazwisko kochanki Portugalczyka.

– Wiesz, która to jest?

– Jasne, że ją kojarzę.

– Dlaczego nie mogłeś jej tego sprzedać?

– Bo już wcześniej przekazałem je de Souzie. Co z nimi zrobił, nie wiem.

– Mówiłeś przecież, że nie nagrywacie, nie szantażujecie ludzi! – zeźlił się profiler. – I przed chwilą święcie się oburzałeś, że tak dobrze zarabiasz!

– Nigdy nie twierdziłem, że przekazałem te filmy za opłatą! Ktoś mi je dostarczył, jakby chciał mnie wkręcić w ich grę. Od razu zadzwoniłem do Ruiego, wyjaśniłem sprawę, a on zaproponował pieniądze. Nie chciałem, bałem się spisku. Początkowo Rui mi nie wierzył, sądził, że zależy mi na podbiciu stawki. Wtedy zaproponowałem, żeby w zamian zorganizował mi szkolenie u niego w biurze. Nie chcę do końca życia być konsjerżem z wizytówką menedżera. Po prostu bywałem w ATRIUM na szkoleniu. De Souza obiecał mi pracę po jego zakończeniu. Niestety, wszystko się zesrało, kiedy go odpalono. Mnie też to nie na rękę, a na dodatek wszyscy uważają mnie za szantażystę. Gdybym chciał to robić, już dawno leżałbym w płytkim grobie. Ludzie, którzy tutaj nocują, załatwiliby to błyskawicznie. Czego nie rozumiesz? Czy tak bardzo nie wierzysz w ludzi, żeby w każdym widzieć niegodziwca?

Hubert wpatrywał się w młodego hotelarza i sam nie wiedział, co myśleć.

– To szkolenie odbyło się oficjalnie?

– Niestety nie. Nie ma mojego nazwiska w papierach. Ale mogę podać personalia szkolącego mnie finansisty. Na pewno potwierdzi, że przychodziłem z notatnikiem i długopisem na wykład o sprzedaży nieruchomości.

– Jak wyjaśnisz, że twoje nazwisko pojawiło się w notesie wicekomendanta Walskiego?

– Nie sądzę, żebym musiał się z tego tłumaczyć. To już twoja sprawa, jak to wyjaśnisz.

* * *

Kiedy Hubert ponownie przyjechał do domu de Souzów, zastał jedynie ekipę przeprowadzkową, która ładowała ostatnie

meble i kartony do furgonetki. Zmusił szefa ekipy, by wyjawił mu, dokąd zamierzają dostarczyć ten towar, i tym sposobem zdobył nowy adres Diany Gardockiej. Dom znajdował się dwie przecznice dalej i była to rezydencja tylko trochę mniej wystawna niż ta, którą wdowa zajmowała z mężem przed jego śmiercią. Przed wejściem wciąż stała tablica biura nieruchomości, które pośredniczyło w transakcji.

– Szybko działasz – zagaił, wchodząc bez zapowiedzi do budynku.

Diana miała na sobie krótką czarną sukienkę dresową z wielkim emblematem Chanel, getry i białe adidasy, zapewne także markowe, bo ich aerodynamiczny kształt zwracał uwagę. Spojrzała na gościa zdziwiona i z trudem ukrywała niechęć.

– Co tym razem cię sprowadza?

– Wiesz, od początku zastanawiało mnie, jakim sposobem jeszcze tej samej nocy, kiedy zginął twój mąż, Boguś zdołał z tobą pogadać i na dodatek uzyskać tę nieszczęsną listę kochanek.

Kobieta milczała. Nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Czekała na ciąg dalszy wywodu ze stoicką i lekko drwiącą miną.

– Wiemy już bezdyskusyjnie, że to Boguś był twoim detektywem. To miło, że nie chciałaś go wydać – kontynuował. – Natomiast wciąż nie jestem pewien, czy zatajając ten fakt, chroniłaś jego, czy raczej siebie.

– Jakie to ma znaczenie? – Podparła się pod boki.

– No cóż, dość kluczowe – odparł i urwał, bo z jednego z pokojów wyszedł ojciec Diany w kombinezonie roboczym i z wiertarką w dłoni.

Mężczyzna zatrzymał się, przyjrzał się rozmawiającym, a potem żwawo ruszył w ich kierunku. Minę miał zaciętą, wzrok wrogi. Hubert w jednej chwili zdecydował, że nie da się zastraszyć.

– Ta przeprowadzka była zaplanowana dużo wcześniej – zauważył. – Ciekaw jestem, czy Rui wiedział, że kupiłaś ten dom. I czy tak naprawdę nie jest ci na rękę, że mąż nie żyje. A może to ty postarałaś się, żeby każdy z zacnych panów dowiedział się o zdradzie, bo zawiadomiłaś wszystkich? Prawdopodobieństwo, że któryś wykona mokrą robotę za ciebie, było spore, jeśli wziąć pod uwagę liczbę zainteresowanych.

– Jak śmiesz! – wyszeptała.

Uśmiechnął się.

– A może było jeszcze inaczej? – dopytał. – Zatrudniłaś rezerwowego strzelca. Twój błąd polegał na tym, że niepotrzebnie zajmowałaś się zakupem benzyny i rozpuszczalnika. To było głupie.

– Nie wiem, o czym mówisz. Chyba przeziębienie rzuca ci się na mózg – fuknęła.

– Wiem, że byłaś na Bródnie, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podejmie się tej mokrej roboty. Tak właśnie załatwiliście Aruna?

– Wynoś się! – Pokazała mu drzwi. – Natychmiast wypierdalaj!

Hubert tylko się uśmiechnął.

– To dlatego feralnej nocy jeździłaś do kochanek. Nie szukałaś Ruiego, dostarczałaś sobie alibi. Pechowo żadna z nich nie chciała z tobą rozmawiać.

Wdowa odwróciła się do ojca i oświadczyła stanowczo, nie patrząc na profilera.

– Tato, nie zamierzam kontynuować tej rozmowy. Ten człowiek jest niezrównoważony. I niebezpieczny.

– Proszę wyjść! – rozkazał ojciec Diany.

– Zastanawiałem się też, skąd była nauczycielka, kobieta z Bródna, wzięła sto tysięcy złotych na nagrodę za informacje o Arunie. – Hubert uparcie mówił dalej, nie zważając na

pokrzykiwania Gardockiego. – I wprawdzie jego matka nie powiedziała mi tego, ale zupełnie przypadkiem spotkałem na dzielnicy kolegów Tyburka. Jedna z dziewczyn lubiła twojego chłopaka. Nawet bardziej, niż lubiła. Byli parą, zanim Arun wyjechał do Sagres. Kiedy uruchomiłem kontakty na osiedlu przy Kondratowicza, zadzwoniła do mnie i powiedziała, że pieniądze, które oferowano, ufundował twój mąż. Co jeszcze ciekawsze, zostały wypłacone. Wiesz może komu?

– Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie – ucięła. – Prosiłam cię po dobroci, żebyś opuścił mój dom. Mam wezwać policję i zawiadomić, że mnie nachodzisz?

Hubert westchnął ciężko. Zmierzył się spojrzeniem z ojcem kobiety.

– Pieniądze poszły z konta firmowego ATRIUM – ciągnął. – Poznałem niedawno szefową biura i chociaż nie liczyłem, że kiedykolwiek mi pomoże, okazała się niezwykle nam przychylna. Podała mi nazwisko osoby, która podjęła gotówkę za informacje o znalezieniu żeglarza. To jego brat, Olaf. Wybieram się do niego, ponieważ odsiaduje wyrok i najwyraźniej mu się nudzi, bo zleca ludziom wysyłanie kartek do matki, które podpisuje imieniem brata. A poza tym ma do ciebie żal, że nie wspierasz jego i matki, tak jak wcześniej obiecywałaś. Kto wpadł na pomysł, żeby wysyłać do tej biednej, zrozpaczonej i pełnej nadziei kobiety widokówki? Ty czy on?

– Nic nie jesteś w stanie mi udowodnić – zaśmiała się. – Ale próbuj, próbuj… Zobaczymy, ile z tych bredni obroni się w sądzie. Bo wytoczę ci taki proces, że wyjdziesz z niego goły i zniszczony.

– Uważasz, że to utwierdzi matkę w nadziei, że jej syn żyje i ma się świetnie? Czy może to czysta podłość? – Nie odpuszczał. – Kobieto, przestań wreszcie udawać. Nie rozumiesz, że raka dostałaś od tego życia w kłamstwie? Wiem, że nie jesteś złym człowiekiem… Ja chcę tylko poznać prawdę.

– Pomagam jej od początku! – krzyknęła zrozpaczona. – Odwiedzam Elżbietę, chociaż wcale nie muszę. Nie jestem jej nic winna. Odwiedzam, przywożę łapówki, pieniądze i znoszę te opowieści o Arunie, jak był taki malutki i kochany, chociaż tak naprawdę był z niego kawał sukinsyna i cwaniaka. No i jeszcze ten smród w ich domu! Bądź pewien, że Arun nie był takim aniołkiem, jakim go przedstawiają. Niewiele różnił się od brata kryminalisty. Tyle że był sprytniejszy, bardziej wykształcony… I nie kochałam go. Nigdy nie kochałam nikogo poza Ruim. Od początku byłeś w błędzie: po prostu nie potrafiłam go nienawidzić za to, jak mnie poniżał, dlatego też nigdy nie podniosłabym na niego ręki. Nigdy!

– Dzwonię na policję i do adwokata! – Ojciec Gardockiej odłożył wiertarkę i wytarł ręce o spodnie. Ruszył w nieokreślonym kierunku w głąb domu.

– Zaczekaj, tato. – Diana podniosła dłoń, a potem wskazała Hubertowi zafoliowaną sofę, którą ustawiono pod ścianą. – Pogadam z nim, niech dowie się prawdy. Może wreszcie zostawi nas w spokoju.

– Nawet na to nie licz – zaoponował ojciec. – Będzie tylko gorzej. On nie odpuści. Im mniej wie, tym lepiej dla ciebie.

– Zdaję sobie z tego sprawę – stęknęła Diana. – Ale Arun zasługuje na to, żeby zostać odnaleziony. Teraz, kiedy Rui nie żyje, nikomu nie uczynimy szkody. Poprosisz mamę, żeby przyniosła nam coś mocniejszego do picia?

* * *

– To może trochę potrwać – zwróciła się do Meyera. – Mam nadzieję, że się nie śpieszysz?

Hubert w odpowiedzi skinął tylko głową.

Usiedli. Diana złożyła dłonie w koszyczek. Długo milczała.

– Miesiąc po zniknięciu Aruna wymacałam sobie w piersi guz – zaczęła. – Przysięgam, że tak było. Właściwie ucieszyłam się, że umrę. Po tym, jak zadurzyłam się w tym chłopaku, nie byłam w stanie trwać w białym małżeństwie z mężem, bo od urodzenia Mii praktycznie się nie

dotykaliśmy. Spaliśmy osobno, coraz bardziej się od siebie oddalając. Rui był pracoholikiem. Kochał wyzwania, prawdziwie spełniał się w prowadzeniu firmy. Nie potrzebował takiej żony jak ja, która ma własne ambicje. Gdybym była typem kobiety, która troszczy się o męża i czeka na niego, pewnie wszystko ułożyłoby się inaczej. Niestety, to, co go we mnie zachwyciło na początku, czyli niepodległość, samowystarczalność i kreatywność, okazało się gwoździem do trumny naszej relacji. Bóg mi świadkiem, że próbowałam być kurą domową. Starałam się udawać kogoś, kim nie jestem, bo bardzo chciałam mieć dziecko i rodzinę, ale kiedy tylko Mia pojawiła się na świecie, uznałam, że to zadanie zostało wykonane i mogę wrócić do dawnej siebie. To nie podobało się Ruiemu. Dlatego miał kochanki. Potrzebował ich ciepła, uwagi, szacunku i podziwu, ponieważ ja nie mogłam mu tego ofiarować. Każda z nich widziała go inaczej, jakby miał wiele żyć. – Zawahała się. – Albo wiele wcieleń aktorskich. Ja z kolei potrzebowałam tylko jednego: kochającego mnie mężczyzny. Kiedy Rui zatrudnił Aruna, prawdopodobnie oboje wiedzieliśmy, jak to się skończy. Tak jakby wepchnął mnie w ramiona kogoś innego, żeby mieć ten temat z głowy. I stało się. Zadurzyłam się w młodym żeglarzu, który dla mnie zrezygnował z wielu swoich marzeń. W zamian dostał sowite wynagrodzenie, wikt, opierunek i etat mojego kochanka. Kiedy sprawa się wydała, Rui był wściekły, co zrozumiałe. Szalał, groził nam śmiercią. Prawdę mówiąc, dochodziło do dantejskich scen. Do tego wszystkiego wmieszała się Pati, która też czuła miętę do Aruna. Nie wiem, co między nimi było, czy było cokolwiek, ale jej historia jest najsmutniejsza, bo faktycznie gdyby wybrał ją, pewnie żyłby dzisiaj i mogliby coś razem zbudować. To dlatego jej pomagam i płacę nadmiarowo. Z poczucia winy. Żeby oszukać swoje sumienie. W noc, kiedy Arun wypłynął jachtem, między mną a mężem doszło do karczemnej awantury. W tamtym momencie myślałam, że chcę rozwodu, i oczekiwałam, że Rui to uszanuje. Niestety dla niego była to sprawa honorowa. Poszedł do domku, w którym mieszkali Arun i Patrycja. Potem mi

mówił, że upili się i pobili do krwi. Ale że nie doszło do zbrodni. Jak było naprawdę, nie wiem…

– Patrycja była tego świadkiem? – zapytał Hubert.

Diana potwierdziła skinieniem.

– Zapewniała, że obaj poszli spać żywi, i tak też zeznawała. Rano okazało się, że Aruna nie ma. Szukaliśmy go wszędzie.

– Dlaczego zeznałaś, że widziałaś, jak Arun wypycha kogoś za burtę?

– Jakiś miesiąc od jego zniknięcia zaczęliśmy dostawać anonimowe telefony. Potem esemesy, mejle z żądaniem pieniędzy… Poczułam się zraniona. Sądziłam wtedy, że to Arun próbuje na tym coś ugrać.

– Masz ten materiał?

Pokręciła głową.

– Rui wszystko zniszczył. Zmieniliśmy komórki. Kazałam też Patrycji wyjechać do Polski, zapłaciłam jej i do tej pory płacę. Nie tylko pieniędzmi. Dawałam jej drogie przedmioty, opiekowałam się nią jak własną siostrą. Byle tylko nikomu nic nie mówiła.

– Twierdzi, że jej groziłaś.

– To nieprawda! Na współpracę z nami poszła z rozmysłem. Od razu mogła zgłosić się na policję i wracać do kraju. Wolała dokończyć turnus i zgarnąć jeszcze siedem tysięcy euro. Taka jest prawda. – Diana się zawahała. – Ale z czasem zaczęła pękać, łamała się. Też miała pewnie poczucie winy, może i coś widziała… Wtedy powiedziałam jej, że Rui zabił chłopaka i my też jesteśmy zagrożone. Właściwie był czas, że w to wierzyłam. Musisz wiedzieć, że policja bardzo dokładnie przeszukała akwen i nasz teren. Nic nie znaleziono. Ani krwi, żadnych śladów walki. Ani ciała…

– Rzeczy Aruna zostały – zauważył.

– Wyglądało to tak, jakby się w pośpiechu spakował i wyjechał. Nie wiem, czy tak było. Podejrzewałam, że to mąż,

sam albo z czyjąś pomocą, upozorował jego zniknięcie. Może mu zapłacił? A może zabił i zainscenizował wszystko…

– Patrycja twierdzi, że tak było.

– Owszem, mówiła mi o tym – potwierdziła Diana spokojnie. – Bałam się męża potwornie. I tak, mataczyłam przed portugalską policją. Tak, Rui starał się przekupić polskiego policjanta, co tylko pogorszyło sprawę, bo trafił na wyjątkowo uczciwego glinę. Zaczęło być nieprzyjemnie, niebezpiecznie i sama już nie wiedziałam, co o tym myśleć. Co jest prawdą, a co wymysłem? Do dziś tego nie wiem…

– Ostatecznie udało się wam sprawę zatuszować?

– Tylko publicznie. Po prostu nie było dowodów. Dla wszystkich było najlepiej, że chłopak jest poszukiwany.

– Te wiadomości o żądaniu okupu nadal przychodziły?

– Do Ruiego, i to na służbową skrzynkę – odparła Diana. – Do mnie więcej nie napisał.

– Masz pomysł, kto mógł wam grozić?

– Było wiele takich pomysłów: Patrycja, Olaf, brat Aruna, jakiś przypadkowy świadek? Nic się nie potwierdziło. Nie wiemy.

– I wtedy wróciliście do Polski? Nie było to zbyt ryzykowne?

– Gorzej wyglądałoby, gdybyśmy zostali tam. Jakbyśmy chowali głowę w piasek, przekonywał mój mąż. A z czasem było tylko mniej przyjemnie… Matka Aruna wszczęła wielką akcję w mediach i zaangażowała jego środowisko, żeby nie zapominali o jej synu. Wokół sprawy znów zrobiło się gorąco. Mój guz kwalifikował się do operacji. Zdecydowałam się na usunięcie obu piersi razem z węzłami chłonnymi. To najpewniej uratowało mi życie. Wtedy zrozumiałam, że mam szansę odkupić swoją winę. Nakłoniłam męża, żeby ufundował nagrodę. Praktycznie go do tego zmusiłam… Nie wierzyłam, że Arun żyje, ale chciałam tego bardzo i czułam, że ta nadzieja przyniesie ulgę wszystkim. Kiedy zaczęły

napływać różne wiadomości, osobiście je weryfikowałam. Boguś Walski mi w tym pomagał. Już wtedy bardzo się polubiliśmy. To było tak naprawdę jego pierwsze zlecenie, jakie dla mnie wykonywał. Początkowo nie chciał podjąć się śledzenia Ruiego i jego kochanek. Po tym, co zrobił dla zaginionego żeglarza, udało mi się go do tego przekonać.

– Walski znał cały temat od początku?

– Tylko wersję oficjalną – zaprzeczyła. – Wiedzieliśmy, że w głębi serca jest bardzo uczciwy, więc gdyby miał wiedzę o tym wszystkim, co ci powiedziałam, doprowadziłby z pewnością do zatrzymań i byłaby straszna afera. Do końca, nigdy nie powiedziałam mu całej prawdy – zapewniła i umilkła.

– Po co zleciłaś mu szukanie kochanek Ruiego? Chciałaś się rozwieść? Czy to wszystko nie wystarczyło, żeby się dogadać i żyć dalej w spokoju?

– Jeśli doświadczysz czegoś takiego, nie jest możliwe dalsze życie w spokoju. Nie mogliśmy się rozwieść, bo istniało zagrożenie, że któregoś dnia jedno z nas zacznie mówić. Rui o tym wiedział. Ja o tym wiedziałam. Byliśmy na siebie skazani.

– Więc zbieraliście na siebie haki?

– Ja niczego nie gromadziłam! – zaprotestowała. – Było wręcz przeciwnie. Starałam się chronić męża i te panie.

– To znaczy?

– Nie jestem pewna, że dobrze robię, opowiadając ci o tym. – Diana się zawahała.

– Na razie nie powiedziałaś mi niczego, czego sam nie wiedziałem. Resztę danych sprawdzę, ale wygląda mi to tylko na słabą linię obrony. Ewentualnie na odwrócenie uwagi od kluczowego tematu – dodał z naciskiem.

– Chciałabym, żebyś wyjaśnił sprawę Aruna – wypaliła nagle. – Jestem to winna pani Tyburkowej. I jest jeszcze jedna sprawa. Mam poczucie, że Boguś Walski też zginął przeze

mnie. Ratuj jego rodzinę. Jeśli Iwona Walska straci środki do życia, znajdę sposób, żeby ją dofinansować, ale ty znajdź mordercę jej męża! I tylko dlatego dokończę, chociaż tato mi to odradzał.

– Twój ojciec jest wprowadzony? – Hubert spojrzał na pokój, w którym zniknął Gardocki. – Ryzykowne.

– Bez rodziców bym tego wszystkiego nie przetrwała. A raka wcale nie pokonałam. W każdej chwili choroba może wrócić. Boję się tego każdego dnia. To zmienia percepcję.

Skinął głową na znak zgody.

– Więc daj mi coś, z czym będę mógł pójść dalej – rzekł. – I co chociaż w minimalnym stopniu upewni mnie, że nie miałaś nic wspólnego z zabójstwem męża i komendanta Walskiego. W przeciwnym razie będę twoim wrzodem na dupie. Tego możesz być pewna.

Uśmiechnęła się smutno.

– Jak tylko wydawało się, że sprawa Aruna przycichła, zaczął się nowy horror – wznowiła wątek. – Ruiego ktoś szantażował. Przesyłał mu zdjęcia i filmy ze spotkań w hotelach z kochankami. Gdyby chodziło tylko o mnie, pewnie Rui by mu nie płacił. Żyliśmy ze sobą jak wcześniej, nasz układ był jasny. Ale ten człowiek zaczął szantażować te kobiety. One miały mężów, partnerów. Skarżyły się Ruiemu, że dostały propozycje odkupienia kompromitujących materiałów. W większości nie miały pieniędzy na wykup. Początkowo Rui im pomagał, ale oczywiście kończył z nimi i liczył, że jeśli przestaną się spotykać, wszystko umrze śmiercią naturalną. Ja poszłam o krok dalej. Chciałam wiedzieć, kim jest ten człowiek, i wynajęłam Bogusia, żeby to ustalił.

– To z nim spotkałaś się w dniu identyfikacji męża? – zapytał Hubert. – Chodzi o menedżera hotelu? Oliwiera?

Diana pokiwała głową, a potem zaprzeczyła.

– Początkowo miał nam pomagać, ale jestem prawie pewna, że to był on. Myślę, że dotarł przynajmniej do kilku

mężów. Z całą pewnością do tego, który zabił Ruiego, a potem Walskiego. To przez niego obaj nie żyją.

* * *

*Siedziałem w robocie, kiedy zadzwonił prokurator Kulik. Policji nie udało się zidentyfikować kobiety z opaską, ale niestety zgłosił się jakiś facet. Twierdzi, że to jedna z matek, którą kojarzy z przedszkola. Mijają się w szatni, często wystają razem na boisku, czekając, aż dzieci skończą się bawić i zechcą wrócić do domu. Ona sama tej gazety nie widziała albo tylko tak ściemnia, bo gość, który zadzwonił na policję, twierdzi, że wspomniał jej, że jest poszukiwana. Parsknęła tylko i oświadczyła, że nie zamierza się w to mieszać. Wygląda na to, że nie zgłosiła się z rozmysłem. Dla mnie to wspaniała nowina, a jednak nie rozwiązuje wszystkich moich kłopotów. W każdej chwili babka może zmienić zdanie, ktoś ją przekona albo zacznie ją gryźć sumienie.*

*Prymusek coś nawijał, że lepiej zaczekać, zweryfikować tę informację, ale zaraz mu przerwałem. Byłem zbyt podniecony, by ukrywać uczucia. Zaoferowałem, że pojadę tam i osobiście ją znajdę, a przy okazji przesłucham nieoficjalnie. Wcisnąłem mu coś o ostatniej linii życia ofiary i profilu wiktymologicznym. Kupił to bez gadania.*

*Sprzęt miałem na tę okoliczność w garażu, więc zostało mi tylko podjechać do domu. Z tego, co twierdził Kulik, dzieci są odbierane z tego przedszkola w okolicach piętnastej, a ta babka ma ich troje, z czego jedno całkiem malutkie, pewnie to samo, które widziałem w wózku, dlatego najczęściej przychodzi ostatnia.*

*Było mi jej trochę szkoda, ale życie to dżungla. Są sytuacje, w których albo ty ich, albo oni ciebie. Nie mogłem pozwolić, by policja przesłuchała ją pierwsza. Co gorsza, mogłoby dojść do konfuzji. Skoro zaoferowałem pomoc, Prymusek wpadłby na pomysł konfrontacji w pokoju okazań. Wyszłaby z eksperymentu, nie rozpoznawszy nikogo, a w ekipie śledczej dostrzegłaby mnie.*

*Wylogowałem się z sieci, pozamykałem teczki i powiedziałem sekretarce dziekana, że raczej już dziś nie wrócę. Dopytywała się, czy idę prowadzić działania w terenie, bo strasznie się emocjonuje moimi dokonaniami i myślę, że na mnie leci, więc nagadałem jej coś o tajemnicy śledztwa, opowiedziałem kilka anegdot z miejsca zbrodni i zbierania śladów. Kiedy zaspokoiłem jej ciekawość, byłem pewny, że wytłumaczy mnie przed górą. Wyszedłem, myśląc tylko o tym, jak najlepiej to zrobić.*

*Tym razem nie może być spektakularnej jatki. Ta kobieta musi zniknąć bez śladu i było to wyzwanie. Jeszcze nigdy nie ukrywałem ciała.*

*Byłem już w połowie drogi do domu, kiedy zadzwoniła Małgorzata. Poinformowała mnie, że zasiedziała się u znajomej, i spytała, czy nie odebrałbym dzieci. Nie było mi to na rękę. Wkurzyłem się. Zacząłem sarkać i pouczać ją, że przecież ciężko haruję, a jej zadaniem jest wyłącznie zajmować się domem i dziećmi. Dlaczego nie robi tego, co do niej należy? Milczała dłuższą chwilę. Wreszcie obiecała, że zadzwoni do matki.*

*– Nie zawracaj sobie już tym głowy – powiedziała łagodnie, jakby te wszystkie okropne słowa nie padły z moich ust. A potem mnie jeszcze przeprosiła. – W garnku masz potrawkę z łososia. Dałam sporo kurkumy, mam nadzieję, że nie będzie za ostra. Kluski są w salaterce pod przykryciem. Zjedz sobie, dopóki jest ciepłe, skoro jedziesz do domu. Ja będę później. Postaram się wrócić przed zmrokiem – dokończyła.*

*Wymruczałem coś w odpowiedzi. Byłem zbyt zajęty swoją sprawą, by analizować jej słowa. Dopiero po jakimś czasie zadzwoniło mi w głowie: skąd Małgorzata wiedziała, że wracam do domu? Faktem jest, że prawie nigdy o tej godzinie nie opuszczałem biura.*

*– Kocham cię – rzuciłem, by zamknąć ostatecznie tę sprawę.*

*– Dziękuję – odpowiedziała.*

*Poczułem, jak zimny prąd idzie mi wzdłuż kręgosłupa, a potem rozlewa się gorącem po całym ciele, bo dodała:*

*– Ja ciebie też, skarbie. Marcel?*

*– Tak?*

*– Wiesz, dwóch tajniaków było dziś u nas przed południem.*

*Zamarłem, zwolniłem.*

*– Wiesz, z jakiej komendy?*

*– Nie przyszło mi do głowy zapytać. Nie wiem, przepraszam…*

*– Jeden z nich nie miał może na nazwisko Meyer? Taki stary chudy kogut?*

*– Żaden nie był stary – zaoponowała. – Wyglądali jak gliniarze z filmów. Takie dwa zakapiory. Bałabym się ich wpuścić, gdyby nie mieli legitymacji.*

*– Czego chcieli?*

*– Rozmawiać z tobą – odparła i umilkła. Bardzo długo kazała mi czekać na ciąg dalszy. – Skierowałam ich do twojej pracy, ale powiedzieli, że wolą wpierw pomówić na neutralnym gruncie i wrócą wieczorem. Chcą z tobą rozmawiać osobiście. Pytali, co robiłeś dwudziestego pierwszego października, a potem w nocy z piątku na sobotę. No i wczoraj gdzie byłeś…*

*Milczałem. Czekałem. Zdawało mi się, że trwa to wieki.*

*– Powiedziałam, że w ciągu dnia byłeś pewnie w pracy, a potem w domu, ze mną i z dziećmi – dokończyła. – Liczyłam, że sobie pójdą. Tak się stało.*

*– Dobrze się spisałaś – uciąłem. – Muszę kończyć. Zjem potrawkę, a zobaczymy się wieczorem. Wtedy pogadamy. Mam pilną robotę.*

*Rozłączyłem się.*

*Jechałem jakiś czas w ciszy, starając się nie myśleć o wiszących nade mną czarnych chmurach. Przecież dopóki*

*nie wiem, o co chodzi i dlaczego mnie poszukują, jestem niewinny… Ale to wracało, drażniło mnie i nie pozwalało czerpać przyjemności z powziętego planu. Musiałem wziąć się w garść, bo wiedziałem, że tym bardziej nie wolno mi popełnić błędu. Czy powinienem się wycofać? Nie, tym bardziej muszę to zrobić. Jeśli znajdą kobietę w opasce, a ona mnie rozpozna, wszystko, co do tej pory osiągnąłem, pójdzie na marne.*

*W tym momencie dotarło do mnie, że Małgorzata wzięła moją stronę. Nie wydała mnie. Stoi za mną, chociaż byłem pewien, że już wie… Byłem bliski rozczulenia się.*

*Skręciłem do naszej drogi, kliknąłem przycisk na pilocie, brama się otworzyła. Musiałem tylko zabrać z garażu osprzęt i nie zajmować myśli głupstwami. Moja rodzina musi być znów bezpieczna.*

* * *

– Zniknęła? – Hubert chwycił się za włosy i szarpał je, jakby chciał się oskalpować. – Jak to zniknęła?

Alina Chojnacka przekładała nerwowo papiery i wcale nie patrzyła na profilera.

– Nie wiemy. Może się ukryła? – zasugerowała tak niepewnie, że chyba sama w to nie wierzyła. – Mąż twierdzi, że od początku wiedziała, że jej szukamy. Nie chciała się narażać. Gdyby nie ten ojciec z przedszkola, nigdy byśmy nie wpadli na jej trop.

– Dlaczego nie chciała zeznawać? – Meyer zmarszczył brwi. – Ma coś na sumieniu?

– Nie, to zwykła babka. Normalna matka trójki dzieci. Wcześniej pracowała w sklepie odzieżowym, a od ślubu zajmuje się domem i wychowuje potomstwo. Mąż jest kurierem. Prawie cały dzień nie ma go w domu. Gazetkę zobaczył na jakiejś klatce. Ktoś wyrzucił stertę makulatury. To on pierwszy ją poznał.

– Dziwne to wszystko.

– Sądzisz, że jest powiązana?

– Nie wiem – odparł. – Powinniśmy raczej bić na alarm i uruchomić wszystkie możliwe środki, żeby ją odszukać. Jaka matka zostawia dzieci i znika bez śladu?

– Najmłodsze jest z nią – wyjaśniła Chojnacka. – Ojciec zajmuje się pozostałą dwójką. Tak między nami mówiąc, facet odchodzi od zmysłów. Twierdzi, że Mariola nigdy by nie zniknęła bez uprzedzenia. Jej telefon milczy, nawet do niego nie napisała. Uważasz, że są w zmowie?

– Sama chyba w to nie wierzysz! – ryknął Meyer. – To on. Wydaliśmy mu ją na tacy. Ostrzegałem!

– On, on! – parsknęła. – Jak dotąd nie wiemy, kim jest. Chyba nie sądzisz, że pójdę do Kulika i zawiadomię go o tym, że podejrzewamy jego najlepszego kumpla.

– Dlaczego nie?

– Nie uwierzy mi! Odpysknie, że to twoja intryga, zbzikowałeś, zdziadziałeś. Jesteś po prostu zazdrosny…

– Prawdę mówiąc, sam w to nie chcę wierzyć. – Hubert zniżył głos do szeptu. – Ale nie trzeba tutaj psychologii behawioralnej. Starczy ułożyć fakty i zapukać do drzwi doktora Lisowskiego, a potem porządnie go przepytać. Jestem gotów to zrobić, jeśli ty się boisz.

– Po pierwsze: jak?! Jak mam to sprzedać nadzorującemu dochodzenie? Oświeć mnie, bo serio zgłupiałam! Twoja teoria jest szalona! Jak często zdarza się, żeby człowiek z organów ścigania przechodził na ciemną stronę mocy, sam powiedz?!

– Wcale nie tak rzadko. – Hubert wstał, zaczął chodzić po pokoju. – Lisek ma motyw. Bardzo mocny motyw. Żona zdradzała go z Portugalczykiem. Wiemy bezdyskusyjnie, że to on był w hotelu, kiedy tamci mieli umówioną randkę. Widziałem go! Nie poznałem, bo zmienił się, przytył i zestarzał, ale to był on. Skąd miałby wiedzieć, że Lisowska spotyka się w H Piętnaście z Ruim?

– Gdyby go zabił, przecież by nie przychodził! – zbiła jego argument Alina. – Po co?

Hubert wzruszył ramionami. Zamyślił się. Długo milczał, zanim odpowiedział:

– Może miał ochotę na konfrontację? Chciał zobaczyć reakcję żony na swój widok? Karmi się jej cierpieniem.

– A może po prostu planował ich nakryć in flagranti! – zaprotestowała. – Do randki nie doszło, więc wyszedł. Ty jesteś cap, że go wtedy nie poznałeś!

– To fakt – przyznał. – Natomiast bokiem wychodzi przy różnych wątkach: spotykał się z Walskim, za coś mu płacił. Pali davidoffy i gdyby zbadać te dwa niedopałki na miejscach zbrodni, mielibyśmy pewność.

– To, że pali tę samą markę papierosów co sprawca, jeszcze nie dowodzi zbrodni.

– Przypominam ci, że udało się zsynchronizować trasę samochodu, którym jeździł komendant. W dniu, w którym został zamordowany, Walski był pod domem Lisowskiego. Po co?

– Może miał dla niego informacje?

– Z pewnością – podchwycił Meyer. – I to były dane, które stały się katalizatorem morderstwa.

– Ponosi cię fantazja – westchnęła. – To tylko nitki luźno zwisające z kłębka. Tak naprawdę nic na niego nie mamy.

– Więc dzwoń do Kulika i bierzmy go na warsztat. Przetrzepcie jego chatę, przeszukajcie biuro, przepytajcie wiarołomną małżonkę. Jak zamierzasz zdobyć dowody, skoro siedzisz tutaj i gadasz ze mną?

– Liczyłam, że stworzysz jakąś ekspertyzę, podsuniesz fantastyczny pomysł śledczy!

– Tutaj nie trzeba profilu – powtórzył. – Co najwyżej mogę ci napisać opinię typologiczną skierowaną na potwierdzenie bądź wykluczenie tego jednego podejrzanego. Ale nie zrobię jej bez porozumienia z prokuratorem. Potrzebujemy jego glejtu.

– Sprawa jest delikatna – upierała się Alina. – Mamy za mało na Liska, żeby wchodzić z nakazem albo zaczynać rozmowę o badaniach DNA. – Pochyliła głowę. – Tego ci nie mówiłam, ale posłałam dwóch moich wywiadowców, żeby nieoficjalnie przepytali żonę Liska.

– O! – Hubert spojrzał na nią z nadzieją. – Wreszcie coś.

– Raczej całe nic. Potwierdziła tylko alibi męża i jesteśmy pewni, że go ostrzeże. Jeśli Lisek cokolwiek trzymał w domu, z pewnością to posprzątał.

Przerwał im telefon dzwoniący na biurku komendantki. Kobieta podeszła, odebrała. Słuchała jakiś czas, a potem nie odejmując słuchawki od ucha, usiadła do komputera. W połowie rozmowy skinęła na Huberta. Kiedy podszedł, na jej pulpicie wyświetliło się zdjęcie. Była to przezroczysta butelka z niedopałkiem zanurzonym w cieczy.

– Jesteś przekonany? – wyszeptała do aparatu. Tym razem zasłoniła słuchawkę dłonią. – Dzwonią z laboratorium. Chyba go mamy.

Hubert nic się nie odzywał. Milczał.

Chojnacka odłożyła słuchawkę, spojrzała na niego, a potem rzuciła mu się na szyję.

– Co jest, do cholery? – Hubert pozostał sztywny jak kołek, ale Alinie to nie przeszkadzało. Cieszyła się jak dziecko.

– Jeśli to się potwierdzi, idę wprost do Kulika. Nawet nie będę dzwonić. Zaskoczę go! – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Dobra Boziu, spraw, żeby była zgodność. – Przewinęła następną fotografię. Na ekranie ukazała się sterta szmat. – Nasz klient porzucił to w chaszczach niedaleko od miejsca, gdzie płonął Rui de Souza – wyjaśniła. – Kiedy się przebierał, kilka z tych rzeczy zawinął mu lokalny szuwarek, niejaki Seba Niezgódka. W kieszeni spodni była nowiutka flaszka perfum. Próbował opchnąć ją na jednej z melin za gorzałę. Kobieta, która pędzi tam bimber, od lat jest naszym uchem. Zadzwoniła do swojego prowadzącego, a ten zawinął Niezgódkę. Rzeczy zabezpieczyliśmy.

– Skąd wiesz, że ten bezdomny nie ściemnia? – Hubert był sceptyczny. – Pewnie wymyślił historyjkę, żeby zaistnieć w swojej bandzie, a butelkę perfum ukradł jakiejś kobiecinie…

– Sprawdzimy to, ale to są męskie perfumy – zapewniła. – A w tym zawiniątku jest but z płaską podeszwą i kijek teleskopowy do mopa. Najpewniej tej konstrukcji sprawca używał do wykonania lipnej odbitki, którą technicy zabezpieczyli na miejscu pierwszej zbrodni. A na spodniach bezdyskusyjnie są ślady spermy. Typ najwyraźniej podniecił się pożarem…

– Nadal nie rozumiem, skąd ta radość.

– Kazałam pokazać Niezgódce zdjęcie twojego konkurenta. Poznał go.

Przesunęła fotografię poglądową, którą policyjny grafik wykonał na potrzeby tego okazania.

– Mógł być pijany, chciał zarobić – wymieniał niechętnie Hubert. – To najsłabszy świadek, jakiego możesz mieć.

– Dopiero co namawiałeś mnie, żebym szła frontalnie, nie mając w ręku zupełnie nic. Liczyłam przynajmniej na przeprosiny… – Przekrzywiła głowę. – Chcesz zgarnąć sprawcę czy boisz się konfrontacji z Liskiem?

* * *

Zmierzchało już, kiedy dotarli do domu Lisowskich w Konstancinie. Bramy wejściowej pilnowało dwóch mundurowych, a naprzeciwko stało srebrne bmw, identyczne jak nieoznakowane radiowozy do pomiaru prędkości. Siedziało w nim dwóch rosłych mężczyzn o twarzach idealnych do przykrywki w akcjach przeciw przestępczości zorganizowanej.

– Znasz ich? – Hubert spojrzał na Alinę.

– Oni nie są z mojego komisariatu. Widzę ich pierwszy raz w życiu.

– Jesteś pewna, że to nie wasi? – zdziwił się. – Dziennikarze, tajniacy? A może szpicle nasłani przez rodzinę de Souzów? Kto by miał śmiałość wystawać pod domem słynnego profilera? Przecież nikt poza nami i prokuraturą nie przypuszcza, że Lisek ma szansę awansować na pierwszego podejrzanego. Czy o czymś nie wiem? Dla wszystkich to główny ekspert w sprawie.

– I tak powinno na razie pozostać. – Uśmiechnęła się. – A tych dwóch zawsze mogę wylegitymować.

– Chcę to zobaczyć.

Wysiedli, skierowali się do domu Lisowskich. Po drodze Alina skinęła na jednego z funkcjonariuszy. Złożył jej szybki raport.

– Żona jest sama. Dzieci przywiózł dziadek, ale pojechał. Są w domu od kilku godzin i nigdzie nie wychodzili. Lisowska proponowała nam herbatę, odmówiliśmy. W końcu przyniosła nam ją w papierowych kubkach razem z paczką ciastek. Wypiliśmy, ciastka zjedliśmy, podziękowaliśmy. Nie wygląda na to, żeby chciała nas otruć – zażartował i zaraz się spłoszył, bo Alina łypnęła na niego groźnie.

– Miła z niej kobietka – dorzucił drugi policjant. – A te ciasteczka to chyba sama upiekła. Były cieplutkie.

– Helena Trojańska też była przeurocza – prychnęła Chojnacka. Odwróciła się bokiem do dwóch karków w bmw. – A tamci skąd? Wojewódzka? Znacie ich?

– Nie wiemy. – Mundurowi spojrzeli po sobie. – Myśleliśmy, że to szefowa ich wysłała. W razie gdyby uciekał… Jako wsparcie. To nie pani zasługa?

Alina wymieniła szybkie spojrzenie z Hubertem. Natychmiast ruszył w tamtym kierunku. Gdy tylko mężczyźni w aucie spostrzegli, że ktoś się do nich zbliża, szyby się podniosły, zawarczał silnik. Meyer przyśpieszył, ale nie miał szans zamienić z nimi słowa, bo zgrabnie go wyminęli i chwilę później po bmw nie było śladu.

– Zapamiętałeś numery?

– Tylko końcówkę – mruknął zeźlony. – Ale coś mi się zdaje, że to nie były polskie blachy. Albo fejkowe.

– Jesteś pewien?

– Nie – odparł jeszcze bardziej niezadowolony. Spojrzał na skonfundowanych stójkowych. – Od czego ich masz?

– Później się tym zajmę – wyburczała. – Idziemy.

– Ja zrobiłem zdjęcie. – Podszedł jeden z policjantów. – Komu wysłać?

– Dobrze, że chociaż jeden z was jest w miarę przytomny. – Meyer szybko wstukał coś w telefonie. – Możesz mi puścić. Od razu wrzucę na platformę do Misiura. Niech jego ludzie się z tym pobawią. Ciekaw jestem, kto tak pilnuje Liska, że na widok glin zwiewa jak niepyszny.

– Teraz nie ma czasu się nad tym głowić – ucięła Alina. – Bierzemy Małgorzatę na warsztat. Skorzystajmy z okazji, że doktora Liska nie ma. Może coś chlapnie?

* * *

Drzwi otworzyła im pyzata dziewczynka w czapce z uszami królika.

– O! Pani policjant? – Na widok broni przytroczonej do pasa Aliny uśmiechnęła się szeroko. – I jaka ładna!

– Dzień dobry, jak masz na imię? – odnalazła się Chojnacka. – Możesz zawołać mamusię?

– Mama, gliny do ciebie! – wydarła się mała.

Głosik miała piskliwy, ale tak mocny, że jak podrośnie, będą trzaskały szyby.

– Pewnie znów szukają taty albo są głodni. Nie dawaj im więcej moich ciastek. Zostały tylko te z oreo! – Nadęła się, udając obrażoną, ale w policzkach wciąż miała urocze dołeczki.

Kiedy biegła do kobiety, która pojawiła się zaraz w holu, jej różowa połyskliwa sukienka świeciła jak obsypana brokatem.

Na wysokim stołku, obok wielkiej maszyny do lodu, siedział starszy od niej o kilka lat chłopiec.

– Po co tak wrzeszczysz? – skarcił ją jak stary.

– A ty czego się interesujesz? To ja pierwsza ich zobaczyłam!

– Dzieci, idźcie do siebie. Kubuś, włącz siostrze bajkę – poleciła im matka.

Wytarła ręce o fartuch, a potem szybko go zdjęła, rzuciła na krzesło.

– Państwo do Marcela? – zapytała. – Niestety, w dalszym ciągu go nie ma. Co gorsza, nie mogę się dodzwonić… Powiedziałam tamtym panom, którzy od kilku godzin pilnują naszej bramy, że nigdy nie czułam się tak bezpiecznie. – Urwała, spróbowała się uśmiechnąć. Żadne z gości nie odpowiedziało jej tym samym, więc mówiła dalej: – A może jest w pracy? Ma jakąś naradę czy coś? Ostatnio wzywają go często na zdarzenia o dziwnych porach. Wraca zmęczony i prawie nigdy nie mówi mi o niczym – poskarżyła się.

– Kiedy widziała pani męża ostatni raz?

– Dziś rano. – Małgorzata odpowiedziała niemal natychmiast. – Szykowałam mu śniadanie, budziłam dzieci. Nie mówiliśmy za dużo… Ale też on nie wspominał, że wróci później. Naprawdę jestem zaniepokojona. Czy coś się stało?

– A jak pani uważa? – Alina skanowała dom.

Wszystko zdawało się jak z filmu o przykładnej rodzinie. Na kominku zdjęcia dzieci, landszaft nad sofą i patera wspomnianych ciastek na małym stoliku w salonie.

Jej wzrok zatrzymał się na pakunku leżącym przy drzwiach wyjściowych na balkon.

Lisowska podchwyciła jej spojrzenie.

– Niestety kot nam dzisiaj zdechł – oświadczyła. – Wyniosłabym go, ale nie chcę straszyć dzieci. No i sama się brzydzę. Czekałam wpierw na męża, ale przyjechali wasi

ludzie i nie pozwolili mi wyjść. Jeśli to ma dłużej potrwać, zadzwonię do ojca, bo zacznie śmierdzieć.

Hubert z Aliną wymienili spojrzenia.

– Co mu się stało? – zainteresował się Meyer.

– Nie mam pojęcia. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Pewnie coś zjadł. Byłam na masażu, a kiedy wróciłam, leżał w kuchni obok miski. Zawinęłam go w worek na śmieci i przykryłam kocem, ale dzieci jak to dzieci, bawiły się i zabrały koc, żeby zrobić sobie wigwam – gadała nerwowo.

Alina była już zniecierpliwiona.

– Dzwoniła pani do męża?

– Wiele razy.

– Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

Kobieta się zawahała.

– Dziś po wyjściu na masaż – odparła. – Zadzwoniłam, bo chciałam się spotkać z koleżanką i poprosiłam, żeby Marcel odebrał dzieci. Nie mógł. Powiedział, że ma pilną robotę. Często tak bywało, więc nie naciskałam. Domyśliłam się, że znów jakaś jednostka policji go wezwała. W takich sytuacjach mamy niepisaną umowę, żeby nie rozmawiać.

– Był jakiś zmieniony, zdenerwowany? Coś pani zauważyła?

Wzruszenie ramionami. Milczenie.

– Coś pani zauważyła – podchwycił Meyer. – Słuchamy.

Kobieta obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Z góry dobiegały ich odgłosy strzelanki. Syn najwyraźniej zamiast bajki włączył siostrze grę. Matka nie zamierzała ich jednak strofować.

– Może państwo usiądą? – Wskazała fotele. – Ja chyba bym chciała usiąść… – Urwała. – Tylko przyniosę komputer. Muszę wam coś pokazać. To może być ważne.

Zniknęła w głębi domu.

Hubert pochylił się do Aliny.

– Spierdolił. Ona gra na zwłokę, mówię ci. Dowiedział się, co mamy i co kombinujemy. Po prostu zwiał. Zaszyje się teraz, a ona pewnie ma zadanie posprzątać.

Komendantka pokręciła głową.

– Nie. Coś tu jest nie tak – wyszeptała. – Ale zagadasz ją, a ja w tym czasie zawiadomię naszych i przekażę Kulikowi niedobre wieści o jego przyjacielu. Niech szykuje się na obławę, bo jeśli zasiedzimy się tutaj dłużej niż godzinę, Lisek ma szanse zniknąć na dobre. No i postaram się załatwić nakaz. Musimy przeszukać ten dom. Choćby mi potem siedzieli na karku za niesubordynację, nie odpuszczę tego.

– Jeśli Lisowska nie ma nic na sumieniu, powinna się zgodzić i bez nakazu – zauważył Hubert. – Zapytam ją. Idź.

Alina skinęła mu głową i wyszła bez słowa.

Hubert został sam. Obejrzał każdy detal w salonie, zwiedził wizualnie kuchnię. Wstał, zajrzał do folii leżącej pod drzwiami balkonowymi i stwierdził, że Lisowska mówiła prawdę. To był martwy kot. Rasowy, rudy, z aksamitką na szyi. Wtedy na tarasie, tuż obok donic z kwiatami, dostrzegł garnek z pokrywką. Wyszedł, zajrzał do niego. Zawartość pachniała jak potrawka z ryby. Chwycił patyk i pogrzebał w niej. Pod spodem coś się pieniło. Odstawił garnek na miejsce, patyk z resztką jedzenia z garnka włożył do torebki na dowody i wrócił do mieszkania. Lisowskiej wciąż nie było. Zaczął się niepokoić, czy kobieta nie uciekła przez garaż albo tylnym wejściem, jeśli takowe w tym domu było, albo czegoś sobie nie zrobiła. Słyszał wciąż strzelankę w pokoju dziecięcym i nagle dostał paranoi, że Lisowska ukatrupiła siebie i dzieci, a on jak ten dureń czeka na nią w salonie.

Ruszył biegiem po schodach i z impetem otworzył drzwi do pokoju, z którego dobiegały odgłosy gry, aż dzieciaki się przestraszyły i pisnęły chórem. Udał, że żartował, sprawdził, w co grają, i powoli zszedł po schodach. Gospodyni właśnie

wchodziła przez garaż do salonu. Niosła otwarty komputer, a w drugim ręku przystawkę do odtwarzania CD na macu.

– Przepraszam, że tyle to trwało – zaczęła niepewnie. – Nie wiedziałam, gdzie Marcel trzyma ten sprzęt, a własnego nie mam. Nie potrzebuję. Zajmuję się tylko dzieciakami. Filmy oglądamy na projektorze – tłumaczyła się gęsto.

– Nie ma problemu – odparł. – Chociaż już się niepokoiłem. Dobrze się pani czuje?

Przyjrzał się jej.

Była blada, nieomal zielona. Włosy związała niedbale na czubku głowy, a na nos założyła różowe okulary. Musiał przyznać, że mimo domowego stroju była atrakcyjna. Wprawdzie typ jezusowy, jak je nazywał, czyli czysta naturalność, niemal żadnych kolorów. Ale styl sauté bardzo do niej pasował. Miała tak wyrazistą urodę, że gdyby jeszcze podkreślała ją koafiurą na głowie, agresywną szminką czy pstrokatymi ubraniami, mogłaby się wydać pretensjonalna.

– Nie wiem – odpowiedziała rozbrajająco. – Jeśli mam być szczera, wcale się nie czuję. Mam wrażenie, że od jakiegoś czasu znajduję się w jakimś filmie. Bałabym się go oglądać, a co dopiero brać w nim czynny udział. – Urwała. – Albo umarłam i jestem duchem, który obserwuje świat żywych. Ale oni nie wiedzą, że ja istnieję…

– O czym pani mówi? – Skrzywił się.

– Proszę to zobaczyć – Wskazała wyciemniony chwilowo ekran. – Będzie szybciej, niż opowiadać.

* * *

Kamera drżała, jakby nagrywający trzymał telefon i jednocześnie się przemieszczał. Widać było najpierw rząd samochodów stojących na parkingu, na którym Hubert był już wielokrotnie. Wyraźnie mienił się szyld supermarketu, a w oddali majaczyła znajoma stacja benzynowa. Operator wyostrzył obraz na sylwetce obróconego plecami mężczyzny, a potem ustawił aparat na dachu jednego z wozów i ustabilizował.

Tym mężczyzną był Marcel Lisowski. Na sobie miał ubranie mechanika Maćka Pokory, który wciąż czekał na zarzuty w areszcie. Lisek podszedł do czarnego mercedesa AMG i przemawiał z miną cierpiętnika do kierowcy, który o mały włos nie przewróciłby idącej do sklepu kobiety z wózkiem. Lisowski pomógł młodej matce przejść między samochodami, a kiedy się w tym celu obrócił, osoba nagrywająca wykonała zbliżenie. Z całą pewnością to był on. Kiedy tylko pozbyli się świadka, Portugalczyk wysiadł z wozu, zamienili kilka zdań. Następnie obaj ulokowali się w aucie. Dalsze nagranie się dłużyło. Szyby drogiego samochodu były tak wyprofilowane, że widać było jedynie lustrzane odbicia. Aż nagle ciszę przeciął huk. Potem padło jeszcze kilka zgłuszonych strzałów. Gdyby Hubert nie wiedział, jak zginął biznesmen, nie domyśliłby się, że to wystrzał z broni. AMG miało doskonałe wygłuszenie. Tylko ktoś stojący obok miał szansę usłyszeć ten specyficzny hałas. Dalej działo się niewiele, ale osoba nagrywająca była wielce poruszona. Ręce jej drżały, mimo że aparat z całą pewnością wciąż opierała o dach samochodu. Wreszcie Lisowski wysiadł. Obszedł dookoła sąsiedni wóz, który zresztą policja zabezpieczyła przed domem Pokory, a następnie ponownie kliknął centralny zamek, jakby sprawdzał, czy samochód jest zamknięty. Wsiadł z powrotem do G. Nie zamknął drzwi od strony kierowcy, bo inaczej nie mógłby przeciągnąć ciała Portugalczyka na tylne siedzenie. Zapewne z tej przyczyny osoba nagrywająca stchórzyła. Film się urwał. Zanim jednak to nastąpiło, dokonała zbliżenia na zalaną krwią białą koszulę i zwisającą smętnie głowę Ruiego. Nie było żadnej wątpliwości, kto dokonał tego czynu, gdzie się to wydarzyło i w jaki sposób.

* * *

– Od jakiegoś czasu bałam się męża – wyznała Małgorzata, kiedy oboje z lekka ochłonęli i mogli wrócić do rozmowy. – Zachowywał się dziwnie. Stał się tajemniczy, podstępny, nieustannie się do mnie dobierał. Mówił półsłówkami, zagadkami, groził. Potrafił brać mnie w ramiona, a potem

straszyć. Dopóki nie pojmowałam, że to on stoi za śmiercią Ruiego, momentami nawet mi się to podobało. Że jest taki silny, władczy i znów bywa liderem, jak na samym początku naszego związku. Szybko jednak poskładałam fakty, a przedwczoraj złapałam go na oglądaniu tego filmu. Nie mogłam dłużej się oszukiwać – dokończyła i umilkła.

– Dlaczego nie poszła pani na policję? – zaatakował Hubert. Miał dosyć okazywania jej współczucia. Wiedział, że to może być strategia. Kobieta udaje zrozpaczoną, bo liczy, że odcięcie się od męża mordercy to jej jedyny sposób na uratowanie siebie. – I gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. – Zrobiła wielkie oczy. – Nie mam pojęcia.

Jej flegmatyczność i udawana bezradność zaczynały go irytować.

– Doprawdy?

– Pan mi nie wierzy? Pan myśli, że ja z nim trzymam? – oburzyła się. – Przecież ja jestem przerażona! On najprawdopodobniej i mnie planował wkrótce zgładzić.

Opowiedziała mu o znalezisku w garażu. O taśmach naprawczych, piłach, nożach i reszcie asortymentu, jaki pokazują na filmach, kiedy zatrzymują sadystycznych zabójców.

– Jeśli pan chce, mogę to panu pokazać.

Hubert niechętnie wstał.

– Skoro nie ma pani dla mnie żadnych innych wiadomości – mruknął. – Ale wpierw pani wybaczy, muszę zawiadomić szefową. Jak rozumiem, możemy zabrać tę płytę?

Skinęła głową i kliknęła, by dysk się wysunął.

– Skąd pani ją ma?

– Zabrałam mu – wyznała. – Musiał być szantażowany, bo z naszego konta wypłacał po pięć, dziesięć tysięcy, a ostatnio przelał na jakieś inne, które niedawno utworzył, dwadzieścia osiem. Widziałam też któregoś razu przed domem tego

policjanta, który zginął. Połączyłam szybko kropki i myślę, że Marcel też brał w tym udział. – Obróciła się za siebie, jakby obawiała się, że dzieci to usłyszą. – Mówię to panu w zaufaniu, żebyście mogli go jak najszybciej złapać. – Zniżyła głos do szeptu. – Boję się o siebie, bo dzieci by nie skrzywdził. Jeśli jednak dowie się, że go wydałam, zabije mnie. Jestem pewna.

– Liczy pani, że dostanie pani ochronę, pomawiając męża? – rzucił drwiąco Hubert.

Nie widział w jej oczach strachu, ale chytrość owszem. Mówiła o tym wszystkim tak lekko, jakby sobie tę opowieść przygotowała. Nijak nie mógł jednak w tej chwili stwierdzić, co tak naprawdę Lisowska kombinuje. Jaki to rodzaj gry?

– Byłoby wspaniale! – wyrzuciła ręce do góry cała ucieszona. – I może jeszcze taki dokument, który zakazuje zbliżania się do dzieci, do naszego domu. Żeby zanim go oskarżą i skażą, nie zrobił nam krzywdy. No i żebyśmy mogli tutaj zostać… Nie wyobrażam sobie ucieczki przed nim i tułania się po jakichś hotelach.

– To będzie trudne, bo nie wiemy, gdzie jest pani mąż. Pani też tego nie wie… Czy jestem w błędzie?

– Niestety. – Pochyliła głowę. Zrobiła smutną minę. – Proszę wierzyć, że gdybym miała jakiś pomysł, z pewnością podałabym panu te miejsca.

– Nie jest przypadkiem tak, że pani ma mnie tutaj zagadać, a w tym czasie mąż szykuje sobie kryjówkę?

– Na to bym nie liczyła – weszła mu w słowo. – Marcel prędzej sam się zabije, niż nas porzuci. On jest chorobliwie zaborczy. W jego mniemaniu jestem jego własnością. Ja i dzieci stanowimy jego tło, stado. Może trudno w to uwierzyć, ale ja myślę, że on zrobił to dla nas. Żeby ratować rodzinę…

– Nie jest to takie rzadkie. Wielu sprawców zbrodni rodzinnych, broniąc stada, morduje innych. – Zawahał się. Dorzucił: – Znacznie częściej jednak siebie. Ma pani szczęście, że Marcel nie wpadł na taki pomysł.

Zapatrzyła się na niego tępo, jakby słowa, które usłyszała, nie do końca do niej dotarły. Wreszcie ukryła twarz w dłoniach, stała w takiej pozycji kilka chwil. Kiedy zabrała ręce, widział w jej oczach żal, gniew, ale nie bezradność. Małgorzata nie płakała. Zacisnęła usta, aż zbielały, i zaczęła mówić, jakby strzelała z karabinu:

– Myślałam o tym każdej nocy, odkąd Rui zniknął. Czułam, że coś się stało, a w głębi serca chyba od początku wiedziałam… Gdy zaczęli mówić o tej sprawie w wiadomościach, zrozumiałam, że to właśnie dlatego Marcel się zmienił. Nie poznawałam go.

– Co pani ma na myśli?

– Stał się po prostu inny. Jakby ta zbrodnia przeistoczyła go w kogoś innego. Czytałam, że często tak się dzieje. Niektórym, zwłaszcza słabym mężczyznom, morderstwo może dawać siłę.

– Tylko pozorną – wtrącił Hubert, ale ona nie słuchała.

– Był zresztą moment, kiedy to było miłe – ciągnęła swoje. – Myślałam, że niepotrzebnie uwikłałam się w ten romans, bo od lat od Marcela oczekiwałam tylko jednego: „bądź takim mężczyzną, żebym mogła cię podziwiać”. Oczywiście nie chodziło mi nigdy o to, by okazywał swoją siłę, odbierając życie innym, ale jednak wzruszyło mnie, że stanął w naszej obronie, z honorem… No ale potem zaczęłam się go bać. Skoro jest zdolny do zbrodni z powodu zdrady, to drobne potknięcie, mała niesubordynacja może mnie dużo kosztować. Wie pan, i nagle którejś nocy zaczęłam sama myśleć o tym, że najłatwiej byłoby wyjść z tej matni, jeśli ja zabiłabym go pierwsza. – Zawiesiła się, umilkła. – Myśli pan, że zbrodnia jest zaraźliwa? Że to można złapać jak wirus?

– Czuła pani po prostu gniew, to wszystko. To instynkt samozachowawczy. Każdy przynajmniej raz w życiu czuł się jak w potrzasku. Tyle że większość z nas przegania tę myśl, a tylko nieliczni ją realizują – odpowiedział. – I? Co pani przedsięwzięła?

Wzruszyła ramionami.

– Nic – powiedziała z ociąganiem. – Nie wiedziałam, jak to zrobić. Skąd wziąć pistolet? Ile będzie sprzątania? Czy lepiej uderzyć go wazonem, czy jakimś drągiem? Jak rozpuścić ciało? Tyle się o tym czyta i ogląda w filmach… Szukałam danych w internecie i powiem szczerze, że nawet się wciągnęłam. Wie pan, że są gotowe recepty, jak pozbyć się małżonka i nie zostać złapanym? To jest dostępne na wyciągnięcie ręki! Jeśli ktoś jest zdeterminowany, znajdzie przepis na rozpuszczanie w ługu wraz z adnotacjami, jakiego rodzaju plastikową balię należy zdobyć. W teorii wydaje się to łatwe, ale nie byłam w stanie przekroczyć bariery psychicznej. No i nie umiałam tak grać, żeby Marcel się nie zorientował. Z mojej twarzy czytał emocje jak z książki. Raz pochyliłam się nad nim ze wstrętem, bo upił się i myślałam, że śpi. Przyłożyłam mu ręce do szyi, zacisnęłam, ale zaraz puściłam. Nie mogłam… To nie jest takie proste kogoś skutecznie zabić.

– To zależy – mruknął Hubert, dyskretnie spoglądając na zegarek. – Od tego, ile ma pani w sobie nienawiści za doznaną krzywdę albo co pani na tym zyskuje. Jak widać, śmierć z pani ręki nie była mu dana. – Zawahał się. – Może pani zadzwonić po ojca? Ktoś powinien zaopiekować się dziećmi, kiedy my pojedziemy do spowiedzi – zakończył. – Tutaj weszłaby ekipa techników i reszta brygady. Jak rozumiem, nie ma pani nic przeciwko temu?

– Oczywiście. – Dygnęła jak pensjonarka. – Proszę się rozejrzeć, a ja w tym czasie się przebiorę. Możecie szukać, przeglądać nasze życie, ile trzeba. Nie mam nic przeciwko temu. Sama nie miałam odwagi myszkować w jego rzeczach. – Wskazała drzwi w końcu korytarza. – Tam Marcel ma gabinet. – Przeniosła ramię na schody w dół.

Hubert zarejestrował, że dom zaplanowano tak, by zejście nie kolidowało z ewentualną aktywnością pozostałych domowników.

– A tam jest piwnica, składzik i garaż. To było królestwo mojego męża. Poza parkowaniem samochodu praktycznie tam

nie bywałam. – Sięgnęła do kieszeni i podała mu pęk kluczy. – To jego. Zostawił na blacie w kuchni przed wyjściem. Może pan dopasuje do zamków. Ja niestety nie wiem, które do czego służą.

Spojrzał na nią zdziwiony. Czyżby Lisowscy w tym wielkim domu żyli niejako osobno? Skąd w żonie podejrzanego tyle determinacji, by pomóc organom ścigania w aresztowaniu męża? Jaki ta kobieta ma plan? Czy przypadkiem nie wpuszcza go na jakąś bardzo niebezpieczną minę?

– Mam jeszcze jedno pytanie – rzucił.

– Tak? – Przekrzywiła głowę lekko zniecierpliwiona.

– Potwierdziła pani, że miała pani romans z de Souzą – zaczął.

– Owszem – zgodziła się. – Chociaż od jakiegoś czasu i tak zamierzałam z tym skończyć. Gdyby nie satysfakcjonujący seks, pewnie bym tego nie ciągnęła. Właściwie ostatnimi czasy spotykaliśmy się bardzo sporadycznie. Ogień się wygaszał.

– Pomówimy o tym szczegółowo w komisariacie – przerwał jej. – Chodzi mi o coś zupełnie innego.

– Tak?

– Jak mówił do pani Rui? Nadał jakiś pieszczotliwy pseudonim, zdrobnienie?

– Nie, raczej nie. Lubił mówić do mnie Margot albo po prostu Gosia. W jego ustach brzmiało to raczej Gosz, ale i tak było urocze.

– Prowadziła pani kiedykolwiek biuro księgowe?

– Boże broń! – żachnęła się. – Cyferki i ja to dwie różne galaktyki.

– A Cykoria? Mówił tak do pani?

Zmarszczyła brwi. Gwałtownie pokręciła głową.

– Opowiadał o kimś o takiej ksywie?

– Chodzi o kobietę? – upewniła się i spojrzała na niego czujnie.

– Obiło się pani coś o uszy? – spytał z nadzieją.

– Hmm – mruknęła, zanim wyjaśniła: – To z pewnością nie ma nic wspólnego ze mną. Ale raz czy dwa widziałam w jego telefonie wiadomość od takiego nadawcy. Za pierwszym razem reakcja była dużo bardziej emocjonalna, ale między nami też było jeszcze więcej ognia. Było już późno, kiedy wracaliśmy z hotelu, ja bardzo się śpieszyłam do domu, a on też był w biegu… W każdym razie Rui zostawił telefon na wierzchu i to biuro napisało. Schował komórkę i powiedział, że to praca, że niby przy mnie nie chce się denerwować, ale musimy szybciej skończyć, bo ma spotkanie. Pamiętam, poczułam wtedy, że kłamie. I że ta Cykoria to kobieta. Kiedy wysiadałam w centrum, żeby przesiąść się do swojego mini, zobaczyłam we wstecznym lusterku, że podchodzi do niego ruda kobieta. Kręcone naturalne loki.

– Ruda?

– Płomiennie. Przywitali się cmoknięciem w policzek, a potem ona wsiadła. Odjechali. Poczułam ukłucie w sercu, coś jakby zazdrość. Jak wspominałam wcześniej, nie rozmawialiśmy o swoim życiu poza naszym łóżkiem. Może i na początku byłam zauroczona, liczyłam na coś więcej, ale z czasem zamieniło się to w czystą relację sex friends. Nigdy nie zapytałam go o rudą kochankę, a tym bardziej o biuro księgowe, które miała prowadzić. Nie mieliśmy do siebie żadnych praw.

Meyer podziękował jej skinieniem.

– Proszę nie stroić się za długo – uprzedził ją. – Mamy niewiele czasu.

– Pięć minut – obiecała.

Uznał, że nic więcej nie ma do powiedzenia. Ona też chyba to rozumiała.

Skłoniła się lekko i weszła powoli na schody, tam gdzie wcześniej zniknęły dzieci i skąd w dalszym ciągu dobiegały odgłosy włączonej gry.

Meyer przeszedł prosto do korytarza, otworzył gabinet i zaczął przeglądać papiery leżące na biurku, skanować certyfikaty i dyplomy zawieszone na ścianie naprzeciwko wejścia. Niczego podejrzanego nie znalazł. Ruszył więc schodami do piwnicy, która okazała się tej samej wielkości co powierzchnia domu, z tym że pomieszczenia oddzielało znacznie mniej ścianek działowych.

Głównym elementem wystroju tej części domu były metalowe półki, na których ustawiono pudełka z aktami, narzędzia ogrodnicze oraz skrzynki narzędziowe, identyczne jak ta, którą zabezpieczono w bagażniku Maćka Pokory. Hubert założył na ręce lateksowe rękawiczki i otworzył na chybił trafił jedną z nich. Były tam wiertarka, ręczna piłka, zestaw taśm i rolka streczu. Pozornie niewinne akcesoria. Zrobił zdjęcie, zamknął. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Uznał, że szkoda czasu na dalsze myszkowanie i powinien raczej zostawić to technikom. Kiedy wracał już do mieszkania, minął część garażową. Stał w niej tylko jeden samochód – żółte mini. Obok widać było ślady jeszcze dwóch innych, znacznie większych wozów. Nie wiedział, czy technicy są w stanie stwierdzić, czy passat Pokory kiedykolwiek tutaj parkował, ale na szczęście ślady błota doskonale odwzorowały bieżniki kół.

Coś go tknęło, chwycił za klamkę. Auto nie było zamknięte. Rozejrzał się po wnętrzu. Pachniało damskimi perfumami, na lusterku wstecznym dyndał różowy puszek z jakimś złotym emblematem. Hubert obszedł samochód dookoła, spojrzał kontrolnie na drzwi, czy kobieta go nie obserwuje i czy nie zacznie protestować, a następnie podniósł klapę bagażnika.

Tylne siedzenia w aucie złożono. Gdyby nie to, nie zmieściłby się pakunek w kształcie wielkiego paragrafu, z którego wystawały bose męskie stopy. Ciało zawinięto w identyczny worek, jak martwego kota pod balkonem,

a błyszczące półbuty i zwinięte w kulki skarpetki ułożono obok, niczym obuwie przygotowane do trumny.

* * *

Okna mieszkania na Wspólnej wychodziły wprost na ulicę, a ponieważ znajdowały się na parterze, Meyer mógł z łatwością zajrzeć do wnętrza. Na parapetach stały złote figurki Buddy, coś wyglądające jak szopka bożonarodzeniowa, świeczniki i szklane ptaszki, a na firanach błyskały złocone ozdoby. Po jedynej rozmowie, jaką odbył z uduchowioną Agatą Wolanin, właściwie się nie zdziwił, że jej mieszkanie jest strojne niczym świątynia. Nie zdążył zadzwonić do bramy, kiedy wielkie antyczne wrota się otwarły i stanął w nich grubawy, ale mimo to wciąż przystojny facet do złudzenia przypominający Pawła Deląga. Hubert w pierwszej chwili pomyślał, że to aktor we własnej osobie. Jedynym zgrzytem w jego wypracowanym wizerunku były kraciaste kapcie i worek śmieci, który trzymał oburącz w dłoniach. Z dołu coś ciekło.

– Pan wchodzi czy wychodzi? – ryknął basem do Huberta. – I dobrze pan zamknie, bo bezdomni tylko czekają, aż zrobi się szczelina. Podważają zamek, psują go nam notorycznie i włażą, żeby tu nocować. To jakaś plaga! – narzekał.

Meyer karnie zatrzasnął drzwi, przeprosił i ruszył dziedzińcem. Wahał się, do której klatki dzwonić najpierw, bo wszystkie okna od ulicy mogły się znajdować w tym skrzydle budynku. Odwrócił się do człowieka ze śmieciami.

– Pani Wolanin pod którym numerem?! – krzyknął i pokazał pierwszą klatkę z brzegu. – Jedenaście to będzie tutaj?

Sobowtór Deląga pozbył się już cieknącego worka i trzymając dłonie daleko od odzieży, maszerował dokładnie do wskazanej przez Huberta klatki.

– A czego pan od niej chce? – wyburczał z nutą niepokoju. – Ktoś pan?

Hubert się przedstawił. Z każdym wypowiadanym słowem widział, jak pewność siebie mężczyzny maleje.

– To moja żona – oświadczył. – I pan szybko mówi, co nawywijała, bo słabo się dziś czuję. Ciężki tydzień miałem, a ona gnoju w domu narobiła, że nie mogłem nawet na chwilę się położyć. Pół lodówki opróżniłem do kontenera. Na cholerę ona to żarcie kupuje? Nie wiem…

Hubert nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Państwo żyją razem? – spytał skonfundowany.

– A jak? – parsknął Wolanin. – To przecież moja żona, nie?

Meyer wahał się chwilę, czy konfrontować człowieka z wersją, którą sprzedała mu w Victorii Agata, ale ostatecznie zrobiło mu się typa szkoda. Wyglądał poczciwie. Nie zasługiwał na takie niespodzianki.

– Czym pan się zajmuje?

– A co, książkę pan pisze? – warknął sobowtór Deląga całkiem już rozeźlony. – Póki nie powiesz mi, co i komu mam zapłacić, do którego komisariatu jechać ją odebrać, nie mamy o czym gadać.

– Muszę się z nią rozmówić. – Hubert wykpił się od odpowiedzi. – Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci kilku osób i potrzebuję zweryfikować parę danych.

– U mojej Agaty? – Facet zaśmiał się gromko. – To gratulacje. No, ciekaw jestem, co ci naopowiadała. Pewnie dumna jest, że została informatorką policji. Od zawsze o tym marzyła.

Podparł się pod boki i uśmiechał tak, jakby szykował się na wielkie show. Hubert czuł, że coraz mniej rozumie, ale zachowanie faceta i cała ta sytuacja wcale mu się nie podobały.

– Prowadź mnie lepiej do żony – warknął. – A jeszcze kilka żartów i pogadamy inaczej.

Odsłonił blachę przymocowaną do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przy okazji Wolanin mógł obejrzeć kaburę z bronią i kajdanki.

– Po co te nerwy? – spokorniał momentalnie. – Gdybym to ja wiedział, gdzie żonę wywiało, nie sprzątałbym całej chaty sam, nie? Na tirach jeżdżę, rzadko bywam w kraju, fakt, ale jakoś tak się składa, że kiedy tylko wracam, ją licho niesie do koleżanek, na jogę albo i karate. Sam już nie wiem, co ona ma w głowie. Bądź jednak pewien, że cokolwiek ci mówiła, to bajki. Agata jest mitomanką. To ponoć choroba, chociaż ja powtarzam, że raczej wybór. Ona lubi wkręcać ludzi. O matce morderczyni dzieci ci opowiadała?

Hubert nic nie powiedział. Zacisnął tylko mocniej szczęki.

– A więc tak – ucieszył się Wolanin. – To jej popisowy numer. Nie martw się, ona jest nieszkodliwa. W gruncie rzeczy to dobra, oddana kobieta. Opowieści to tylko jej taki sposób na robienie życia ciekawszym. Nauczyłem się już nie brać niczego serio. Zresztą mnie nie jest w stanie oszukać. Znam ją od dziecka. Trzydzieści trzy lata jesteśmy razem.

– Zadzwoń do niej i powiedz, żeby natychmiast stawiła się w domu albo od razu w komisariacie. – Hubert wyjął wizytówkę i podał Wolaninowi. Zawahał się, ale dodał: – Jak rozumiem, chora siostra też nie istnieje? Isia? Chyba takie imię mi podała.

Mężczyzna posmutniał. Pochylił głowę. Miętosił w dłoni karteczkę, a potem schował ją do tylnej kieszeni dżinsów.

– Isia mieszkała z nami kilka lat. Rak zabrał nam ją tej wiosny – oświadczył z powagą. – Ale to była moja siostra. Agata przywłaszczyła ją sobie i często opowiada o niej ludziom. Nie masz co czuć się wyróżniony.

– Słuchaj – zniecierpliwił się Hubert. – Twoja żona może być powiązana z prowadzonym przeze mnie śledztwem. Jeśli życzysz jej dobrze, znajdź ją.

Facet zawiesił się na chwilę, spojrzał na zegarek, wreszcie rzekł:

– O tej godzinie może być w jakimś kościele. Nie odbierze telefonu. Ale jak wróci, obiecuję, że ci ją przywiozę.

– Tam masz moją komórkę. Zadzwoń, powiem ci gdzie jestem. Muszę z nią natychmiast pogadać. Niezależnie od tego, czy będzie wymyślać, czy powie prawdę. W przeciwnym razie będzie miała kłopoty – powtórzył.

– Powiesz mi trochę, o co chodzi? – poprosił Wolanin. – Kocham ją. Nie chciałbym, żeby żonie stała się krzywda. Mam iść do banku i wyciągać forsę na adwokata?

– Tego nie wiem – odrzekł zgodnie z prawdą Hubert.

– A więc się doigrała – westchnął mąż Agaty. – Mówiłem, żeby nie wsadzała ręki między gryzące się psy.

Meyer spojrzał na faceta czujniej.

– O czym ty mówisz?

– Agata wierzy, że może zbawić zbłąkane dusze. Pewnie opowiadała ci o energii, o tym, że to, co myślimy, zamienia się w emocje, a dopiero potem są wydarzenia, które się dzieją. Sądzimy, że jest odwrotnie, że rzeczy do nas przychodzą, a to nie tak. Nasze życie jest lustrem wewnętrznych przekonań. Gadała ci o tym?

– Może?

– A śledztwo dotyczy tego bogatego Portugalczyka?

Hubert milczał. Skinął tylko nieznacznie głową.

– Wiesz coś o tej sprawie? Żona ci opowiadała?

– Próbowała mi wmówić, że miała z nim romans, ale wiem, że to nieprawda. Przychodził do niej na masaże i sobie gadali. Uwielbiał ją, pełniła funkcję takiej jakby terapeutki. Z czasem tak się uzależnił, że nie był w stanie podjąć samodzielnie żadnej decyzji. Żadnej, człowieku! Nawet jak coś w biznesowych sprawach musiał działać, to dzwonił do mojej żony. Dał jej specjalną komórkę i wiedziałem, że jak się odzywa ta melodyjka, to dzwoni de Souza. Płacił jej słono. W kółko dawał prezenty. Nie pamiętam, żeby przejmowała się

czyimikolwiek problemami tak jak tego typa. Nie spali ze sobą, wiem na pewno. Po prostu matkowała mu, chociaż była od niego kilka lat młodsza. On sypiał z innymi i jej o tym opowiadał. A kiedy żona zaczęła go śledzić, bo on chciał się rozwieść, ale były tam jakieś formalne przeszkody, to poprosił, żeby Agata pobawiła się w detektywa. Jak wyjeżdżałem w sobotę, żona była ostro przybita. Nie jadła, praktycznie nie spała. Cały czas modliła się o duszę tego faceta i o dusze wszystkich jego kobiet. Sorry, znam to tylko szczątkowo. Musiałem jechać w trasę. Wiem, że Agata miała jakieś nagrania, materiały, słuchała jakichś rozmów w knajpach i dostarczała to de Souzie. Coś z tego było ważne. Nie chciała mi mówić o tym przez telefon, a kiedy zaniosła ten materiał wdowie, ta uznała, że to szantaż. Że moja żona chce pieniędzy… Człowieku, Agata nigdy nie zrobiła nic z pobudek materialnych! Za to właśnie ją kocham. To wariatka, ale ideowa, misjonarka. Nie przywiązuje wagi do forsy, chociaż ona cały czas do niej przychodzi. Pewnie dlatego… Żona tak twierdzi…

– Gdzie jest to nagranie, ten materiał? – przerwał mu Hubert.

– Kiedy de Souza odesłała ją do diabła, Agata zaniosła ją do policjanta, który prowadził dochodzenie i występował w telewizji. Potem on też zginął – dokończył Wolanin i urwał. – Jak to się stało, nakazałem żonie się nie mieszać. Zabroniłem jej nawet chodzić do komisariatu. Z tego, co wiem, nie poszła. Znów mi kłamała? – Złapał się za głowę.

– Nie przyszła – potwierdził Hubert. – Ale ja poszedłem do niej. Rozmawialiśmy w jej gabinecie.

– Przywiozę ją – obiecał Wolanin. – Wiem, że też jest zmęczona tym sekretem. Moja żona jest niewinna. Nie zrobiła nikomu nic złego. Ale coś widziała. Myślę, że jest świadkiem czegoś i z pewnością chętnie się tym z tobą podzieli. Tak, jestem pewien, że to zrobi, bo ona uwielbia być słuchana. Dlatego wciąż kłamie. Dla uwagi.

– Cykoria – rzucił Hubert. – Mówi ci to coś?

– Zupełnie nic – oznajmił stanowczo Wolanin.

* * *

## 14 lipca następnego roku (piątek)
## PORTUGALIA, REJON ALGARVE, OKOLICE SAGRES

Maszerowali kamienistą plażą, więc Alina miała na stopach gumowe kapcie ochronne i poza strojem kąpielowym oraz kolorową chustą, którą przepasała biodra, była to jej cała garderoba. Hubert nie był w stanie zmusić się do założenia kondomów, jak nazwał popularne w tym rejonie świata obuwie. Szedł w adidasach, pośpiesznie obciętych dżinsach przed kolana i oddychającym podkoszulku, który kupił przed wyjazdem specjalnie na tę okoliczność. I tak czuł się jak goły. Gdyby nie obiecane spotkanie z ojcem zamordowanego Portugalczyka, nie dałby się namówić na taką delegację. Drugim, równie ważnym powodem była jednak obecność komendantki.

Alina się zatrzymała. Spojrzała w górę na klif ciągnący się wzdłuż plaży, którą szli, a na której stała letnia rezydencja de Souzów. Od oceanu w ich kierunku wiała przyjemnie chłodząca bryza.

– Wygląda na to, że to tutaj – oświadczyła.

Hubert zdjął plecak, wyciągnął odręczną mapkę. Rozejrzał się.

– Nie widzę tu żadnej jaskini – rzekł. – My równym krokiem i w dzień szliśmy od rezydencji dobre dwie godziny. Po co chłopak nawykły do pływania na jachcie, a nie piechur, miałby drałować tyle czasu, żeby wejść do jakiejś pieczary w skałach?

Podszedł bliżej, oparł się plecami o kamień. Przymknął oczy.

– Jest bajecznie – dobiegł go głos Aliny. – Właściwie gdybym miała umierać, to wolałabym spaść z takiej skały. Ocean zabrałby zwłoki, a resztą zajęłyby się żyjątka morskie.

– Atlantyk jest tak zasolony, że niewiele w nim życia – mruknął Hubert. – Za to miło wiedzieć, że jesteś romantyczna.

Wystawiła język i zrobiła głupią minę. Roześmiał się, zaraz jednak spoważniał.

– Coś mi się wydaje, że Diana Gardocka w dalszym ciągu się z nas natrząsa. Dopóki nasi nie rozkopią terenu, nie uwierzę, że go tam nie ma. A ty jak uważasz? Arun zginął w wypadku czy został zamordowany?

– W wypadek wątpię – odpowiedziała. – Moim zdaniem to mało prawdopodobne. Dlaczego mieliby ukrywać ciało, skoro chłopak po pijaku spadł z klifu. Samobójstwo tym bardziej brzmi niewiarygodnie. Nie miał powodu umierać. Był młody, babki się o niego biły…

– Dowiemy się wszystkiego, jak znajdziemy ciało. Nie po to łażę po tym upale w krótkich gatkach, żeby wracać z niczym – prychnął. – Tutejsza policja czeka w blokach startowych. Już ostrzą sobie zęby na tę identyfikację.

– Szczerze? Bardzo w nią wątpię. Tego terenu do śmierci mojej i twojej nigdy nie spenetrują. Całe to wybrzeże należy do de Souzów. To prawdziwy cud, że w ogóle możemy prowadzić działania – zauważyła. – Jedyna nadzieja w tym, że Pedro ją przekona albo sterroryzuje. W końcu Dianie zależy na tym, żeby podpisać ugodę. Chociaż nie liczę, by twój kolega milioner miał taki wpływ na wdowę po swoim synu. Może być tak, że dogadają się poza nami i Diana nie poda miejsca ukrycia zwłok. Już nigdy się nie dowiemy, co się stało z Arunem Tyburkiem.

– Wiem – zgodził się z nią. – Wciąż jednak liczę, że z czasem te wzajemne koligacje zaczną się rozluźniać. Kiedy Diana przestanie dofinansowywać Patrycję, nianię de Souzów i Demianiuka, dziewczyna może zapragnąć spowiedzi. A ja będę gotowy na spotkanie, bo ja nie zapominam. A i brat Aruna przy kolejnym aresztowaniu zauważy korzyść z ujawnienia danych.

– Nie udało się udowodnić, że to on przyszedł po pieniądze i wysyłał kartki. Był na przepustce, owszem, ale to za mało, żeby postawić go w stan oskarżenia albo nawet przycisnąć do muru. Kto odwiedził wtedy matkę, pozostaje wielką niewiadomą.

– Tak samo jak wiele innych szczegółów tej sprawy – mruknął niezadowolony Hubert. – Co z tego, że wiemy z całą pewnością, kto był zabójcą Ruiego i Bogusia, skoro Marcel Lisowski ostatecznie podzielił ich los. Czuję się tak, jakby ktoś wyprosił mnie z filmu przed samym zakończeniem.

– Lisek jest moim największym życiowym rozczarowaniem – oświadczyła Alina. – Człowiek powołany do tego, żeby ścigać przestępców, sam się nim staje z tak błahego powodu jak chorobliwa zazdrość. Ja po rozwodzie nawet przez jedną chwilę nie myślałam, żeby zrobić krzywdę byłemu mężowi, chociaż był wobec mnie o wiele bardziej niegodziwy niż Małgorzata dla Marcela lub Rui dla Diany.

– Motywem zbrodni Liska nie była zazdrość – sprostował Hubert. – Chodziło o odzyskanie kontroli nad własnym życiem. Jako mężczyzna w jakimś stopniu go rozumiem. Myślę, że każdy facet choć raz był w takiej sytuacji. Zdrada podcina nam skrzydła, odbiera męskość, najskuteczniej kastruje. – Zawahał się. – Co nie znaczy, że go usprawiedliwiam.

– Niby dlaczego zabijał? – Alina rozłożyła chustę i ulokowała się na jednym z kamieni. Nasunęła kapelusz niżej na twarz. – Gdyby zabił tylko Ruiego, mieściłoby się to jakoś w moim porządku wartości. Gdyby na tym poprzestał, przyszedł, przyznał się i ukorzył gotów wziąć na siebie winę, może i bym mu współczuła. Portugalczyk był kanalią, egoistą i człowiekiem, który nie zważał na nikogo. Ale nie, Marcel zabijał dalej. Bogusia usunął z czystą premedytacją, a do tej pory nie odnaleźliśmy ciała dziewczyny, która mogła zaświadczyć przeciwko niemu. Nigdy nie zapomnę tego wózka z dzieckiem na skarpie, które pozostawił jak mroczny chichot. To był potwór, nie człowiek. Wcale mi go nie żal, a zabójca uczynił wszystkim przysługę. Mogliśmy zostać

z niczym. Nawet te niedopałki nie wystarczyłyby do skazania psychologa.

– Musiał zabijać. – Hubert usiadł obok niej. – Robił to, bo taka jest konsekwencja zbrodniczych działań. Musisz czyścić po sobie teren albo przepadasz. I Marcel, jak każdy sprawca, bał się ujawnienia. Oni wszyscy tak naprawdę w pewnym momencie myślą tylko o jednym: o uniknięciu kary. Nikt i nic się wtedy nie liczy. Intuicja Małgorzaty nie zawiodła. On by ją usunął. To była kwestia czasu. Za dobrze go znała, za dużo wiedziała. Była dla niego niebezpieczna. To, że ją kochał, niczego nie zmienia. Nikt nie rodzi się mordercą, ale żyjąc na krawędzi, podejmując łajdackie decyzje, stajemy się zakładnikami naszych kłamstw, matactw, a z czasem te grzechy są znacznie cięższe. Lisek pragnął być podziwiany, adorowany, chciał, żeby wszyscy mieli go za nadczłowieka. Zdawało mu się, że skoro tyle naczytał się o psychopatach, będzie w stanie się nim stać.

– W jakimś stopniu mu się udało.

– Nie – zaprzeczył Hubert. – Owszem, mordował, palił, zacierał ślady i grał z nami w swoją grę, ale zbyt dużo go to kosztowało i dlatego popełniał błędy. Ten, kto dokonał odwetu na nim, jest o wiele bardziej niebezpieczny.

– Dlaczego?

– Bo może mieć poczucie sprawiedliwości, a co za tym idzie władzy. To o nią chodzi wszystkim przestępcom. Pierwsze zabójstwo Liska to był wypadek. Poniosły go emocje, nie wytrzymał presji. Dziś już wiemy dokładnie, jak wyglądało starcie kochanka i męża. Rui wcale nie musiałby ginąć, gdyby Lisowski nie zabrał ze sobą pistoletu. A dlaczego go wziął?

– Ze strachu?

– Owszem – zgodził się z nią Hubert. – Przede wszystkim jednak już wtedy starał się zapanować nad sytuacją, a ona była nie do opanowania. Świadczy to o słabości zdradzanego męża, który za wszelką cenę chce zaimponować kobiecie. Gdyby

żył, mówiłby zapewne, że robi to dla niej, kiedy tak naprawdę robił to dla siebie. I chociaż, jak mówiłem, Lisek nie urodził się zabójcą, złym człowiekiem, zadecydował w pewnym momencie, że się nim stanie. Podjął taką decyzję. Dla siebie. Zabił Ruiego i Bogusia tylko po to, żeby chronić swój tyłek. Uprowadził dziewczynę, która była Bogu ducha winna, ale mogła go wskazać.

– Ale dziecko ocalił. Wózek zabezpieczył, żeby nigdzie nie odjechał, i zadbał o to, żeby jeśli spadnie deszcz, mały się nie przeziębił.

– To tylko próba wzbudzenia w nas jeszcze większej grozy – zaprotestował Hubert. – Patrzcie, mogłem zabić i dzieciaka, ale tego nie uczyniłem. Jestem silny, jestem kimś. To ja rządzę.

– Uważasz, że zabijałby dalej, gdyby nie został unieszkodliwiony?

– Tak uważam. – Hubert pokiwał głową. – Próbował wrzucać nas na lewe tory, wkręcać innych w swoje zbrodnie i o mały włos by mu się to udało. Może byśmy do tego doszli, a może nie. Przypominam ci, że zadbał o to, żeby zaprzyjaźnić się z prokuratorem Kulikiem. Sprawa by przyschła, przycichła, a z czasem trafiłaby na półkę z niewykrytymi. On zaś tęskniłby do tej adrenaliny. Po etapie wyciszenia znalazłby sobie inny cel. Weź pod uwagę jego wiedzę kryminalistyczną, cechy ujmującej osobowości i talenty komunikacyjne. Nawet gdybyśmy wiedzieli, że to on, byłoby to piekielnie trudne do udowodnienia.

– To dlatego byłeś za tym, żeby wypuścić z aresztu żonę Liska?

– Nie wierzę, że ona to zrobiła – odparł Hubert. – Nie mówię, że jest święta, bo ma na sumieniu parę grzeszków, ale aż tak dobrą aktorką nie jest. Całą godzinę rozmawiałem z nią o ich małżeństwie, o jej donosie na męża. Powiedz, jaki miałaby w tym cel, gdyby wiedziała, że Marcel jest tak blisko, w jej własnym bagażniku?

– Spotykałam tak niewinnych zabójców, którzy na pierwszy rzut oka budzili moje zaufanie, że nie przekonuje mnie ten argument – oświadczyła. – Ale dowody już tak. Boziłow potwierdził, że ktoś zatruł potrawkę, którą kobieta przygotowała mężowi, a ten podzielił się z kotem. Niby kto wszedłby do tego domu bez klucza? Nie było śladów włamania, nie było żadnych śladów poza rodziną Lisowskich! Zabójca teleportował się, wyczyścił je?

– Starczyło założyć ochraniacze na buty, rękawiczki i niczego nie dotykać. Budynek nie jest monitorowany, a leży na uboczu. Nie ma wścibskich sąsiadów, gosposi. Idealna sytuacja.

– Małgorzata Lisowska tak szybko nie wyjdzie – zapewniła Alina. – Oczywiście wiem, że idzie w zaparte i wynajęła najlepszego prawnika, który walczy o jej uniewinnienie, a przy okazji robi z niej w mediach podwójną ofiarę: najpierw męża, a potem organów ścigania, jednak to ona wygląda mi na sprawczynię. To za jej przyczyną wszystko się zaczęło i ona na śmierci Lisowskiego korzysta najwięcej. Czy wiesz, że przed śmiercią, dokładnie w dniu, kiedy przyszliśmy go aresztować, Lisek przepisał majątek na żonę?

– Słyszałem – mruknął Hubert. – Misiur chlapnął mi, że biegły pisma analizuje autograf Liska. Nieoficjalnie wiadomo, że nie ma szans, by został podrobiony. Marcel sam go złożył.

– Zapewne pod przymusem. Kulik w każdym razie tak to zamierza przedstawiać. Po tej sprawie walczy już nie o awans, ale by utrzymać się w siodle. Zaszkodziła mu przyjaźń z Liskiem. Zanim twój uczeń umarł w boleściach, podpisał, co żona mu podsunęła. Może obiecywała, że poda antidotum? Trucizna to takie żeńskie narzędzie zbrodni…

– Za to łamanie kości, żeby facet zmieścił się do bagażnika, i owijanie go streczem już znacznie mniej. Typ był zwinięty jak paragraf, a ciało wcześniej dokładnie umyto. To musiało trwać dobrych kilka godzin. Nie ma możliwości, żeby kobieta, z którą rozmawiałem, była akurat po takiej robocie. Uważam, że tej zbrodni dokonał ktoś zupełnie inny. Chociaż nie

wykluczam, że była w zmowie i że głównym sprawcą jest właśnie kobieta.

Alina spojrzała na niego zaciekawiona.

– Któraś z naszych znajomych?

– Z pewnością przewinęła się w aktach – zgodził się z nią. – W tej sprawie nie ma ani jednej obcej osoby.

– Jaki miała motyw?

– Przywrócenie ładu.

– Nie ma takiego motywu.

– Laicy nazywają go zemstą. Marcel zginął od miecza, którym wojował. Skoro on zabił Portugalczyka, ktoś odebrał życie jemu. Całkiem możliwe, że to jedna z kochanek Ruiego. Ale nie Małgorzata. Albo jeden z tych zakapiorów wysłanych przez Pedra…

– Może jednak Cykoria? – podsunęła Alina.

Hubert potwierdził skinieniem.

– Obawiam się, że na razie nie jesteśmy w stanie tego dowieść. Może nigdy się to nie uda. Bo w przeciwieństwie do Liska to osoba z umysłem socjopaty. Bardzo rzadko spotykany typ, a jednak występujący w naturze. Urodzona morderczyni. Kiedy ją zatrzymamy, ten rys będzie wyraźnie widoczny w przebiegu. Była kiedyś ofiarą, idzie po trupach, nazywa swoje motywacje miłością albo obroną czci, a tak naprawdę jest zaborcza, zachłanna i nie ogląda się na innych. Dba jedynie o własny interes. Pieniądze z pewnością mają tutaj znaczenie. Dla odróżnienia od mężczyzn jej interwał może być znacznie dłuższy. Kiedy jednak znów na swojej drodze spotka przeszkodę do usunięcia, zrobi to bez wahania. Oczywiście w życiu może być miła, ujmująca i wszyscy ją lubią…

– A więc to Agata Wolanin? – strzeliła Alina.

– Nie sądzę – zaprzeczył Hubert. – Jej domeną jest uwodzenie ludzi, mamienie ich. Karmi się władzą innego typu.

To rodzaj kobiety węża. Osoba, z którą mamy do czynienia, to tygrys.

– Diana Gardocka? Nazywałeś ją tygrysicą.

– O nie, to kociak przy zabójcy Marcela.

– Marysia, Katarzyna Demianiuk, Ilona? – Alina wymieniała kolejno kandydatki.

– Jeszcze nie wiem, kim ona jest – prychnął zeźlony. – Ale zapamiętam ten modus operandi, bo kiedyś znów wypłynie. Oni nigdy nie przestają. Nie potrafią. To jest silniejsze od nich, a w przypadku kobiet górę biorą dodatkowo emocje. Wcale zresztą nie jest powiedziane, że tej zbrodni dokonała kobieta. Tak jak mówiłem, zapakowanie Lisowskiego do bagażnika wygląda mi raczej na dzieło męskich dłoni.

– Może to był zespół? – zasugerowała Chojnacka.

Nagle zerwał się porywisty wiatr, kapelusz Aliny odleciał i poturlał się po plaży. Hubert w ostatniej chwili zdołał go złapać. Wtedy usłyszeli huk. Spojrzeli w górę. Na klifie, w rezydencji de Souzów lądował helikopter.

– Jest już Pedro – oświadczył Hubert. – Bierzemy się do roboty. Rozwiążmy chociaż jedną zagadkę, bo całe Bródno na nas liczy.

– Do tej pory zadziwia mnie, dlaczego ten facet tak nam pomaga. Czyżby miał coś na sumieniu? Odnalezienie ciała żeglarza nie leży w interesie klanu de Souzów.

– Czasami ludzie dużo mówią, żeby odwrócić uwagę od najbardziej strzeżonego sekretu. By odkryć matactwo, starczy słuchać i być blisko.

– Sądzisz, że ojciec Portugalczyka miał coś wspólnego ze śmiercią Marcela Lisowskiego?

– Osobiście? W żadnym wypadku – odparł Hubert. – Ale kiedy ostatnio go widziałem, wyglądał jak archetypiczny demon zemsty. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby kogoś zatrudnił. Kogoś, komu na rękę była śmierć mordercy.

– Jak to brzmi! – żachnęła się Alina.

– Tak sobie myślę, czy niektóre sprawy nie powinny się kończyć właśnie jak ta. Zło zostaje ukarane tą samą bronią i my z całą machiną organów ścigania jesteśmy zbędni.

– Ale infekcja zostaje. Następna osoba uniknęła odpowiedzialności. Nie znoszę takich spraw. To jak pojedynek z wampirami. Jeden zaraża się od drugiego. Zwyczajni ludzie, a mordercy. Kiedy orientujesz się, że masz go w garści, pojawia się następny. Nigdy nie będzie z tego procesu. To frustrujące.

Kontemplowali te słowa jakiś czas w milczeniu, bo nic nie było do dodania.

– Wiesz, jest i dobra strona tej sytuacji – zagaił Hubert.

– No? – Spojrzała na niego. – Niby jaka poza tymi okolicznościami przyrody i moim towarzystwem, rzecz jasna?

– To jest niezaprzeczalne – podkreślił, patrząc jej w oczy i rozciągając usta w uśmiechu. – Czuję się całkiem zdrowy. Może zacznę jeździć na urlopy?

– Urlopy połączone z poszukiwaniem ciał?

– Jeśli je w ogóle znajdziemy.

# EPILOG

# LISBON STORY

*Mija kolejny rok, a żeglarza jak dotąd nie znaleźli żywego ani martwego. Meyer z ekipą polskich policjantów jeździli do Portugalii jeszcze trzy razy. Choć rodzina de Souzów deklarowała pełną współpracę i pomoc, wszystkie te działania nie przyniosły rezultatu. Sprawa Aruna Tyburka najprawdopodobniej pozostanie na zawsze nierozwiązana. Jest kanwą kilku filmów dokumentalnych, w których apelowano do widzów, by zgłaszali się, jeśli mają jakieś informacje. Bez skutku. Jestem pewien, że tak samo będzie z zabójstwem doktora Marcela Lisowskiego, który miał pięć minut upragnionej chwały w mediach, ale niekoniecznie jako profiler, tylko morderca. Myślę, że gdyby nie skończył w bagażniku samochodu żony, z jego zbrodniami byłoby tak samo jak ze sprawą żeglarza. Pozostałyby niewykryte.*

*Za swoje uczynki profiler Lisowski będzie się smażył w piekle. Mam nadzieję, że w tej chwili wciąż wisi na ruszcie i nieprędko Bóg go z niego zdejmie. A może tam, za tęczą, wcale nie ma czartów ani aniołów i istnieje tylko jedno życie. Tutaj. Teraz. W sumie to już nie moja sprawa…*

*Nie ukrywam się, nie boję. Wiem, że jestem bezpieczny i nigdy nie pójdę siedzieć.*

*Policja uważa, że Marcel zginął z ręki kobiety, wszak trucizna od wieków uznawana jest za żeńskie narzędzie zbrodni. Aresztowali Małgorzatę Lisowską, Helenę Trojańską Ruiego. Zatrzymali też żonę Portugalczyka i większość jego kochanek. Nawet tę rudą wariatkę, która nagrała schadzkę*

*rywali i o mały włos by mnie ujawniła, bo wsadzała nos w nie swoje sprawy jeszcze dużo później, kiedy śledztwo w mediach przygasło. Nikt nie powiąże mnie z tą sprawą, bo tylko Marcel i komendant Walski mogli to udowodnić. Jestem o to spokojny. Cała ta przygoda niniejszym należy już do przeszłości.*

*Dla Ruiego de Souzy kochanki były smacznymi daniami, sposobem na urozmaicenie sobie małżeńskiego życia. Umarł, jak żył. Po prostu poniósł konsekwencje swoich czynów. Ten facet wcale mnie nie obchodzi i nie ryzykowałem dla niego, lecz dla moich rodziców.*

*Bo jestem przekonany, że Lisowski i tak by się z tego wywinął, a mojego ojca pochowano by gdzieś pod płotem. Zamiast medalu za dzielność i honorową postawę zostałby odsądzony od czci i wiary. Matka nie dostałaby po nim nawet emerytury. Nie mogłem na to pozwolić.*

*Jako syn policjanta od dziecka rosłem w atmosferze podejrzliwości i sekretów. Ojciec nigdy nie opowiadał o swojej pracy, ale wiedzieliśmy, czym się zajmuje. Potrafię odróżnić podejrzanego od oskarżonego, znam się trochę na kryminalistyce, wiem, jak działają organy ścigania, i co najważniejsze, mam pełną świadomość, jak zbierane są dowody. Tato chciał, żebym poszedł w jego ślady, ale ja wybrałem filmoznawstwo, a potem reżyserię. Nie, nie jestem nikim znanym i nie mogliście widzieć w kinie żadnego z moich filmów, ale dobrze sobie radzę. Kręcimy reklamy i filmiki promujące różne produkty. Nasza sytuacja finansowa jest stabilna. Od zawsze oglądałem dużo fabuł, mam bogatą wyobraźnię. Dlatego kiedy sprawa zaczęła skręcać w kierunku winy mojego ojca zamiast prawdziwego sprawcy, strasznie się wkurzyłem. Obsztorcowałem mamę, że wydała policji całe biuro ojca, a oni tego nie wykorzystali. Nic nie zrobili, żeby oczyścić mojego tatę. Kiedy mama pojęła, że ich dobra wola kończy się na zaksięgowaniu materiału, ale nie idzie za tym zatrzymanie Liska, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.*

*Ugotowała potrawkę z ryby i naszpikowała ją środkiem nasennym w takiej dawce, by zabójca jej męża zasnął. Potem znalazła w papierach taty adres Małgorzaty Lisowskiej.*

*Skopiowała na przenośny dysk kompromitujący filmik z żoną Liska w roli głównej i w drzwiach go jej pokazała.*

*– Mój mąż nie żyje – powiedziała, siląc się na uprzejmość. – Robię po nim porządki. To chyba należy do ciebie.*

*Lisowska nie chciała wpierw jej wpuścić. Mruknęła coś w podzięce, a potem zaczęła zamykać drzwi.*

*– Przepraszam, ja zaraz wychodzę. My chyba się nie znamy…*

*– Obejrzałam to – podkreśliła moja mama. Kiedy wyobrażę ją sobie w tej roli, jestem z niej dumny. – Radzę ci niezwłocznie to zniszczyć. Jeśli wpadnie w niepowołane ręce, znów się zacznie… Po co ci to? – Uśmiechnęła się. – Oddaję ci oryginał i nikt więcej nie ma kopii. Możesz być spokojna. Nikt nie będzie cię szantażował.*

*Oczywiście nie wiedziała, że Lisowska zna już treść tego filmu. Dalsze wyjaśnienia były zbędne.*

*– Ile za to chcesz? – zapytała Lisowska.*

*Oczywiście! W umyśle takich ludzi liczą się wyłącznie pieniądze. To dlatego się nawzajem zdradzają…*

*– Nic nie chcę – odparła moja mama. – Po prostu walczę o to, aby śmierć mojego męża nie poszła na marne. Twój Marcel pracował z moim Bogusiem i zapłacił już za ten film. Z pewnością zna jego treść. Radzę ci, żebyś przed wyrzuceniem też go obejrzała – powtórzyła moja mama.*

*Lisowska oniemiała. Przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa.*

*– Mój mąż… – Zawahała się, jakby chciała coś wyznać. – Bardzo cię przepraszam. Tak mi przykro. Przyjmij najszczersze kondolencje. To nie powinno było się wydarzyć…*

*Moja mama w tej chwili pojęła, że Lisowska od początku o wszystkim wiedziała. Zrobiło jej się szkoda tej kobiety. Nie zamierzała jednak zostawać jej przyjaciółką ani powiernicą. Miała dosyć sekretów taty i problemów z tym związanych.*

*Wyciągnęła z reklamówki pojemnik z potrawką.*

*– To prezent ode mnie dla twojego męża – oświadczyła. – Niech zje na ciepło, żeby nie poczuł gorzkiego posmaku. Tylko pilnuj dzieci, żeby trzymały się z dala. I sama nie próbuj.*

*Odwróciła się, odeszła.*

*Podkreślę może jeszcze raz: mama nie miała pewności, że Lisowska poda potrawkę mężowi. To nie moja matka go otruła. Ani nie ja. Jak Małgorzata nakłoniła go do zjedzenia ryby, na zawsze pozostanie jej tajemnicą. Nie interesowaliśmy się tym. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.*

*Ja wkroczyłem do akcji, kiedy mama wróciła do domu. Zadzwonił telefon taty, a mama aż podskoczyła ze strachu, bo to było tak, jakby ojciec kontaktował się z nią z zaświatów. Niestety, tato wciąż leżał na Oczki i czekało go jeszcze wiele autopsji, zanim go pochowaliśmy, a dzwoniła zapłakana Małgorzata. Twierdziła, że wróciła od koleżanki i zastała martwego kota, a potem męża leżącego bezwładnie na podłodze w kuchni. Nie czuła się na siłach tego posprzątać. I obawiała się, że Lisek wciąż jeszcze żyje.*

*Porozumieliśmy się z mamą i powiedziałem, żeby nie ruszała się z domu. Gdyby mnie szukali, ma zapewnić mi alibi. Zadzwoniła natychmiast do całej rodziny i sprosiła ich na obiad. Potem zeznawaliśmy wszyscy, że odbył się rodzinny zjazd ku pamięci ojca.*

*Kazałem Małgorzacie iść się wykąpać, ogarnąć, a sam przeciągnąłem Marcela do jego królestwa w piwnicy. Tam rozebrałem go, umyłem dokładnie, by nie znaleziono żadnych włókiem ani włosów, skręciłem mu kark, a potem ubrałem go w nowe rzeczy, które żona mi przyniosła jako jego własne, i zawinąłem w kilometry streczu. Na koniec obwiązałem taśmą.*

*Pakowałem go właśnie do bagażnika, żeby go wywieźć, i nie wiedziałem dokąd. Gorączkowo się nad tym głowiłem.*

*Jedną z opcji była studzienka na parkingu, gdzie Marcel strzelał się z Ruim, bo z akt wynikało, że akurat w tym miejscu kamery nie obejmują terenu. Rozważałem też inne możliwości:*

*zakopanie, spuszczenie Wisłą albo zamurowanie w jakimś kanale, ale w tym momencie do mieszkania Lisowskiej zastukał Meyer.*

*Błogosławiłem swoją wrodzoną podejrzliwość i to, że zaparkowałem na tyle daleko, by policjant nie zauważył mojego samochodu. Bardzo się wtedy bałem, ale nie było to paraliżujące, tylko ekscytujące. Kiedy Małgorzata z nim rozmawiała, posprzątałem w garażu. Wyszedłem tylnymi drzwiami, przez ogród.*

*Brałem pod uwagę, że na zewnątrz mogą być posiłki, bo chyba wtedy tylko jeden Hubert wierzył, że Lisowski jest mordercą.*

*Dotarłem do samochodu, ruszyłem z miejsca i kiedy kierowałem się do szosy na Warszawę, minąłem komendantkę Chojnacką, szefową mojego ojca. Spotkaliśmy się spojrzeniem i wydaje mi się, że ona kiwnęła głową, ale nigdy nikomu o tym nie wspomniała. Nie wiem dlaczego. Czy połączyła fakty? Czy moja obecność w tej okolicy wcale jej nie zadziwiła? Nigdy nie zostałem przesłuchany na tę okoliczność, podobnie jak moja mama.*

*W szkole zrobiłem film dyplomowy o mordercy mojego ojca i każdemu z odcinków nadałem tytuły znanych obrazów filmowych. Narratorem uczyniłem Liska, a dzieło kończyło się niewykryciem sprawcy.*

*Wszystko, co widzieli moi egzaminatorzy, jest prawdą, chociaż oni oczywiście uważali, że to fikcja. Ten epilog roboczo miał nosić tytuł Lisbon Story, bo w sumie mszcząc się za tatę, dokonaliśmy także odwetu za Portugalczyka, który zaczął ten bajzel. Po namyśle zmieniłem jednak na inny, znacznie lepszy. Wszystko o mojej matce.*

Warszawa, 23 grudnia 2022

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa
tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF sp.j., Bydgoszcz